

Bogusław Wołoszański

Sensacje XX wieku
Część I

Spis treści:	Strona:
Słowa wstępne	3
Rozdział 1 – Władcy ognia	4
Część I	4
Część II	10
Część III	16
Rozdział 2 – Kryzys	25
Część I	25
Część II	30
Rozdział 3 – Tajemnica Dallas	38
Rozdział 4 – Największy wróg Hitlera	47
Część I	47
Część II	55
Część III	64
Część IV	72
Rozdział 5 – Mayaguez	82
Rozdział 6 – Noc na pustyni	92
Rozdział 7 – Zdalny zabójca	102
Rozdział 8 – Titanic	108
Rozdział 9 – Pueblo	114
Rozdział 10 – Skarby Hermanna Goringa	121
Rozdział 11 – Son Tay	127
Rozdział 12 – Wielkie polowanie	135
Rozdział 13 – Skarby wojny	141
Rozdział 14 – Polski Łącznik	147
Część I	147
Część II	152
Rozdział 14 – Marszałek Tuchaczewski	159
Część I	159
Część II	165
Rozdział 15 – Mata Hari	171
Rozdział 16 – Los bohatera	178
Rozdział 17 – Tajemnica śmierci Adolfa Hitlera	187
Część I	187
Część II	192
Rozdział 18 – Tajemnica lotu Rudolfa Hessa	200
Rozdział 19 – Tajemnica Rudolfa Hessa	208
Rozdział 20 – Kondor I	215
Rozdział 21 – Kondor II	221

Słowa wstępne



Moja audycja wprowadzi was w tajniki wydarzeń rozgrywających się w gabinetach szefów wielkich mocarstw, wywiadu i kontrwywiadu, kazamatach policji politycznej i na bitewnych polach. Przygotowując Sensacje XX wieku wykorzystuję dokumenty, które przez dziesiątki lat były zamknięte w archiwach, rozmowy ze świadkami wydarzeń, prowadzone często w dalekich krajach, a także wizyty w niezwykłych miejscach - czyli wszędzie tam, gdzie powstawała historia.

Mam nadzieję, że te reportaże z przeszłości pozwolą wam, Drodzy Państwo, lepiej poznać oraz zrozumieć trudną i tragiczną historię naszych czasów, która wciąż kryje jeszcze wiele tajemnic.

Bogusław Wołoszański

Rozdział 1 - Władcy ognia

Część I

Był to czas, gdy dla świata, który ledwo otrząsnął się z wielkiej wojny, narastała groźba nuklearnej zagłady, a o życiu setek milionów ludzi miał decydować przypadek...

Wielki czarny śmigłowiec Mi-8 przemknął nisko nad lasem i zatoczył krąg nad niewielką polaną. Pilot wypatrywał najlepszego miejsca do wylądowania, zanim opuścił maszynę na pokryty głębokim śniegiem plac. Widok śmigłowca w syberyjskiej pustce wydawał się czymś irracjonalnym, zważywszy na to, że do najbliższej osady było kilkaset kilometrów, a w pobliżu nie było śladów jakiegokolwiek obecności człowieka. Na skraju lasu znajdował się, co prawda, wielki skład drewna, ale wyglądał jakby przygotowany był do spławienia późną wiosną, gdy puszczą lody pobliskiej rzeki.

Śnieg był za głęboki, żeby śmigłowiec mógł wylądować, zwiśł więc tuż nad ziemią, a z otwartych drzwi wyskoczyło trzech żołnierzy. Pomachali na pożegnanie pilotowi i z trudem brnąc w śniegu, ruszyli w stronę składu drewna.

Minęło dobre pół godziny zanim udało im się dotrzeć do ogrodzenia z siatki, którego obecność na tym pustkowiu wydawała się równie niezrozumiała jak lądowanie śmigłowca. Oficer, który szedł pierwszy odnalazł czarną metalową skrzynkę przy furtce. Otworzył ją za pomocą klucza, który wydobył z rękawiczki - w jej wnętrzu były guziki z cyframi. Gdy wystukał kod, szcęknął zamek furtki, którą otworzyli przewyciężając napór śniegu zalegającego na placu. Dalej było już łatwiej iść. Śniegu było jakby mniej, ktoś sprzątał wąskie przejścia między sągami drewna.

Zniknęli między nimi, jakby pod ziemię się zapadli. W istocie wejście było najściślej strzeżoną tajemnicą. Znało je tylko kilkunastu żołnierzy i wartowników tego najtajniejszego miejsca na Syberii.

W betonowym korytarzu, przedzielonym co kilkadziesiąt kroków ciężkimi metalowymi drzwiami, dwukrotnie sprawdzano ich przepustki, zanim mogli wejść do dużego owalnego pomieszczenia jasno oświetlonego lampami w metalowych obudowach.

Na ich widok trzech żołnierzy siedzących za szarymi metalowymi pulpitemi zerwało się z miejsc. Powitanie było krótkie i ograniczyło się do przekazania dokumentów, kodów i kluczy uruchamiających wyrzutnię. Nowa zmiana rozpoczynała tygodniową służbę w silosie rakiety balistycznej, której głowica o mocy 25 megaton - tysiące razy silniejszej od bomby, która zniszczyła Hiroszimę - miała spopielić miasto na amerykańskim kontynencie. Żaden z trzech żołnierzy przejmujących sterowanie rakieta nie wiedział, jakie miasto zostanie zniszczone, gdy odpalą raketę. Mieli tylko wykonać rozkaz, którzy nadszedłby z Kremla. Wówczas silniki elektryczne odsunęłyby jeden z sągów drewna maskującego wylot betonowego silosu rakiety strategicznej, a trzech ludzi za pulpitemi rozpoczęliby procedurę startową.

Wtedy, w końcu lat pięćdziesiątych, Związek Radziecki był największą potęgą militarną świata, a odpowiedź na pytanie, ile takich rakiet ustawionych w betonowych silosach gotowych jest do startu, było najważniejszym zadaniem amerykańskiego wywiadu. Błąd mógł mieć nieobliczalne skutki.

Prezydent Dwight Eisenhower doceniał wywiad. W jego działaniach jako dowódcy wojsk alianckich w Europie w czasie II wojny światowej współpraca z tajnymi służbami miała decydujące znaczenie. One bowiem tak skutecznie wprowadziły w błąd Hitlera co do miejsca i czasu inwazji planowej w 1944 roku w Normandii, że przesądziło to o sukcesie wielkiej operacji. Gdy żołnierze amerykańscy i brytyjscy umacniali przyczółki w Normandii, Hitler wciąż oczekiwał inwazji w rejonie Calais oddalonym o 300 kilometrów. I tam trzymał główne siły, które z łatwością mogły pokonać alianckie wojska inwazyjne.

Gdy jednak 20 stycznia 1953 roku Eisenhower objął urząd prezydenta uzmysłowił sobie z przerażeniem, że nie ma tego oręża w walce z nowym wrogiem - Związkiem Radzieckim. Osiągnięcia i możliwości amerykańskiego wywiadu były znikome.

Głównym źródłem informacji były raporty attachés wojskowych akredytowanych w Moskwie. Fotografowali radziecki sprzęt w czasie pierwszomajowych parad lub robili długie wycieczki w pobliże wojskowych instalacji, starając się coś dojrzeć zza płotu. Odnosili co prawda sukcesy, jak major George van Laethan, który 3 marca 1953 roku podróżując samochodem z Moskwy do Kijowa dzięki podręcznemu wykrywaczowi radaru, który trzymał pod fotelem, zlokalizował 27 km na południe od Moskwy stację radiolokacyjną nowej baterii przeciwlotniczej.

Amerykańska agencja wywiadowcza CIA, ponaglana przez prezydenta rozpoczęła operację "Redskin" polegającą na zbieraniu informacji od obcokrajowców podróżujących po ZSRR - naukowców, dziennikarzy, sportowców, duchownych. Niektórzy zgadzali się wykonywać zadania zlecane przez CIA, inni szczerze odpowiadali na pytania CIA po powrocie ze Związku Radzieckiego: jaki kolor miał dym unoszący się z kominów fabryki albo jaki pył pokrywał jej sąsiedztwo, czy też jaki kształt miały anteny stacji radiolokacyjnych.

To było niewiele. Prawdziwych źródeł szpiegowskich informacji Amerykanie mieli jeszcze mniej...

12 listopada 1953 roku o godzinie 15.00 do mężczyzny stojącego na rogu ulic Dorotheergasse i Stallburgasse w Wiedniu podszedł inny mężczyzna:

Kisvalter: Nazywam się Brown. Przysłał pan list, że chce się z nami widzieć...

Prawdziwe nazwisko mężczyzny, który przedstawił się jako Brown, brzmiało George Kisvalter. Był oficerem CIA pracującym od 1952 roku w Wydziale Radzieckim. Z pochodzenia Rosjanin, mówił biegle po rosyjsku, a także po francusku, niemiecku i włosku. To jemu przekazano sprawę listu, który na początku listopada 1953 roku ktoś wrzucił przez okno do samochodu amerykańskiego dyplomaty w Wiedniu.

Popow: Czy ma pan może ten list?

Kisvalter: Pan żartuje, nie trzymamy takiej korespondencji. Mogło to by być zbyt niebezpieczne dla pana.

Popow: A pamięta pan treść?

Kisvalter: Oczywiście. Napisał pan: Jestem rosyjskim oficerem przydzielonym do

dowództwa radzieckiej grupy wojsk w Baden pod Wiedniem. Jeżeli zainteresowani jesteście kupnem nowego schematu organizacyjnego radzieckiej dywizji pancерnej spotkajmy się na rogu ulic...

Popow: Zgadza się. Nazywam się pułkownik Piotr Popow. Chcę za moje informacje 3 tysiące szylingów.

Kisvalter: Za długo rozmawiamy w tym miejscu. Proponuję spotkanie jutro, przed Kunst Historische Museum. O tej samej godzinie. Niech pan przyniesie te dokumenty. Ja będę miał pieniądze...

Tak rozpoczęła się współpraca pułkownika Popowa, któremu nadano pseudonim Attic, z Amerykanami, którym dostarczył wiele cennych informacji. Takich źródeł amerykański wywiad miał jednak niewiele. Radziecki kontrwywiad był zbyt sprawny, o czym przekonał się Popow w 1958 roku, gdy został zdemaskowany, zmuszony do współpracy z wywiadem radzieckim, a ostatecznie skazany na śmierć w 1959 roku.

Jeżeli nie można było uzyskać informacji o radzieckich zbrojeniach od szpiegów działających na ziemi może udałoby się zdobyć je z powietrza. Prezydent Eisenhower uchwycił się tego pomysłu, jako najpewniejszego rozwiązania problemu, który wydawał się najtrudniejszym w jego prezydenturze.

8 maja 1954 roku trzy samoloty RB-47 wystartowały z bazy Fairford w pobliżu Oxfordu w Wielkiej Brytanii. Przeleciały wzdłuż północnego brzegu Norwegii i skierowały się w stronę Murmańska. Nad portem dwa zawróciły, zaś trzeci, pilotowany przez Hala Austina, skierował się na południe.

Austin: Nie pamiętam, jakie mieliśmy konkretne zadanie, ale zapewne interesowały nas lotniska wojskowe i instalacje radarowe. Wlecieliśmy nad Rosję na dobre 50 mil, gdy zobaczyłem 3 myśliwce. Nie obawialiśmy się ich, gdyż były to Mig-15, za wolne dla nas.

Myśliwiec Mig-15 rzeczywiście nie stanowił zagrożenia dla amerykańskiego samolotu zwiadowczego, który przewyższał prędkością i pułapem radziecki samolot.

Austin: Godzinę później dostrzegłem sześć rosyjskich samolotów. Chwilę potem następnych sześć. Było oczywiste, że mają rozkaz zająć się nami, ale nie były to Mig-15. Skręciliśmy na zachód, a Rosjanie zaczęli pościg.

Za amerykańskim samolotem ruszyły Mig-17, nowe myśliwce wprowadzone do służby w październiku 1952 roku. Przewyższały amerykański samolot prędkością, a także dorównywały mu pułapem.

Austin: Pierwszy z rosyjskich samolotów zrównał się z nami. Strzelał pociskami smugowymi, aby zmusić nas do lądowania. Krzyknąłem do kopilota, Carla Holta. On powiedział: nasze działka nie funkcjonują. Odpowiedziałem: Lepiej zrób coś. Kopnij je albo inaczej zmusz te cholerne działa, żeby strzelały, bo spadniemy tutaj jak kaczki.

Amerykański samolot RB-47 uzbrojony był w dwa działka kalibru 20 mm w ustawione w ogonie i sterowane radarem. Tylko w ten sposób mógł się obronić przed ścigającymi go samolotami radzieckimi.

Austin: Naliczyłem dziesięć migów, które usiłowały nas zestrzelić. Na szczęście udało mi się uruchomić działka i oddać parę strzałów, co kazało Rosjanom utrzymać dystans. Ale wreszcie któryś nas trafił. Czułem strumień powietrza wpadający do kabiny przez otwory w kadłubie.

Granica fińska była blisko, ale dostrzegł z przerażeniem, że wskaźnik paliwa szybko zbliża się do zera, co wskazywało, że zbiornik został przestrzelony. Paliwo ubywało w zastraszającym tempie, gdy sześć silników uciekającego samolotu pracowało na maksymalnym ciągu. Szanse na wyrwanie się ścigającym myśliwcom malały z każdą sekundą. Austin wiedział, że wielu jego kolegów nie powróciło z takich lotów. W październiku 1952 roku radzieckie myśliwce zestrzeliły rozpoznawczego B-29 nad Wyspami Kurylskimi, a w grudniu nad Mandżurią. W styczniu 1953 roku zginęła załoga P2V zestrzelonego nad Cieśniną Formoską. A tego majowego dnia wszystko wskazywało na to, że powiększą oni listę zestrzelonych.

Nagle Rosjanie zawrócili. Austin zorientował się że minęli granicę Finlandii. Ratunek był jednak bardzo iluzoryczny, gdyż cały czas tracili paliwo. Na domiar złego radio było uszkodzone i mogli nadawać tylko na jednym kanale. Ich wezwania pomocy usłyszał pilot tankowca Jimm Rigley pełniący bojowy dyżur na ich rodzimym lotnisku w Fairford.

Austin: Jimm usiłował natychmiast wystartować, ale nie otrzymywał zgody, gdyż coś tam działo się na pasie. Wreszcie, łamiąc wszystkie przepisy uniósł maszynę w powietrze. A u nas wskaźnik paliwa zatrzymał się na zerze. I wtedy zobaczyłem w oddali samolot. "To musi być tankowiec - powiedziałem do Carla - lecę do niego. Nie myliłem się. Carl wspominał później, że najpiękniejszym momentem w jego życiu było ustawienie naszego samolotu pod tankowcem i podłączenie przewodu paliwowego. Nasze zbiorniki były już całkowicie puste.

Takie loty w latach 50-tych były podstawowym źródłem informacji o radzieckich siłach zbrojnych. Dzięki nim mogli poznać tajemnicę odległego rejonu nad Wołgą - Kapustin Jar.

Pierwsze sygnały nadeszły od jeńców niemieckich, których w 1952 roku Rosjanie zwolnili z niewoli. Przesłuchiwani przez wywiad amerykański wskazywali Kapustin Jar jako miejsce tajnych eksperymentów radzieckich. Nie potrafili jednak określić, co się tam działo. Do operacji rozszyfrowania tej tajemnicy włączyli się Brytyjczycy, którzy zdecydowali się wysłać najnowszy typ samolotu rozpoznawczego Canberra z bazy w Iranie.

Lot, który prawdopodobnie odbył się w sierpniu 1953 roku, do dziś pozostaje tajemnicą. Jedynym dowodem, że brytyjski samolot dotarł nad Kapustin Jar, jest relacja Michaiła Szulgi, pilota radzieckiego myśliwca.

Głos z radia: Jaką masz wysokość?

Szulga: 14 800 metrów.

Głos: Zwiększ o 300 metrów. Rozejrzyj się dookoła. Co widzisz?

Szulga: Nic.

Głos: Spójrz do góry, trochę w prawo.

Szulga: Widzę samolot. Błyszczą w słońcu.

Głos: Przygotuj działka. Rozkaz: zestrzelić.

Szulga: Zwiększam wysokość - 15 400... 15 800. Tracę prędkość. Tracę prędkość!

Głos: Ponów próbę zestrzelenia. Masz go?

Szulga: Nie udało się, ciągle jest za wysoko...

Trudno się dziwić. Do brytyjskiego samolotu należał światowy rekord wysokości lotu ustanowiony w maju 1953 roku - 19 137 metrów. Radzieckie myśliwce nie mogły przekroczyć 16 tysięcy metrów. W czasie lotu nad Kapustin Jarem kamery brytyjskiego samolotu zrobiły kilkaset zdjęć, prawdopodobnie 240. Alianci mogli się przekonać, że Rosjanie prowadzą tam próby z raketami balistycznymi wzorowanymi na niemieckich V-2.

Dla prezydenta Eisenhowera była to wiadomość nadzwyczaj ważna i nadzwyczaj niepokojąca. Wskazywała, że w ciągu najbliższych lat Związek Radziecki będzie mógł zaatakować amerykańskie miasta. Co prawda państwo to od 1949 roku posiadało broń nuklearną, ale praktycznie nie miało możliwości uderzenia na USA. Radzieckie lotnictwo nie miało bowiem bombowca strategicznego z prawdziwego zdarzenia. Już w 1944 roku znakomity radziecki konstruktor Andriej Tupolew otrzymał od Stalina rozkaz skopiowania amerykańskich bombowców strategicznych B-29 z których trzy, uszkodzone w locie nad Japonią, musiały lądować na radzieckim lotnisku pod Władywostokiem. To zadanie, na którego zrealizowanie Stalin wyznaczył 2 lata, okazało się karkołomne. Ogromnym problemem były imperialne jednostki miary zastosowane w amerykańskim bombowcu. Na przykład grubość blachy kadłuba amerykańskiego samolotu wynosiła 1/16 cala tj. 1,587 mm, a takiej blachy nie mógł wyprodukować żaden z radzieckich zakładów, gdyż nie miał odpowiedniego oprzyrządowania. Wydawało się: nic prostszego niż zwiększyć lub zmniejszyć grubość blachy. To jednak nie było takie proste. Gdyby zwiększono grubość do 1,6 mm masa samolotu wzrosłaby i spadłyby jego osiągi. Zmniejszenie grubości do 1,5 mm zagrażało wytrzymałości kadłuba. Równie trudne okazało się zastąpienie amerykańskich przewodów elektrycznych, których grubość po przeliczeniu z cali wynosiła np. 0,88 mm lub 1,93 mm. Gdyby użyto kabli produkowanych przez radziecki przemysł, masa samolotu wzrosła o 8-10%.

I tak po dwóch latach karkołomnych zabiegów (zakończonych pełnym powodzeniem), w maju 1947 roku zbudowano pierwsze seryjne egzemplarze kopii amerykańskich B-29, nazwanych Tu-4. One utworzyły trzon radzieckich sił strategicznych, ale zasięg Tu-4 wynosił zaledwie 5100 kilometrów, a więc do Stanów Zjednoczonych dolecieć nie mogły. Ponadto kariera samolotów szybko dobiegła końca, gdyż wojna koreańska wykazała, że B-29 są już przestarzałe i nie mogą obronić się przed odrzutowymi myśliwcami. Wydawałoby się, że prawdziwą groźbą dla Amerykanów stały się dopiero bombowce Mi-4.

Amerykański attaché wojskowy sfotografował ten samolot podczas pierwszomajowej defilady w 1953 roku, gdy Mi-4, otoczony czterema myśliwcami, przeleciał nad Placem Czerwonym.

Strach Amerykanów przed tymi bombowcami był odwrotnie proporcjonalny do niezadowolenia premiera Nikity Chruszczowa, który wkrótce po wielkiej premierze nowego bombowca odwiedził zakłady lotnicze w Fili pod Moskwą, gdzie budowano Mi-4. Orowadzany przez głównego konstruktora nowego bombowca Władymira Miasiszczewa zapytał nagle:

Chruszczow: A jaki, Władymirze Michajłowiczu, zasięg ma ten bombowiec?

Miasiszczew: To zależy od wielu czynników. Przede wszystkim ładunku bomb. Może zabrać do 24 ton bomb. Jeżeli zmniejszy ładunek bomb do 11 ton, wówczas w komorach bombowych będzie można zamontować dodatkowe zbiorniki paliwa.

Chruszczow: A z wodorówką? Ile ona waży i ile może przelecieć?

Miasiszczew: Bomby FN-9000 lub FAB-9000 ważą po 5 ton. Zasięg wynosi wówczas 8100 kilometrów.

Chruszczow: Doleci do Ameryki. Dobrze. A jak wróci?

Miasiszczew: Na powrót nie starczy paliwa.

Wtedy wtrącił się któryś z generałów biorących udział w inspekcji. Powiedział: zakładamy możliwość wylądowania w Meksyku.

Chruszczow: A jak to wynegocjujecie z rządem meksykańskim? Może wasza teściowa tam mieszka?!

Zapewne ta wizytacja zakładów lotniczych przekonała Chruszczowa, że nie można stawiać na lotnictwo, jako podstawę radzieckich sił strategicznych. O wiele bardziej przypadł mu do gustu pokaz próby rakiety R-5M, skonstruowanej przez Siergieja Korolowa na bazie niemieckiej V-2. Rakieta z bojową głowicą nuklearną przeleciała 1200 kilometrów. Cel na poligonie, opuszczona wieś została zmieciona z powierzchni ziemi. W tym samym czasie prezydent Eisenhower zażądał raportu na temat perspektyw rozwoju radzieckich rakiet. Dokument NIE, który otrzymał, wskazywał, że przed rokiem 1960 Związek Radziecki nie będzie miał międzykontynentalnej rakiety balistycznej, która mogłaby uderzyć na cel w Stanach Zjednoczonych. To był błędny raport.

Samoloty bombowe z bombami nuklearnymi można było strącić, zanim dotarłyby nad cel. Rakiet - nie, a na nich Rosjanie skupili swoje wysiłki, wychodząc ze słusznego założenia, że będzie to broń przyszłości, przed którą Ameryka obronić mogła się obronić. W niemieckich fabrykach i na poligonach zajęli dość dużo rakiet V-2; udało się im również schwytać wielu naukowców pracujących przy konstruowaniu i produkcji tych rakiet, chociaż główny konstruktor, Werner von Braun, oddał się w ręce amerykańskie. I próby z tymi raketami prowadzono w Kapustim Jarze.

Już w 1947 roku radzieckie zakłady wyprodukowały pierwsze egzemplarze rakiet krótkiego zasięgu, nazwane na Zachodzie SS-1 "Scunner" ("Odraza"), które były nieco zmodyfikowanymi niemieckimi V-2. Wkrótce zastąpiły je SS-2 "Sibling" ("Brat" lub "Siostra") o trochę powiększonym zasięgu. W 1955 roku wprowadzono do uzbrojenia rakiety średniego zasięgu SS-3 "Shyster" ("Kanciarz"), w dalszym ciągu oparte na konstrukcji

niemieckich rakiet. Był to już czas, gdy w radzieckiej doktrynie wojennej zwyciężał pogląd o konieczności uprzedzenia amerykańskiego ataku. Jeden z twórców tej tezy, generał Nikołaj Talenski uważał, że wynalezienie broni nuklearnej całkowicie zmieniło sytuację militarną. Tradycyjne podpory rosyjskiej potęgi: ogromne rezerwy ludzkie i surowcowe, wielkie przestrzenie będące pierwszą zaporą przed nacierającymi wojskami wroga, przestawały istnieć w dobie nuklearnej. Wybuchy kilkudziesięciu głowic jądrowych mogły spopielić przemysłowe miasta pozbawiając wojska na froncie dostaw broni i żywności, zniszczyć węzły komunikacyjne, uniemożliwiając przewóz żołnierzy i zaopatrzenia. Dlatego - argumentował generał Talenski - w przypadku zagrożenia wojną musimy pierwsi wykonać uderzenie nuklearne, aby obezwładnić wroga.

Nikita Chruszczow chętnie przyjął ten punkt widzenia, a osiągnięcia radzieckich uczonych przy konstruowaniu i budowaniu rakiet dały mu argument, który postanowił wykorzystać w polityce wobec Stanów Zjednoczonych. I gotów był nie cofnąć się przed krokiem ostatecznym, gdy w sierpniu 1957 roku Związek Radziecki przeprowadził udaną próbę z rakieta balistyczną R-7, która startując z wyrzutni na terenie ZSRR, mogła dolecieć do USA.

Część II

Z pozoru dobrotliwy i jowialny grubas był agresywnym i nieobliczalnym przywódcą wielkiego mocarstwa. Jego polityka zaprowadziła świat na krawędź wojny nuklearnej. Nikita Sergiejewicz Chruszczow bardzo szybko zrozumiał, że rakiety są bronią przyszłości i że za ich pomocą będzie mógł dyktować warunki światu...

Na początku lutego 1956 roku na poligonie Tiuratam w Kazachstanie panował nadzwyczajny ruch. Kolumny ciężarówek dowoziły sprzęt starannie ukryty pod plandekami, a setki żołnierzy uprzętało drogi dojazdowe do centralnego miejsca poligonu, wielkiego hangaru pomalowanego w ciemnozielone łaty.

Nad ranem 5 lutego 1956 roku przy wrotach hangaru zatrzymała się kolumna czarnych samochodów. Z grupki mężczyzn stojących przy drzwiach wysunął się Siergiej Korolow, główny konstruktor rakiety balistycznej oznaczonej R-7. Ruszył w stronę wysiadającego z samochodu Nikity Chruszczowa, sekretarza generalnego KPZR.

Korolow: Wybaczcie towarzyszu sekretarzu, że nie witałem was na lotnisku, ale prace montażowe wymagają mojej obecności tutaj. Nie możemy sobie pozwolić na opóźnienia.

Chruszczow: Ho, ho, ho! Wielka ta wasza rakietka! 20 maja, dwa lata temu Rada Ministrów podjęła decyzję o budowie, a proszę, wy już macie gotową. Wielka, ta rakietka...

Korolow: Ciężar startowy wynosi 270 ton. Ciężar głowicy wodorowej - 6 ton

Chruszczow: Kiedy przewidujecie próbę?

Korolow: W połowie sierpnia tego roku

Chruszczow: Jakie są szanse na sukces?

Korolow: Nie mogę powiedzieć, że 100 procent, towarzyszu sekretarzu, ale zapewniam was, że się uda...

Chruszczow: Liczę na to. Liczę na was, towarzyszu Korolow. Pokażcie teraz to cudo.

Chruszczow, wraz z kilkoma towarzyszącymi mu członkami Prezydium Komitetu Centralnego – prowadzeni przez Korolowa – rozpoczęli spacer wzdłuż rakiety leżącej na gigantycznej lawecie. Był to jednocześnie pojazd, który miał dostarczyć raketę na stanowisko startowe i ustawić ją pionowo.

Ogrom tej rakiety, a zwłaszcza silników i dysz wystających z boków wielkiego walca zrobił wrażenie na Chruszczowie. Większe niż informacje o sile niszczącej głowicy wodorowej – wynosiła 3 megatony, czyli odpowiednik wybuchu 3 milionów ton trotylu. Ta jedna głowica, eksplodując nad Nowym Jorkiem, zmiotłaby miasto z jego 10 milionami mieszkańców i pozostawiła wypalone drapacze na Manhattanie. Fala uderzeniowa działa bowiem wybiórczo, niszcząc najsłabsze elementy konstrukcji, a pozostawiając nietknięte betonowe stropy i ściany.

Chruszczow po powrocie do Moskwy był pod wrażeniem wizytacji raketowego poligonu. Wkrótce odbył się udany test rakiety średniego zasięgu R-5M, która, uzbrojona w głowicę nuklearną przeleciała 1200 kilometrów.

Chruszczow postanowił zaprezentować światu siłę, którą miał wkrótce otrzymać...

18 kwietnia 1956 roku Nikita Chruszczow wraz z premierem Nikołajem Bułganinem przybyli na pokładzie niszczyciela do Wielkiej Brytanii. Wizyta miała być dowodem otwarcia Związku Radzieckiego po wielu latach stalinowskiej izolacji i gestem pojednania wobec Zachodu. W istocie Chruszczow nie omieszkiał zagrozić Brytyjczykom, informując, że Związek Radziecki ma wystarczająco dużo rakiet, aby zetrzeć z powierzchni ziemi każde europejskie państwo. Był to blef, ale Zachód nauczył się już, że nie wolno lekceważyć radzieckiej potęgi. Tym bardziej, że wkrótce Chruszczow powtórzył groźbę – i to w oficjalny sposób – w listopadzie 1956 roku.

W czasie kryzysu sueskiego, gdy wojska brytyjskie i francuskie uderzyły na Egipt, po ogłoszeniu przez prezydenta Gamala Abdel Nadera nacjonalizacji Kanału Sueskiego, premier Nikołaj Bułganin wysłał list do premiera rządu brytyjskiego Antony'ego Edena:

Chruszczow: "W jakiej sytuacji znalazłaby się Wielka Brytania, gdyby zaatakowały ją silniejsze państwa wyposażone w nowoczesną broń wszelkiego rodzaju? Istnieją państwa, które nie musiałyby wysyłać swojej floty i lotnictwa do brzegów Wielkiej Brytanii, lecz mogłyby użyć innych środków, np. broni raketowej".

To była oczywista groźba. Nawiasem mówiąc, skuteczna, gdyż dwa kolonialne mocarstwa

widząc Chruszczowa wymachującego im przed nosem raketami, a z drugiej strony grożącego im palcem prezydenta Eisenhowera, wstrzymały działania wojenne i wycofały szybko swoje wojska z Egiptu.

Chruszczow groził innym państwom. Gdy parlament włoski zaakceptował budowę baz amerykańskich rakiet na terytorium swojego państwa, Kreml nadesłał notę stwierdzającą:

Chruszczow: "W przypadku konfliktu bazy te staną się celem, który w drodze odwetu musi zostać zniszczony za pomocą wszystkich typów najnowszej broni. Jest zbyteczne mówienie, że nie tylko ludzie mieszkający w pobliżu baz raketowych, ale populacja całego kraju znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie".

Siergiej Korolow dotrzymał słowa. 12 sierpnia 1957 roku rakiet R-7 wystartowała z poligonu Tiuratam i po przelecieciu kilku tysięcy kilometrów spadła do Pacyfiku. Ten sukces został powtórzony kilka miesięcy później. 4 października 1957 roku z tego samego stanowiska startowego na poligonie Tiuratam rakiet R-7 wyniosła w kosmos Sputnika – pierwszego sztucznego satelitę Ziemi. Zagrożenie stawało się już bardzo realne.

Stany Zjednoczone obejmowała histeria strachu. W dużych miastach przeprowadzano próbną alarmy przeciwlotnicze, w szkołach uczono dzieci, że w przypadku wybuchu nuklearnego należy położyć się na podłodze, przykryć gazetą i osłonić rękami głowę. Świetne interesy robiły firmy oferujące jednorodzinne schrony przeciwatomowe, które Amerykanie kupowali chętnie i wkopywali w ogródkach swoich domów. Najbardziej popularny był model "Eleonora" (być może nazwa nawiązywała do nazwy samolotu Eleonora Gay, który zrzucił bombę na Hiroszimę). Schron mógł pomieścić do 6 osób, a więc przeciętna rodzina mogła zaprosić sąsiadów i wyposażony był w peryskop pozwalający obserwować skutki wybuchu nuklearnego bez narażania się na promieniowanie.

Rząd amerykański również zdawał się być przerażony rozwojem radzieckiej techniki raketowej, tym bardziej, że analiza National Intelligence Estimate, komitetu, który w 1955 roku ocenia, że ZSRR nie będzie miał rakiet balistycznych do 1960 roku, uległa całkowitej zmianie. Raport przesłany prezydentowi w listopadzie 1957 roku dowodził, że w 1960 roku ZSRR będzie dysponował 5000 raketami międzykontynentalnymi, a w połowie 1961 będzie już miał 1000 rakiet.

Czy prezydent Eisenhower zdawał sobie sprawę, że radzieckie zagrożenie było całkowicie nierealne, a Chruszczow blefował mówiąc, że radzieckie fabryki produkują rakiety jak parówki i każdy zakład raketowy może wypuścić rocznie 250 rakiet?

Tuż po udanej próbie rakiet R-7 Chruszczow podjął decyzję o rozmieszczeniu tych rakiet na stanowiskach startowych. Chciał ich mieć setki, ale wnet zderzenie z rzeczywistością postawiło jego plan pod znakiem zapytania. Budowa jednego stanowiska startowego miała kosztować około pół miliarda rubli, podczas gdy program unowocześnienia rolnictwa, w którego wyniku Związek Radziecki miał stać się samowystarczalny, obliczano na 100 miliardów rubli. Zdesperowany Chruszczow zwołał naradę na Kremlu, w której wziął udział konstruktor rakiet Siergiej Korolow, minister obrony marszałek Rodion Malinowski i wicepremier admirał Dmitrij Ustinow.

Chruszczow: Nie mamy pieniędzy i nie będziemy mieli. Musimy znaleźć inne rozwiązanie. Czy możliwe jest zmniejszenie kosztów budowy wyrzutni, towarzyszu Korolow?

Korolow: Nie, towarzyszu sekretarzu. Wysoki koszt wynika z bardzo drogiego osprzętu. Przy każdej wyrzutni musi istnieć wytwórnia ciekłego tlenu, podstawowego składnika paliwa rakietowego. Urządzenia do napełniania zbiorników rakiety, ze względów bezpieczeństwa, nie mogą być prostsze i tańsze, to bowiem bardzo niebezpieczna procedura.

Wicepremier Ustinow też nie znalazł sposobu na potanieńczenie budowy systemu rakietowego. Wprost przeciwnie: zaczął mówić o dodatkowych wydatkach.

Ustinow: Musimy wybudować sześć fabryk produkujących rakiety, jeżeli chcemy zrealizować plan rozbudowy naszych sił strategicznych.

Chruszczow: To wykluczone! Możemy zagospodarować możliwości produkcyjne zakładów lotniczych, choćby w Kujbyszewie, gdzie produkowane są bombowce Tupolewa. A towarzysze naukowcy muszą przemyśleć sposób zmniejszenia kosztów!

Korolow: Towarzyszu sekretarzu, zaręczam wam, że od strony technicznej jest to wykluczone. W czasie tej narady znaleziono kompromis: zamiast setek rakiet na stanowiskach startowych miało stanąć kilkanaście. Powstawał inny problem, którego Chruszczow sobie nie uświadamiał, a z którego bez wątpienia musiał zdawać sobie sprawę Korolow – mróz.

Zasięg rakiet R-7 wynosił 5600 kilometrów, tak więc aby trafić w cele na terenie Stanów Zjednoczonych musiały być ustawione na wyrzutniach na północy Syberii, głównie w rejonie Norylska i Workuty, a tam przez większość roku panowały potężne mrozy. W temperaturze 30-40 stopni, poniżej zera przygotowanie rakiet do startu było praktycznie niemożliwe. Zamarzały smary pomp, metal pękał jak szkło, awarie były na porządku dziennym. Jedna z nich doprowadziła w 1960 roku do wybuchu rakiety, w czasie którego zginęło kilkaset osób, w tym dowódca wojsk rakietowych Mitrofan Niedielin.

Przy sprzyjającej pogodzie przygotowanie rakiety do startu zajmowało co najmniej 24 godziny.

Dla prezydenta Eisenhowera podstawowym źródłem informacji o rozwoju radzieckich sił strategicznych pozostawały raporty sporządzane na podstawie zdjęć samolotów szpiegowskich.

Do bardzo niebezpiecznych misji nad terytorium Związku Radzieckiego i innych państw socjalistycznych używano maszyn zdolnych do długotrwałego lotu, ale które miały niewielkie szanse obrony w przypadku wykrycia przez nieprzyjaciela.

Dakota C-47, transportowy C-130 czy rozpoznawcza wersja słynnego bombowca strategicznego B-29 łatwo padały łupem szybszych, zwrotniejszych, naprowadzanych przez stacje radiolokacyjne samolotów obrony powietrznej. 7 listopada 1957 roku uszkodzony został nad NRD samolot RB-29. Pilot zdołał doprowadzić samolot nad terytorium RFN; z 11 członków załogi zginął tylko jeden, trafiony pociskiem z działka radzieckiego myśliwca. 17

kwietnia 1955 roku nad Syberią zaginał RB-47; los trzyosobowej załogi pozostał niewyjaśniony. 10 września 1956 roku zaginał nad Koreą Północną samolot RB-50, nie wiadomo co, stało się z 16 członkami załogi.

CIA, lotnictwo marynarki wojennej i USAAF przyznały się do straty w ciągu 10 lat 31 samolotów, na pokładach których było 252 lotników. Z nich uratowało się tylko dziewiędziesiąt, dwudziestu czterech zginęło, a los stu trzydziestu ośmiu pozostał nieznany. Jednakże są to bardzo niepełne dane.

Chruszczow doskonale znał tę statystykę i był przekonany, że w miarę rozwoju radzieckiej obrony przeciwlotniczej szpiegowskie loty staną się niemożliwe. Nie odmówił sobie przyjemności poinformowania o tym amerykańskiego przedstawiciela.

24 czerwca 1956 roku Chruszczow zaprosił amerykańskich przedstawicieli do udziału w wielkiej lotniczej paradzie z okazji Dnia Awiacji. Generał Nathan Twining, szef sztabu amerykańskich sił powietrznych, poprosił prezydenta o wypożyczenie jego samolotu Boeing 707. Eisenhower zgodził się i nie chodziło bynajmniej o wygodę amerykańskiej delegacji. Prezydencki Boeing miał wystarczająco dużo aparatów, aby zrobić wiele interesujących zdjęć.

Generał Twining w towarzystwie szefa radzieckiego lotnictwa gen. Michajłowa, stanął na trybunie obok Chruszczowa. Ten w pewnym momencie odwrócił się do amerykańskiego gościa

Chruszczow: Oh, Mr Twining, pokazaliśmy wam nasze najnowsze samoloty. Chcielibyście może zobaczyć nasze najnowsze rakiety? Chruszczow nie zaniedbywał żadnej okazji, aby chełpić się raketową potęgą, a słysząc, że amerykańscy goście bardzo chętnie obejrzeliby rakiety, nagle zmienił zdanie.

Chruszczow: Nie pokażemy wam naszych rakiet. Najpierw wy pokażcie nam wasze samoloty i wasze rakiety, a wtedy może my pokażemy wam nasze. A tak przy okazji, Mr Twining, muszę panu powiedzieć całkiem szczerze, jeżeli jakiś wasz samolot wleci w naszą przestrzeń powietrzną, to zostanie zestrzelony. Wszystkie wasze samoloty szpiegowskie są latającymi trumnami.

Generał Twining wrócił do Stanów Zjednoczonych 1 lipca. Trzy dni później, 4 lipca 1956 roku, nowy amerykański samolot szpiegowski dokonał pierwszego lotu nad terytorium Związku Radzieckiego. Wyglądało, jakby była to zemsta generała Twininga, który postanowił pokazać Chruszczowowi, że amerykańskie samoloty szpiegowskie nie są latającymi trumnami.

U-2, pilotowany przez Harveya Stockamana wystartował z bazy w Wiesbaden w Niemczech, przeleciał nad północną Polską i dotarł w rejon Mińska, gdzie zakręcił na północ i doleciał do Leningradu. Stamtąd, już nad wybrzeżem Bałtyku, powrócił do bazy. Niewielki, lekki samolot, pozbawiony uzbrojenia nie musiał obawiać się radzieckich myśliwców. Był dla nich całkowicie nieuchwytny.

Idea wybudowania samolotu powstała w marcu 1954 roku, gdy CIA przestawiło dyrektorowi sekcji zakładów Lockheeda Clarence L. "Kelly" Johnsonowi wymogi, jakim miał sprostać nowy samolot: zasięg 4830 km, pułap lotu 21 335 m i ładowność 318 kg. Na wykonanie tego zadania zespół konstruktorów z zakładów Lockheeda otrzymał 8 miesięcy.

Johnson uznał, że samolot powinien być podobny do szybowca: długie skrzydła (rozpiętość wynosiła ponad 24 metry) i niewielki lekki kadłub. Aby zmniejszyć ciężar do maksimum zastosowano na przykład tzw. podwozie rowerowe: koła wysuwane były z przodu i tyłu kadłuba, zaś skrzydła podierały niewielkie kółka, które miały być odrzucone po starcie, a w czasie lądowania końce skrzydeł miały ślizgać się na płozach po betonie pasa lotniska.

Kamery fotograficzne i instrumenty pomiarowe mogły być przewożone w komorze z tyłu kabiny pilota. Dr Edwin Land z zakładów Polaroid zaprojektował specjalną kamerę fotograficzną: stosunkowo lekką, ale dającą zdjęcia doskonałej jakości. Obiektyw o ogniskowej 944 mm pozwalał dostrzec obiekt wielkości futbolowej piłki na zdjęciu zrobionym z wysokości 20 tysięcy metrów.

Pierwszy prototyp opracowano i wybudowano w całkowitej tajemnicy w ciągu 25 dni. 6 sierpnia 1955 roku samolot wystartował z bazy Groom Dry Lake w Nowadzie. Okazał się bardzo dobry w powietrzu, ale bardzo niechętny do lądowania. Oblatrywacz pięć razy nadlatywał nad lotnisko zanim udało mu się szczęśliwie dotknąć ziemi. Te kłopoty wynikały z lekkości samolotu i ogromnych rozmiarów jego skrzydeł. Podczas dalszych prób ujawniono kłopoty w locie na dużej wysokości. Nie było czasu na zmiany konstrukcyjne.

U-2 spełniły wszystkie pokładane w nich nadzieje. Podobno podczas czterogodzinnego lotu kamery mogły sfotografować pas ziemi o długości 4300 km i szerokości 780 km. Analiza setek zdjęć zrobionych w czasie misji pozwalała wykryć stanowiska rakiet balistycznych, koszary wojskowe, nowe typy sprzętu wojskowego, zmiany w zakładach przemysłowych, rodzaj ich produkcji. Co najważniejsze: był to samolot bezpieczny, gdyż leciał tak wysoko, że nie mógł go doścignąć żaden radziecki myśliwiec ani żadna radziecka rakiet przeciwlotnicza.

W jednym nowy samolot zwiódł prezydenta, który oczekiwał, że ze względu na pułap lotu U-2 nie zostanie wykryty przez radzieckie radary. Tymczasem już w czasie pierwszego lotu w pościg wystartowały radzieckie myśliwce, choć oczywiście nie były w stanie dojechać do samoloty lecącego o pięć kilometrów wyżej niż wynosił ich pułap. Jednakże protesty dyplomatyczne skłoniły prezydenta Eisenhowera do wstrzymania dalszych lotów. Do czasu. Aż szef CIA namówił prezydenta, aby zgodził się na wysłanie U-2 1 maja 1960 roku. Tak zaczynała się jedna z najbardziej fascynujących i wciąż nie wyjaśnionych sensacyjnych spraw powojennego świata.

Dochodziła szósta nad ranem, gdy z gabinetu dobiegł dzwonek telefonu. Długi, natarczywy.

Nikita Chruszczow podniósł się z łóżka, opuścił nogi i wsunął w ranne pantofle.

Żona: Nie mają cię kiedy budzić. Święto dzisiaj. Święto pracy...

Chruszczow: Nic, nic. Muszą mieć jakąś ważną sprawę, skoro dzwonią tak wcześnie. Zamknął za sobą drzwi do sypialni, aby rozmowa nie przeszkadzała żonie i podszedł do telefonu,

Chruszczow: Chruszczow, mówi

Malinowski: Tu marszałek Malinowski. Wybaczcie, towarzyszu sekretarzu generalny...

Chruszczow: O! Jak wy dzwonicie o tej porze, to znaczy, że wojna wybuchła. Mówcie, pogoniliśmy imperialistów?

Malinowski: Meldują, że kilkanaście minut temu amerykański samolot naruszył naszą przestrzeń powietrzną. Wleciał od strony Pakistanu...

Chruszczow: Samolot musi zostać zestrzelony!

Malinowski: Tak jest! Wykonamy...

Chruszczow odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek zastanawiając się, czy warto wracać do łóżka. Za dwie godziny powinien być na trybunie na Placu Czerwonym, aby przyglądać się pierwszomajowej demonstracji. Było więc trochę czasu na odpoczynek, ale informacja ministra obrony wybiła go ze snu.

Dlaczego kazał zestrzelić amerykański samolot?

Część III

Minęła trzecia nad ranem, gdy Francis Garry Powers zakończył zakładanie kombinezonu. Dociągnął ostatnią sprzączkę i schwycił ciężką skrzynkę z aparaturą klimatyzacyjną. Uniósł się z krzesła z wysiłkiem, wyszedł z pokoju i ruszył w stronę drzwi hangaru.

Wtedy podszedł do niego mężczyzna, którego Powers znał z widzenia. Francis wiedział, że był on z CIA.

Powers zobaczył w jego dłoni medalion na łańcuszku. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak srebrna moneta dolarowa przerobiona na breloczek. Długo trzeba było się przyglądać, aby na obrzeżu znaleźć ryse. Po zahaczeniu paznokciem moneta rozpadała się na dwie połowy, ujawniając szpilkę z ruchomą główką. Wystarczyło wbić ją w ciało i nacisnąć główkę, aby z wnętrza wysunęło się zatrute żądło. Nikt nie wiedział, jaka to trucizna, ale chodziły słuchy, że na jej sporządzenie Centralna Agencja Wywiadowcza wydała 3 miliony dolarów. Kapitan Tarmen O'Rio w czasie szkolenia agentów CIA mówił: "Możecie znaleźć się w sytuacji, w której lepiej będzie ukłuć się w rękę niż przez całe dni znosić niewyobrażalne tortury".

Powers schował breloczek do kieszeni. Zatruta igła nie zrobiła na nim większego wrażenia. Traktował ją, jako jeden z elementów ekwipunku. W bluzie kombinezonu miał nóż myśliwski, pistolet z tłumikiem i jedwabną chustę, na której w czternastu językach wydrukowano: "Nie mam wobec waszego narodu złych zamiarów. Jeśli udzielicie mi pomocy, to zostanieie nagrodzeni".

Aby nadruk na chustce nie stanowił pustej obietnicy, wyposażono go w ogromną sumę 7,5 tysiąca rubli, zwitki franków, funtów i dolarów oraz złote zegarki i pierścionki.

Wspiał się po metalowej drabince i wsunął się do ciasnej kabiny. Zawsze przy takiej okazji odczuwał zadowolenie, że jest jednym z nielicznych, którym powierzano pilotowanie tego samolotu. Prawdziwą sztuką było spędzenie w samotności dziesięciu godzin w locie nad

wrogim terytorium, gdy ciągle powracała myśl, że w przypadku awarii nie ma żadnych szans na ratunek. Wśród pilotów CIA mówiło się o tych, którzy nagle zniknęli. Najgłośniejsza była chyba sprawa Jacka Fetta, który - pilotując samolot Privateer - 8 kwietnia 1950 roku zaginął nad brzegami Łotewskiej Republiki. Osiem dni później brytyjski okręt wyłowił jasnożółtą tratwę ratunkową z numerami samolotu. Nie było w niej nikogo. Rosjanie przyznali później, że myśliwiec Ła-11 zestrzelił samolot, który wtargnął w ich przestrzeń powietrzną. Jednakże twierdzili, że nic nie wiedzą o losie Jacka Fette i dziewięciu ludzi z załogi. To były jednak stare czasy. Privateer był piekielnie wolnym samolotem. Nawet B-47 Stratojet, którego od 1953 roku powszechnie używano w misjach szpiegowskich - rozwijał prędkość niewiele ponad 1000 km/h - nie mogły uciec przed sowieckimi myśliwcami. Samolot, w którego kabinie siedział Powers, był inny. Pilot mógł czuć się bezpiecznie.

Głos w słuchawkach: "Czarny", 018 - odezwij się!

Powers: 018, zgłaszam gotowość do kołowania i startu.

Głos: "Czarny", zezwalam na kołowanie i start. Powodzenia!

Mały samolot o ogromnych, rozłożystych skrzydłach przetoczył się przez betonowy pas startowy amerykańskiej bazy lotniczej w Peszawarze i o 5.36 wzbił się w powietrze. Był 1 maja 1960 roku.

Dochodziła 6.00 nad ranem, gdy w sypialni premiera Nikity Chruszczowa można było usłyszeć dzwonek telefonu w gabinecie.

Żona: Nie mają cię kiedy budzić. Święto dzisiaj, święto pracy...

Chruszczow: Nic, nic. Muszą mieć jakąś ważną sprawę, skoro dzwonią tak wcześnie (zamyka za sobą drzwi do sypialni).

Chruszczow: Mówi Chruszczow.

Malinowski: Wybaczcie, towarzyszu sekretarzu generalny... - to zgłaszał się marszałek Rodion Malinowski, minister obrony.

Chruszczow: O! Jak wy dzwonicie o tej porze, to znaczy, że wojna wybuchła. Mówcie, pogoniliśmy imperialistów?

Malinowski: Meldują, że kilkanaście minut temu amerykański samolot naruszył naszą przestrzeń powietrzną. Wleciał od strony Pakistanu.

Chruszczow: Samolot musi zostać zestrzelony!

Malinowski: Tak jest!

Chruszczow odłożył słuchawkę. Być może wiadomość o naruszeniu radzieckiej przestrzeni powietrznej o świcie 1 maja 1960 roku była zaskoczeniem dla ministra obrony, ale nie dla Chruszczowa. On wiedział, że tak się stanie i postanowił wykorzystać ten fakt do gwałtownej zmiany polityki wobec Stanów Zjednoczonych. Cofnijmy się do 3 sierpnia 1959 roku, gdy we

wszystkich serwisach agencyjnych pojawiła się najważniejsza wiadomość: prezydent Eisenhower i premier Chruszczow zgodzili na złożenie wizyt przyjaźni. Pierwszy miał przybyć do Waszyngtonu Nikita Chruszczow!

W kontekście bardzo wrogiej atmosfery ostatnich lat wieść o wizytach przyjaźni była wprost szokująca.

Nikita Chruszczow z żoną, synem, dwiema córkami i kilkudziesięcioosobowym sztabem przybył do Waszyngtonu 15 września 1959 roku, a świat patrzył na to wydarzenie z otwartymi ustami.

Na amerykańskiej ziemi radziecki przywódca zachowywał się tak, jakby całe swoje życie poświęcił kultywowaniu przyjaźni rosyjsko-amerykańskiej. Wsiadając z samolotu Chruszczow krzyknął:

Chruszczow: Przyjechałem tu z sercem na dłoni! Dwa dni później, przemawiając w Organizacji Narodów Zjednoczonych, zaproponował całkowite rozbrownienie w ciągu czterech lat. Potem poleciał na Zachodnie Wybrzeże, aby spożyć obiad w towarzystwie Marilyn Monroe, Franka Sinatry, Boba Hopa i paru innych hollywoodzkich gwiazd. Przemierzył Amerykę i spędził trzy dni w prezydentem Eisenhowerem w rządowej posiadłości Camp David. Tam dwaj mężowie stanu mogli w cztery oczy, przechadzając się po lesie jedynie w towarzystwie tłumaczy, porozmawiać na temat najważniejszych spraw dla świata. O czym rozmawiali, co ustalili?

Wizyta, która zaszokowała świat dobiegła końca. Na lotnisku w Waszyngtonie Chruszczow przed wejściem do samolotu powiedział:

Chruszczow: Dobranoc, amerykańscy przyjaciele. Polubiliśmy wasze piękne miasta i cudowne drogi, ale nade wszystko polubiliśmy przyjaznych i serdecznych ludzi. Nie jest łatwo przezwyciężyć wszystko, co nagromadziło się przez wiele lat zimnej wojny. Zastanówcie się, jak wiele przemówień wygłoszono nie po to, aby polepszać stosunki lecz, przeciwnie, aby je pogarszać. Żegnajcie! Powodzenia, przyjaciele!

Wyjeżdżał z Waszyngtonu mając zapewnienie prezydenta Eisenhowera, że jeszcze przed jego wizytą w Moskwie, spotkają w jednej ze stolic europejskich, aby w towarzystwie przedstawicieli dwóch pozostałych mocarstw, Francji i Wielkiej Brytanii, zastanowić się nad najpoważniejszymi problemami Starego Kontynentu. W wyniku późniejszych negocjacji ustalono, że spotkanie w sprawie podstawowych problemów dotyczących utrzymania pokoju i stabilności świata odbędzie się 16 maja 1960 roku w Paryżu. Tak więc, gdy samolot Garry'ego Powersa wlatywał w radziecką przestrzeń, do spotkania w Paryżu pozostało nieco ponad 2 tygodnie. Chruszczow, wydając rozkaz zestrzelenia samolotu musiał o tym pamiętać - wiedział, że doprowadzi to do załamania dobrych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Z drugiej strony zakaz strącenia samolotu oznaczałby, że jeden z setek podobnych lotów dobiegnie końca. A jednak Chruszczow kazał zestrzelić samolot. Dlaczego?

Francis Gary Powers kontynuował lot, przekroczył radziecką granicę w rejonie Kirowabadu, a potem skierował samolot nad Jezioro Aralskie i dalej, do Czelabińska. Tam skrzył w stronę Swierdłowska, milionowego miasta, ważnego ośrodka produkcji zbrojeniowej.

Trasa miała następnie prowadzić nad portami w Archangielsku i Murmańsku aż do bazy Bodö w Szwecji.

Powers wiedział, że radzieckie radary śledzą jego lot. Być może przypuszczał, że z lotnisk poderwały się myśliwce Mig-19 potężnie uzbrojone w działa kaliber 30 mm, ale o znacznie mniejszym pułapie. Mogły jedynie z dołu, bezsilne, obserwować jego samolot mknący ze znacznie mniejszą niż one prędkością, ale na wysokości, której nie mogły osiągnąć.

Prezydent Eisenhower niechętnie akceptował wysyłanie samolotów szpiegowskich. W połowie lat 50. zdjęcia przez nie dostarczane były głównym źródłem informacji o rozbudowie radzieckich sił nuklearnych, ale Eisenhower wiedział, że zestrzelenie samolotu daje silne argumenty propagandowe przeciwnikowi. Tym bardziej nie był skłonny wysłać powietrznego szpiega w okresie niespodziewanego ocieplenia stosunków ze Związkiem Radzieckim.

9 kwietnia prezydent powiedział do Richarda Bissela, wicedyrektora CIA odpowiedzialnego za loty szpiegowskie:

Eisenhower: Zdecydowałem o wstrzymaniu lotów, na które wcześniej wyraziłem zgodę. Po pierwsze, mamy już wystarczającą siłę, aby zniszczyć Związek Radziecki bez dokładnego namierzania celów. Po drugie, przy obecnym stanie spraw światowych nie ma nadziei na lepsze jutro bez postępu w negocjacjach z Rosjanami. Po trzecie, nie możemy w obecnych warunkach pozwolić sobie na obrócenie opinii publicznej przeciwko nam, co mogłoby się zdarzyć po nieudanym locie.

Bissel: Panie prezydencie, Rosjanie testują rakiety międzykontynentalne w rejonie Pliesiecka. Musimy zyskać więcej informacji na ten temat, a to może nam zagwarantować jedynie U-2. To sprawa bezpieczeństwa narodowego. Odłożenie lotu na termin późniejszy oznaczać będzie, że nie uzyskamy interesujących nas zdjęć, gdyż do tego czasu rakiety zostaną zamaskowane.

Eisenhower (po chwili): Dobrze, ale nie później niż w połowie kwietnia.

18 kwietnia wicedyrektor CIA, Richard Bissel zadzwonił do Eisenhowera.

Bissel: Panie prezydencie, nie mogliśmy wysłać samolotu nad Związek Radziecki, gdyż od dwóch tygodni szaleją tam burze śnieżne lub utrzymuje się gruba warstwa chmur. Lot musi odbyć się teraz!

Eisenhower: Proszę przełożyć następne loty na koniec maja. W Paryżu, w czasie spotkania z Chruszczowem, chcę mieć czystą sytuację, a nie aferę.

Bissel: O aferze nie może być mowy, a ostatni lot naszego samolotu zwiadowczego uważam za istotny dla bezpieczeństwa narodowego z powodów, które wskazywałem wcześniej...

Eisenhower: Dobrze, zgadzam się, ale operacja nie może nastąpić później niż 1 maja.

Nikita Chruszczow wszedł na trybunę na Placu Czerwonym o godzinie 8.30. W tym czasie

samolot Powersa zbliżał się do rejonu Swierdłowska. Tam na lotnisku Kolcowo dyżur bojowy pełniła para: kapitan Boris Ajwazjan i starszy lejtnant Siergiej Safronow.

Wystartowali o godzinie 7.03. Wiedzieli, że rozkaz zestrzelenia wrogiego samolotu wydał sam minister obrony, marszałek Rodion Malinowski, jednakże tego rozkazu wykonać nie mogli, gdyż ich myśliwce Mig-19 nie mogły osiągnąć pułapu, na jakim leciał U-2.

Na lotnisku Kolcowo był już samolot, który potrafiłby doścignąć intruza, osiągnąć jego pułap i zestrzelić go, gdyby... był uzbrojony. Samolot myśliwski Su-9 dostarczono na swierdłowskie lotnisko na początku kwietnia, ale do 1 maja nie nadesłano do Swierdłowska rakiet ani działek. Mimo tego, że Su-9 był bez broni jego pilot, kapitan Mitiagin otrzymał rozkaz startu. Tuż potem usłyszał w słuchawkach:

Głos: Zniszczyć cel! Staranować!

Po chwili:

Głos: To rozkaz "Smoka"!

Taki był wojenny kryptonim generała Sawickiego, dowódcy lotnictwa myśliwskiego. Mitiagin włączył dopalacz i szybko zbliżał się do samolotu Powersa. Oficer naprowadzający obserwując na ekranie radaru manewry samolotów radzieckiego i amerykańskiego, informował Mitiagina.

Głos: Odległość: dziesięć kilometrów. Osiem..., sześć... Cel przed wami!

Mitiagin jednak nie widział U-2 (a może nie chciał dostrzec) i lecąc z prędkością trzykrotnie większą niż Powers zaczął go wyprzedzać.

Głos: Cel przed tobą! Wyłącz dopalacz!

Mitiagin: Nie mogę wyłączyć dopalacza.

Głos: To rozkaz "Smoka"!

Mitiagin: Wyłączam dopalacz.

Jego samolot wraz ze spadkiem prędkości zaczął tracić wysokość. Ponowne dojście celu było już niemożliwe, gdyż bardzo szybkie Su-9 zużywały ogromne ilości paliwa. Mitiagin nie wykonał zadania. Powrócił bezpiecznie na lotnisko.

W tym samym czasie amerykański samolot śledziły radary jednostki raketowej. Tam akcją kierował szef sztabu pułkownik Michaił Woronow, który na wieść, że sprawą interesuje się sam minister obrony, przygnał do stanowiska dowodzenia.

Operator: Cel w zasięgu rakiet! Zniszczyć cel!

Powers zerknął na wysokościomierz: 68 tysięcy stóp. Z mapy i wskazań radaru wynikało, że zbliżał się do Swierdłowska, najważniejszego celu jego misji. Pochylił lekko samolot na skrzydło, aby wejść na wyznaczony kurs, a następnie wyrównał lot i włączył kamery

fotograficzne.

Na ziemi rakieta obróciła się w stronę niewidocznego celu i ciągnąc za sobą smugę ognia poszybowała w niebo.

Powers poczuł nagle silne pchnięcie, jakby prędkość samolotu gwałtownie wzrosła o kilkadziesiąt kilometrów. Zdziwiony zerknął na bok i zobaczył, że znajduje się w centrum pomarańczowej poświaty. W dalszym ciągu nie rozumiał co się stało. Nie potrafił określić czy całe niebo zrobiło się pomarańczowe, czy tylko refleks światła rozlał się na pleksi kabiny. Z wolna docierało do niego świadomość, że musi to być eksplozja. I nagle samolot zaczął przechylać się na prawe skrzydło. Szarpnął wolantem, aby wyrównać lot, lecz zanim udało się zakończyć manewr, poczuł, że dziób samolotu powoli pochyla się. Samolot nie zareagował na jego ruchy. Odnosił wrażenie, że linki biegnące do sterów i lotek zostały zerwane. Nie mógł nawet zastanowić się, co było tego przyczyną, gdy zobaczył, jak skrzydło urywa się - i szybując samodzielnie - odlatuje w dal. Jego samolot zwałił się gwałtownie na dół. Siła odśrodkowa wcisnęła go w fotel i uwięziła ręce. Pamiętał dokładnie polecenie: przed katapultowaniem uruchomić przycisk, który 70 sekund później spowoduje eksplozję i zniszczenie samolotu. Czy rzeczywiście Powers nie mógł dosięgnąć włącznika? Być może nie wierzył, że eksplozja nastąpi po 70 sekundach, lecz podejrzewał, że wybuch będzie natychmiastowy i zniszczy nie tylko tajną aparaturę szpiegowską, ale również pilota? Otworzyłabinę, odpiął pasy, gdy gwałtowny wstrząs wyrzucił go na zewnątrz.

Operator stacji radiolokacyjnej sierżant Jaguszkin meldował...

Operator: Towarzyszu pułkowniku, zakłócenia! Nie potrafię określić co stało się z celem.

Pułkownik: Powód zakłóceń?

Operator: Być może wrogi samolot rozsypuje paski aluminiowe lub stosuje inne zakłócenia...

Pułkownik: To znaczy, że rakieta minęła cel! Poinformować lotnisko! Ponownie nakazano myśliwcom MiG-19 kontynuowanie pościgu za amerykańskim samolotem. Tymczasem na ekranach radarów baterii rakiet przeciwlotniczych ponownie pojawiło się echo.

Operator: Widzę cel!

Pułkownik: Zniszczyć cel! Dwie rakiety poszybowały w niebo.

Pilot pierwszego myśliwca, kapitan Boris Ajwazjan zobaczył nagle czarną chmurę wybuchu i gwałtownie zanurkował. To ocaliło mu życie. Pilot drugiego samolotu, starszy lejtant Siergiej Safronow nie miał szczęścia. Wybuch drugiej rakiety nastąpił tak blisko jego maszyny, że rozpadła się na kawałki.

Rozpromieniony dowódca baterii rakiet przeciwlotniczych meldował:

Pułkownik: Cel zniszczony!

W Moskwie do stojącego na trybunie Nikity Chruszczowa podszedł dowódca wojsk przeciwlotniczych marszałek Siergiej Biriuzow. Pochylił się nad sekretarzem generalnym i

szepnął mu do ucha.

Siergiej Biriuzow: Intruz został zestrzelony, pilot jest żywy. Przesłuchujemy go. Chruszczow uśmiechnął się szeroko. Od dawna czekał na taką wiadomość.

W poniedziałek, 2 maja, doradca prezydenta generał Goodpaster, już z samego rana przyszedł do Owального Gabinetu. Wiedział, że sprawa zaginionego samolotu bardzo niepokoi prezydenta.

Eisenhower: Jakie wieści?

Goodpaster: Ciągłe nie mamy żadnych pewnych wiadomości. Dulles informuje, że nasze stacje nasłuchowe zarejestrowały głosy rosyjskich oficerów wydających rozkazy przechwycenia samolotu. Nie wiemy z całą pewnością, czy chodziło o nasz U-2.

Eisenhower: A jakież inny mógł przekroczyć ich granice?

Goodpaster: CIA przygotowała projekt oświadczenia. Stwierdza, że pilot samolotu meteorologicznego, który wystartował z lotniska w Turcji komunikował przez radio o kłopotach z aparaturą tlenową. Następnie zaginął bez wieści.

Eisenhower: To dobry pomysł.

4 maja Nikita Chruszczow wygłosił referat na sesji Rady Najwyższej ZSRR. Nagle, pod koniec trzygodzinnego przemówienia powiedział:

Chruszczow: Amerykańscy wojskowi uznali widocznie, że są bezkarni i zdecydowali się na agresywny czyn. Wybrali najbardziej uroczysty dzień dla wszystkich ludzi pracy na całym świecie: święto 1 Maja. Tego dnia samolot amerykański przeciął naszą granicę i kontynuował lot w głąb Związku Radzieckiego. O tym agresywnym kroku minister obrony powiadomił niezwłocznie rząd. Rząd powiedział wówczas: agresor wie na co się naraża, kiedy decyduje się wtargnąć w obce terytorium. Jeśli mu to ujdzie bezkarnie, posunie się do nowych prowokacji. Dlatego należy działać! Zestrzelić samolot! Zadanie to wykonano, samolot został zestrzelony. Ani słowa o schwytaniu pilota. To była sprytna pułapka. Pozostawało pytanie, czy Eisenhower w nią wpadnie? Wpadł.

5 maja Amerykańska Agencja Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej NASA opublikowała oświadczenie, że jeden z samolotów Agencji Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej, przeznaczony do celów naukowo-badawczych i używany do badania warunków atmosferycznych oraz wiatrów na dużych wysokościach, zaginął bez wieści o godzinie 9.00 w dniu 1 maja, po zakomunikowaniu przez pilota, że ma kłopoty z tlenem.

Chruszczow, czytając ten komunikat musiał, być zadowolony. Amerykanie uwierzyli, że samolot został zestrzelony i że pilot jest martwy - na tej podstawie zaczęli prowadzić akcję propagandową, która miała wykazać światu, że Rosjanie zestrzelili niewinny samolot, prowadzony przez zaccadziałego pilota.

Chruszczow postanowił przejść do ataku. 7 maja, na zakończenie sesji Rady Najwyższej ZSRR, sekretarz generalny oświadczył:

Chruszczow: Muszę wam zdradzić sekret. Otóż umyślnie nie powiedziałem, że pilot jest zdrów i cały, a części samolotu znajdują się w naszych rękach. Uczyniłem to świadomie.

W dalszym ciągu tego wystąpienia Chruszczow podał wszystkie szczegóły dotyczące lotu, wyposażenia samolotu, pilota oraz przebieg zestrzelenia.

Chruszczow: A teraz, ile bzdur oni nagadali: jezioro Van, badania naukowe i tak dalej. Teraz gdy się dowiedzą, że lotnik żyje, będą musieli wymyślić coś nowego, i wymyślą.

Eisenhower został przyparty do muru. Chruszczow miał wszystkie atuty w ręku i rozgrywał to po mistrzowsku.

Nad Atlantykiem zapadła noc. Prezydent Dwight Eisenhower rozłożył oparcie fotela w swoim gabinecie na pokładzie specjalnego samolotu Air Force One, którym leciał do Paryża. Nie mógł jednak zasnąć. Drzwi do kabiny otworzyły się i stanął w nich syn prezydenta - John.

John: Ty też nie możesz zasnąć?

Prezydent nie odpowiedział. Machnął tylko ręką i spojrzał w okno.

John: Powinieneś go zwolnić.

Obydwaj wiedzieli, o kogo chodzi: o szefa CIA Allena Dullesa.

John: Przekonywał cię przecież, że pilot nigdy nie zostanie schwytyany żywcem. Powinieneś go zwolnić.

Eisenhower: Nie zwałę winy na moich podwładnych!

Już pierwsze godziny w Paryżu potwierdziły najgorsze przewidywania. Chruszczow wygłosił bardzo agresywne przemówienie: **Chruszczow:** Ubolewamy, że spotkanie to zostało storpedowane przez reakcyjne koła Stanów Zjednoczonych. Żałujemy, że nie osiągnięto rezultatów oczekiwanych przez wszystkie narody świata. Niechaj hańba i wina za to spadnie na tych, którzy podjęli bandycką politykę wobec Związku Radzieckiego!

Konferencja na szczycie została zerwana.

Dwaj kryptolodzy z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego: 32-letni Bernon F. Mitchell oraz 28-letni William H. Martin 26 czerwca 1960 roku wyjechali na trzytygodniowy urlop do Meksyku. I tyle ich widziano. Udali się bowiem do Hawany, gdzie na pokładzie radzieckiego statku popłynęli do Związku Radzieckiego. Obydwaj pracowali nad przygotowaniem lotów szpiegowskich samolotów nad Związkiem Radzieckim. To oni informowali prowadzącego ich oficera KGB w Waszyngtonie o przygotowaniach do lotu 9 kwietnia 1960 roku i następnego lotu Francisca Powersa. Gdy wystartował on z bazy w Peszawarze Rosjanie dokładnie wiedzieli, jaką trasą będzie lecieć i gdzie mają na niego czekać.

Całą sprawę Powersa Chruszczow postanowił wykorzystać w rozgrywce ze Stanami Zjednoczonymi, wobec których stosował politykę kija i marchewki. Kijem były brojenia rakietowe, marchewką - nadzieja na dyskusje na szczycie w Paryżu i poprawę stosunków.

Potem znów sięgnął po kij, ale już wobec nowego prezydenta - Johna Kennedy'ego...

Rozdział 2 - Kryzys

Część I

Samolot obniżył lot. Major Steve Heyser wyłączył kamery. Pod skrzydłami rysowało się północne wybrzeże Kuby, gdzie nad portowym miastem Sagua la Grande kończył zwiadowczą misję. W ciągu 6 minut lotu wykonał 928 zdjęć obszaru między San Cristobal i Sagua la Grande.

Wprowadził samolot w ciasny zakręt i skierował się na północny-zachód w stronę bazy McCoy w stanie Texas. Rozejrzał się wokół uważnie lustrując przestrzeń wokół samolotu. Niebezpieczeństwo, że dostrzeże kubański myśliwiec, było znikome, ale od kilku miesięcy na odprawach ostrzegano pilotów o zagrożeniu ze strony nowych radzieckich rakiet przeciwlotniczych i myśliwców sprowadzanych na Kubę. Niebo było czyste, a na dole dostrzegł jedynie białe kreski kilwaterów statków na bezkresnej tafli morza. Za kilkanaście minut powinien wylądować w rodzimej bazie. Nie wiedział, jak piorunujące wrażenie zrobią zdjęcia z kamer jego samolotu.

W połowie 1962 roku amerykańska agencja wywiadowcza CIA uzyskała od swoich ludzi na Kubie informacje, że do portów przybývają statki radzieckie. Nie udało się dowiedzieć, co przywoziły, aczkolwiek szpiedzy wskazywali na wojskowy charakter dostaw. W sierpniu 1962 r. szef CIA John McCone zażądał od prezydenta Kennedy'ego zgody na zwiększenie liczby lotów wywiadowczych nad Kubę. Wkrótce, 29 sierpnia, samolot U-2 sfotografował dwie wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych SA-2 oraz sześć innych w budowie. Tego odkrycia już nie można było zlekceważyć. Co prawda, SA-2 były bronią defensywną i w najmniejszym stopniu nie mogły zagrozić Ameryce, to jednak wiadano, że w Związku Radzieckim ich stanowiska budowano wokół silosów rakiet balistycznych. Czyżby oznaczało to, że Rosjanie przygotowują się do nuklearnego ataku z terytorium Kuby? Prezydent Kennedy musiał jak najszybciej uzyskać odpowiedź na to pytanie.

W tym samym czasie gdy amerykańskie samoloty fotografowały wybrzeża Kuby, aby odkryć tam stanowiska rakiet w Moskwie rozwijała się akcja szpiegowska, której centralną postacią był Oleg Pienkowski. Pracownik wywiadu wojskowego GRU od marca 1962 roku pracował dla brytyjskiego wywiadu. Zrobił to nie z chęci zysku, lecz z nienawiści do komunizmu.

W pewien marcowy dzień stanął na bazarze obok pracownika brytyjskiej ambasady Francisa Chisholma, któremu wsunął do kieszeni kożuska kartonik z propozycją nawiązania kontaktu. I tak się stało. W końcu marca, gdy jako przedstawiciel Państwowego Komitetu Techniki brał udział w przyjęciu w brytyjskiej ambasadzie, podszedł do niego mężczyzna, który wypowiedział hasło...

Wynne: Jestem Greville Wynne. Przyjeżdżam do Rosji w interesach.

Pienkowski: Oleg Władymirowicz Pienkowski.

Człowiek przyglądający się z boku tej scenie nie mógł mieć jakiegokolwiek podejrzeń, że jest to coś więcej niż tylko rozmowa ludzi, którzy spotkali się przypadkowo pierwszy i jedyny raz.

Pienkowski: Jestem pułkownikiem wywiadu wojskowego. Mogę wam przekazywać bardzo,

powtarzam: bardzo ważne materiały.

Wynne: Jaka jest pana cena?

Pienkowski: Komunizm. Nienawidzę komunizmu. Chcę, żebyście dokonali ataku nuklearnego na siedzibę KGB. Dostarczę wam plany.

Wynne: Czego pan potrzebuje?

Pienkowski: Miniaturowego aparatu i mikrofilmów.

Wynne: Dobrze. Kontakt z panem będzie utrzymywał porucznik Bready. To ten krępy facet przy kominku.

Pienkowski: Za długo już rozmawiamy.

Wynne: Pojutrze wieczorem. Czternasty kilometr drogi kijowskiej. Po prawej stronie tablicy. "Wyprzedzamy kapitalizm" będzie kamień. W nim znajdzie pan wszystko. Miło było mi pana poznać.

Pienkowski miał wiele do zaoferowania Anglikom, głównie z racji swej przyjaźni z marszałkiem Siergiejem Siergiejewiczem Warenowem, dowódcą wojsk raketowych i artylerii lądowej. Często przebywali ze sobą, polowali razem, Pienkowski spędzał wolny czas w podmoskiewskiej dacy marszałka. Ten wierzył mu bezgranicznie. Opowiadał o planach rozwoju wojsk raketowych, o zmianach kadrowych, radził się go w sprawach personalnych i mówił mu o problemach z nowymi konstrukcjami. Często - gdy po tęgiej pijatyce marszałek zwał się na otomanę w pokoju myśliwskim, a Pienkowski przechodził do gościnnego pokoju przez gabinet - widział teczki z napisem "Tajne" i złamanymi pieczęciami.

John McCone, szef Centralnej Agencji Wywiadowczej, był wyraźnie poruszony, gdy wrześniego ranka wszedł do Ovalnego Gabinetu.

McCone: Panie prezydencie! Doniesienia z Kuby są alarmujące! Raporty wywiadowcze wskazują, że na Kubie jest już pięć tysięcy radzieckich specjalistów.

Kennedy: Zawsze było ich dużo.

McCone: Ich obecność jest bezpośrednio związana z militarnymi instalacjami. Oto zdjęcia...

McCone położył na biurku przed prezydentem kilka fotografii, które Kennedy zaczął z uwagą studiować.

McCone: Zidentyfikowaliśmy ponad wszelką wątpliwość budowę wyrzutni rakiet przeciwlotniczych o zasięgu 25 mil.

Kennedy: Trochę za mało, żeby doleciały do nas. Poza tym są to rakiety obronne.

McCone: Materiały wywiadowcze, jakie otrzymujemy ze Związku Radzieckiego, wskazują niezbicie, że rakiety tego typu stosowane są do obrony wyrzutni rakiet balistycznych. Na

planach baz radzieckich widać pozycje rakiet przeciwlotniczych ustawionych w identyczny sposób jak na Kubie.

Kennedy: Chce pan powiedzieć, że wkrótce Rosjanie będą mieli na Kubie rakiety z głowicami nuklearnymi?

McCone: Tak! Co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości. Jest to sprawa tygodni. Prace w dżungli trwają i mają znacznie większy zakres, niż wymagałoby tego samo zainstalowanie rakiet przeciwlotniczych. Porównanie z materiałami ze Związku Radzieckiego wskazuje na to, że budowane są wyrzutnie dla rakiet średniego zasięgu SS-4.

Kennedy: Dziękuję panu. Proszę mnie na bieżąco informować o rozwoju sytuacji na Kubie. Ma to najwyższe znaczenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Prezydent nie chciał jednak czekać na kolejne raporty. Postanowił działać, aby nie dopuścić do wybudowania pod bokiem Stanów Zjednoczonych baz rakiet nuklearnych.

4 września wygłosił przemówienie telewizyjne. Było to pierwsze ostrzeżenie pod adresem Związku Radzieckiego.

KENNEDY (ARCHIWUM): "Narośnie najpoważniejszy problem, jeżeli wyjdą na jaw dowody oczywistych możliwości ofensywnych broni w rękach kubańskich lub pod zarządem radzieckim".

Rosjanie zlekceważyli to ostrzeżenie. Tydzień później, 11 września agencja TASS opublikowała oświadczenie:

Władze Związku Radzieckiego upoważniły TASS do wydania oświadczenia, że Związek Radziecki nie potrzebuje przemieszczać swojej broni - w celu przeciwdziałania agresji - do innego kraju, na przykład na Kubę. Nasza broń nuklearna jest tak potężna i Związek Radziecki ma tak potężne rakiety, że nie ma powodów do poszukiwania dla nich miejsc poza granicami Związku Radzieckiego.

Radziecka Agencja prasowa TASS zamieszczając 11 września 1962 roku oświadczenie, że na Kubie rakiet nie ma i nie będzie, kłamała.

Premier Nikita Chruszczow podjął już decyzję o wysłaniu na Kubę rakiet średniego zasięgu z głowicami nuklearnymi. Decyzja zapadła prawdopodobnie w lipcu 1962 r., gdy do Moskwy przybyła kubańska delegacja, której przewodził brat Fidela Castro.

Plan Chruszczowa przewidywał, że do końca grudnia 1962 roku na Kubie zostaną zainstalowane 42 rakiety SS-4, a następnie - 24 nowocześniejsze, o większym zasięgu - SS-5. Bazy rakiet balistycznym miały być chronione przez 24 zestawy rakiet przeciwlotniczych i obsługiwane przez 22 tysiące żołnierzy i techników radzieckich.

To było wielkie przedsięwzięcie, które mogło zmienić układ sił między obydwojma mocarstwami. Bazy na Kubie, odległej zaledwie o 150 km od wybrzeży Florydy, byłyby ogromnym zagrożeniem dla Stanów Zjednoczonych. W ciągu paru minut rakiety osiągnęłyby cele na wschodnim wybrzeżu USA, nie dając Amerykanom żadnych możliwości obrony i ewakuacji ludności z miast.

Dlaczego Nikita Chruszczow zdecydował się na taki ruch, o którym musiał wiedzieć, że spowoduje najpoważniejsze konsekwencje.

Nikita Chruszczow zlekceważył Johna Kennedy'ego. Przede wszystkim dlatego, że amerykański prezydent był o młodszy o 23 lata od 68-letniego wówczas radzieckiego premiera. Poza tym Kennedy rozpoczął prezydenturę bardzo niefortunnie. Trzy miesiące po objęciu tego stanowiska amerykański wywiad zorganizował inwazję na Kubę, która zakończyła się całkowitym fiaskiem. Z 1400 kontrrewolucjonistów, którzy wylądowali 17 kwietnia na brzegu Zatoki Świń zginęło 12, a 1200 dostało się do niewoli. Tylko nielicznym udało się powrócić na Florydę. Z 24 samolotów wspierających desant Amerykanie stracili 12.

Dругa porażka nastąpiła w tym samym czasie. 12 kwietnia 1961 roku Rosjanie wysłali w niebo raketę z Jurijem Gagarinem na pokładzie wyprzedzając Amerykanów o cztery tygodnie. W czasie narady w Białym Domu rozwścieczony Kennedy krzychał na swoich współpracowników:

Kennedy: Czy my w ogóle możemy ich dogonić? Jakie są nasze możliwości? Czy wykonamy lot dookoła Księżyca? Czy wylądujemy przed nimi na Księżycu? A może będziemy sobie skakać przez plecy? Czy ktoś może mi powiedzieć, jak ich dogonić?

Tak, prezydent potrzebował sukcesu, ale przyszłość przyniosła następne upokorzenie.

3 czerwca w Wiedniu Kennedy spotkał się z Chruszczowem. Na tle niskiego korpulentnego premiera amerykański prezydent liczący 188 cm wzrostu, prezentował się znakomicie. Równie świetnie wypadła jego żona Jacqelin w zestawieniu z dużo starszą, tęgą i brzydką Niną Pietrowną. A jednak w dyskusjach zwyciężył Chruszczow, który zagnał niedoświadczonego w polityce międzynarodowej Kennedy'ego w kozi róg. To przekonało go, że może sobie pozwolić na więcej. I wiedział, gdzie uderzyć.

Wywiad donosił, że prezydent Kennedy prowadzi bardzo energiczną rozbudowę amerykańskich sił nuklearnych i radziecka przewaga niknie w oczach. Musiał więc dokonać czegoś, co odwróciłoby niebezpieczny dla Związku Radzieckiego trend.

Nikita Chruszczow, choć lekceważył prezydenta Kennedy'ego jako męża stanu, obawiał się jego decyzji zbrojeniowych. W istocie prezydent doprowadził do gwałtownego zwiększenia budżetu wojskowego, który od 1961 do 1962 roku wzrósł o 8 miliardów dolarów (z 44 do 52 miliardów dolarów). Efekt był widoczny natychmiast:

W 1960 roku Rosjanie mieli 35 rakiet balistycznych, Amerykanie - 18. W pierwszym roku prezydentury Kennedy'ego roku liczba amerykańskich rakiet wzrosła do 294, gdy radzieckich tylko do 75.

A nie chodziło jedynie o liczbę rakiet.

Amerykanie mieli już okręty podwodne z napędem nuklearnym, które nie wynurzając się mogły wystrzeliwać rakiety. Na orbicie okołoziemskiej umieścili satelitę Midas, wykrywającego odpalenie rakiet międzykontynentalnych. Od tego momentu Stany Zjednoczone mogły odpowiedzieć uderzeniem jądrowym na pierwszy sygnał o odpaleniu

rakiet, o radzieckim ataku.

W bazach brytyjskich zainstalowali rakiety średniego zasięgu Thor. Samoloty i rakiety startujące z terytorium tego państwa mogły dotrzeć do 80% wszystkich radzieckich miast o ludności ponad 60 tysięcy. Rakiety średniego zasięgu wprowadzono do baz w Turcji i we Włoszech; łącznie w Europie było 45 amerykańskich rakiet balistycznych Jupiter oraz 60 - Thor.

Chruszczow uznał, że nie może czekać. Postanowił za jednym zamachem zmienić układ sił, uderzając w dwóch miejscach

Akcja w Berlinie miała odwrócić uwagę Amerykanów od Kuby i zlikwidować zagrożenie, jakim dla socjalizmu były berlińskie wrota.

W tym mieście, umownie przedzielonym na dwie części, nie było granicy. Obywatele Niemieckiej Republiki Demokratycznej jeździli po zakupy do zachodniej części miasta, a gdy chcieli wyrwać się z socjalizmu po prostu nie wracali z Zachodniego Berlina. Każdego dnia tą "bramą na Zachód" przechodziło - i pozostawało tam - tysiąc obywateli NRD. W ostatnim tygodniu lipca 1961 roku do biur uchodźców w Berlinie Zachodnim zgłosiło się 10 tysięcy obywateli NRD, a tylko w jednym dniu, 7 sierpnia, liczba ich przekroczyła dwa tysiące. W tym mieście funkcjonowało osiemdziesiąt central szpiegowskich i kilkadziesiąt organizacji antykomunistycznych i antysowieckich: Rosyjska Agencja Informacyjna, Komitet Uchodźców Prawosławnych itd. Rosjanie patrzyli na Berlin jak na ranę na ciele socjalistycznego organizmu, przez którą przenikały "zarazki" demokracji i wolności.

Chruszczow, gdy osobiście poznał Kennedy'ego, uznał, że amerykański prezydent jest za słaby i miękki, aby twardo zareagować na jego plan. Przystąpił do akcji.

13 sierpnia 1961 roku kilka minut po północy, oddziały enerdowskiego wojska i policji zablokowały drogi prowadzące do Berlina Zachodniego. Ulice przecięły kozły z drutami kolczastymi i betonowe bloki. Gdy wstał świt, tłumy Berlińczyków zmierzających do zachodniej części miasta stanęły przed policyjnymi posterunkami. Tego dnia około półtora tysiąca ludzi uciekło na Zachód korzystając z dróg, jakich nie udało się jeszcze zablokować: ogrodów, kanałów, wybitych przejść w murach piwnic. Jednakże policja i wojsko bardzo szybko uszczelniały betonową granicę. Mur, nazwany przez berlińczyków "Chińskim murem Ulbrichta", rósł na oczach zaskoczonych mieszkańców. Równie zaskoczony był Kennedy i rządy zachodnich państw. Dopiero 17 sierpnia wystosowały protest, ale tego dnia wszystkie drogi prowadzące na Zachód były już zamknięte murem wysokim na trzy metry, zwieńczonym drutem kolczastym. Próba sforsowania go z reguły kończyła się śmiercią.

Kennedy przysłał do miasta 1500 amerykańskich żołnierzy i 250 pojazdów. Ta demonstracja siły nie zrobiła na Rosjanach żadnego wrażenia. Wykazali to dobitnie na punkcie kontrolnym Helsted na autostradzie prowadzącej z Niemiec Zachodnich do Berlina Zachodniego, gdzie zatrzymali na 22 godziny amerykański transport wojskowy.

Chruszczow wykonał już następny ruch. Gdy świat patrzył na Berlin, do kubańskich portów dobijały radzieckie statki, z których nocami wyładowywano obłe pojemniki i pospiesznie chowano je do magazynów lub pod wielkie namioty ustawione na portowych nabrzeżach. W następnych nocach wojskowe konwoje wyruszały do dżungli. Chruszczow uznał, że w tej

rozgrywce wszystkie atuty są w jego rękach. Potrzebował tylko tajemnicy - do czasu. Kiedy bowiem stanęłoby na wyrzutniach kilkadziesiąt rakiet z głowicami nuklearnymi, wtedy odkryłby swoje karty i powiedział: panie prezydencie, to moje warunki i pan musi je przyjąć, inaczej za parę minut z Nowego Jorku, Waszyngtonu, Bostonu i kilkadziesiątu innych miast pozostanie tylko popiół.

Ale John Kennedy miał również tajną broń, dzięki której wygrał to starcie, najważniejsze w powojennej historii świata.

14 października o godzinie 20.30 John McCone, szef Centralnej Agencji Wywiadowczej wszedł do Owального Gabinetu. Tam, obok prezydenta był jego brat Robert, prokurator generalny i najbliższy doradca Johna.

McCone: Panowie, nie myliłem się ani trochę w sprawie rosyjskich rakiet!

Szef CIA położył na stole zdjęcia zrobione przez kamery samolotu pilotowanego przez majora Heysera nad kubańskim wybrzeżem między San Cristobal a Sagua la Grande.

John i Robert Kennedy pochylili się nad odbitkami formatu 20 na 30 cm. Były już dokładnie opracowane i białe napisy, naniesione na trudne do rozszyfrowania plamki, objaśniały obiekty na wyciętych w dżunglach polanach.

John F. Kennedy (odczytuje): Pojemniki z rakietami, ciężkie pojazdy transportowe, cysterny na wodę, baraki dla załogi...

McCone: Panie prezydencie, następna grupa zdjęć zrobionych nad bazą lotniczą w Camilo Cienfuegos przedstawia rosyjskie samoloty bombowe Il-28 zdolne do przenoszenia bomb nuklearnych.

John F. Kennedy: Proszę rozpocząć loty wywiadowcze na niedużej wysokości. Muszę mieć niezbitę dowody. Jutro o 9 rano proszę przybyć na konferencję.

W tej naradzie, obok szefa CIA, wzięli udział ludzie, od których zależało bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych i los świata: wiceprezydent Lyndon B. Johnson, sekretarz stanu, sekretarz obrony, prokurator generalny. Oni utworzyli ExCom, co było skrótem od Komitet Wykonawczy Narodowej Rady Bezpieczeństwa, organizację, która miała doradzać prezydentowi i decydować o działaniach w czasie narastającego kryzysu. Nikt nie miał wątpliwości: stawką była nuklearna wojna.

Część II

Tropikalna ulewa była tak gwałtowna, że w ciągu paru minut wąska droga wycięta w dżungli zamieniła się w błotniste bajoro. Z konwoju ciemnozielonych samochodów wolno posuwających się pod górę tylko wielki ciągnik gaśnicowy AT-S zdołał pokonać falę błota i wspiął się na wzniesienie. Kilka ciężarówek utknęło na drodze bezsilnie kręcąc kołami w mazi, która sięgała im po osie. AT-S, ciągnący przyczepę z wielkim obłym pojemnikiem okrytym brezentem dotarł do bazy, jaką była polana w dżungli, na której stały długie namioty i baraki. Żołnierze, którzy zeskoczyli z kabiny ciągnika, jak i kilkunastu innych, którzy wybiegli z namiotów, zabrali się do ściągania brezentu.

Ulewa nie ustawała, lecz mimo to, rozebrani do pasa, nie przerywali pracy, którą musieli wykonać przed brzaskiem. Oficer, osłonięty wiatą przed strugami wody, poganiał ich, grożąc najsurowszymi karami za spóźnienie. Dopiero, gdy zahaczyli liny dźwigu, który zdjął pojemnik z przyczepy i przeciągnął go do wielkiego namiotu, mogli powrócić do baraków i suszyć przemoczone ubrania.

AT-S zawrócił, aby wyciągnąć z błota ciężarówkę, gdyż i one powinny znaleźć się przed świtem w ukryciu. Lada moment chmury mogły się rozejść otwierając pole widzenia przed obiektywami kamer amerykańskich samolotów zwiadowczych. Żaden z radzieckich żołnierzy pracujących w dżungli przy budowie bazy raketowej, co prawda, nie widział wysoko szybujących samolotów, ale wykrywały je obsługi stacji radiolokacyjnych. Czas naglił...

14 października 1962 r. o godzinie 20.30 John McCone, szef Centralnej Agencji Wywiadowczej wszedł do Owalnego Gabinetu. Tam obok prezydenta Johna Kennedy'ego był jego brat Robert, prokurator generalny, a zarazem najbliższy doradca Johna.

McCone: Panowie, nie myliłem się co do w sprawy rosyjskich rakiet!

Szef CIA położył na stole zdjęcia kubańskiego wybrzeża między San Cristobal a Sagua la Grande.

John i Robert Kennedy pochylili się nad odbitkami formatu 20 na 30 cm. Były już dokładnie opracowane i białe napisy, naniesione na trudne do rozszyfrowania plamki, objaśniały obiekty na wyciętych w dżunglach polanach.

JFK: Pojemniki z raketami, ciężkie pojazdy transportowe, cysterny na wodę, baraki dla załogi...

McCone: Panie prezydencie, następna grupa zdjęć zrobionych nad bazą lotniczą w Camilo Cienfuegos przedstawia rosyjskie samoloty bombowe Il-28 zdolne do przenoszenia bomb nuklearnych.

JFK: Proszę rozpocząć loty wywiadowcze na niedużej wysokości. Muszę mieć niezbite dowody. Jutro o 9 rano proszę przybyć na konferencję.

Prezydent Kennedy wiedział, że zidentyfikowanie obiektów na zdjęciach i wykrycie zamiarów Rosjan, którzy na kubańskim wybrzeżu budowali bazy rakiet z głowicami nuklearnymi, było możliwe dzięki nadzwyczaj cennemu agentowi, pułkownikowi Olegowi Pienkowskiemu, zwerbowanemu kilka miesięcy wcześniej przez wywiad brytyjski. Ale jego czas dobiegał końca. Pułkownik, doświadczony pracownik radzieckich tajnych służb popełnił z pozoru drobny błąd, który przesądził o jego zgubie.

W tym samym czasie, gdy prezydent Kennedy oglądał zdjęcia wyrzutni, w Moskwie gabinecie szefa wywiadu wojskowego GRU Iwana Sierowa odbyła się ważna rozmowa. Adiutant położył przed nim dokument:

Sekretarz: Towarzyszu generale, kontrwywiad przysłał raport.

Sierow: O co chodzi?

Sekretarz: Kontrwywiad melduje, że pułkownik Pienkowski był dwa dni temu w ambasadzie brytyjskiej...

Sierow: Co w tym dziwnego? Taka jego praca.

Sekretarz: Jednakże nie zameldował o tym w Drugim Zarządzie, ani też nie złożył wymaganego raportu. Sprawa musi być poważna, skoro raport podpisał sam generał Gribanow.

Sierow: Dla nich wszystko jest poważne. Zostawcie ten raport, sam odpiszę Gribanowowi.

Odpisał, ale list, jaki wysłał do szefa kontrwywiadu Olega Gribanowa, rozzłościł adresata. Sierow dał mu bowiem do zrozumienia, że kontrwywiad powinien zajmować się łapaniem szpiegów, a nie zwracać głowę ludziom zajęтым ciężką służbą dla komunizmu. Gribanow postanowił pokazać Sierowowi, kto tu ważniejszy.

Najpierw kazał dostarczyć wszystkie informacje, jakie w KGB przechowywano na temat pułkownika. Wyłaniał się z nich tak kryształowy obraz, że Gribanow na moment zwątpił, czy jest sens podejmować jakiegokolwiek kroki przeciwko pułkownikowi: Rosjanin urodzony w 1919 roku, członek partii komunistycznej od 1940 roku, trzynaście odznaczeń, osiem medali, duże sukcesy w pracy zawodowej. Jednakże Gribanow nakazał rozpoczęcie inwigilacji.

Zdjęcia mieszkania Pienkowskiego robione za pomocą aparatów zamaskowanych w skrzynkach na kwiaty na parapetach domu stojącego vis a vis bloku Pienkowskiego udowodniły, że Gribanow nie mylił się.

Jedno z nich przedstawiało Pienkowskiego, gdy siedząc w fotelu przed radiem trzyma na kolanie kartkę, na której coś notuje. Na bardzo dużym zbliżeniu widać było, że wskazówka radiowej skali była ustawiona na stację BBC. To wzmogło czujność.

Wkrótce nagrano rozmowę, jaką przeprowadził w hotelowym pokoju z brytyjskim obywatelem Wynnym, choć rozmawiający starali się zagłuszyć podsłuch puszcżając wodę w łazience i nastawiając głośno radio. Gribanow zyskał pewność, że jest na dobrym tropie. Zaczął zaciskać pętlę...

Pułkownik Oleg Pienkowski wiedział bardzo dużo o radzieckich zbrojeniach raketowych. Głównie dzięki przyjaźni z marszałkiem Siergiejem Siergiejewiczem Waroncowem, dowódcą wojsk raketowych, który zdradzał mu największe tajemnice. Pienkowski przekazywał je wywiadowi amerykańskiemu. Dzięki temu eksperci z US Air Force bez trudu odnaleźli na zdjęciach dżungli zarysy baz raketowych, zidentyfikowali pojazdy, cysterny, dźwigi i wiele innych urządzeń. Co więcej: mogli ocenić, że rakiety będą gotowe do odpalenia najwcześniej 25 października. Prezydent Kennedy miał więc parę dni, aby rozważyć posunięcia. Jednakże każda z decyzji, jaka przychodziła mu na myśl, groziła jednak wybuchem wojny, ale innej drogi nie było. Kennedy wahał się...

Czas działania pułkownika Olega Pienkowskiego, który przekazywał Amerykanom najcenniejsze materiały dotyczące radzieckich, raket kończył się.

Do mieszkania znajdującego się nad jego mieszkaniem w bloku na moskiewskim osiedlu

weszli specjaliści z kontrwywiadu. Przez strop przewiercili niewielki kanał i umieścili w nim miniaturowy aparat fotograficzny z obiektywem o tak dużym kącie widzenia, że można było obserwować wszystko, co działo się w pokoju poniżej. Od tego momentu każda czynność Pienkowskiego w jego własnym mieszkaniu, gdzie czuł się najpewniej, mogła być podglądana.

Nie czekano długo. Zdjęcia zrobione dzień po zainstalowaniu aparatury pokazały, jak pułkownik wydobywa z sekretnej szufladki w biurku bibułkę (jak się później okazało na niej zapisany był jednorazowy szyfr), jak studiuje ją przez duże szkło powiększające i następnie sporządza meldunek. Następnego dnia sfotografowano go podczas wyjmowania kasety z miniaturowego aparatu fotograficznego.

Tego wieczora pod nieobecność Pienkowskiego ludzie z kontrwywiadu weszli do jego mieszkania. Zapewne nie spodziewał się rewizji, gdyż bez większego kłopotu znaleźli materiały szpiegowskie. Z tajnych, choć łatwych do rozszyfrowania, zapisków, wynikało, że wykonał 5 500 zdjęć tajnych dokumentów za pomocą dwóch aparatów minox. Generał Gribanow uzyskał ostateczny dowód.

Prezydent John Kennedy nie podejmował decyzji. Oczekiwał, że CIA dostarczy mu ostateczne, niepodważalne dowody obecności radzieckich sił nuklearnych na Kubie. I starał się wysondować, jak daleko mogą posunąć się Rosjanie.

18 października do Białego Domu przyjechał Andriej Gromyko, radziecki minister spraw zagranicznych. Drobny, szczupły, bardzo opanowany – co bez wątpienia było wynikiem dobrej stalinowskiej szkoły – nie miał zamiaru ujawniać prezydentowi radzieckich planów. Za wcześnie było jeszcze na groźby. Rakiety nie były gotowe do startu. „Kuba obawia się amerykańskiej inwazji” - powiedział siedząc naprzeciw prezydenta - radziecka pomoc militarna dla Kuby ma charakter czysto obronny i nigdy nie będzie niczym innym.

Kennedy zawahał się na moment. Wystarczyło pokazać radzieckiemu ministrowi zdjęcia wyrzutni. Jednakże nie zrobił tego. Nie chciał ujawniać jak dużo wie o sytuacji na wyspie. Wciąż rozważał posunięcia. Błędny krok mógł mieć niewyobrażalne skutki.

Uderzyć na radzieckie bazy? To było najbardziej ryzykowne. Specjaliści z CIA nie mogli zagwarantować, że wykryto wszystkie bazy. Jeżeli więc amerykańskie samoloty nie zniszczyłyby choć jednej, rakiety stamtąd mogły zniszczyć kilka amerykańskich miast. Gdyby jednak udało się zlikwidować wszystkie bazy za jednym uderzeniem (obliczono, że samoloty musiałyby wykonać 500 lotów), należało uwzględnić wysokie ofiary wśród ludności cywilnej, sięgające nawet kilkunastu tysięcy. To obróciłoby przeciwko Stanom Zjednoczonym państwa Ameryki Środkowej i Południowej. Zginęliby również radzieccy żołnierze i technicy, co mogłoby doprowadzić do bezpośredniej konfrontacji militarnej. Należało więc znaleźć inne wyjście.

Podsunał je Robert Kennedy: blokada Kuby! Uniemożliwić zaopatrywania radzieckich baz. Pomysł wydał się dobry, ale jak go zrealizować? Żadne państwo nie miało prawa zatrzymywać na wodach międzynarodowych jednostek innych bander.

Późnym wieczorem do domu profesora prawa międzynarodowego Nicolasa Katzenbacha przyjechał Robert Kennedy **Robert Kennedy**: Byłbym panu wdzięczny za opracowanie podstaw prawnych morskiej blokady Kuby.

Katzenbach: Takie pojęcie nie mieści się w kategoriach prawa międzynarodowego.

Kennedy: Chodzi właśnie o to, aby się mieściło!

Nie udało się jednak rozwiązać tego problemu, a mimo to Katzenbach i jego trzech doradcy naszkicowali tekst proklamacji, którą 20 października przekazali prezydentowi.

Mimo tak wielu niebezpieczeństw Kennedy wyczuwał, że w tej rozgrywce jest górą. Cała akcja miała rozegrać się tuż u wybrzeży Stanów Zjednoczonych, pod boki amerykańskiej potęgi morskiej i lotniczej. Związek Radziecki wysyłając okręty tysiące mil od swoich portów, nie miał żadnych szans na zapewnienie im osłony. Pozostawało uruchomienie maszyny strategicznej, ale w 1962 roku Amerykanie uzyskali przewagę. Wojna nuklearna zakończyłaby się przegraną Związku Radzieckiego.

Tę świadomość miał również Chruszczow. Jednakże szedł do przodu dopóki był przekonany, że Kennedy będzie się usuwał z jego drogi. Źle ocenił sytuację.

24 października Kennedy stanął przed kamerami telewizji. Stwierdził, że dysponuje niepodważalnymi dowodami, iż Związek Radziecki zainstalował na Kubie rakiety średniego zasięgu z głowicami nuklearnymi.

John Kennedy: Działając na podstawie władzy powierzonej mi przez Konstytucję i popartej uchwałą Kongresu, wydałem polecenie, aby natychmiast podjęto następujące kroki...

Po pierwsze, ścisłe embargo na wszelki ofensywny sprzęt wojskowy znajdujący się w drodze na Kubę. Wszelkie okręty jakiegokolwiek rodzaju udające się na Kubę z jakiegokolwiek kraju lub portu, zostaną zawrócone, jeśli stwierdzi się, że przewożą broń.

Po drugie, zarządziłem nieprzerwaną i wzmożoną ścisłą kontrolę nad Kubą i rozbudową jej sił wojskowych.

Po trzecie, każdą rakietą jądrową wystrzeloną z Kuby przeciwko jakiegokolwiek krajowi półkuli zachodniej Stany Zjednoczone uznają za atak Związku Radzieckiego na Stany Zjednoczone, wymagający pełnego odwetu.

Prezydent Kennedy podpisał dokument, który zezwalał na użycie siły wobec radzieckich statków i okrętów, które nie chciałyby poddać się amerykańskiej kontroli.

Tego samego dnia poszła w ruch wielka maszyna wojenna. Z amerykańskiej bazy Guantanamo na Kubie ewakuowano 3 190 cywilów, a na ich miejsce przybyło 8 000 żołnierzy piechoty morskiej i marynarzy. W pobliżu bazy stanęły dwa lotniskowce USS Enterprise i USS Independence, których samoloty miały bronić Guantanamo w przypadku kubańskiego ataku. Załogi bombowców strategicznych B-52 postawiono w stan gotowości i

przeniesiono wraz z samolotami na lotniska cywilne, gdzie były mniej narażone na zniszczenie przez głowice radzieckich rakiet nuklearnych. Osiemset bombowców B-47, pięćset pięćdziesiąt B-52 i siedemdziesiąt B-58 gotowych było do nuklearnego uderzenia na bazy w Związku Radzieckim i państwach socjalistycznych.

Sztaby dowódcze otrzymały rozkaz „Defcon-2”, co oznaczało stan najwyższej gotowości poprzedzający wojnę.

Z portów wyruszył lotniskowiec USS Essex oraz 180 innych okrętów wojennych, które w odległości 800 km od Kuby utworzyły pierścień blokady.

Instrukcja, jaką otrzymali dowódcy amerykańskich okrętów, nakazywała wezwanie do zastopowania maszyn każdego statku lub okrętu, wobec którego istniało podejrzenie, że przewozi broń. Na jego pokład mogła wejść grupa amerykańskich żołnierzy, aby przeprowadzić rewizję. Gdyby znaleźli broń, statek musiał udać się pod eskortą do portu poza Kubą, wybranego przez kapitana. Gdyby jednak załoga statku nie reagowała na sygnały amerykańskiej jednostki, wówczas można było oddać strzał ostrzegawczy ponad masztami, a w przypadku dalszego braku reakcji – zatopić uciekającą jednostkę.

Rosjanie odpowiedzieli twardo. W siłach zbrojnych wstrzymano wszystkie urlopy i przepustki. W bazach rakietowych, lotniczych i morskich ogłoszono stan gotowości. W bazach na Kubie gwałtownie zwiększono tempo prac, aby jak najszybciej osiągnąć gotowość bojową.

Stało się oczywiste, że obydwa mocarstwa dotarły do krawędzi, za którą była już tylko wojna nuklearna.

Na Morzu Karaibskim sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę. Wieczorem 26 października z pomostu amerykańskiego niszczyciela dostrzeżono sylwetkę radzieckiego statku. Niszczyciel całą mocą silników ruszył w jego stronę i po dwudziestu minutach odczytano na burcie nazwę "Winnica". Na pokładzie nie było żadnych ładunków, które mogłyby wzbudzić niepokój Amerykanów. Nie można było jednak wykluczyć, że części rakiet spoczywają w ładowniach.

Dowódca niszczyciela: „Co wiecie?” Z pokładu amerykańskiego niszczyciela błysnęła lampa aldisa.

Kapitan radzieckiego statku: „Ropę naftową!”

Dowódca amerykańskiej jednostki zawahał się. Postanowił zawiadomić bazę marynarki wojennej w Norfolk:

Dowódca amerykański: Zatrzymaliśmy radziecki tankowiec 485 mil na północny-wschód od Kuby. Kapitan oświadczył, że przewożą ropę naftową. Co mamy robić?

Odpowiedź przyszła po paru minutach.

Dowódca: Przepuścić!

Niszczyciel zrobił zwrot, a jego dowódca z mostku zasalutował radzieckiemu kapitanowi. Był

zadowolony, że otrzymał taki rozkaz. Ale jak potoczy się następne spotkanie? Obydwa mocarstwa były już gotowe do wojny.

Po południu 26 października na biurku Johna Scaliego w redakcji telewizyjnej stacji ABC zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się głos Aleksandra Fomina, Rosjanina, którego amerykański dziennikarz zajmujący się sprawami rządowymi dość często spotykał na oficjalnych przyjęciach. Wiedział, że Fomin jest związany z ambasadą radziecką, jednakże nic bliższego o nim nie wiedział. Umówili się na spotkanie w restauracji na Pennsylvania Avenue

Prawdziwe nazwisko Fomina brzmiało Aleksandr Siemimonowicz Felklisow i był pracownikiem KGB. Karierę w dyplomacji rozpoczął w końcu lat 40. Od 1960 roku przebywał w Waszyngtonie zatrudniony w ambasadzie, w rzeczywistości był rezydentem KGB.

Rozmowę zaczął Fomin:

Fomin: Mam ważną wiadomość. Czy Stany Zjednoczone, w zamian za wycofanie rakiet radzieckich z Kuby są gotowe publicznie zobowiązać się, że nie dokonają inwazji na Kubę?

Scali zrozumiał, że znalazł się w centrum najważniejszej sprawy świata, która z jego udziałem może przybrać zupełnie inny bieg. Fomin mówił dalej:

Fomin: Chcielibyśmy prosić pana, aby zechciał pan skonsultować tę propozycję z wysoko postawionymi osobistościami Departamentu Stanu.

Scali nie pytał, skąd Rosjanin wie o jego powiązaniach i dlaczego wybrano go do tej misji. Nigdy by takiej odpowiedzi nie uzyskał. Pożegnał się szybko z Fominem, złapał taksówkę i ruszył do Departamentu Stanu.

Spotkali się ponownie o 19.35 w kawiarni przy Stadler Hilton. Scali oznajmił, że Skonsultował sprawę z Deanem Ruskiem, sekretarzem stanu. „Jest zainteresowany pana sugestią” – powiedział do Fomina

To wystarczyło. Kilka słów przekazanych przez amerykańskiego dziennikarza uruchomiło nowe mechanizmy wielkiej polityki.

Tego dnia, 26 października, długi telegram od premiera Chruszczowa dotarł do Białego Domu. Radziecki przywódca pisał, że jeżeli Amerykanie zawieszą blokadę Kuby i zobowiążą się, że nie dokonają inwazji na to państwo, ustaną powody, dla których Rosjanie sprowadzili na wyspę rakiety i samoloty.

Kennedy poczuł, że wygrał najważniejsze starcie. Tej nocy mógł już spać spokojnie. Choć minęły jeszcze dwa dni w najwyższym napięciu, zanim Chruszczow zdecydował się zrobić decydujący krok.

List od Chruszczowa nadszedł w niedzielę o godzinie 10.00. Najważniejsze było ostatnie

zdanie, w którym Chruszczow wyraził gotowość wstrzymania prac przy budowie wyrzutni rakietowych, rozmontowaniu broni "uważanej za ofensywną" i zabranie jej do Związku Radzieckiego.

Kennedy podjął ton Chruszczowa. Określił list radzieckiego przywódcy jako „krok godny wielkiego męża stanu”. Przeprosił za incydent z samolotem U-2, który dwa dni wcześniej naruszył radziecką przestrzeń powietrzną, zobowiązał się do szybkiego zniesienia blokady i nierozpoczynania inwazji na Kubę.

Wkrótce, w wyniku dalszych negocjacji zgodził się na wycofanie amerykańskich rakiet z Turcji.

5 listopada 1962 roku z portu w Mariel wyszedł radziecki statek „Diwinogorsk” z czterema rakietami na pokładzie. 7 listopada wyruszył w morze „Metalurg Anosow” przewożący osiem rakiet. Dwa dni później „Brack” wywiózł z Kuby sześć rakiet.

15 grudnia pierwsze bombowce Il-28 opuściły Kubę w skrzyniach na pokładzie statku Kasimow. Kryzys, który trwożył świat, zakończył się.

Dobiegła też końca sprawa człowieka, który tak bardzo wpłynął na bieg kubańskiego kryzysu.

Generał Oleg Gribanow długo zwlekał z aresztowaniem Pienkowskiego licząc, że ten doprowadzi go do całej brytyjskiej siatki szpiegowskiej. Jednakże pewnego dnia na zdjęciu zrobionym przez kamerę w suficie zauważono, że Pienkowski miał w ręku paszport. Było to w końcu października i Gribanow uznał, że dłużej nie można już czekać, gdyż lada moment szpieg może zniknąć z Moskwy. Wydał rozkaz aresztowania. Było to w ostatnich dniach października 1962 roku.

Pienkowskiego przesłuchiowano bardzo długo, przez kilka miesięcy. Wiadomo, że był torturowany.

Pokazowy proces rozpoczął się w maju 1963 roku. Trwał krótko, gdyż liczba dowodów zdrady była wystarczająco duża, aby zapadł wyrok śmierci. Następnego dnia gazety radzieckie poinformowały o wykonaniu wyroku. To było kłamstwo. Pienkowski żył. Przesłuchujący go oficer, podsuwając gazetę z informacją o wykonaniu wyroku powiedział:

Oficer KGB: Umarłeś dla świata. Nie jesteś już człowiekiem, więc możemy z tobą zrobić wszystko. Opowiesz nam o swoich najgłębszych tajemnicach, tylko po to aby jak najszybciej umrzeć. Tym razem naprawdę...

Pułkownik Pienkowski prawdopodobnie popełnił samobójstwo w tajnym obozie KGB na Syberii.

Rozdział 3 - Tajemnica Dallas

Dochodziła trzecia nad ranem, gdy na rządowym lotnisku w Waszyngtonie wylądował prezydencki samolot Air Force One, kończąc lot z Dallas.

Daleko od miejsca, w którym samolot zakończył kołowanie i wyłączył silniki, stał tłum dziennikarzy, operatorów filmowych i telewizyjnych. Zbyt daleko, aby mogli dostrzec i sfilmować to, co działo się przy kadłubie.

Widzieli tylko, jak do samolotu przysunięto metalowe rusztowanie z ruchomą platformą, lecz nie widzieli jak platforma uniosła się do góry, gdyż zasłonił ją kadłub. Bez wątplenia ustawiono ją tak specjalnie, aby nikt nie mógł obserwować, co dzieje się za samolotem.

Po paru minutach platforma znowu znalazła się w polu widzenia kamer. Stała na niej prosta metalowa trumna i czterej marines, którzy na dole podnieśli trumnę i przenieśli ją do samochodu.

Po chwili w drzwiach samolotu pojawiła się Jacqueline Kennedy z twarzą zasłoniętą czarną woalką. Obok niej szedł prezydent, nowy prezydent, Lyndon B. Johnson. Wsiedli do samochodu, który szybko odjechał. Wkrótce lotnisko opuściły ekipy dziennikarzy, aby przekazać do redakcji relacje z przywiezienia zwłok prezydenta Johna Kennedy'ego. Żaden z nich nie wiedział, że w trumnie, którą fotografowali i filmowali, nie było zwłok.

Trwał makabryczny spektakl, którego celem było zatarcie śladów prowadzących do morderców prezydenta.

Wszystko odbyło się jak w makabrycznym śnie.

W piątek 22 listopada 1963 roku o godzinie 11.37 na lotnisku Love Field w Dallas wylądował samolot prezydencki. Po trapie zszedł John Kennedy. Była z nim żona Jacqueline. Za nimi szedł wiceprezydent Lyndon Johnson. Powitał ich gubernator John Connally.

Connally: Nie może pan powiedzieć, panie prezydencie, że mieszkańcy Dallas nie zgotowali panu pięknego przyjęcia!

Gubernator z dumą wskazywał na pięcioletni tłum, który zebrał się na płycie lotniska.

JFK: Rzeczywiście, nie mogę tego powiedzieć. To miłe być tak witany, zwłaszcza w Dallas.

Kennedy był zadowolony. Obawiał się wizyty w mieście, które było mu nieprzychylnie. Wiedział, że tuż przed przyjazdem rozrzucano ulotki z jego zdjęciem i podpisem: "Poszukiwany za zdradę". Konserwatywni Teksasczycy mieli za złe wiele prezydentowi. O 11.50 prezydent i gubernator, wraz z małżonkami, wsiedli do otwartego samochodu i kawalkada pojazdów wyruszyła z lotniska w stronę centrum miasta. Dziwne, ale zrezygnowano z podstawowej zasady ustawienia samochodów, stosowanego w takich przypadkach. Zawsze jako pierwsze jechały dwa samochody ochrony, z których jeden nazywano "wozem wojennym", gdyż był załadowany ogromną ilością broni od pistoletów począwszy a na karabinach maszynowych skończywszy. Ponadto był tam zapas krwi grupy jaką miał prezydent, apteczka oraz zestaw narzędzi do rozcięcia drzwi samochodu prezydenta,

gdyby zostały zablokowane wskutek wybuchu lub zderzenia.

Tymczasem w Dallas jako pierwszy jechał odkryty samochód prezydenta.

W czasie przejazdu przez miasto złamano też wiele innych podstawowych zasad bezpieczeństwa:

- prezydent i wiceprezydent nie powinni jechać razem,
- prezydent nie powinien podróżować w otwartym samochodzie,
- samochody powinny jechać szybciej
- motocykle policyjnej eskorty powinny jechać bliżej samochodu prezydenta.

O 12.30 limuzyna prezydenta jechała Ross Avenue. Z tyłu pozostał wysoki ceglany budynek magazynu książek.

Kennedy schwycił się za szyję.

JFK: Boże, zostałem trafiony...

Tuż potem pocisk trafił prezydenta w głowę. Jego żona widząc krwawy strzęp wylatujący w powietrze rzuciła się, aby go schwytać, ogarnięta paniczną myślą, że uda jej się coś uratować.

Jaqueline Kennedy: Boże, zabili mojego męża! Jack! Jack!

Krzyczała wspinając się z siedzenia na bagażnik, gdzie leżał fragment czaszki wyrwany przez pocisk.

Kierowca prezydenckiego samochodu popełnił straszliwy błąd: zwolnił, co musiało ułatwić celowanie i oddanie następnych strzałów.

Z tyłu, na zderzak samochodu wskoczył oficer ochrony Clinton J. Hill, aby zasłonić prezydenta przed pociskami. Dopiero wtedy kierowca dodał gazu i ruszył w stronę szpitala.

Od tej chwili nic już nie jest jasne.

Kto strzelał do prezydenta? Z jakiego miejsca? Ilu było zamachowców? Ile oddano strzałów?

Na wszystkie te pytania odpowiedziała specjalna komisja powołana przez nowego prezydenta Lyndona Johnsona siedem dni po śmierci Kennedy'ego. Na jej czele stanął sędzia sądu najwyższego Earl Warren.

Ta komisja, po dwóch latach pracy sporządziła całkowicie kłamliwy raport na temat okoliczności i przebiegu zamachu na prezydenta. Co ukrywała? W jakim celu? Kogo chciała osłonić?

Komisja Warrena, powołana 29 listopada 1963 roku, siedem dni po zamachu na prezydenta Johna Kennedy'ego, aby ustalić okoliczności zamachu, zakończyła pracę we wrześniu 1964 roku. Raport stwierdzał:

Warren: Strzały, które zabiły prezydenta Kennedy'ego i raniły gubernatora Connally'ego oddano z okna szóstego piętra południowo-wschodniego narożnika magazynu książek. Dowody wskazują na to, że oddano trzy strzały.

W ciele prezydenta były trzy rany. Wszystko by się zgadzało, ale rany odniósł gubernator. Musiało więc paść więcej strzałów. Komisja Warrena wyjaśniła jednak, że ten sam pocisk trafił prezydenta, i gubernatora.

Warren: Według przekonującej opinii ekspertów ten sam pocisk, który przeszedł przez szyję prezydenta, spowodował rany gubernatora Connally'ego.

Tak. To teoretycznie możliwe. Kennedy siedział na tylnej kanapie samochodu. Gubernator z przodu. Pocisk, który przeszył ciało prezydenta mógł więc trafić Connally'ego. Jednakże stało się to co najmniej dwie sekundy po zranieniu prezydenta. Pocisk karabinowy przelatuje w ciągu sekundy 300-500 metrów. Kennedy i Connally siedzieli w odległości półtora metra, a więc gubernatora musiał trafić inny, czwarty pocisk.

Znalazł się również pocisk piąty. Drasnął w policzek mężczyznę stojącego w odległości około 80 m od samochodu prezydenta. Ten człowiek zgłosił się na policję. Spisano jego relację i poinformowano, że będzie zeznawał przed komisją prowadzącą śledztwo w sprawie zamachu. Nigdy do tego nie doszło. Dlaczego?

Te dowody wskazują jednoznacznie, że padło co najmniej pięć strzałów. Ostatecznym dowodem była analiza ścieżki dźwiękowej amatorskiego filmu nakręconego w czasie zamachu.

Elektroniczne przetworzenie dźwięku wykazało wyraźnie odgłosy pięciu strzałów. Wszystko wskazuje na to, że ich kolejność była następująca:

- pierwszy pocisk zranił przechodnia w policzek
- drugi trafił prezydenta w szyję
- trzeci w plecy
- czwarty dosięgnął gubernatora Connally'ego
- piąty, śmiertelny, trafił prezydenta w głowę i odłupał kawał czaszki, który Jacqueline Kennedy usiłowała schwytać.

Raport komisji Warrena stwierdzał:

Warren: Prezydent został trafiony najpierw w kark. Pocisk wyszedł przez dolną część gardła powodując ranę, która nie musiała być śmiertelna. Prezydent został trafiony po raz drugi pociskiem w tylną część głowy, gdzie powstała duża i śmiertelna rana.

To też kłamstwo.

W szpitalu w Dallas, gdzie 25 minut po zamachu dowieziono rannego prezydenta, ratował go dr Malcolm Perry. Tuż potem rozmawiał z dziennikarzami. Powiedział:

Lekarz: Rana widoczna jest w szyi pacjenta w dołku jarzmowym. Któryś z dziennikarzy

zapytał:

Dziennikarz: Czy mógłby pan wskazać to miejsce?

Lekarz: W dolnej części szyi, z przodu...

Dziennikarz: Poniżej jabłka Adama?

Lekarz: Tak, poniżej jabłka Adama.

Dziennikarz: Którędy weszła kula? Z przodu?

Lekarz: Tak, z przodu.

Znacznie później dr Perry potwierdził tę opinię, odpowiadając na pytanie komisji:

Warren: Czy rana w przedniej części szyi była raną wlotową?

Lekarz: Tak, była to rana wlotowa.

Czy doświadczony chirurg mógł pomylić ranę wlotową z wylotową? To jest absolutnie niemożliwe, gdyż miejsce, w którym pocisk wchodzi w ciało, wygląda całkowicie inaczej niż miejsce, w którym wychodzi. Wniosek jest więc oczywisty: Kennedy został trafiony w szyję z przodu, a więc strzelało do niego co najmniej dwóch zamachowców: jeden ustawiony z przodu samochodu, drugi zaś z tyłu.

Następną tajemnicą jest kształt śmiertelnej rany na głowie prezydenta.

Lekarze w Dallas określili, że miała kształt kwadratu. Lekarze w Waszyngtonie, dokonujący sekcji zwłok, opisali ranę jako zbliżoną do gwiazdy. Jak to jest możliwe? Dzisiaj wiemy, że rana na głowie prezydenta została umyślnie zniekształcona. Kiedy to mogło się stać?

Zwłoki prezydenta złożono do trumny w szpitalu w Dallas. Żona pocałowała go w policzek, zdjęła obrączkę z palca, położyła ją obok zwłok. Zamknięto wieko.

Trumnę przetransportowano na lotnisko. Jacquelin Kennedy była przy niej cały czas, w tej samej różowej garsonce, ze śladami krwi, które powstały, gdy w samochodzie trzymała na kolanach krwawiącą głowę Johna. Tylko raz odeszła od trumny, gdy odbywało się zaprzysiężenie Lyndona Johnsona, który zgodnie z konstytucją objął stanowisko prezydenta. Trwało to 20 minut. Wystarczająco długo, aby ktoś otworzył trumnę, zdeformował ranę na głowie i zamknął wieko.

Najbardziej szokujące było to, że zaginął mózg Kennedy'ego. Dlaczego? Odpowiedź jest oczywista. Pocisk przechodząc przez tkankę mózgową pozostawiał wyraźny ślad, który pozwalał stwierdzić z jakiego kierunku i pod jakim kątem padł strzał. Dlatego zabrano mózg i zniekształcono ranę na czaszce, aby zatrzeć ślad mówiący, że strzały padły również z innego miejsca niż magazyn książek. Zapewne usunięcie mózgu nastąpiło w tym samym czasie, w którym zniekształcono ranę, czyli w czasie lotu z Dallas, gdy Jacquelin Kennedy odeszła od trumny. Człowiek zainteresowany zatarciem śladów był więc w otoczeniu prezydenta. Czy tak trudno było go odnaleźć?

Komisja Warrena odrzucała wszelkie fakty sprzeczne z ostateczną wersją zamachu, jaki zamierzała przedstawić społeczeństwu:

Warren: Nie ma wątpliwości, że wszystkie strzały, które spowodowały rany prezydenta Kennedy'ego i gubernatora Connally'ego zostały oddane z okna szóstego piętra okna składnicy książek.

A to wskazywało jednoznacznie na Harveya Lee Oswalda.

I taki miał być ostateczny werdykt: Oswald zabił prezydenta. Nikt inny nie brał udziału w zamachu. Do czego zmierzała komisja fałszując rzeczywistość?

Komisja badająca okoliczności zamachu na prezydenta Johna Kennedy'ego stwierdziła:

Warren: Strzały, które zabiły prezydenta Kennedy'ego i raniły gubernatora Connally'ego oddał Lee Harvey Oswald. Był to człowiek doskonale pasujący do wizerunku zabójcy prezydenta: komunista, w 1959 r. porzucił służbę w oddziałach marines i wyjechał do Związku Radzieckiego. Powrócił do Stanów Zjednoczonych po dwóch latach przywożąc żonę Rosjankę i dziecko.

Bez wątplenia brał udział w zamachu na prezydenta. Obciążało go wiele okoliczności. Policjant, który tuż po zamachu wbiegł do składnicy książek natknął się na pierwszym piętrze na Oswalda schodzącego z góry po schodach. Przyłożył mu rewolwer do brzucha, ale widząc, że ten zachowuje się spokojnie opuścił broń i pobiegł na górę. Tam na szóstym piętrze składnicy znalazł karabin Manlicher-Carcano. Stwierdzono, że był na nim odcisk palca Oswalda. Karabin był jego własnością. Wydawałoby się, że już te dowody bezsprzecznie wskazują na Oswalda jako zabójcę. A jednak można je łatwo podważyć.

Kierownik magazynu książek, obecny przy spotkaniu policjanta z Oswaldem zeznał, że Oswald wydawał się trochę zaskoczony, jak człowiek, któremu przyłożono lufę rewolweru do brzucha, ale nie wykazywał zdenerwowania lub paniki. Czy możemy sobie wyobrazić, że tak właśnie mógł się zachować zabójca, który strzelał do prezydenta, rzucił broń między skrzynki i zbiegł pięć pięter na dół?

Dowód drugi też łatwo podważyć. Odcisk palca Oswalda znaleziono na karabinie znacznie później.

Czy karabin rzeczywiście był własnością Oswalda? Manlicher-Carcano tak, ale...

Tuż po zamachu policja przekazała prokuratorowi karabin, który on nazwał "niemieckim mauserem".

Czy prokurator z dwunastoletnim stażem pracy w prokuraturze, a przedtem czteroletnim w FBI mógł pomylić włoskiego manlichera z niemieckim mauserem? Oczywiście, że nie. To są całkowicie odmienne karabiny, różniące się kształtem kolby, długością i kalibrem lufy, ciężarem.

Jeszcze dziwniejsze wydaje się wybranie manlichera jako broni do oddania śmiertelnych

strzałów z dużej odległości do trudnego celu: człowieka w szybko jadącym samochodzie. Fachowcy nazywali te włoskie karabiny "humanitarną bronią", gdyż miały mały kaliber 6,35 mm i były tak niecelne, że trudno było komukolwiek zrobić krzywdę. W 1963 r. w Stanach Zjednoczonych można było kupić tę broń za niecałe 20 dolarów.

Najbardziej obciążały Oswalda okoliczności aresztowania. Podobno po zamachu wrócił do domu. Wziął pistolet i ponownie wyszedł. Już wówczas policjanci otrzymali jego rysopis jako podejrzanego o dokonanie zamachu. Na ulicy rozpoznał go i usiłował aresztować policjant John Tippit. Oswald był szybszy: wy dobył pistolet i wystrzelił czterokrotnie zabijając policjanta. Później ukrył się w kinie i tam otoczyła go policja. Usiłował bronić się, ale nie oddał strzału, gdyż jego pistolet zaciął się.

Aresztowany gwałtownie zaprzeczał oskarżeniom o zabójstwo policjanta, lecz świadkowie jednogłośnie wskazywali, że to on strzelał w czasie próby aresztowania. Tak więc nie ma wątpliwości, że zastrzelił policjanta, ale nie jest to dowód, że zabił również prezydenta.

Dwa dni po aresztowaniu, gdy policjanci wyprowadzali go z budynku policji podbiegł do niego mężczyzna, który zastrzelił go z pistoletu. Mordercą okazał się Jack Rubinstein znany jako Jack Ruby, właściciel nocnego lokalu, blisko związany ze światem przestępczym i policją w Dallas. Czy działał sam?

Komisja Warrena stwierdziła:

Warren: Nie ma dowodu na to, aby Ruby'emu w czasie zabójstwa Oswalda pomagał jakikolwiek funkcjonariusz policji z Dallas.

A w jaki sposób Ruby znalazł się w podziemiach budynku policji, gdy wyprowadzano Oswalda? Usunięto wszystkie postronne osoby, pozostawiając jedynie akredytowanych dziennikarzy i fotoreporterów. Kto wystawił akredytację Ruby'emu lub kto zezwolił mu pozostać? Nigdy tego nie ujawniono.

Dlaczego Ruby zabił Oswalda?

Powiedział, że nie mógł zapomnieć jak bardzo cierpiała Jacquelin i pogodzić się z myślą, że Karolina i John nie będą już miały tatusia.

Wzruszające motywy, ale mało prawdopodobne jak na gangstera, którym był Ruby.

Szybko w sprawie zamachu na prezydenta pojawił się nowy podejrzany.

Wiele osób stojących na trasie przejazdu zwróciło uwagę na dziwnego mężczyznę kręcącego się w pobliżu żywoplotu. Rzeczywiście trudno było go nie zauważyć, gdyż cierpiał na chorobę powodującą utratę owłosienia, co sprawiło, że nosił rudą perukę oraz malował łuki brwiowe.

Był to David Ferry. Był lotnikiem, współpracował z CIA i zajmował się przewożeniem na Kubę agentów, a także nie gardził żadną pracą dającą duże pieniądze.

Wiele lat później, gdy komputery umożliwiły przetwarzanie obrazu filmowego, poddano analizie amatorski film z przejazdu kolumny prezydenckiej przez Dallas. Na jednej z klatek w

dużym powiększeniu można zauważyć sylwetkę mężczyzny za żywoplotem. Obraz jest nieostry, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że ten mężczyzna składa się do strzału. W tym właśnie miejscu widziano Davida Ferry'ego.

Prokurator postanowił przesłuchać go, ale do tego nie doszło, gdyż znaleziono świadka martwego w pokoju hotelowym. Lekarz sądowy uznał, że zgon nastąpił z przyczyn naturalnych.

Trzydzieści dwie osoby, które miały jakikolwiek związek z zamachem na prezydenta straciły życie: zginęły w wypadkach, popełniły samobójstwa lub zmarły w sposób uznany za naturalny. Wśród nich był również Jack Ruby. Zmarł w więzieniu na chorobę nowotworową, której wcześniej nie wykryto.

Komu zależało na śmierci Johna Kennedy'ego? Kto odniósłby korzyści?

Dokąd prowadzą ślady morderców prezydenta Johna Kennedy'ego? Najważniejszy, najbardziej wyraźny, wskazuje na Kubę, a właściwie przez Kubę na Związek Radziecki.

Prezydent Lyndon B. Johnson miał powiedzieć: "Kennedy chciał zabić Fidela, ale to Castro okazał się szybszy".

W jednym się nie mylił. Rzeczywiście John Kennedy wydał amerykańskim tajnym służbom rozkaz zglądzenia kubańskiego przywódcy. Nie był to jego pomysł, lecz poprzedniego prezydenta, Dwighta Eisenhowera, który uznał, że usuwając Castro rozwiąże problem, jakim było sąsiedztwo socjalistycznej wyspy.

Plan zamachu opracował w lecie 1960 roku jeden z szefów CIA Richard Bissel, który zlecił to zadanie mafii. Gangsterzy Johnny Rosselli, były adiutant słynnego Ala Capone, oraz Salvatore "Sam" Giancana zgodzili się wykonać zadanie honorowo. Nie chcieli 150 tysięcy dolarów, jakie proponował Bissel, a żądali jedynie pokrycia kosztów operacji. Mieli własne porachunki z Fidelem Castro, który zamknął ich kasyna i domy publiczne w Hawanie, pozbawiając mafię krociowych zysków. Człowiek z mafii, który pod koniec 1960 roku dotarł do Hawany, ale nie udało mu się dotrzeć do otoczenia Castro i podrzucić trucizny.

Kennedy po porażce w Zatoce Świń w kwietniu 1961 roku, gdy nieudana inwazja przygotowana przez CIA skompromitowała go, kazał CIA wzmóc wysiłki.

Opracowano specjalny program przewidujący, że zamachu dokona człowiek o pseudonimie QJWIN. Wiadomo, że przygotowywano go wcześniej do zabicia Patrice'a Lumumby - komunistycznego premiera Konga. Z nieznanых przyczyn nie wykonał zadania.

Nie przynosiły też rezultatu działania mafii. Prawdopodobnie mafiosi szybko zorientowali się, że zamach, ze względu na liczną obstawę nie będzie możliwy, ale nie poinformowali o tym CIA. Przyjmowali pieniądze i coraz bardziej wyszukane zabójcze wynalazki, ale nigdy ich nie wykorzystali. Na przykład miny w kształcie muszli, które miały być ustawione pod wodą w rejonie, gdzie Castro często nurkował, czy kombinezon do nurkowania nasączony trucizną.

Najbardziej niezwykły pomysł CIA przewidywał wynurzenie się u wybrzeży Kuby okrętu podwodnego, ze specjalnymi projektorami na pokładzie. Miały one wyświetlić na niebie

figurę Matki Boskiej, co przyjęte przez Kubańczyków za cud skłoniłoby ich do obalenia komunistycznego dyktatora.

CIA odniosła jednak sukces odnajdując w Paryżu Rolando Cubela Secadesa, byłego towarzysza broni Fidela Castro. Jednakże po rewolucji ich drogi rozeszły się. Tak dalece, że Secades wyraził zgodę na przeprowadzenie zamachu.

W tym samym czasie Fidel Castro powiedział do korespondenta Associated Press:

Fidel Castro: Przywódcy Stanów Zjednoczonych powinni pomyśleć czy wspierając terrorystyczny plan usunięcia przywódców kubańskich - sami są bezpieczni.

Była to jawna groźba. Czyżby więc Secades był prowokatorem podsuniętym przez kubańskie tajne służby? CIA uznała, że nie i kontynuowała przygotowania do zamachu na Castro.

22 listopada 1963 roku Desmond Fitzgerald z CIA spotkał się z Secadesem w Paryżu i przekazał mu długopis, z którego wysuwała się zatruta igła.

W tym samym czasie John Kennedy wylądował na lotnisku w Dallas. Czyżby więc rzeczywiście kubańskie tajne służby były szybsze niż CIA?

Ten trop należy potraktować bardzo poważnie, jeżeli przyjmiemy, że za akcją Kubańczyków stały radzieckie tajne służby.

Specjalna komórka zajmująca się przeprowadzaniem zamachów istniała w radzieckiej tajnej policji politycznej od grudnia 1936 roku. W następnych latach przechodziła wiele reorganizacji. W 1954 roku, gdy powstał Komitet Bezpieczeństwa Państwowego KGB utworzono XIII Departament Pierwszego Zarządu.

W 1957 roku zabójca z KGB, Bogdan Staszinski, zamordował Lwa Rebeta, działacza organizacji ukraińskich nacjonalistów. W październiku 1959 roku Staszinski zabił innego działacza ukraińskiego, Stepana Banderę. Za ten czyn został udekorowany Orderem Czerwonego Sztandaru.

Dlaczego Nikita Chruszczow mógłby wydać rozkaz dokonania zamachu na prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Z kilku powodów. Kennedy złamał radziecką przewagę nuklearną, podejmując decyzję o szybkiej rozbudowie amerykańskiego arsenału rakietowego.

Chruszczow usiłował przeciwdziałać amerykańskiej przewadze, instalując rakiety balistyczne na Kubie. Jednakże w październiku 1962 roku Kennedy uniemożliwił realizację tego planu ogłaszając blokadę Kuby i to on zmusił Rosjan do zdemontowania wyrzutni na Kubie.

Chruszczow, którego polityka siły, jaką realizował od 1957 roku załamała się, mógł uznać, że jedynym wyjściem jest usunięcie prezydenta. Zamieszanie, jakie wówczas powstałoby, umożliwiłoby Związkowi Radzieckiemu odzyskanie pierwszeństwa.

Czyżby więc komisja Warrena ukrywała ten ślad, gdyż ujawnienie prawdy mogłoby mieć nieobliczalne skutki dla polityki międzynarodowej?

Od tego czasu minęło bez mała 40 lat, a wciąż nie znamy prawdy.

Zastanawiające jest, że sposób przygotowania i przeprowadzenia zamachu na Kennedy'ego, jest zadziwiająco podobny do zamachu na papieża Jana Pawła II. Wtedy władza w Związku Radzieckim była w rękach Leonida Breżniewa - człowieka, który obalił Nikitę Chruszczowa.

Rozdział 4 - Największy wróg Hitlera

Część I

Wielki czterosilnikowy Condor dotknął murawy lotniska pod Smoleńskiem. Towarzyszące mu myśliwce eskorty krążyły oczekując, aż samolot dojedzie do końca pasa i zawróci w stronę drewnianego hangaru, gdzie stała grupa oficerów. Dopiero wówczas wylądowały, kończąc swą służbę ochrony najważniejszego człowieka Trzeciej Rzeszy - Adolfa Hitlera. Był 13 marca 1943 roku.

Adolf Hitler zszedł po trapie, zgarbiony, wyraźnie zmęczony długą podróżą. Szybko przywitał się z feldmarszałkiem Güntherem von Kluge, dowódcą Grupy Armii "Środek", oraz oficerami jego sztabu i ruszył szybko do terenowego Mercedesa W131.

Był to specjalny samochód. Jego karoserię okrywał pancierz o grubości 8 mm, zaś szyby miały grubość 3 centymetrów, co zapewniało pasażerom wystarczającą ochronę przed pociskami karabinowymi. Dostarczenie tego samochodu na smoleńskie lotnisko nie wskazywało bynajmniej na obawę przed zamachem. Sześciokołowy pojazd dobrze się sprawdzał w terenie i Hitler zazwyczaj używał go w czasie wizytacji frontowych oddziałów. Tym razem samochód miał ocalić mu życie.

Wśród oficerów witających Hitlera na lotnisku stał admirał Wilhelm Canaris, szef wywiadu i kontrwywiadu wojskowego Abwehry oraz generał-major Hans Oster, szef sztabu Abwehry. Przylecieli tydzień wcześniej, 7 marca 1943 roku, aby osobiście koordynować i nadzorować zbieranie informacji wywiadowczych na temat wojsk radzieckich w rejonie Kurska. Prawdziwy cel ich obecności w Smoleńsku był jednak zupełnie inny.

Hitler z lotniska jechał wprost do kwatery dowódcy Grupy Armii, gdzie miała się odbyć konferencja. Całą drogę po obydwu stronach obstawili esesmani oraz żołnierze z kawaleryjskiego pułku "Mitte", dowodzonego przez podpułkownika von Boeselagera. Wśród nich byli zamachowcy gotowi zastrzelić Hitlera. Wiedzieli, że mercedes jest opancerzony i uznali, że muszą zaczekać, aż samochód zatrzyma się na podwórzu, a Hitler wysiądzie z niego, aby przejść do oddalonego budynku dowództwa.

Strzały miał oddać dowódca pierwszego szwadronu major König.

Gdy samochód Hitlera wjechał na podwórze, odpiął kaburę, gotów wyciągnąć pistolet, ale nagle stało się coś nieoczekiwanego. Kierowca zdecydował się podjechać tuż pod drzwi budynku i wielka bryła opancerzonego samochodu całkowicie zasłoniła wysiadającego führera. Zamach nie doszedł do skutku. Na razie.

W największej sali dowództwa Grupy Armii feldmarszałek Günther von Kluge poprowadził Hitlera do centralnego miejsca.

Ten odczekał chwilę, aż oficerowie zapełnią salę.

Hitler: Przed nami największa bitwa na Wschodzie. Jestem zadowolony ze stanu przygotowań, ale wynik tej decydującej bitwy zależy od was. Tysiąc kilometrów od granic

Trzeciej Rzeszy waży się los niemieckiego dzisiaj i jutra. Coraz więcej i więcej dywizji zmierza na front wschodni. Niezwykła broń, dotąd nieznana, jedzie do was.

Mimo zmęczenia mówił długo, przez ponad pół godziny starając się przekonać oficerów, że zwycięstwo w nadchodzącej bitwie pod Kurskiem jest przesądzone.

W rejonie tego miasta wielki front wschodni wybrzuszał się na zachód. Uderzenie niemieckich armii pozwoliłoby odciąć to wybrzuszenie i zamknąć w okrążeniu półtora miliona radzieckich żołnierzy. Armia Czerwona nie wytrzymałaby takiej straty i Niemcy mogliby odzyskać inicjatywę strategiczną utraconą po bitwie stalingradzkiej.

Tak planował Hitler, ale wielu najwyższych oficerów już mu nie wierzyło. Straszna klęska pod Stalingradem, gdzie zginęło 800 tysięcy Niemców i ich sprzymierzeńców, a 91 tysięcy żołnierzy i oficerów z całą 6. armią feldmarszałka Paulusa poszło do niewoli. Ta klęska zachwiała wiarą w führera. Ludzie, którzy od dawna przewidywali, że Hitler doprowadzi Niemcy do zguby, uznali, że nie mogą czekać. Zyskali ostateczny argument, że muszą zabić Hitlera, zanim doprowadzi on naród niemiecki do katastrofy. Jednym z oficerów, którzy tak właśnie myśleli, był feldmarszałek Günther von Kluge, który zgodził się na dokonanie zamachu na führera w jego kwaterze pod Smoleńskiem.

Po zakończonej konferencji Hitler przeszedł do sali jadalnej, gdzie przygotowano obiad. Zanim jednak sięgnął po sztućce, jego osobisty lekarz dr Theodor Morell nalał na swój talerz odrobinę zupy z wazy przygotowanej dla führera. Wyglądało tak, jakby manifestacyjne sprawdzał, czy nie została zatruta, lecz w istocie chodziło o coś innego. Dr Morell dbał, aby potrawy nie były zbyt słone lub korzenne, co mogło fatalnie odbić się na żołądku wymęczonego Hitlera.

Zamachowcy przystąpili do realizacji drugiego wariantu swojego planu.

Generał-major Henning von Trescow nachylił się do swojego sąsiada, pułkownika Heinza Brandta, i zapytał:

Trescow: Rano wylatujecie do Rastenburga?

Brandt: To zależy od führera, nie sądzę jednak, żeby zmienił plan. Istotnie, mamy wystartować rano.

Trescow: Drogi pułkowniku, mam do pana prośbę, chodzi o drobną przysługę. Otóż ciąży na mnie przegrany zakład z generałem-majorem Stieffem...

Brandt: Mam nadzieję, że nie założyliście się o wynik wojny.

Trescow: Wówczas stawka byłaby znacznie wyższa, a chodzi jedynie o dwie butelki koniaku. Czy zabrałby pan tę przesyłkę? Stieff dzwonił do mnie, że jest w Rastenburgu, dokąd pan jutro poleci.

Brandt: Panie generale, z przyjemnością wykonam tę misję.

Trescow: Dziękuję, butelki dostarczę na lotnisko.

Siedzący naprzeciw admirał Canaris nie dał po sobie poznać, jak bardzo jest zadowolony z wyniku tej rozmowy. On wiedział, że w paczce jest tylko jedna butelka koniaku. Druga była bombą w kształcie butelki. Sam przywiózł ją z Berlina. Tak, admirał Wilhelm Canaris, szef wywiadu i kontrwywiadu wojskowego, był największym wrogiem Hitlera, zdecydowanym zabić go, aby uratować Niemcy.

Następnego dnia, 14 marca 1943 roku, tuż przed startem samolotu ze smoleńskiego lotniska, generał von Trescow odszukał pułkownika Brandta.

Trescow: Mój adiutant, major von Schlabrendorff zaraz odda panu paczuszkę dla generała Stieffa. O, już jedzie...

Major Fabian von Schlabrendorff, widząc że Trescow daje mu znak, by przekazał butelki, wykonał ruch, którego nikt nie mógł zauważyć. Zgniół szklaną kapsułkę zapalnika. Od tego momentu kwas uwolniony z kapsułki zaczął przeżerać miedziany drut podtrzymujący sprężynę iglicy zapalnika. Po 30 minutach drut zerwałby się i sprężyna pchnęłaby iglicę, która uderzając w spłonkę spowodowałaby eksplozję.

Zapalnik był produkcji angielskiej, co prowadzącym śledztwo po katastrofie miało zasugerować, iż zamach został przygotowany przez brytyjskie służby tajne.

Brandt wziął paczkę i tuż za Hitlerem wsiadł do samolotu.

Oficerowie na lotnisku odsunęli się, gdy śmigła wielkiego samolotu zaczęły wirować.

Hitlerowi pozostało tylko pół godziny życia. Eksplozja powinna nastąpić, gdy samolot przelatywałby nad Mińskiem, a więc stamtąd powinna nadejść informacja o nagłej śmierci Führera.

Zbliżało się południe 14 marca 1943 roku. Admirał Wilhelm Canaris, generał Henning von Trescow i hrabia major Fabian von Schlabrendorff z niecierpliwością czekali na wiadomość o katastrofie samolotu, którym leciał Hitler. To oni przygotowali bombę i zamaskowaną, jako butelkę koniaku, przekazali oficerowi z otoczenia Hitlera, który nieświadom jej zawartości zabrał ją do kabiny samolotu.

Mijały kwadransy, a wiadomość nie nadchodziła. Wreszcie po dwóch godzinach zameldowano z Gierłozy, że samolot Führera szczęśliwie wylądował na miejscowym lotnisku.

Admirał Canaris powiedział wówczas do hrabiego Schlabrendorffa:

Canaris: Musi pan jak najszybciej lecieć do kwatery Hitlera i odebrać przesyłkę, zanim zorientują się co w niej jest. Jeżeli pan nie zdąży...

Nie musiał wyjaśniać, co groziło zamachowcom, gdyby nie udało im się przejąć wybuchowych butelek.

Fabian von Schlabrendorff miał szczęście. Odebrał bombę. W nocy w swoim pokoju w kwaterze w Wilczym Szańcu odwinął papier. Widział zgniecioną kapsułkę, z której wyciekł kwas solny. Kwas przepalił miedziany drut, który zwolnił sprężynę. Iglica dotykała spłonki,

ale wybuch nie nastąpił. Spłonka nie została zbита. Dlaczego? Bliższe oględziny pozwoliły zauważyć niewielką ilość wody. Tak, to mogło wyjaśniać brak reakcji na uderzenie iglicy.

Przewożący paczkę pułkownik Brandt oddał ją do ładowni samolotu. Panujące tam zimno spowodowało zamarznięcie wody, która skropliła się w zapalniku i lód utworzył powłokę, osłaniającą spłonkę przed spadającą iglicą lub spowolniła ruch iglicy do tego stopnia, że uderzenie było za słabe. Wybuch nie nastąpił.

Admirał Canaris poznał przyczyny, dla których bomba nie wybuchła, gdy wrócił do swojego gabinetu na piątym piętrze starej kamienicy przy Tirpitzuffer w Berlinie, gdzie mieściła się centrala Abwehry.

Powiedział wówczas do szefa swojego sztabu generała Hansa Oстера:

Canaris: Opatrzność znowu ocaliła führera. Mam jednak nadzieję, że pewnego dnia się zmęczy.

On, szef wywiadu i kontrwywiadu wojskowego, od wielu lat planował obalenie Hitlera.

Trudno powiedzieć, w którym momencie powziął takie postanowienie. Być może w grudniu 1934 roku zgodził się objąć stanowisko szefa Abwehry tylko dlatego, gdyż uważał, iż będzie mógł skutecznie przeciwdziałać planom Hitlera. Był bowiem przekonany, że naziści doprowadzą Niemcy do katastrofy. Planował więc nawiązanie tajnych kontaktów z Wielką Brytanią, aby po uzyskaniu poparcia rządu brytyjskiego dokonać rewolty w Niemczech i obalić Hitlera. W tym celu w 1936 roku wysłał do Wielkiej Brytanii specjalnego emisariusza.

Baron kapitan Robert Treeck twierdził, że jest Niemcem urodzonym na Łotwie, że walczył podczas I wojny światowej w kawalerii, że nienawidzi bolszewików, którzy zabrali jego rodzinny majątek, a jego postrzelili w szyję, gdy uciekał do Niemiec. W Wielkiej Brytanii wynajął luksusowy dom Luckington Manor, do którego przywiózł piękną chilijską konkubinę, baronową Violetę de Schroeders, konie, a także liczną służbę oraz wspaniałe kolekcje dreźnieńskiej porcelany i broni myśliwskiej.

Co najważniejsze: za parkanem okalającym jego posiadłość rozciągały się tereny należące do Sir Stewarta Menziesa, wysokiego urzędnika brytyjskich tajnych służb, późniejszego ich szefa.

Treeck i Menzies po raz pierwszy spotkali się w czasie przyjęcia w pałacu księcia Beauforta, wydanego na zakończenie wielkiego polowania.

Treeck: Jestem baron Robert Treeck. Jesteśmy sąsiadami, a dotychczas nie mieliśmy sposobności porozmawiać.

Treeck podszedł do Menziesa, gdy ten na chwilę został sam przy długim stole, zastawionym myśliwskimi potrawami.

Menzies: Tak, niezbyt często jestem w Londynie.

Treeck: To dobrze, że wreszcie się spotkaliśmy. Czy moglibyśmy porozmawiać?

Menzies: Słucham pana...

Treack: ...ale na osobności.

Zeszli do ogrodu i w czasie przechadzki pod starymi cedrami Treack wyłożył cel swojego pobytu w Anglii.

Treack: Mam do wypełnienia misję, którą przekazał mi osobiście Wilhelm Canaris. Tak, szef Abwehry Wilhelm Canaris. Mam działać jako łącznik w sprawach, które mogłyby dotyczyć was obydwu.

Menzies: Nie odrzucam wstępnej oferty i nie mam zamiaru utrudniać pana zadania w Anglii, pod warunkiem, że nie naruszy pan naszego prawa. Żegnaj pana i życzę dobrej zabawy.

To było wyraźne ostrzeżenie przed działalnością szpiegowską, ale również wstępne przyjęcie oferty Canarisa. Treack pozostał w Anglii jeszcze przez trzy lata. W lipcu 1939 roku wyjechał nagle, pozostawiając cały ogromny majątek. Już nigdy o nim nie słyszano. W każdym razie nie pod tym nazwiskiem.

Czy udało mu się doprowadzić do nawiązania kontaktów między Canarisem i rządem brytyjskim lub brytyjskimi tajnymi służbami? Rozwój wydarzeń zdaje się wskazywać, że tak, albowiem w 1938 roku, w szczycie kryzysu czechosłowackiego, gdy Europa szykowała się do wojny, Canaris wysyłał tajnych przedstawicieli do Londynu.

Informowali oni brytyjskich polityków, że opracowali plan obalenia Hitlera. Jednakże propozycje spiskowców nie zostały przyjęte. Premier rządu brytyjskiego Neville Chamberlain uważał, że usunięcie Hitlera doprowadziłoby do chaosu w Niemczech, co mógłby wykorzystać Stalin i wysłać swą wielką Armię Czerwoną na podbój Zachodu. Z drugiej strony Chamberlain był przekonany, że zaspokojenie żądań Hitlera i oddanie Niemcom kawałka Czechosłowacji usunie źródło napięć i zagwarantuje Europie pokój na długie lata.

Nadzieja spiskowców na obalenie führera i uratowanie Niemiec przed pogrążeniem się w wojnę przepadła ostatecznie po konferencji w Monachium w końcu września 1938 roku, gdy mocarstwa demokratyczne zgodziły się na przyłączenie do Niemiec części Czechosłowacji. Był to wielki triumf Hitlera. Naród ubóstwiał go. Canaris musiał odłożyć swoje plany.

3 września 1939 roku Hitler wyruszył z Berlina do Polski w pociągu Amerika. Był to najlepszy środek komunikacji, wyposażony we wszystkie wygody: salonkę, wagon kąpielowy, wagon restauracyjny i środki łączności. Führer mógł pozostawać w bezpośrednim sąsiedztwie frontu, co przyspieszało docieranie informacji o przebiegu walk, a ponadto na wypadek podjęcia przez wojska francuskie poważniejszych operacji mógł szybko przenieść się na front zachodni.

8 września dotarł do stacji Ilnau, na północny wschód od Opoła, i tam zatrzymał się na dłużej. Do tego miejsca zmierzał też Canaris, który odbył dwudniową inspekcję na terenach zajmowanych przez wojska niemieckie. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim. Nie wyobrażał sobie, że dowódcy Wehrmachtu mogą wydawać rozkazy mordowania ludności cywilnej. Od oficerów Abwehry, którzy towarzyszyli niemieckim wojskom, napływały raporty o masowych egzekucjach wykonywanych przez specjalne oddziały SS i Gestapo.

Gdy dojechał do pociągu Hitlera, skierowano go do wagonu generała Wilhelma Keitla, gdyż führer był zajęty.

Canaris: Generale Keitel, mam informacje, że w Polsce planuje się masowe egzekucje!

Canaris był wyraźnie poirytowany.

Canaris: Represje mają objąć członków polskich rodzin szlacheckich, biskupów rzymskokatolickich i księży. Czuję się zobowiązany przedstawić słowa ostrzeżenia. Za takie okropności świat będzie winił Wehrmacht, nawet jeżeli tylko przymknie oczy na te niesłychane okrucieństwa.

Generał Wilhelm Keitel był wyraźnie zaskoczony niekonwencjonalnym zachowaniem Canarisa.

Keitel: Gdybym był na pańskim miejscu, panie Canaris, nie mieszałbym się do tych spraw. To jest decyzja samego führera. Führer powiedział generałowi von Brauchitschowi, że jeżeli Wehrmacht nie będzie chciał mieć nic wspólnego z tymi... "rzeczami" to pozostawi je Gestapo i SS, aby je wykonały.

Canaris usiadł na stołku przy oknie. Zdawał sobie sprawę z tego, co oznacza ujarzmianie podbitego narodu, jednakże mógł uważać, że będzie to miało charakter ograniczeń policyjnych i eliminacji wrogów politycznych, jak stało się po zajęciu Austrii i Czech, a nie ludobójstwa.

W pewnym momencie Keitel odwrócił się raptownie w stronę drzwi.

Keitel: Führer!

Do salonki wszedł Adolf Hitler w otoczeniu kilku adiutantów.

Hitler: Och, admirał Canaris! Nie spodziewałem się pana tutaj zastać. Dobrze, że pan jest, gdyż muszę uzyskać nieco więcej danych na temat działań wojsk francuskich. Czy pan się źle czuje?

Canaris: Nie, nie. To chwilowa niedyspozycja. Raport w sprawie planów dowództwa francuskiego powinien być już gotowy. Nie spodziewamy się większej ofensywy w kierunku Saary.

Hitler: Tak myślałem. Panowie, wkrótce spotkamy się na defiladzie w Warszawie. A pan niech się szybko leczy. Będzie mi pan potrzebny.

26 września Hitler powrócił do Berlina, kończąc podróż po Polsce. Teraz nurtowała go inna myśl: należy jak najszybciej skierować Wehrmacht po nowe zwycięstwo. Następnego dnia o godzinie 17.00 w gabinecie w Kancelarii Rzeszy stawili się najwyżsi dowódcy.

Hitler: Zwycięska kampania w Polsce zmieniła pozycję Niemiec w świecie. Wielkie mocarstwa widzą w nas ogromne niebezpieczeństwo, a kampania wojenna w Polsce powiększyła jeszcze ich strach i respekt.

Mówił, że czas pracuje na korzyść wrogów. Za pół roku Anglicy i Francuzi, obserwując przebieg walk w Polsce, rozbudują lotnictwo i broń pancerną i staną się silniejsi niż Niemcy. Błędem byłoby zwlekać z ofensywą na Zachodzie.

Hitler: Atak powinien być przeprowadzony między 20 a 25 października. Jesienna pogoda nie będzie miała większego znaczenia dla operacji bojowych, gdyż decydujące będą pierwsze trzy, cztery dni. Wtedy Wehrmacht uzyska decydującą przewagę strategiczną i szybko dojdzie do kanału La Manche. W wyniku tej operacji Wielka Brytania będzie musiała wystąpić z propozycją zawarcia pokoju, oczywiście na warunkach, jakie podyktują Niemcy.

Najwyżsi niemieccy dowódcy nie zgadzali się z Hitlerem. Co prawda Wehrmacht nie poniósł w Polsce dużych strat, jednakże przygotowanie nowej wyprawy wojennej - i to przeciwko dwóm mocarstwom - wymagało więcej czasu. Ponadto nie podzielali optymizmu Hitlera, że pogoda nie będzie miała wpływu na działania wojenne. Plan rzucenia wojsk do boju późną jesienią przywodził niemieckim oficerom wspomnienia krwawych bitew I wojny światowej, gdy armie tonęły w błocie, a artyleria zbierała straszliwe żniwo.

Spiskowcy z Canarisem na czele mogli więc liczyć na poparcie najwyższych dowódców zaniepokojonych planami rozpoczęcia wojny, do której Wehrmacht nie był przygotowany.

Wydawało się, że tym razem nie będą mieli trudności w zawarciu porozumienia z rządami mocarstw demokratycznych, skoro uprzedzą je o planach uderzenia na Belgię i Francję.

Canaris postanowił skorzystać z pośrednictwa Watykanu i jako swojego wysłannika wybrał dr Josepha Müllera, prawnika i działacza katolickiego z Monachium, który ze względu na sympatię i szacunek, jakim darzył go papież Pius XII, mógł być pomocny w nawiązaniu kontaktów z Brytyjczykami.

Müller bezzwłocznie wyruszył do Rzymu, gdzie w ogródku przy kaplicy na via Appia spotkał się z monsigniore Kaasse, duchownym, który miał stały dostęp do papieża. W połowie października 1939 roku wrócił do Berlina i zameldował się w gabinecie Canarisa. Powiedział triumfalnie:

«Jego Świątobliwość, słysząc o naszej propozycji, zaakceptował ją ze słowami niemiecka opozycja musi być słyszana w Brytanii».

Papież dotrzymał słowa i zaaranżował spotkanie z brytyjskim ambasadorem w Watykanie, które miało się odbyć w jego apartamentach 27 października 1939 roku. Müller wyruszył w drogę, nie przeczuwając, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. On, człowiek wielkiej prawości i odwagi, nie był dobrym konspiratorem. Wybrał jako pomocnika doktora Hansa Etscheita - człowieka równie prawego, lecz stanowczo zbyt gadatliwego.

Etscheit spotkał przypadkowo w Bazylei zakonnika Hermanna Kellera, którego znał od kilku lat. Podejrzewając, że braciszek nie ma grosza przy duszy, zaprosił go na kolację.

Tego wieczora długo siedzieli opróżniając wiele butelek wybornego wina, z którego słyneła mała knajpka na wzgórzu przy kościele. To zapewne sprawiło, że Etscheit zapomniał o nakazie trzymania się na baczności. Powiedział w pewnym momencie:

Etscheit: Możemy przyjąć, że dni Hitlera są już policzone. Właśnie teraz, gdy mu sobie tu popijamy to całkiem niezłe wino, w Watykanie dzieją się sprawy wielkiej wagi.

Keller: A cóż Stolica Apostolska może wiedzieć o naszych niemieckich sprawach?

Etscheit: Ogromnie wiele. Właśnie teraz w Watykanie trwają negocjacje nad zorganizowaniem zamachu stanu.

Keller: Ależ to niemożliwe. W policyjnym państwie, jakim pod rządami tej bandy zbirów stały się Niemcy, nie można usunąć führera

Etscheit: Dr Müller jest w tej chwili w Watykanie i prowadzi negocjacje z Brytyjczykami.

Keller znał dr Josepha Müllera i nienawdził go z całego serca, gdyż przed laty spotkali się w klasztorze Beuron nad Dunajem. Tam Keller usiłował zająć miejsce opata Rafaela Walsera. Posłużył się fałszywym oskarżeniem o zdefraudowanie klasztornych pieniędzy. Wydawało się, że bezczelna gra zakończy się jego zwycięstwem Kellera, ale przełożony zakonu benedyktynów oddał sprawę do zbadania... dr Josephowi Müllerowi. Śledztwo wykazało niewinność opata. Keller został skazany na wygnanie na górę Synaj. Zapewne tam, gdzie zaprzyjaźnił się z wielkim muftym Jerozolimy, pozostającym na usługach Abwehry i Służby Bezpieczeństwa SS, podjął współpracę z Canarisem i Heydrichem.

Po rozmowie w restauracji w Bazylei Keller natychmiast powrócił do Niemiec i zgłosił się w Stuttgarcie do tamtejszej placówki Służby Bezpieczeństwa, Sicherheitsdienst, podlegającej Heydrichowi, gdzie złożył raport.

Był jednak na tyle lojalny wobec Abwehry, że również tam zameldował o rozmowie z Etscheitem.

Zguba zawisła nad głowami spiskowców, ale Wilhelm Canaris znalazł wyjście. Kazał zanotować oświadczenie Müllera, jakoby przed wojną dowiedział się o knowaniach niemieckich generałów Wernera von Fritscha i Waltera von Reichenaua.

To było znakomite posunięcie, godne wielkiego gracza, jakim był Canaris. Pierwszy z wymienionych, generał von Fritsch, zginął 22 września pod Warszawą, zaś generał Reichenau był oficerem, którego Hitler darzył szczególnym zaufaniem i szacunkiem.

Kilka dni później Canaris z tym raportem stawił się w gabinecie Hitlera.

Canaris: Mein Führer, przyszedłem ze sprawą wielkiej wagi. Otrzymałem raport od jednego z moich najlepszych agentów o działaniach naszych wysokich oficerów, którzy zamierzali nie dopuścić do wybuchu wojny.

Hitler: Proszę mi to pokazać.

Canaris: Muszę jednak zaznaczyć, że śledztwo jakie w tej sprawie prowadzą Abwehra oraz SD nie przyniosło jeszcze ostatecznych rezultatów.

Hitler nie opowiadał, zatopiony w lekturze dokumentu, nagle rzucił kartki na biurko.

Hitler: Nonsens!

Canaris wiedział, że był to moment, w którym Hitler przeczytał w raporcie nazwisko Reichenau. Bez słowa zsalutował i wyszedł z gabinetu.

Tego wieczora poszedł do Reinharda Heydricha.

Canaris: Wyobraź sobie, byłem dzisiaj u Führera. Sądziłem, że przychodzę z bardzo poważną sprawą w postaci raportu od dr Josepha Müllera, jednego z moich najlepszych agentów w Watykanie. Raport ten dotyczył planów wojskowego zamachu stanu. Führer nie zdążył nawet doczytać do końca, gdy rzucił papiery na biurko krzycząc "Bzdura!".

Czy Heydrich zdał sobie sprawę, że Canaris go przechytrzył? Zapewne. Rozumiał, że sprawa Müllera wymknęła mu się z rąk i nie będzie mógł jej wykorzystać jako dowodu przeciwko Canarisowi. Nie mógł przecież pójść do Hitlera i poinformować o spisku, który wcześniej Führer ocenił jako bzdurę. Ośmieszyłby się.

Jednakże porażka nie zrobiła na nim większego wrażenia. On miał w ręku inne atuty. Liczył, że tym razem wygra. Rozpoczęła się decydująca walka. Jeden z nich, Canaris lub Heydrich, musiał zginąć...

Część II

Admirał Wilhelm Canaris, szef wywiadu i kontrwywiadu wojskowego Abwehry chciał zabić Hitlera, gdyż uważał, że jego polityka doprowadzi Niemców do zguby. Nie był jednak szalonym anarchistą myślącym jedynie o usunięciu znenawidzonego tyrana. Musiał przewidzieć, co stanie się po śmierci Hitlera. Czy mocarstwa demokratyczne, Wielka Brytania i Francja, nie wykorzystają chaosu i nie zajmą Niemiec?

Uznał więc, że zanim przygotuje zamach, musi najpierw nawiązać kontakt z rządem brytyjskim i wynegocjować warunki zawarcia pokoju po śmierci Hitlera. Dlatego już od 1936 roku wysyłał do Londynu tajnych emisariuszy. Ta działalność Canarisa nie uszła uwadze jego największego wroga Reinharda Heydricha.

Jeżeli o kimś można byłoby powiedzieć "diabeł", to właśnie o tym człowieku. Nadzwyczajnie przebiegły, bezwzględny i okrutny robił szybką karierę w hitlerowskiej służbie bezpieczeństwa.

Zaczął się to w 1931 roku, gdy spotkał się z Heinrichem Himmlerem, szefem SS - gwardii przybocznej Hitlera. 27-letni Heydrich, były porucznik marynarki, nie miał pracy, gdyż decyzją sądu honorowego został usunięty z korpusu oficerskiego za odmowę poślubienia uwiedzionej córki dyrektora stoczni.

Zrobił bardzo dobre wrażenie na Himmlerze, który z racji swoich swych homoseksualnych skłonności chciał mieć w swoim otoczeniu wysmukłych mężczyzn o blond włosach. Równie spodobał się Himmlerowi projekt zorganizowania wywiadu SS, przedstawiony przez Heydricha. Zaangażował go do pracy w służbie bezpieczeństwa - Sicherheitsdienst.

Wkrótce spodobał się również Hitlerowi, który w 1934 roku rozpoczął walkę z partyjną opozycją i najpotężniejszym wrogiem, kapitanem Ernstem Röhmem, dowódcą wielkiej

paramilitarnej organizacji SA.

Heydrich osobiście opracował plan osaczenia przez oddziały SS, wierne Hitlerowi największych oddziałów SA w różnych częściach Niemiec. Akcja, która przeszła do historii pod nazwą "noc długich noży" została przeprowadzona bardzo sprawnie. Nad ranem 30 czerwca 1934 roku esesmani wyciągnęli z łóżek pijanych dowódców SA i większość z nich rozstrzelali. Podobny los spotkał działaczy partyjnych, niechętnych führerowi.

W ten sposób Hitler pozbył się groźnych wrogów i przejął całkowitą kontrolę nad państwem. Była w tym duża zasługa Reinharda Heydricha, który w nagrodę otrzymał awans do stopnia SS-Gruppenführera.

Wielka kariera byłego oficera marynarki nabierała rozmachu. W następnych latach obejmował coraz wyższe stanowiska w aparacie bezpieczeństwa Rzeszy.

Ostateczny triumf Heydricha nastąpił 27 września 1939, roku gdy Hitler powierzył mu kierowanie utworzonym wówczas Głównym Urzędem Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA). W jego ręku zbiegły się wszystkie nici aparatu bezpieczeństwa.

Nic więc dziwnego, że Heydrich szybko dowiedział się o działaniach Wilhelma Canarisa przygotowującego obalenie Hitlera. Nie mógł jednak aresztować szefa wywiadu wojskowego ani nawet oskarżyć go przed Hitlerem nie mając żelaznych dowodów zdrady. A Canaris był sprytny. Znakomicie unikał wszelkich zasadzek Heydricha. Do czasu.

W październiku 1939 roku agenci Służby Bezpieczeństwa odkryli, że wysłannicy Canarisa prowadzą w Watykanie tajne negocjacje z przedstawicielami rządu brytyjskiego. Heydrich, który nieraz już przegrał pojedynki z szefem Abwehry, tym razem zdecydował się zaatakować go jego własną bronią i podsunąć Brytyjczykom swoich ludzi jako spiskowców Canarisa. Prowadzenie tej akcji zlecił najzdolniejszemu podwładnemu: Waltherowi Schellenbergowi, szefowi wywiadu Służby Bezpieczeństwa SS. Schellenberg nie zawiódł nadziei szefa. Brytyjczycy wpadli w jego pułapkę.

20 października 1939 roku w nadgranicznym holenderskim miasteczku Dinxperloo spotkali się czterej mężczyźni: dwaj wysłannicy brytyjskich tajnych służb i dwaj Niemcy, którzy przedstawili się jako pułkownik Seydlitz i pułkownik Grosch.

Brytyjczycy popełnili pierwszy błąd: uwierzyli w tożsamość tych ludzi. W rzeczywistości mieli przed sobą dwóch esesmanów: Walthera Schellenberga i jego przyjaciela z kliniki SS doktora Maxa Crinisa. Ci oświadczyli, że są wysłannikami generała von Wietersheima, jednego z szefów antyhitlerowskiej opozycji.

Rzeczywiście generał Gustaw von Wietersheim był dowódcą XIV korpusu pancernego i choć w Londynie nie wiadano nic o jego powiązaniach z opozycją antyhitlerowską, ekspert do spraw Wehrmachtu uznał, że można przyjąć - iż jako członek starej kadry oficerskiej jest przeciwny Hitlerowi. W ten sposób wywiad brytyjski popełnił drugi błąd.

Trzeci błąd był jednak najważniejszy i najbardziej brzemienny w skutkach.

Wywiad brytyjski wysłał do prowadzenia negocjacji z rzekomymi spiskowcami dwóch

wysokich funkcjonariuszy: majora Payne'a Besta i kapitana Henry'ego Stevensona. Oni wiedzieli bardzo dużo o brytyjskich siatkach wywiadowczych w Europie i tajnych negocjacjach, a wkrótce mieli znaleźć się w katowni Gestapo.

Heydrich nie miał jednak zamiaru aresztować ich. Negocjacje rozwijały się doskonale, a Brytyjczycy nabierali coraz większego zaufania do fałszywych spiskowców. Przekazali im nawet radiostację oraz szyfry, za pomocą których rzekomi spiskowcy mieli utajniać meldunki nadawane do Londynu. Jednakże historia dokonała nagłego zwrotu.

Wieczorem 8 listopada Walther Schellenberg położył się spać wcześniej. Musiał być wypoczęty i w pełni sił przed kolejnym spotkaniem z brytyjskimi wysłannikami, co miało nastąpić nazajutrz.

Telefon zabrzmiał tuż po północy. To musiało być coś ważnego i niespodziewanego.

Schellenberg: Schelleberg, słucham...

Himmler: Mówi Himmler, wieczorem koło ósmej był zamach na życie führera. Bomba wybuchła, gdy führer skończył przemawiać do starej gwardii partyjnej w Bürgerbräukeller w Monachium. Kilku starych towarzyszy partyjnych zostało zabitych, a uszkodzenia są całkiem duże. Nie ma wątpliwości, że za tym kryją się brytyjskie tajne służby. Hitler mówi - i to jest rozkaz, - że gdy spotka się pan z brytyjskimi agentami, ma pan ich aresztować i natychmiast przywieźć do Niemiec.

Schellenberg zdawał sobie sprawę, że uprowadzenie Brytyjczyków przerwie nadzwyczajną ważną grę, ale słowa Himmlera nie pozwalały na jakąkolwiek dyskusję.

Schellenberg: Tak jest, wykonam rozkaz.

Zamach, o którym mówił Himmler, przygotowywany był od dawna, od kwietnia 1939 roku. Miał go dokonać jeden człowiek: stolarz Georg Elser, komunista przekonany, że musi uwolnić Niemcy i świat od tyrana. Wybrał starą piwiarnię w Monachium, gdzie każdego roku 8 listopada Hitler przybywał, aby celebrować rocznicę puczu z 1923 roku, gdy po raz pierwszy usiłował przejąć władzę. Poza tym dniem piwiarnia była otwarta dla publiczności i nie strzeżona, co stwarzało dogodną okazję do podłożenia bomby. Zwrócił na to uwagę szef monachijskiej policji, von Eberstein, który na początku listopada zameldował się u Hitlera.

Eberstein: Mein Führer, przychodzę zaniepokojony stanem bezpieczeństwa w Bürgerbräukeller. Chodzi o pana bezpieczeństwo.

Hitler: W czasie tego wiecu strzegą mnie starzy bojowcy, którym przewodzi Christian Weber. Odpowiedzialność policji kończy się przed wejściem do Bürgerbräukeller. Czy ma pan jeszcze jakieś uwagi?

W ocenie starego policjanta, bojowcy, jak ich określił Hitler - dowodzeni przez SS-Brigadeführera Christiana Webera - źle wypełniali swoje obowiązki. Co prawda strzegli wejścia do piwiarni, ale nie przeszukiwali wnętrza przed przybyciem Hitlera. Ten jednak nie dał szansy przedstawienia zarzutów, tak więc von Eberstein skłonił się i wyszedł bez słowa.

Elser już był gotów.

Przez wiele tygodni przychodził do piwiarni i siedząc nad kuflem piwa obserwował zachowanie obsługi i zwyczaje gości.

Pewnej nocy ukrył się na zapleczu, tam doczekał chwili, aż kelnerzy zamkną lokal. Wrócił wówczas na salę. Do rana wycinał otwór w panelu obejmującym kolumnę. Uznał bowiem, że zamontowanie tam bomby i wysadzenie filaru spowoduje zawalenie całej piwnicy. Nie mylił się.

Pracował tak przez 30 nocy. Wybił w filarze wnękę, którą obłożył korkiem, aby wyciszyć tykanie mechanizmu zegarowego. Do budowy bomby użył materiału wybuchowego, jaki wykradał z firmy, w której pracował, oraz trzech zegarków. Przerobił je w ten sposób, że miały spowodować wybuch po trzech dniach.

W nocy 5 listopada 1939 roku ukrył w filarze bombę zegarową nastawioną na eksplozję 8 listopada o godzinie 21.20, z dokładnością do 15 minut. Powrócił w nocy 7 listopada, aby sprawdzić, czy mechanizm działa dobrze. Wszystko było w porządku. Nawet przytykając ucho do panelu okrywającego filar nie można było usłyszeć tykania.

Następnego dnia, 8 listopada o godzinie 18.00, tłum zaczął wypełniać piwiarnię. Przybyli najwyżsi urzędnicy nazistowskiego państwa: szef SS Heinrich Himmler, minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop, minister propagandy Joseph Goebbels oraz trzy tysiące starych bojowców.

Hitler wszedł do piwiarni Bürgerbräukeller o 20.07. Pięć minut później rozpoczął przemówienie, które zakończył o 21.08. Następnie szybko pożegnał się ze starymi towarzyszami partyjnymi i pospieszył na dworzec, gdzie czekał na niego specjalny pociąg.

Bomba eksplodowała o 21.30. Wybuch i walący się strop piwnicy zabiły osiem osób i raniły sześćdziesiąt. Führer dowiedział się o próbie zamachu na jego życie dopiero, gdy pociąg zatrzymał się w Norymberdze. Powiedział wówczas:

Hitler: Teraz jestem zadowolony. Fakt, że wyszedłem wcześniej niż zwykle, dowodzi, iż opatrność chce, abym osiągnął swój cel!

Rzeczywiście, zawdzięczał życie wyjątkowemu zbiegowi okoliczności, gdyż nigdy dotąd nie kończył przemówienia w piwiarni przed 22.00. Było to tak dziwne, że uważano, iż zamach został przygotowany na polecenie Hitlera, który chciał zdobyć argumenty propagandowe przeciwko rządowi brytyjskiemu. Dzisiaj już wiemy, że tak nie było, a przyczyną szybszego opuszczenia zgromadzenia w piwiarni była pogoda.

Początkowo bowiem Hitler miał odlecieć z Monachium samolotem następnego dnia rano. Silna mgła postawiła ten plan pod znakiem zapytania, führer zdecydował się więc wracać pociągiem, którego odjazd zaplanowano na 21.31. Wcześniej zakończył przemówienie, aby mieć czas na przejazd ulicami Monachium na dworzec.

Sam Hitler uznał, że zamach został przygotowany przez brytyjskie tajne służby. Przestraszył się. Może podejrzewał, że wybuch miał związek z tajnymi negocjacjami Schellenberga. Dlatego kazał natychmiast przerwać tę grę, którą Schellenberg prowadził jako tajny spiskowiec.

O świcie 9 listopada 1939 roku z Düsseldorfu wyruszyła w stronę granicy holenderskiej grupa esesmanów, którymi dowodził Alfred Naujocks. To do niego należało kierowanie operacją mającą na celu schwytanie i porwanie alianckich agentów, którzy o godzinie 14.00 mieli stawić się w Café Bacchus w nadgranicznej holenderskiej miejscowości Venlo.

Walther Schellenberg oraz Max Crisnis przeszli przez granicę i usiedli na tarasie kawiarni. Mieli dać sygnał esesmanom ukrytym w trzech czarnych mercedesach po niemieckiej stronie granicy.

Osiem minut po czternastej w wąskiej uliczce pojawił się niebieski samochód. Siedziało w nim czterech mężczyzn: Best, Stevens, holenderski agent porucznik Klop oraz kierowca. Jechali wolno, bacznie obserwując ulicę. Nie dostrzegli jednak nic podejrzanego i zatrzymali się przed kawiarnią. I w tym momencie, na znak Schellenberga, z niemieckiej strony ruszyły mercedesy. Esesmani zaczęli strzelać w powietrze, by zmusić holenderską straż graniczną do zejścia im z drogi. Pasażerowie niebieskiego samochodu zorientowali się w zamiarach Niemców, ale na ucieczkę było już za późno. Mercedes Naujocksa zatarasował im drogę, a esesmani zakuli w kajdanki Besta i Stevensa i zaczęli ciągnąć ich w stronę swojego auta.

Naujocks dostrzegł jak Klop, który ukrył się za samochodem, wyciąga pistolet. Był jednak szybszy i trafił śmiertelnie holenderskiego agenta.

Mercedes z porwanymi nie mógł zawrócić w wąskiej uliczce, tak więc na wstecznym biegu ruszył do niemieckiej granicy i po kilkunastu sekundach znalazł się w bezpiecznej dla siebie strefie.

Jeszcze tego samego dnia przewieziono Besta i Stevensa do kwatery Gestapo na Prinz Albrechtstrasse w Berlinie. Tam zdradzili wiele tajemnic brytyjskiego wywiadu. Prawdopodobnie Stevens, który wiedział więcej od Besta, podał nazwiska swoich szefów z Londynu, a także rezydentów w Zachodniej i Środkowej Europie i wielu agentów brytyjskich w Niemczech. Co jeszcze ujawnili aresztowani brytyjscy oficerowie? Nie wiadomo, czy znali nazwiska niemieckich generałów prowadzących działalność spiskową przeciwko Hitlerowi i co wiedzieli o Canarisie. Jeżeli nawet zeznali, że działał on przeciwko Hitlerowi, to był to zbyt słaby dowód, aby Heydrich mógł na tej podstawie uzyskać zgodę führera na aresztowanie szefa Abwehry. Pozostawało mu jedynie efektownie zamknąć wielką operację, która mogła zaprowadzić go bardzo daleko, a którą przerwał rozkaz Hitlera.

W Sylwestra 1939 roku Stewart Menzies, który dwa miesiące wcześniej objął stanowisko szefa wywiadu, otrzymał depezę nadaną przez Schellenberga za pomocą radiostacji, którą w czasie spotkania w Holandii Stevens i Best przekazali Niemcom:

"Negocjacje, jakkolwiek długo by nie trwały, z zarozumiałymi i głupimi ludźmi są nudne. Dlatego zapewne rozumiecie, że przerywamy je. Załączamy serdeczne pożegnania od waszej kochającej niemieckiej opozycji. Gestapo."

Dla Wilhelma Canarisa porażka brytyjskich tajnych służb oznaczała ogromne utrudnienie w dalszych kontaktach. Było oczywiste, że Londyn będzie doszukiwał się podstępu i nie uwierzy żadnemu z jego wysłanników. Chyba, że znalazłby kogoś szczególnie wiarygodnego. Pierwszy warunek: nowy emisariusz nie mógł być Niemcem. Canaris miał już kandydata.

Na początku listopada 1939 roku w Polsce Niemcy zorganizowali dla dyplomatów z państw neutralnych pokaz pola bitwy nad Bzurą. Był tam również admirał Wilhelm Canaris. Jadąc samochodem zauważył kobietę znaną z Berlina. Halina Szymańska, żona polskiego attaché wojskowego. Spotykał ją na przyjęciach dyplomatycznych, gdzie zwracała uwagę swoją urodą. Kazał kierowcy zatrzymać się i wysiadł z samochodu:

Canaris: Widywaliśmy się w Berlinie w różnych ambasadach. Co pani tutaj robi?

Szymańska: Poszukuję szwedzkiego attaché wojskowego. Mam bowiem nadzieję, że może coś wiedzieć o losie mojego męża pułkownika Antoniego Szymańskiego, polskiego attaché wojskowego z Berlina...

Canaris: Ja też mogę pani pomóc. Gdzie pani mieszka?

Szymańska: Zatrzymałam się u rodziny w Poznaniu

Canaris: proszę podać adres mojemu kierowcy. Dzisiaj wieczorem przyślę po panią samochód.

Szymańska nie zdawała sobie sprawy, jakie stanowisko zajmuje Canaris, lecz wierzyła, że tak wysoki oficer może pomóc jej w odnalezieniu męża. Nie wiedziała bowiem, że 12 września 1939 roku płk Szymański powrócił do Warszawy w ramach wymiany dyplomatów i został odkomenderowany na wschód Polski. Tam dostał się do niewoli radzieckiej. NKWD usiłowało namówić go do współpracy, ale wobec zdecydowanej odmowy został odesłany do obozu jenieckiego w Starobielsku, co oznaczało wyrok śmierci. Miał jednak na tyle szczęścia, że nie został rozstrzelany, lecz w 1942 roku z armią Andersa opuścił Związek Radziecki.

Canaris, tak jak obiecał, przysłał samochód po Halinę Szymańską i spotkał się z nią w dawnym niemieckim konsulacie w Poznaniu. Gdy usiedli w saloniku, powiedział:

Canaris: Niewiele mogłem się dowiedzieć o pani mężu. Nie ma go już w Berlinie, gdyż została dokonana wymiana dyplomatów. Można mieć tylko nadzieję, że udało mu się przedostać do któregoś z państw neutralnych. Co do pani, to nie radzę wracać do Warszawy. Gestapo zna pani nazwisko i bez wątpienia już pani szukają. Powinna pani wyjechać do Szwajcarii.

Szymańska: Nie będzie mnie na to stać... Jak przejadę przez granicę?

Canaris: Mogę się zobowiązać do najdalej idącej pomocy. Przyjedzie po panią mój oficer i zawiezie panią do Berlina. Później - dalej, do Szwajcarii. Tam będzie pani bezpieczna

Szymańska: Jestem tutaj, w Poznaniu, z dziećmi.

Canaris: To oczywiste, że pojedą z panią. Samochód będzie na was czekał.

Szymańska: Dlaczego pan mi pomaga? Przecież to może być dla pana niebezpieczne...

Canaris: Przez tysiąc lat ludzkość nie zapomni tego, co Hitler teraz robi...

Nie mógł ujawnić swoich zamiarów. Było na to za wcześnie.

W drugiej połowie grudnia 1939 roku Halina Szymańska wraz z trzema córkami dojechała do Berlina i tam zamieszkała u hiszpańskiej rodziny, wskazanej przez Canarisa. Po kilku dniach pojechała do Düsseldorfu, a stamtąd samochodem, w towarzystwie niemieckiego oficera, do szwajcarskiej granicy. Tuż przed Bożym Narodzeniem zgłosiła się do polskiego poselstwa w Bernie. W dalszym ciągu nie wiedziała, kim jest Canaris.

Tam opisała swoje przygody kapitanowi Szczęsnemu Chojnackiemu, nowemu szefowi ekspozytury polskiego wywiadu w Bernie. Ten aż podskoczył słysząc nazwisko Canarisa. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak duże to ma znaczenie.

Tuż po świętach 1939 roku pojechał z Haliną Szymańską do Paryża, gdzie odbyli rozmowę z pułkownikiem Tadeuszem Wasilewskim, nowym szefem polskiego wywiadu oraz generałem Kazimierzem Sosnkowskim, kierującym z Paryża podziemną organizacją Związek Walki Zbrojnej.

Halina Szymańska otrzymała wówczas rozkaz kontynuowania kontaktów z Canarisem i przedstawienia całej sprawy brytyjskiemu Secret Intelligence Service. Polacy słusznie oceniali, że Canarisowi chodziło o nawiązanie kontaktu, a udział w całej grze Haliny Szymańskiej dawał naszemu wywiadowi wgląd w tajną grę dwóch mocarstw. Dlatego po powrocie do Berna Polka zgłosiła się do hrabiego Fredericka van Hauvela, rezydenta brytyjskiego wywiadu i zaproponowała współpracę. Centrala w Londynie szybko zaakceptowała tę ofertę. W dalszym ciągu pozostawała pracownikiem polskiego wywiadu. W 1942 roku przyjęła pseudonim "Krzywda".

Canaris skontaktował się z Haliną Szymańską dwukrotnie. Po raz pierwszy przyszedł do jej mieszkania w Bernie na początku stycznia 1940 roku. Wspominał wówczas o niemieckich planach wojny z Francją. Zapewne wiedział, że jego słowa dotrą do Londynu.

Następne spotkanie odbyło się w końcu stycznia w Mediolanie. To było bezpieczniejsze miasto niż Berno, gdzie funkcjonowały ekspozytury wszystkich walczących państw, a szczególnie aktywna była Służba Bezpieczeństwa Heydricha. Przyjeżdżając do Mediolanu Canaris oddawał się pod opiekę swojego przyjaciela generała Cesare Amé, szefa włoskiego wywiadu wojskowego SIM.

Canaris i Szymańska spotkali się sali restauracji hotelowej.

Canaris: Istnieją powody najwyższej wagi, dla których różne informacje dotyczące Niemiec powinny być przekazywane na Zachód. Jednakże ja osobiście nie mogę ich przekazywać. Jestem zbyt dobrze znany i w pewnym momencie nasze kontakty stałyby się nazbyt niebezpieczne. Mogłoby to prowadzić do złamania tajemnicy, co pociągnęłoby za sobą straszne skutki. Nie chodzi o kilkadziesiąt osób, które mogłyby stracić życie, lecz o wielką akcję, która może przyspieszyć koniec tej okropnej wojny. Odtąd wiadomości będzie przekazywać Hans-Bernd Gisevius. Bardzo łatwo go poznać, gdyż ma dwa metry wzrostu i twarz dziecka. Proszę mieć do niego pełne zaufanie.

Prawdopodobnie Halina Szymańska i Wilhelm Canaris nie spotkali się już nigdy.

Tymczasem w styczniu 1940 roku historia dokonała raptowny zwrot, co mogło mieć ogromny wpływ na plany Canarisa i doprowadzić do upadku Hitlera, a to za sprawą pustego baku samolotu.

Pilot łącznikowego samolotu Messerschmitt Bf 108 Tajfun, major Erich Hoenmans, usiłował wypatrzeć jakikolwiek znak na ziemi, który pozwoliłby mu określić położenie. Nadaremnie. Gęsta mgła zakrywała wszystkie punkty orientacyjne. Siedzący obok major Reinberger też był zaniepokojony sytuacją, choć nie do końca zdawał sobie sprawę z tego jak była trudna. **Reinberger:** Może lecieć niżej. Może nad ziemią mgła będzie rzadsza i coś dostrzeżemy.

Pilot: Ryzykowne! Tu, w Zagłębiu Ruhry, co kawałek jest komin albo linia wysokiego napięcia. Ale to nie wszystko, panie majorze: kończy nam się paliwo!

Reinberger: Czy pan kpi, Hoenmans?! Czy pan wie, jak ważne dokumenty wiozę? Za to grozi panu sąd wojenny!

Pilot: Mieliliśmy przelecieć tylko 130 kilometrów, a panu się spieszyło, więc nie kazałem tankować. Myślałem... byłem przekonany, że wystarczy.

Reinberger: Przynajmniej niech pan leci na wschód! Jak najdalej od belgijskiej granicy! Jeżeli moje dokumenty wpadną w ich ręce, zostanie pan rozstrzelany!

Reinberger: Na wschód, Hoenmans! Na wschód!

Na wysokości 150 metrów mgła była na tyle rzadka, że zobaczyli szeroko rozlaną Mozę i skupisko domków.

Pilot: To jest chyba Vucht!

Pilot nie mylił się. Belgijską osadę można było rozpoznać po charakterystycznej wieży kościoła. Oznaczało to, że oddalili się od granicy o około 12 kilometrów.

Udało im się dolecieć do rozległej łąki i wylądować bez szwanku, ale wnet zobaczyli żołnierzy belgijskich biegnących w ich stronę. Reinberger zeskoczył ze skrzydła i przykucnął za kadłubem, który miał osłonić go od wiatru. Wydobyl z teczki plik papierów i rozłożył je na ziemi tak, aby ogień łatwiej objął kartki. Belgijscy żołnierze byli coraz bliżej. **Reinberger:** Niech pan ich powstrzyma! Choć na minutę!

Nerwowo usiłował wskrzesić ogień. Udało mu się to, ale zanim płomień na dobre objął dokumenty, któryś z żołnierzy odepchnął go i zdeptał płonące kartki.

W ręce Belgów dostały się rozkazy operacyjne dla drugiej floty powietrznej Luftwaffe, szczegółowe plany działań desantowych 7 dywizji na zachód od Mozy. Czy rząd belgijski potrzebował bardziej wyraźnego dowodu, że wojna rozpocznie się lada dzień? Nie. A jednak uznał, że jest to gra niemieckiego wywiadu, który zamierza wprowadzić Belgów w błąd i nie podjął przygotowań do obrony.

Nie wiadomo, czy Canaris usiłował ostrzec Londyn i Paryż przed zamiarami Hitlera za pośrednictwem Haliny Szymańskiej. Na pewno jeszcze raz wysłał do Watykanu dr Josepha

Müllera, zaufanego człowieka, któremu już nie raz zlecał tajne misje. Ten wręczył ojcu Leiberowi list zawierający jednoznaczne ostrzeżenie, że Hitler przygotowuje swoje wojska do wojny z Zachodem i "akcja ta nastąpi lada moment". Leiber przekazał tę wiadomość jezuitcie, Theodorowi Monnensowi, wiedział bowiem o tym, że ma on liczne i ważne znajomości wśród belgijskich dyplomatów. Nie mylił się. 1 maja 1940 roku ostrzeżenie, które przywiózł z Berlina Müller, dotarło do belgijskiego ambasadora. Ten początkowo nie chciał wierzyć, ale już następnego dnia, 2 maja, zdecydował się wysłać depezę do swojego rządu zawierającą ostrzeżenie przekazane przez Müllera. Władze w Brukseli, zaniepokojone telegramem, zażądały więcej informacji. 3 maja ambasador wysłał radiogram, w którym zawarł wiele szczegółów na temat źródeł, z jakich pochodziły informacje o przygotowaniach Niemców do wojny.

3 maja niemiecka stacja nasłuchowa zarejestrowała depezę ambasadora i przekazała jej tekst do Forschungsamt, rządowej agencji utworzonej w 1933 roku w celu podsłuchiwania rozmów telefonicznych przechwytywania korespondencji radiowej i łamania szyfrów.

Wkrótce Hitler, Himmler i Heydrich zostali poinformowani, że depeza belgijskiego ambasadora zawierała informacje na temat największej niemieckiej tajemnicy wojskowej. Reinhard Heydrich zdawał sobie sprawę, że za tym stoi Canaris. Uzyskał ponowną szansę usunięcia człowieka, którego nienawidził.

Następnego dnia Canaris spotkał dr. Müllera na korytarzu w budynku Abwehry.

Canaris: Brązowe ptaki! Czy widział pan brązowe ptaki? Müller potrząsnął głową. Nie wiedział o czym mówił szef Abwehry.

Canaris: Niech pan idzie do gabinetu szefa sekcji politycznej i poczyta brązowe ptaki.

Dopiero tam Müller dowiedział się, co to są "brązowe ptaki". Tak nazywano raporty Forschungsamtu ze względu na ich brązowy kolor i wizerunek hitlerowskiego orła na górze kartki.

Szybko wrócił do gabinetu Canarisa

Müller: Prawdopodobnie jest to tekst depezy ambasadora belgijskiego.

Canaris: Czy te depeze powstały na podstawie informacji udzielonych przez pana?

Müller: Admirale, nie jestem pewien; może tak, może nie...

Canaris: Czy jest pan gotów przyjąć rozkaz ode mnie?

Dziwne pytanie szefa Abwehry do podwładnego. Sugerowało jednakże, że Müller może odmówić. **Canaris:** Pojedzie pan do Rzymu i podejmie tam śledztwo w sprawie udostępnienia aliantom tajemnic planu wojny z Belgią.

Tego samego popołudnia Canaris udał się do Hitlera.

Hitler: Panie admirale, oczekuję, że kontrwywiad wyjaśni sprawę przecieku najtajniejszych informacji na Zachód. Jak informuje mnie Heydrich, zdrada nastąpiła w Watykanie.

Canaris: Mein Führer, zarządziłem śledztwo w sprawie zdrady tajemnic Fall Gelb. Wysłałem do Rzymu najzdolniejszego agenta, dr. Josepha Müllera. Został wyposażony we wszelkie pełnomocnictwa.

Hitler: Dobrze, aprobuje to i liczę, że szybko przedstawi mi pan wyniki. Niech pan powie temu Müllerowi, żeby się spieszył. Spieszył!

Canaris nie potrzebował niczego więcej. Wygrał. Albowiem czy Heydrich mógł przyjść do Hitlera i oskarżyć Müllera o to, że jest zdrajcą, skoro führer zaaprobował jego misję w Rzymie? Nie odważyłby się. A bez zeznań Müllera nie mógł zdobyć dowodów obciążających Canarisa.

W ten sposób szef Abwehry odniósł kolejne zwycięstwo nad swym największym i najgroźniejszym wrogiem. Ale było to już ostatnie zwycięstwo.

Część III

Admirał Wilhelm Canaris, szef wywiadu i kontrwywiadu wojskowego Abwehry chciał zabić Hitlera, gdyż uważał, że jego polityka doprowadzi Niemców do zguby. Nie był jednak szalonym anarchistą myślącym jedynie o usunięciu znenawidzonego tyrana. Musiał przewidzieć, co stanie się po śmierci dyktatora. Czy mocarstwa demokratyczne, Wielka Brytania i Francja, nie wykorzystają chaosu i nie zajmą Niemiec?

Przyszedł czas, kiedy Canaris mógł uznać, że jest bliski zrealizowania swojego planu.

Późnym popołudniem 9 maja 1940 roku Hitler, wraz z najbliższymi współpracownikami, wyruszył samochodami z Kancelarii Rzeszy do niewielkiej stacji kolejowej Finkenkrug, gdzie wsiadł do specjalnego pociągu. Tylko nieliczni wiedzieli, jaki jest cel tej podróży, do której wezwano ich niespodziewanie.

Wśród gości Hitlera nie było szefa Abwehry admirała Wilhelma Canarisa. Pozostał w Berlinie, skąd miał kierować działaniami wywiadu wojskowego w nadchodzącej wielkiej operacji wojskowej, która otrzymała kryptonim Fall Gelb. Uważał, że nadchodzi decydujący czas dla niego i spiskowców skupionych w antyhitlerowskiej podziemnej organizacji "Schwarze Kapelle".

Pociąg zatrzymał się w Hanowerze, a do wagonu führera wsiadł pułkownik Diesing, szef służby meteorologicznej Wehrmachtu. Prognoza, jaką przedstawił, była bardzo obiecująca: 10 maja 1940 roku będzie piękna słoneczna pogoda. Uradowało to Hitlera tak bardzo, że nagroził go złotym zegarkiem.

Dopiero wtedy pasażerowie pociągu jadącego w nieznaną dowiedzieli się, że rano następnego dnia wojska niemieckie wyruszą na Belgię, Holandię i Francję i że z tym wielkim wydarzeniem wiąże się ich podróż.

Wilhelm Canaris znał te plany wcześniej i usiłował ostrzec mocarstwa zachodnie. Ostatnie najpoważniejsze ostrzeżenie przekazał Belgom 2 maja przez swojego tajnego wysłannika do Watykanu dr. Josepha Müllera. Jednakże ostrzeżenie zostało zignorowane. Rząd Belgijski nie wierzył, że Hitler może skierować swoje wojska na neutralną Belgię - że jeżeli by tak zrobił,

nie miałyby wielkich szans przedarcia się przez pas potężnych umocnień, jakie tworzyły twierdze w Liege, Namur i Eben Emael.

O świcie 10 maja pociąg Hitlera dojeżdżał do Euskirchen, niewielkiej miejscowości położonej 50 kilometrów na zachód od Bonn. A stamtąd było już blisko do nowej polowej kwatery nazwanej "Felsennest", czyli "Skalne gniazdo", położonej w lesie w pobliżu belgijskiej granicy. Stamtąd miał kierować operacjami nowej wojny, prowadząc swoje wojska przez Belgię do brzegów kanału La Manche, a potem na Paryż.

W tym samym czasie na lotnisku Ostheim pod Kolonią trwał ożywiony ruch. Z hangarów wypychano samoloty transportowe Ju 52/3m, których silniki wnet wypełniły otoczenie warkotem i dymem spalin z rur wydechowych. Naziemna obsługa wyprowadzała z hangarów szybowce i toczyła je w stronę pasa startowego, gdzie ustawiała je zgodnie z numerami namalowanymi na kadłubach. Inni rozciągali liny holownicze. Nigdy dotąd nie wykorzystano szybowców do desantu na wroga. To miała być pierwsza część śmiałego planu, jaki wymyślił Adolf Hitler, aby pokonać Belgów.

Żołnierze z oddziału o kryptonimie "Granit" siedzieli na betonowej płycie przed hangarem, oczekując na rozkaz zajęcia miejsc w szybowcach. Niektórzy zdjęli hełmy i położyli się, opierając na nich głowy. Sierżant Heinemann chodził od jednego żołnierza do drugiego dając im niewielkie szklane fiołki. Wyjaśniał:

Heinemann: Wypijcie przed akcją. To wam doda energii.

Podobno był to Pervitin, zestaw witaminowy, ale tak na dobrą sprawę nikt nie wiedział, co jest we wnętrzu fiołek z brązowego szkła. Któryś z żołnierzy wyjaśniał:

Żołnierz: Jeden z pilotów szybowców wziął takie trzy i zmieszał je z kawą. I dostał takiego kopa, że przez trzy dni nie mógł spać.

Heinemann: Szeregowiec Schwanz, jak się nie zamkniesz, to ja dam ci kopa. To są witaminy, a nie jakieś narkotyki. Zrozumiano?

O 3.00 nowy rozkaz poderwał ich na nogi. Sierżant wyczytał nazwiska i kazał iść do szybowców, których numery, podświetlone naftowymi lampami, widoczne były z daleka. Wkrótce narastający huk silników Junkersów i szarpnięcie kadłuba dały im znać, że misja rozpoczęła się i nie ma już odwrotu. 84 żołnierzy wyruszało do walki z największą fortecą świata, której załoga miała liczyć 1200 żołnierzy.

Belgijska twierdza Eben Emael wybudowana na górze nad Kanałem Alberta w pobliżu Maastricht strzegła przejścia przez mosty na Mozie i Kanale. Tylko szalenie mógł wydać swoim żołnierzom rozkaz do szturmowania Eben Emael. Nie mieli oni żadnych szans przedarcia się przez ogień bunkrów z pancernymi kopułami odpornymi na wybuchy najcięższych bomb i pocisków. Ale Hitler nie chciał rzucić do ataku setek żołnierzy ani prowadzić wielodniowych bombardowań. Rozkaz zdobycia twierdzy wydał kilkudziesięciu komandosom. Największym atutem miało być zaskoczenie, a najpotężniejszą bronią ładunki kumulacyjne przepalające najgrubsze pancerze wieżyczek bunkrów - nigdy dotąd nie używane w boju.

O świcie szybowce z komandosami grupy "Granit" znalazły się nad celem. Nadlatywały jak

drapieżne ptaki: bezgłośnie, zniecka. obrońcy twierdzy byli całkowicie zaskoczeni pojawieniem się samolotów bez silników.

Pilot Heiner Lange dostrzegł z góry stanowisko przeciwlotniczego karabinu maszynowego.

Obniżył lot tak bardzo jak tylko było to możliwe. Coraz wyraźniej widział obsługę karabinu maszynowego za workami z piaskiem. W pewnym momencie, gdy byli już bardzo blisko, w wylotach luf pojawiły się ogniki i świecące na żółto pociski smugowe zaczęły lecieć w ich stronę. Jeszcze bardziej obniżył lot, żeby uniknąć ognia przeciwlotniczego, ale ten unik na niewiele się zdał. Usłyszał, jak pociski rykoszetują od metalowej ramy konstrukcji kadłuba. Był już za nisko, aby wykonać manewr, który pozwoliłby uciec spod strumieni kul. Mógł tylko liczyć na szczęście. Ziemia zbliżała się coraz szybciej. Poczł gwałtowne uderzenie płozy o grunt i szarpnął dźwignię wysuwającą lemięsze hamulców, które zaryły się w trawę, hamując dobieg. Szybowiec po kilkunastu metrach przechylił się na skrzydle i znieruchomiał.

Heiner Lange pierwszy wyskoczył z szybowca, przebiegł kilkanaście kroków i wskoczył do okopu, w którym zaskoczeni jego widokiem Belgowie podnieśli ręce do góry. Odwaga mogła go wiele kosztować, gdyż jego kolega, sierżant Haut nie dostrzegł jego skoku i rzucił granat. Belgowie i Lange mieli wyjątkowe szczęście, gdyż granat stoczył się po workach i wybuchł z tak niewielką siłą, że nie uczynił nikomu krzywdy.

Tak rozpoczęła się walka kilkudziesięciu niemieckich komandosów z fortecą, w której podziemiach było osmiuset belgijskich żołnierzy. Trwała 24 godziny - komandosi likwidowali bunkry jeden po drugim, do czasu, aż załoga twierdzy wyszła z rękami do góry. Twierdza Eben Emael, która na wiele tygodni miała zatrzymać niemieckie dywizje, została zdobytą, otwierając przed niemiecką VI armią drogę do Kanału La Manche.

Już 19 maja dowództwo Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego, walczącego na kontynencie, zaczęło rozważać konieczność ewakuacji swoich wojsk, która rozpoczęła się 27 maja. Tylko dzięki błędowi Hitlera, który zasugerował generałowi Gerdowi von Rundstedtowi, dowodzącemu Grupą Armii "A", zatrzymanie oddziałów pancernych pod Dunkierką, Brytyjczycy mogli ewakuować z Francji prawie 340 tysięcy żołnierzy, choć bez ciężkiego sprzętu.

14 czerwca 1940 roku wojska niemieckie wkroczyły do Paryża, opuszczonego przez rząd francuski. 22 czerwca w starym wagonie restauracyjnym w Compiègne - w którym w 1918 roku generał Foche dyktował Niemcom warunki zawieszenia broni - francuska delegacja podpisała akt kończący walki we Francji.

Dzień później Hitler-zwycięzca odbył spacer po Paryżu. O godzinie 21.00 wyruszył w podróż powrotną do Berlina, który następnego dnia zgotował mu przyjęcie godne wielkiego wodza. W czasie przejazdu przez Wilhelmstrasse, gdzie mieściła się Kancelaria Rzeszy, witały go nieprzebrane tłumy skandujące na jego cześć.

Plany admirała Canarisa i spiskowców, którzy chcieli obalić Hitlera i utworzyć w Niemczech demokratyczny rząd nie miały szans na powodzenie. Naród, oszołomiony wojennymi sukcesami i zwycięstwem w wojnie z dwoma największymi mocarstwami, Francją i Wielką Brytanią, nie poparłby spiskowców.

Canaris nie porzucił jednak myśli usunięcia Hitlera... Tymczasem poważnemu utrudnieniu

uległy tajne kontakty jego wysłanników z rządem brytyjskim. Negocjacje w Watykanie były już niemożliwe, gdyż po przystąpieniu Włoch do wojny po stronie Niemiec w czerwcu 1940 roku zacieśniła się współpraca między tajnymi służbami obydwu faszystowskich państw. Lizbona, Madryt i Genewa zostały gęsto obsadzone wywiadowcami Służby Bezpieczeństwa SS.

Canaris znalazł jednak miasto, które wydawało mu się najdogodniejsze do kontynuowania kontaktów z Brytyjczykami: Pragę, do której hitlerowcy podchodzili z pewnym sentymentem, traktując czeską stolicę jak niemieckie miasto. Sytuacja była tam bardzo spokojna.

Czesi manifestowali swą niechęć do okupanta, bojkotując niemiecką prasę lub składając kwiaty pod pomnikiem Jana Husa i Grobem Nieznanego Żołnierza. Ten zniewolony naród uznał, że czynny opór jest stracenczą polityką i bardzo wydajnie pracował dla Rzeszy. Produkcja wojenna z tego kraju stanowiła 1/3 produkcji zbrojeniowej, jaka napływała do Niemiec z całej okupowanej Europy. Sam Hitler mówił z uznaniem, że przemysł zbrojeniowy w Czechach jest szczególnie produktywny. Niemieckie zamówienia wojenne sprawiły, że między marcem i czerwcem 1939 roku bezrobocie w zmniejszyło się z 93 tysięcy do 17 tysięcy.

Nic więc dziwnego, że niemiecki aparat policyjny był wątki. W całym Protektoracie Czech i Moraw było zaledwie 2 tysiące agentów policji bezpieczeństwa. W Pradze działało 150 funkcjonariuszy Gestapo i 250 policji kryminalnej Kripo. Jednak ten spokój był pozorny.

Ruch oporu, jaki zaczął się zawiązywać w Pradze po wkroczeniu Niemców w 1939 roku, miał charakter kadrowy i jego twórcami byli głównie oficerowie armii czechosłowackiej. Z nimi Canaris utrzymywał kontakt przez swojego agenta działającego pod pseudonimem "Franta". Był on przyjacielem i najbliższym współpracownikiem Canarisa. Schwytanie go przez Służbę Bezpieczeństwa SS oznaczałoby dekonspirację Canarisa i innych spiskowców ze Schwarze Kapelle. Ale pętla wokół "Franty" zaciskała się.

Nawiązał on kontakt z "Trzema Królami" - jak określano szefów czeskiej podziemnej organizacji utrzymującej bezpośredni kontakt z Londynem - podpułkownikiem Bałabanem, podpułkownikiem Masinem i kapitanem Moravkiem. Za ich pośrednictwem przekazywał aliantom tajemnice, które mogły mieć wpływ na bieg wojny.

Reinhard Heydrich, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, który zdawał sobie sprawę z działalności Canarisa, lecz nie mógł tego udowodnić, szybko zorientował się, że Praga stała się miejscem, w którym wysłannicy Canarisa kontaktowali się z czeskim podziemiem współpracującym z Londynem.

W pewnym momencie wydawało mu się, że sukces jest już w zasięgu ręki: w maju 1941 roku Gestapo aresztowało pierwszego z "Trzech Króli" - podpułkownika Bałabana, ale mimo straszliwych tortur nie udało się oprawcom Heydricha wydobyć z niego, kim jest "Franta".

Gestapo tropiło zaciekle pozostałych przywódców czeskiego podziemia, zakładając, że których z nich musi wiedzieć coś o "Francie".

Czarna furgonetka zatrzymała się na rogu praskiej ulicy. Niewielka antena na dachu, obracająca się w różnych kierunkach, znieruchomiła. Wewnątrz żołnierz pochylony nad

stolikiem oświetlonym dwoma silnymi lampami przeciągnął nitkę przytwierdzoną do jednego rogu mapy - tak, że przecięła linię wyznaczoną przez drugą nitkę. Powiedział do podoficera:

Żołnierz: Są w tym rejonie...

Żołnierz obsługujący aparaturę pelengacyjną wskazywał punkt na mapie, ale po chwili dodał:

Żołnierz: Przerwali nadawanie.

Podoficer: Nie szkodzi. Za pół godziny wznowią pracę, a wtedy będziemy ich mieli. Przekaż do centrali, że są na ulicy Kvetovej. Tym razem nie uciekną.

W mieszkaniu dużej czynszowej kamienicy na trzecim piętrze kapitan Vaclav Moravek podsunął radiotelegrafście ostatnią zaszyfrowaną kartkę z informacjami dla Londynu. Tego dnia mieli do przekazania wyjątkowo dużo wiadomości o transportach wojsk niemieckich, jakie nadchodziły z różnych stron kraju. Dlatego zdecydowali się przedłużyć czas nadawania poza dopuszczalną granicę. Popełnili niewybaczalny błąd.

Podjęcie nadawania zostało natychmiast odnotowane w wozie pelengacyjnym.

Żołnierz: Wznowili pracę... Sygnał nadają z Kvetovej nr 2.

Podpułkownik Masin, ukryty za firanką, obserwował ulicę. Była pusta i to wydawało mu się nienaturalne. Powiedział wreszcie do radiotelegrafisty i pracującego z nim kapitana Moravka.

Masin: Kończcie! Coś mi się tam nie podoba. Na ulicy jest dziwnie pusto.

Po chwili radiotelegrafista nadał sygnał kończący transmisję i zaczął demontować aparat i układać części w walizce. I wtedy Masin dostrzegł za kominem domu po drugiej stronie ulicy skulonego żołnierza.

Masin: Mają nas!

Rzucił się do drzwi. Szybko jednak uzmysłowił sobie, że nie może skorzystać z tej drogi ucieczki, gdyż skoro Niemcy osadzili dom naprzeciw, to na pewno zdążyli zablokować wyjście z kamienicy. Krzyknął do Moravka i radiotelegrafisty:

Masin: Uciekajcie przez okno!

Otworzył drzwi i wypchnął na klatkę schodową masywną komodę, za którą schronił się jak za barykadą. Po kilkunastu sekundach rozległy się kroki i zobaczył, jak trzech mężczyzn w skórzanych płaszczach - nieomylny znak wskazujący na agentów Gestapo - wbiegli do sieni. Odczekał, aż dotrą nad drugie piętro i wyjdą na podest - tak, aby na moment pozostali bez żadnej osłony - wtedy wymierzył dokładnie i zaczął strzelać. Pierwszy Niemiec zwałił się w dół przez poręcz. Drugi, trafiony w tułów, osunął się na schody. Trzeci zdołał wycofać się na dół. Masin zmienił magazynek, gdy z dołu padła seria. Żołnierz z karabinem maszynowym oparł broń o poręcz i zaczął strzelać, celując w komodę osłaniającą Masina - ten odskoczył, ale stopa trafiła na zaokrągloną krawędź stopnia schodów. Poślizgnął się i zsunął się na dół. Noga ugrzęzła między tralkami i silny ból sparaliżował jego ruchy. Przewrócił się na drugi bok, uniósł na kolanie, ale nie zdążył sięgnąć po broń. Esesman dobiegł do niego i przyłożył

mu pistolet do głowy. Nie strzelił. Gestapo chciało mieć Masina żywego.

Gestapo schwytało jeszcze radiotelegrafistę. Tylko kapitan Moravek zdołał zbiec. Przywiązał radiową antenę do nogi łóżka i spuścił się po niej na dół. W czasie ucieczki stracił palec, który odcięła mu linka anteny, ale zdołał uratować życie. Nie na długo.

Masina i radiooperatora przewieziono do straszego miejsca: kwatery głównej Gestapo, mieszczącej się na Bredauergasse, w dawnym żydowskim pałacu Pečka, nazwanym od nazwiska właściciela, który był na tyle przezorny, że na wieść o podpisaniu układu monachijskiego sprzedał pałac rządowi Czechosłowacji i wyemigrował.

Z reguły więźniów wrzucano do pomieszczenia w podziemiach, nazywanego "kinem", gdyż tam ludzie wpatrywali się w sufit pokryty plamami zacieków i wyobrażali sobie, co ich dalej czeka. Siedząc tak na drewnianych ławkach musieli zachowywać absolutne milczenie. Za próbę rozmowy groził trzydniowy pobyt w karcerze bez wody i jedzenia. Tych, którzy mogli zdradzić jakieś tajemnice - tak jak Masin - prowadzono do pokoju na parterze.

Zajęli się nim m Kruppke i Glesagen z Sekcji 11 (bM), zwalczającej czeskie podziemie.

Wkrótce do izby tortur przyszedł szef praskiego Gestapo SS, Standartenführer dr Hans Ulrich Geschke. Podeszedł bliżej, aby przyjrzeć się twarzy człowieka siedzącego na krześle z rękami skutymi z tyłu na oparciu.

Geschke: Zznał coś?

Esesman: Jeszcze nie.

Geschke: Nie przeszkadzajcie sobie.

Uważał, że podpułkownik Masin wie, kim jest "Franta". Był przekonany, że jego ludzie potrafią to z niego wydobyć. Do Masina podeszedł jeden z esesmanów.

Esesman: Jak wygląda "Franta". Ile ma lat?

Masin: Nigdy nie widziałem tego człowieka. Nigdy nie widziałem tego człowieka. Nie wiem, kim jest "Franta". Naprawdę. Wierzcie mi...

SS-Standartenführer Geschke zdusił papierosa i wyszedł. Nie lubił przyglądać się torturom, zwłaszcza, że wiedział, co jeszcze Kruppke i Glesagen będą robić z więźniem.

Po kilku dniach straszliwych tortur gestapowcy zorientowali się, że Masin ani radiooperator nigdy nie spotkali się z "Frantą". Wywlekli ich na podwórze i tam zastrzelili. Geschke miał jeszcze nadzieję, że uda się schwycić trzeciego "króla" - Vaclava Moravka. Polowanie trwało, a on sprytnie wymykał się ze wszystkich zasadzek.

27 września 1941 roku na lotnisku Ruzyně wylądował samolot z Berlina, w którym przybył nowy protektor Czech i Moraw Reinhard Heydrich. Przywoził ze sobą nową wizję Protektoratu, który pod jego rządami miał stać się modelowym państwem SS, bramą do rajów, jakim miały być zdobywane ukraińskie ziemie pod niemieckim zarządem. W jego planach

Praga miała stać się jednym z największych miast Rzeszy, dorównującym świetnością Berlinowi, Monachium i Kolonii. Dlatego Heydrich poprosił Alberta Speera, architekta Hitlera, aby ten opracował plany przebudowy i rozbudowy miasta, z nowym budynkiem operowym i kompleksem budynków rządowych wokół zamku na Hradčanach oraz siecią autostrad prowadzących do głównych miast niemieckich.

Heydrich liczył, że w Pradze poddanej jego władzy odnajdzie "Frantę" i ostateczny dowód przeciwko Canarisowi. Nie mylił się.

Agenci Służby Bezpieczeństwa wreszcie ustalili, kto krył się pod pseudonimem "Franta" - jego prawdziwe nazwisko brzmiało: Paul Thummel, i był on szefem praskiej rezydentury Abwehry. 22 lutego 1942 roku Heydrich kazał go aresztować.

Informacja o tym, przekazana przez wywiad brytyjski do Londynu, zaniepokoiła rząd premiera Churchilla. Groźba dekonspiracji Canarisa skłoniła Brytyjczyków do energicznego działania.

Dwaj czescy komandosi, Josef Gabčík i Jan Kubiš, którzy w końcu grudnia 1941 roku wraz radiotelegrafistami zostali zrzućeni na spadochronach, aby zorganizować zamach na Heydricha otrzymali rozkaz: zaniechać przygotowań do zamachu na szefa RSHA i uwolnić "Frantę".

Nie było to jednak konieczne. Heydrich popełnił błąd kazać aresztować Thummela bez dostatecznie mocnych dowodów. Być może uznał, że zyska je w czasie przesłuchań w izbie tortur Gestapo. Nie uwzględnił jednak, że Thummel był starym działaczem nazistowskim, noszącym złotą odznakę partyjną. Takich ludzi nie można było po prostu wrzucić do pomieszczenia na parterze pałacu Pečka i poddać torturom.

Thummel, przesłuchiwany z łagodnością, do jakiej zmuszała funkcjonariuszy Gestapo jego złota odznaka NSDAP, nie przyznał się do jakiegokolwiek działania przeciwko Hitlerowi. Nie wypierał się jednak swoich związków z czeskim podziemiem, co jednak, jak twierdził, wynikało z jego obowiązków służbowych. Posunął się dalej: oskarżył Gestapo o nieudolność i karygodną lekkomyślność, jaką było aresztowanie go, co uniemożliwiło rozpracowanie praskiego podziemia. W Berlinie do działania przystąpił Canaris. Poszedł do Himmlera ze skargą na Heydricha. Powiedział szefowi aparatu bezpieczeństwa:

Canaris: Herr Reichsführer, przychodzę z najostrzejszym protestem wobec aresztowania dr. Thummela. Jak można tak bezmyślnie zniszczyć koronkową akcję Abwehry?! Thummel jest w więzieniu, zamiast przed führerem, z rąk którego bez wątpienia otrzymałby najwyższe odznaczenie za zniszczenie czeskiego ruchu oporu. Przecież ten człowiek miał już w rękach tropy prowadzące do ostatniego z "Trzech Króli"!

Himmler nie miał żadnych argumentów, aby odeprzeć zarzuty szefa wywiadu wojskowego. W duchu musiał przyznawać, że jego podopieczny pokpił całą sprawę, przedwcześnie aresztując Thummela.

2 marca 1942 roku sąd w Pradze uniewinnił Thummela, który jednak nie odzyskał pełnej wolności, gdyż po wyjściu z więzienia miał mu stale towarzyszyć agent Gestapo. Heydrich nie chciał wypuścić zwierzyny. Liczył, że schwytanie trzeciego przywódcy czeskiego podziemia pozwoli znaleźć ostateczne dowody przeciwko Thummelowi i Canarisowi.

W marcu 1942 roku Gestapo wpadło na trop trzeciego "króla", kapitana Vaclava Moravka, i osaczyło go w praskim parku. Nie udało się jednak wziąć go żywcem. Zginął człowiek, który mógł dać świadectwo przeciwko Thummelowi. A jednak Heydrich ponownie kazał go aresztować. Czy oznaczało to, że znalazł nowe dowody?

Londyn nie chciał już dłużej czekać, czescy komandosi otrzymali rozkaz zlikwidowania Heydricha.

27 maja 1942 roku Reinhard Heydrich wyszedł z domu położonego w praskiej dzielnicy Panenske-Breschen kilkanaście minut po dziewiątej. Esesmani pełniący straż przy ogrodzeniu otworzyli ciężką kutą bramę, przez którą zastępca Reichsprotektor Czech i Moraw wyjechał w zielonym kabriolecie marki mercedes, siedząc obok kierowcy.

Gdy dojechali do dzielnicy Holešovice, w północnej części Pragi wyprzedził ich inny samochód prowadzony przez młodą kobietę w kapeluszu. Jechała przed nimi przez kilkaset metrów, a potem skręciła w boczną uliczkę. Heydrich przeglądający dokumenty, które trzymał na kolanach, nie zwrócił na to uwagi. Ta kobieta przekazała zamachowcom sygnał, że zastępca Reichsprotektora jedzie bez eskorty.

Zbliżali się do ostrego zakrętu. Kierowca nacisnął na hamulec i zredukował bieg, aby na granitowej kostce nie wpaść w poślizg. I wtedy mężczyzna stojący na przystanku tramwajowym zrzucił przewieszony przez ramię płaszcz i wybiegł na jezdnię.

Kierowca w pierwszym odruchu zaczął gwałtownie hamować, ale nagle dostrzegł, że mężczyzna stojący na jezdni unosi pistolet maszynowy i celuje w nich. Krzyknął ostrzegawczo do Heydricha i pochylił się nad kierownicą, aby uniknąć pocisków. Mijały sekundy, ale strzały nie padały. Zamachowiec, pochylony, szarpał za zamek, usiłując usunąć zacięcie.

Heydrich wyciągnął z kabury pistolet i uniósł się z fotela. Schwycił za słupek przedniej szyby i nacisnął kilkakrotnie na spust.

Nie dostrzegł, że z chodnika wybiegł na jezdnię drugi mężczyzna, który wyciągnął z teczki granat. Był to brytyjski Gammon: kostka materiału wybuchowego w woreczku z wetkniętym zapalnikiem. Silny podmuch ładunku eksplodującego w odległości kilku kroków od samochodu wyrwał drzwi kabrioletu. Jednakże granat nie miał śmiertelnych odłamków skorupy miotanych siłą eksplozji, tak więc rany Heydricha były niegroźne. Poderwał się i, ogłuszony eksplozją, wyskoczył z samochodu, aby gonić za zamachowcami. Zrobił kilka kroków, ale siły opuściły go i zwałił się na ziemię. W tym czasie zamachowcy dopadli do rowerów i szybko się oddalili.

Lekko rannego Heydricha szybko przewieziono do szpitala, a tam lekarze zdecydowali się na operacyjne usunięcie fragmentów materiału munduru i fotela, które zanieczyściły rany. Operacja nie trwała długo i wydawało się, że zagrożenie minęło. Wkrótce jednak okazało się, że wskutek zakażenia krwi rozwija się gangrena. W praskim szpitalu nie było antybiotyków. 4 czerwca 1942 roku Reinhard Heydrich zmarł.

Hitler rozkazał urządzać nadzwyczaj wystawny pogrzeb. Ze szpitala ciało przewieziono do

zamku wyludnionymi ulicami obstawionymi szpalerami esesmanów. Na Hradčanach przez dwa dni i nocę przy katafalku pełnili straż najwyżsi oficerowie wojska i policji. 7 czerwca po uroczystości, na którą przybył Heinrich Himmler, trumnę zamknięto i przeniesiono na główny dworzec, skąd specjalny pociąg zabrał ją do Berlina, gdzie miały odbyć się główne uroczystości pogrzebowe.

Terror objął Czechy. Tuż po zamachu 21 tysięcy policjantów i żołnierzy przeprowadziło rewizje w 36 tysiącach mieszkań, starając się znaleźć zamachowców. Aresztowano 3188 Czechów, z których 1357 rozstrzelano. W katowniach Gestapo zginęło 657 osób.

W tym czasie trumna ze zwłokami Heydricha dotarła do Berlina, gdzie przewieziono ją ulicami na armatniej lawecie w eskorcie żołnierzy z SS-Leibstandarte Adolf Hitler - przybocznej straży führera. Hitler, z czarną opaską na ramieniu, składając wieniec przed katafalkiem powiedział, że "Heydrich był jednym z największych obrońców naszych niemieckich ideałów".

Tego wieczora Hitler zaaprobował projekt Horsta Boehme'a, szefa policji bezpieczeństwa w protektoracie - projekt zrównania z ziemią wsi Lidice, gdzie, jak podejrzewało Gestapo, zamachowcy ukryli się po wylądowaniu w grudniu 1941 roku. Do wioski wtargnął specjalny oddział SS. W ciągu 5 godzin rozstrzelano 199 kobiet i mężczyzn. Do obozów koncentracyjnych wywieziono 203 kobiety. 105 dzieci odebrano rodzicom i część z nich oddano na wychowanie rodzinom SS; pozostałe skierowano do obozów koncentracyjnych. Wszystkie zabudowania Lidic zostały wysadzone, a fundamenty zrównane z ziemią.

24 czerwca SS zniszczyło drugą wieś - Ležaki. Do końca miesiąca aresztowano 6 tysięcy osób, z których 3 tysiące zginęło.

Tymczasem w Pradze gestapowcom udało się wpaść na trop zamachowców, którzy ukryli się w krypcie kościoła na Starym Mieście, gdzie mieli przeczekać najbardziej gorączkową akcję Gestapo; do chwili, gdy zostałyby zorganizowany przerzut do Anglii. Zdradził ich towarzysz walki, Karel Curda. Zginęli w krypcie, broniąc się do końca.

Edward Beneš, czechosłowacki prezydent na emigracji, w przemówieniu radiowym powiedział, że cena była bardzo wysoka, ale osiągnięto cel, jakim było przywrócenie politycznego znaczenia Czechosłowacji. Rząd Wielkiej Brytanii wyraził zgodę na odrzucenie traktatu monachijskiego, wysiedlenie Niemców sudeckich i odtworzenie państwa czechosłowackiego w granicach z 1938 roku. Być może taki był główny cel zaakceptowania przez władze Czechosłowacji na obczyźnie projektu "Anthropoids". Brytyjczycy, którzy zorganizowali tę akcję, mieli całkowicie odmienny cel...

Kim był Wilhelm Canaris dla rządu brytyjskiego, skoro Anglicy zdecydowali się wysłać zamachowców, z rozkazem usunięcia Heydricha? Dlaczego zaakceptowali tak wysoką cenę, jaką była śmierć tysięcy niewinnych ludzi? Jak wielkie zasługi Canaris oddał Wielkiej Brytanii? Odpowiedź na te pytania wciąż jest tajemnicą brytyjskich archiwów.

Część IV

Przez wiele lat admirał Wilhelm Canaris, który od 1935 roku kierował wywiadem i kontrwywiadem wojskowym Abwehra, usiłował usunąć Hitlera. Uważał, że rządy dyktatora doprowadzą Niemcy do zguby. Jednakże zamach stanu był niemożliwy, gdyż führer odnosił

wielkie zwycięstwa: Wehrmacht pod jego rozkazami podbił Polskę, później Danię i Norwegię, pokonał Belgię, Holandię i Francję, zmusił do rozpaczliwej obrony Wielką Brytanię, zajął Grecję i Jugosławię, a w 1941 roku doszedł do Moskwy.

Canaris jednak wiedział, że los wojny odwróci się i będzie mógł zrealizować swój plan, aby ocalić Niemcy.

Ten czas nadszedł w końcu 1942 roku.

Listopadowa noc w Stalingradzie była bardzo zimna.

Ciemności co chwilę przerywały świetliste sznury pocisków smugowych albo gwałtowne rozbłyśki wybuchów. O trzeciej nad ranem bitewne światła zaczynały przygasać. Stalingrad uspokajał się, jakby atakujący i atakowani szykowali się do odpoczynku, choć na dobre cisza zapadała dopiero koło piątej.

Tej nocy, 19 listopada 1942 roku, stało się coś dziwnego. Najpierw był wielki błysk rozlewający się na północnym niebie. Potem dał się słyszeć grzmot. Daleki, przytłumiony... gasł powoli. Żołnierze drzemający w okopach, otuleni w waciaki, pledy i papiery unieśli głowy. To musiała być burza, ale w listopadzie nad stepem nie przechodzą burze! Nigdy.

Po chwili znów ten sam błysk rozświetlił północne niebo. I ten sam stłumiony grzmot dobiegł ich uszu. Podnieśli się. Nikt nie mógł się mylić: "Nasi ruszyli"!

O świcie 19 listopada na północ od miasta uderzyły wojska dwóch radzieckich frontów. Wkrótce na południe od Stalingradu rozpoczęła się ofensywa trzeciego frontu. Po trzech dniach zaciętych walk wielkie kleszcze radzieckich dywizji połączyły się zamykając w okrążeniu 6 armię generała Paulusa i część 4 armii pancernej generała Hotha. Pierścień wojsk radzieckich był słaby. Uderzenie niemieckie mogło go rozerwać. Tymczasem 6 armia pozostała w okrążeniu. Dlaczego?

To Hitler zdecydował: "6 armia zajmie pozycje jeża i będzie oczekiwała na pomoc z zewnątrz".

Dlaczego tak postąpił?

Kilka tygodni wcześniej obiecał narodowi, że wojska nie cofną się spod Stalingradu i to miasto, noszące imię znienawidzonego bolszewika, padnie pod niemieckimi ciosami. Jakże więc mógł zaaprobować wycofanie swoich wojsk?

Tak zaczęła się tragedia 278 tysięcy żołnierzy niemieckich i wojsk sojusznicznych, którzy znaleźli się w okrążeniu, na obszarze o długości 60 kilometrów i szerokości 40 kilometrów.

Ta armia zużywała każdego dnia około czterystu ton amunicji, paliwa i żywności, którą dowoziło 17-18 pociągów towarowych. Przecięcie przez Armię Czerwoną dróg i linii kolejowych sprawiło, że taką ilość zaopatrzenia musiałyby dostarczać samoloty.

W końcu listopada temperatura spadła do 35o Celsjusza poniżej zera. Zaczynały się zamiecie śnieżne. Mróz ograniczył sprawność niemieckiego lotnictwa i liczbę samolotów, które udało się uruchomić i przygotować do lotu. W rezultacie okrążona armia Paulusa otrzymywała

każdego dnia 90 ton zaopatrzenia zamiast niezbędnych 400!

Zapasy nikły w oczach. Siły niemieckich wojsk wyczerpywały się i było oczywiste, że po kilku tygodniach wynędzniała armia nie będzie mogła odeprzeć radzieckiego uderzenia.

Hitler upierał się: "6 armia musi trwać na pozycjach, jeżeli nawet nie zdołam zlikwidować okrążenia aż do wiosny!".

Wydał wyrok na całą armię.

24 grudnia 1942 roku ponownie ograniczono racje żywnościowe dla żołnierzy. Na obiad dostawali ryż lub odrobinę mięsa końskiego. Na kolację: 200 gramów chleba, dwie kulki mięsa końskiego, 20 gramów masła i kawę. Wiadomo było, że zapasów na długo nie wystarczy i lada dzień trzeba będzie ponownie zmniejszyć racje.

Nadchodził czas ostatecznego rozstrzygnięcia, które miało zważyć na biegu całej wojny.

10 stycznia 1943 roku o godzinie 8.05 siedem tysięcy radzieckich dział i moździerzy otworzyło zmasowany ogień na pozycje niemieckiej 6 armii. Po 55 minutach ogniowej nawały uderzyły dwie radzieckie armie.

22 stycznia o godzinie 16.00 generał Paulus depešował do Hitlera:

"Nie ma już szans powstrzymania naporu Rosjan. Nie jest możliwe otrzymanie amunicji od sąsiednich frontów. Żywność kończy się. Ponad 12 000 rannych pozostaje bez opieki. Jaki rozkaz powinienem wydać żołnierzom, którzy nie mają amunicji i są pod zmasowanym ogniem artylerii, czołgów i piechoty?"

Hitler nie odpowiedział, lecz mianował Paulusa feldmarszałkiem. Na nic zdał się ten gest.

31 stycznia 1943 roku feldmarszałek Paulus poddał jednostki południowej grupy.

Dwa dni później opór ostatnich oddziałów niemieckich został zmiażdżony. Pod Stalingradem zginęło 147 000 Niemców i żołnierzy wojsk sojusznicznych, 91 tysięcy oddało się do niewoli, w tym 24 generałów. Rosjanie zdobyli 6 tysięcy dział i 60 tysięcy pojazdów motorowych.

Armia Czerwona przejęła inicjatywę strategiczną na froncie wschodnim.

Dla Niemców sytuacja była tym trudniejsza, że wojska alianckie wylądowały w Afryce i było oczywiste, że stamtąd lada miesiąc uderzą na południową Europę.

Nawet ci z niemieckich oficerów, którzy bezgranicznie wierzyli Hitlerowi, zrozumieli, że wojna jest przegrana, a naród, dla którego walczyli, czeka zguba. Wiosek był oczywisty: należy pozbyć się führera, powołać nowy rząd i podjąć rokowania pokojowe z aliantami.

Pierwszą próbę zabicia Hitlera podjęli oficerowie z dowództwa Grupy Armii "B" w rejonie Połtawy, gdzie Hitler miał przybyć 17 lutego 1943 roku, a więc dwa tygodnie po klęsce stalingradzkiej. Generał Hubert Lanz i generał-major Hans Speidel gotowi byli zastrzelić Hitlera, gdy tylko wysiądzie z samolotu. Jednakże führer zmienił plan i zamiast do Połtawy

polecał wizytować oddziały w Zaporozżu.

Niespełna miesiąc później, w marcu 1943 roku admirał Wilhelm Canaris przekazał bombę z zapalnikiem chemicznym zamachowcom z dowództwa Grupy Armii "Południe". Jednemu z nich, hrabiemu Fabianowi von Schlabrendorffowi, udało się dostarczyć bombę na pokład samolotu, którym Hitler wracał do Wilczego Szańca, lecz wybuch nie nastąpił, gdyż odrobina wody w zapalniku zamarzła i unieruchomiła iglicę.

Spiskowcy nie rezygnowali. Dowiedzieli się, że 21 marca 1943 roku Hitler przybędzie na uroczystości Dnia Bohatera, które miały odbyć się w Muzeum Wojny w Berlinie. Zamach miał przeprowadzić oficer Abwehry pułkownik Rudolf-Christov von Gersdorff.

Starannie przygotował się do zamachu. Zaplanował, że zainstaluje bombę w mównicy.

Udał się do muzeum. Tam ustalił, że Hitler będzie przemawiać na dziedzińcu przykrytym szklanym dachem. Istniało więc niebezpieczeństwo, że fala wybuchowa rozproszy się szybko, nie czyniąc szkody mówcy. Ale nie to było najważniejszym zmartwieniem zamachowca.

Miejsce wystąpienia było bacznie strzeżone przez esesmanów i tajniaków. Gersdorff nie miał żadnej możliwości podejścia do mównicy i zamontowania tam bomby. Podjął wówczas heroiczną decyzję: postanowił, że będzie szedł obok Hitlera z bombą w kieszeni płaszcza i wysadzi się z nim w powietrze.

21 marca pułkownik von Gersdorff stanął przed wejściem do Muzeum wśród dygnitarzy, którzy mieli powitać Führera. W kieszeni płaszcza miał metalowe pudełko. Z górnej ścianki tego pudełka wystawał pręt. Mocne naciśnięcie miało uruchomić chemiczny zapalnik.

Hitler przybył do Berlin Zeughaus, gdzie mieściło się Muzeum Wojny wprost z Kancelarii Rzeszy. Po krótki powitaniu przez najwyższych oficerów Wehrmachtu i SS skierował się na dziedziniec, gdzie ustawiono mównicę. Przemawiał krótko, orkiestra zagrała hymn i Hitler ruszył w stronę drzwi prowadzących do wielkiej sali muzeum, gdzie przygotowano ekspozycję zdobycznego sprzętu radzieckiego. Stojący przy drzwiach pułkownik von Gersdorff wsunął lewą dłoń do kieszeni płaszcza i wyczuł palcami pręt. Nacisnął go. Szklana fiolka została zgnieciona i kwas zaczął przeżerać miedziany drut trzymający sprężynę iglicy. Po dziesięciu minutach drut zerwałby się, a uwolniona sprężyna pchnęłaby iglicę na spłonkę inicjując wybuch.

Gersdorff starał się być blisko Hitlera. Mijały minuty.

Führer był dziwnie niespokojny, jakby wyczuwał niebezpieczeństwo. Prawie nie zatrzymywał się przy eksponatach. Nagle pożegnał się i szybko ruszył do wyjścia. Nikt nie mógł go zatrzymać.

Do wybuchu pozostało jeszcze 7 minut, a na sali nie było już Hitlera. Gersdorf rzucił się do drzwi toalety, aby tam rozbroić bombę. Trzęsącymi się rękami odkręcił cztery wkręty mocujące pokrywę i wydobył z wnętrza zapalnik. Rozłożył go zanim uwolniona sprężyna spowodowała wybuch spłonki. Części wrzucił do sedesu.

Admirał Wilhelm Canaris przegrał kolejną rundę. Tak wiele razy próbował obalić i zabić Hitlera. Nie udawało się to, jakby rzeczywiście los chronił tyrana i starał się zniszczyć

spiskowców. Wkrótce Canaris znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Wieczór był zimny, a dokuczliwy wiosenny deszcz nasilał się. Policjant Hans Folke zsiadł z roweru. Miał już dość patrolowania wymarłych uliczek. Postanowił zajść na chwilę do gospody Kamappa, ale widok zamkniętych okiennic przypomniał mu, że zaprzyjaźnionemu restauratorowi zmarła żona i na znak żałoby jedyny w miasteczku lokal z piwem i wódką był zamknięty. Folke westchnął i skierował się w stronę dworca, gdzie bar powinien być jeszcze otwarty i można było tam dostać herbaty.

Wszedł na peron i oparł rower o ścianę dworcowego budynku. Zaczął otrząsać mokry płaszcz, gdy wzrok jego padł na grupkę podróżnych. Wyglądało na to, że przyjechali przed paroma minutami i nie bardzo wiedzieli, co mają dalej robić. Policjantowi wydało się to dziwne, gdyż do miasteczka, w którym nie zatrzymywały się pociągi pospieszne, przyjeżdżali jedynie ludzie, którzy mieli tu krewnych lub znajomych, a ci zawsze oczekiwali gości na peronie. Spojrzał jeszcze raz w stronę podróżnych, którzy nagle, jakby na jego widok, ruszyli do wyjścia.

Folke: Hej! Zaczekajcie!

Ludzie szli przed siebie, udając, że nie słyszeli jego okrzyku.

Folke: Zaczekajcie, mówię! Dokąd zmierzacie?

Mężczyzna: My tu, do znajomych.

Kobieta: Do Bergów.

Bergowie rzeczywiście mieszkali nieopodal dworca, ale w każdym niemieckim miasteczku co najmniej jeden człowiek o nazywał się Berg.

Folke wyciągnął latarkę i skierował światło na twarz mężczyzny. Tamten zmrużył gwałtownie oczy i usiłował zasłonić twarz dłonią. Folke zrozumiał ten gest. Mężczyzna nie chciał osłonić oczu przed światłem. Chciał ukryć swoje rysy.

Folke: A odkąd to Bergowie mają znajomych Żydów.

Kobieta: Nie jesteśmy Żydami!

Folke: Pójdziemy na posterunek, to wszystko się wyjaśni. Idźcie przede mną.

Mężczyzna: Proszę pana, dlaczego tak od razu na posterunek? Pada deszcz, posterunek na pewno daleko, a my sobie spokojnie dojdziemy do Bergów.

Folke: Naprzód!

Mężczyzna: Panie policjancie, proszę pana, ma pan rację. Ale jeżeli pan nas puści, to ja dam panu dużo złota. Będzie pan bogatym człowiekiem...

Folke: Naprzód!

Mężczyzna: W tej walizce jest dużo złota i dolarów. To wszystko, co mam. Niech pan weźmie.

Policjant wydobyl pałkę i uderzył go z całą siłą. Kobieta i dziecko zaczęły rozpaczliwie krzyczeć.

Folke: Milczeć! Powystrzelam was jak psy, jeśli tylko któreś jeszcze piśnie słowem.

Na posterunku policjant i komendant otworzyli walizkę. Nie było w niej złota, ale pod ubraniami leżały pliki dolarów.

Folke: Skąd to masz?

Mężczyzna: To wszystko moje...

Folke: Wy, Żydzi, nie macie dolarów, tylko brylanty i złoto. Jeżeli masz dolary, to znaczy, że komuś dałeś kosztowności, a on dał ci pieniądze. I albo powiesz nam, kto to był, albo zatłukę cię jak psa.

Kobieta: On chory! Zabijecie go! Ja powiem, tylko już go nie bijcie... Jesteśmy z Pragi i dolary dał nam Karel Drda. On mieszka...

Mężczyzna: Nie mów!

Sprawę przejęło w swoje ręce Gestapo i dość szybko ustalono, że rodzina schwyтана w czeskim miasteczku Cehba miała zostać przemycona do Szwajcarii w ramach akcji ratowania Żydów, którą kierował dr Wilhelm Schmidhuber - człowiek z Abwehry. Aresztowano go natychmiast w Pradze i przewieziono do Berlina. Zdawał sobie sprawę, że jedynym ratunkiem dla niego może być pomoc kogoś postawionego bardzo wysoko w faszystowskiej hierarchii. A takim człowiekiem, którego znał był Wilhelm Canaris. Schmidhuber z więzienia wysłał do niego wiadomość, że jeżeli nie doprowadzi do uwolnienia, wówczas wyjawia prawdę.

Pomoc nie nadchodziła tak szybko, jak spodziewał się więzień i uznał, że Abwehra zdradziła go. Zaczął mówić.

Jego zeznania nie dotyczyły bezpośrednio Canarisa, ale obciążały najbliższych współpracowników szefa Abwehry - szefa jego sztabu generała Hansa Oстера i Hansa von Dohnanyi'ego blisko związanego ze wszystkimi działaniami antyhitlerowskiej organizacji spiskowej "Schwarze Kapelle".

Oster został umieszczony w areszcie domowym. Dohnanyi w więzieniu Wehrmachtu w Berlinie. Gestapo spodziewało się, że od niego uzyska dowody zdrady Canarisa. Nie udało się to, gdyż Dohnanyi zachorował na zapalenie żył. Został przeniesiony do szpitala. Zrozumiał, że jego jedyną nadzieją jest opóźnianie procesu i dalsza choroba. W grypsie przesłanym do żony prosił o dostarczenie bakterii dyzenterii. Pani Dohnanyi udało się zdobyć zarazki, ale były zbyt słabe, aby zakazić organizm. Więzień wysłał następny list prosząc o bakterie dyfterytu. Tym razem trutka podziałała. Ciężka choroba uniemożliwiła składanie zeznań w sądzie i trzymała z dala oprawców z Gestapo. Jednakże cała ta gra zdenerwowała ich do tego stopnia, że wywieźli majaczącego w gorączce więźnia i zastrzelili go gdzieś w lesie pod

miastem.

Wrogowie Canarisa wciąż nie mieli żelaznych dowodów jego działań przeciwko Hitlerowi, zaś zdrada popełniona przez ludzi z Abwehry kompromitowała go, ale nie była wystarczającym dowodem, aby postawić go przed sądem.

Pierwszy dowód zdrady Canarisa pojawił się po w lipcu 1943 roku gdy wojska anglo-amerykańskie szykowały się do desantu na Półwysep Apeniński. 29 lipca szef Abwehry pojechał do Włoch rzekomo, aby osobiście zapoznać się z sytuacją, a przede wszystkim poznać nastawienie rządu włoskiego wobec aliantów. Hitler obawiał się bowiem, że po aresztowaniu Mussoliniego nowy rząd Pietro Badoglio podda się wojskom anglo-amerykańskim.

Canaris natychmiast po przyjeździe spotkał się z przyjacielem, szefem włoskiego wywiadu SIM Cesare Ame. Rozmowa odbyła się w dziwnych okolicznościach, albowiem obydwaj omawiali sytuację we Włoszech w samochodzie Ame, w którym był także kierowca, zaufany pracownik. To był błąd, który miał doprowadzić do strasznych następstw.

Generał Ame zapytał:

Ame: 27 lipca rozeszły się pogłoski, że Niemcy lada moment mogą wkroczyć do Rzymu.

Canaris: Może tak się stać, gdy führer nabierze przekonania, że Badoglio zamierza porozumieć się z aliantami.

Ame: Wszystko zależy od tego, jak późno Hitler dowie się o tym i jak daleko w tym czasie zdążą zająć alianci.

Canaris: Czy wasze rozmowy z aliantami są zaawansowane?

Ame: Tak, kapitulacja sił włoskich jest sprawą dni.

Canaris: Co możemy zrobić?

Ame: Opóźnić dotarcie tej informacji do Hitlera. Proszę pana o to. Te dni mogą zdecydować o życiu tysięcy Włochów i biegu całej wojny.

Canaris: Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

Canaris wypełnił prośbę Włocha. Po powrocie do Berlina przekazał Hitlerowi raport, w którym tak oceniał sytuację we Włoszech: **Canaris:** "Wola Włochów stawienia oporu aliantom jest niezłomna w narodzie i siłach zbrojnych. Rząd jest zdecydowany zastosować bezwzględne środki w celu kontynuowania wojny".

To oczywiście było kłamstwo. Pięć dni po rozmowie Canarisa i Ame rząd Badoglio podpisał akt kapitulacji, który ogłoszono 8 września 1943 roku.

Tymczasem niemiecka Służba Bezpieczeństwa dowiedziała się o rozmowie Canarisa z

szefem włoskiego wywiadu, gdyż kierowca, któremu Canaris wierzył, okazał się jej agentem.

Czy to przesądziło o upadku szefa Abwehry? Na pewno miało duży wpływ, ale złożyło się na to wiele innych przyczyn: zdekonspirowanie przez Służbę Bezpieczeństwa SS funkcjonariuszy Abwehry pracujących dla aliantów, a także intrygi szefa SS Himmlera oraz ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa. Każdy z nich chciał pozbyć się Canarisa i przejąć kierowanie wywiadem zagranicznym.

Wobec braku oczywistych dowodów działalności spiskowej Wilhelm Canaris został pozbawiony funkcji szefa Abwehry w sposób rycerski. Powiadomili go o tym feldmarszałek Wilhelm Keitel i generał Alfred Jodl, informując jednocześnie o przyznaniu Deutsches Kreuz ein Gelt i małą znaczącą stanowiska.

Tuż potem Himmler przystąpił do reorganizacji wywiadu oddając go w ręce Waltera Schellenberga. Utworzył nową sekcję Militaerisches Amt, która miała kontrolować zbieranie i przepływ wojskowych informacji wywiadowczych. Jej szefem został pułkownik Georg Hansen.

Jego zwierzchnicy nie podejrzewali, że ten człowiek był wiernym uczniem Canarisa. Od wielu lat działał w Schwarze Kapelle. Natychmiast po zajęciu nowego stanowiska zaczął nawiązywać kontakty z aliantami.

Hansen, gdy został aresztowany po nieudanym zamachu na Hitlera w lipcu 1944 roku zeznał, że Canaris był najzagorzalszym wrogiem führera. Ujawnił również, że były szef Abwehry pisał pamiętniki, w których wiele miejsca poświęcił Hitlerowi.

Canaris nie brał bezpośredniego udziału w zorganizowaniu zamachu, przygotowanego przez innych członków Schwarze Kapelle i przeprowadzonego 20 lipca 1944 roku przez płk Clausa von Stauffenberga, będącego również członkiem tej tajnej organizacji spiskowej.

Trzy dni po zamachu Himmler wysłał Waltera Schellenberga z poleceniem aresztowania Canarisa, który przebywał w swoim domu w Schlachtensee - malowniczej osadzie położonej nad brzegiem jeziora.

Po południu Schellenberg, któremu towarzyszył SS-Hauptsturmführer von Voelkersam zastukali do willi admirała. Canaris otworzył im drzwi i na widok esesmana powiedział:

Canaris: Spodziewałem się, że będzie to pan. Proszę mi najpierw powiedzieć, czy znaleziono cokolwiek na piśmie, co mógł pozostawić ten głupiec pułkownik Hansen?

Schellenberg: Tak, notatnik. Obok innych rzeczy była tam lista tych, którzy mieli zostać rozstrzelani przez spiskowców, po zamachu na Hitlera. Ale nie było nic o panu ani o pana udziale.

Canaris: Ci durnie ze sztabu generalnego nie mogą żyć bez pisania. Wejdźcie, panowie.

Schellenberg oficjalnie przedstawił Canarisowi rozkaz wydany przez SS-Obergruppenführera Müllera - szefa specjalnej komisji powołanej przez Himmlera do zbadania okoliczności zamachu na Hitlera.

Canaris: To źle, że musimy sobie powiedzieć "do widzenia" w taki sposób. Ale przejdziemy przez to. Musi mi pan przyrzec, że w stworzy mi pan możliwość osobistej rozmowy z Himmlerem. Wszyscy inni, Kaltenbrunner i Müller, są niczym więcej jak tylko brudnymi rzeźnikami, którzy chcą mojej krwi.

Schellenberg: Zgadza się. Jeżeli pan admirał sobie życzy innego rozwiązania, proszę mnie traktować jako osobę do pana rozkazów. Poczekam tutaj przez godzinę, a pan może czynić co pan zechce. W raporcie podam, że udał się pan do sypialni, aby się przebrać.

Canaris: Nie, drogi Schellenberg. Ucieczka nie wchodzi w rachubę, a ja nie mam zamiaru zabić się. Jestem przekonany o słuszności mojej sprawy i mam nadzieję, że wypełni pan przyrzeczenie, które mi dał.

Poszedł na górę, aby spakować rzeczy. Powrócił po pół godziny.

Canaris: Te diabły i pana musieli w to wplątać. Niech pan uważa. Wiem, że i pana mają na oku. W rozmowie z Himmlerem poruszę i ten temat. Chodźmy.

Umieszczono go w areszcie w szkole Sicherheitspolizei w Fürstenbergu, gdzie uwięziono około dwudziestu wyższych oficerów podejrzewanych o udział w spisku przeciw Hilerowi.

Canaris w towarzystwie Schellenberga zjadł kolację i około jedenastej wieczorem, gdy żegnali się Canaris powiedział:

Canaris: Proszę pamiętać, przyrzekł mi pan zaaranżować spotkanie z Himmlerem. Jest pan moją jedyną nadzieją. Do widzenia, mój młody przyjacielu.

Schellenberg podobno wypełnił swoje przyrzeczenie i przekazał Himmlerowi prośbę o spotkanie. Czy doszło do tego? Prawdopodobnie tak, skoro szef SS zdecydował się trzymać Canarisa przy życiu do końca, choć wyszły na jaw nowe fakty spiskowej działalności.

Stało się to w czasie przesłuchania w siedzibie Gestapo na Prinzbrechtstrasse w Berlinie. Canaris popełnił wówczas błąd, który kosztował go życie. Przyznał, że pisał pamiętniki. Był przekonany, że człowiek, u którego zdeponował te dokumenty, zniszczył je. Pomylił się. Major Werner Schrader popełnił samobójstwo i pozostawił wszystkie dokumenty, jakie przekazał mu Canaris. Gestapowiec prowadzący śledztwo wysłał natychmiast swoich ludzi do Zossen, gdzie w sejfie Schradera znaleziono całe archiwum Schwarze Kapelle i pamiętniki.

Był to wystarczający dowód, aby Canarisa skazać na karę śmierci. Himmler nie zrobił jednak tego. Nie wydał wyroku śmierci. Dlaczego? Czyżby ciągle obawiał się dowodów, jakie przeciw niemu zgromadził admirał? A może Canaris ostrzegł go, że zdeponował dokumenty w "pewnych rękach" i zostaną ujawnione w przypadku jego śmierci. Jeżeli tak było, to Himmler zdawał sobie sprawę, że dopóki Canaris będzie żył, nie ujawni dokumentów, za które mógł wykupić życie. Dlatego trzymał Canarisa przy życiu do ostatniej chwili.

Więziono go w różnych obozach koncentracyjnych, aż na końcu trafił do Flossenbürga, gdzie umieszczono go w więzieniu będącym jednym z oddziałów obozu.

Była wiosna 1945 roku. Amerykańskie wojska stały już w odległości 150 km. I wtedy, 8

kwietnia, Canaris został wezwany przed sąd. Nie przyznawał się do winy. Żądał zwolnienia i posłania do walki z wojskami radzieckimi, jako zwykłego żołnierza. Sąd odrzucił tę prośbę. Uznał go winnym zdrady Führera i Niemiec i skazał na śmierć. Po wyroku esesmani wywlekli go z sali i ciężko pobili. Potem półprzytomnego wrzucili do celi.

Canaris ze złamanym nosem zwlókł się z pryczy i zaczął trzonkiem łyżki stukać w rurę biegnącą przez jego celę:

Canaris: Umieram... za... mój... kraj... i... mam... pełną... świadomość,... że... jako... oficer... zrozumiesz,... iż... wykonywałem... tylko... obowiązki... wobec... mojego... kraju... Ja... usiłowałem... przeciwstawić... się... Hitlerowi... Zrób... co... możesz... dla... mojej... żony... córek... Umrę... dziś... rano... Żegnaj.

Była to ostatnia wiadomość, jaką do więźnia z sąsiedniej celi - podpułkownika H.M. Lundinga, byłego szefa duńskiego wywiadu - przekazał admirał Wilhelm Canaris.

Wkrótce Lunding, słysząc hałasy na korytarzu, przytknął oko do judasza. Zobaczył, jak esesmani wywlekają nagiego Canarisa i ciągną wzdłuż korytarza.

Zabrali go do pomieszczenia, gdzie wykonywano wyroki śmierci. Tam powiesili go na żelaznej obroży zwisającej na łańcuchu z sufitu. Według innej wersji, wieszali go na jedwabnej lince.

Po kilku minutach opuścili go na podłogę. Canaris żył. Przystąpili ponownie do egzekucji.

Jeden z najpotężniejszych ludzi III Rzeszy umierał przez 30 minut w więzieniu w Flossenbürgu.

Rozdział 5 – Mayaguez

Statek "Mayaguez" opuścił port w Hongkongu 7 maja 1975 roku i skierował się na południe. Setki razy przemierzał Morze Południowochińskie, przewożąc towary między azjatyckimi portami. Tego dnia w dwustu kilkudziesięciu kontenerach, jakie piętrzyły się na pokładzie była żywność, części samochodowe, nawozy, lakiery i inne chemikalia dla odbiorców w Sattahip i Singapurze.

Pierwsza część podróży minęła bez żadnych kłopotów. Statek płynący wzdłuż wybrzeża wietnamskiego skręcił wielkim łukiem na zachód zmierzając do portu, gdzie miał wyładować 70 kontenerów.

Rankiem 12 maja kapitan Charles T. Miller wszedł na mostek. Pierwszy oficer złożył raport z nocnej wachty.

Oficer: Żadnych problemów. Utrzymujemy prędkość 12,5 węzła.

Kapitan: Gdzie jesteśmy?

Oficer: Na sterburcie w odległości 6,5 mili mamy wyspę Poulo Wai.

Kapitan: Wietnamców dużo było na wodzie?

Oficer: Jak zazwyczaj, coraz więcej ucieka...

Oficer mówił o Wietnamczykach masowo uciekających z kraju po zajęciu Sajgonu przez wojska komunistyczne. Dwa tygodnie wcześniej do stolicy Wietnamu Południowego, opuszczonego przez rząd i wojsko, wjechały pancerne kolumny Wietnamu Północnego. Ci którzy nie zdążyli uciec z amerykańskimi żołnierzami, w odruchu desperacji wsiadali do kutrów, łódek, na tratwy z bambusowych drągów, do kajaków, aby dotrzeć do Tajlandii, Malezji, a nawet Australii. Niewielu miało szansę przeżyć tę wyprawę. Tym bardziej, że wietnamskie i kambodżańskie kutry coraz gęściej patrolowały szlaki morskie i otwierały ogień do każdej łódki uciekinierów, topiąc je bez względu na to ilu ludzi było na pokładzie.

Kapitan Miller przyłożył lornetkę do oczu i zaczął lustrować morze. Nie wiedział, że znaleźli się w niebezpiecznym rejonie. Mała wyspa Poulo Wai była przedmiotem sporu między rządami Tajlandii, Kambodży i Wietnamu, gdyż każde z tych państw chciało mieć na własność tamtejsze złoża ropy naftowej. Szczególnie agresywni byli Kambodżańczycy. W ciągu pierwszych dni maja zatopili kilkanaście wietnamskich łodzi, ostrzelali południowokoreański frachtowiec, zatrzymali panamski statek oraz kilka tajlandzkich kutrów rybackich. Wszystkie te poczynania Kambodży, rządzonej przez Czerwonych Khmerów były znane amerykańskiemu Departamentowi Stanu i Centralnej Agencji Wywiadowczej, ale instytucje te zaniedbały ostrzeżenia własnych jednostek. Dlatego statek "Mayaguez" z 39 marynarzami na pokładzie nadmiernie zbliżył się od niebezpiecznej strefy, choć płynął po wodach międzynarodowych.

W pewnym momencie kapitan Miller dostrzegł, jak zza wyspy wyłoniło się kilka okrętów patrolowych. Poznawał ich sylwetki. Były to amerykańskie jednostki PCF Swift uzbrojone w działa kaliber 76 mm oraz najcięższe karabiny maszynowe - wpadły w ręce Czerwonych Khmerów, gdy Amerykanie wycofali się z Kambodży. Jednostki zbliżały się szybko do

kontenerowca płynącego z prędkością 12,5 węzła. Kapitan odwrócił się do pierwszego oficera:

Kapitan: Wygląda tak, jakby nas ścigały.

Oficer: Strzelają do nas!

Lufa działa jednego z kutrów błysnęła i po chwili dobiegł ich huk wystrzału. Daleko przed dziobem ich statku wyrosła fontanna wody.

Kapitan: Maszyny stop! Radio - nadaj komunikat: zostaliśmy ostrzelani przez kambodżańskie okręty. Podaj naszą pozycję!

Kutry szybko dobiły do burty amerykańskiego statku, a żołnierze kambodżańscy, wymachując bronią, dawali do zrozumienia, że chcą wejść na pokład. Jakikolwiek opór nieuzbrojonej załogi amerykańskiej nie miał sensu. Czerwoni Khmerzy wbiegli na mostek. Żaden z nich nie mówił po angielsku, ale z ich gestów kapitan mógł wywnioskować, że ma poprowadzić statek za ich okrętami. Postanowił wykorzystać to, że Khmerowie nie rozumieją, co przekazuje swoim podwładnym. Zwrócił się do radiooperatora:

Kapitan: Radio - nadaj: Zostaliśmy ostrzelani przez kambodżańskie okręty. Żołnierze weszli na pokład. Nasza pozycja 9 stopni i 48 minut północ, 102 stopni i 53 minuty wschód. Statek został skierowany do nieznanego portu kambodżańskiego.

Ten komunikat odebrał o 14.18 radiooperator kompanii naftowej w Dżakarcie. Natychmiast poinformował ambasadę amerykańską w Dżakarcie. Radiogramy z "Mayaguez" nadchodziły jeszcze przez dwie godziny. Wynikało z nich, że statek w eskorcie kambodżańskich kutrów płynie na północ do portu Kompong Som, nie było ofiar, a życie załogi prawdopodobnie nie jest zagrożone. O godzinie 16.00 radiostacja "Mayaguez" zamilkła.

Dwie godziny później generał David C. Johns, zastępujący szefa Połączonych Sztabów, informowany na bieżąco o depeszach nadchodzących z "Mayaguez" wydał okrętom i samolotom VII Floty polecenie podjęcia akcji patrolowej, która pozwoliłaby ustalić, gdzie znajduje się porwany statek.

W stronę wód kambodżańskich wyruszyły niszczyciel "Harold E. Holt", niszczyciel rakietowy "Henry Wilson" i okręt zaopatrzeniowy "Vega". Miały dotrzeć w rejon kambodżańskiego portu dopiero za dwa dni, 14 maja.

Najważniejsze zadanie miały więc do wykonania samoloty rozpoznawcze, które szybko mogły zlokalizować Mayaguez. Czterosilnikowe P-3B Orion, zdolne do długotrwałego lotu, które zakończyły właśnie bardzo trudną służbę nadzorowania ewakuacji amerykańskiego personelu z Sajgonu i z bazy U-tapao w Tajlandii, wyruszyły na wyspę Diego Garcia na Oceanie Indyjskim. Minęłoby wiele godzin, zanim mogłyby powrócić na miejsce akcji i podjąć patrolowanie.

W U-tapao pozostał wprawdzie jeden Orion, ale całkowicie nie gotowy do startu. Sprawdzenie mechanizmów, zatankowanie paliwa, przygotowanie załogi musiało potrwać około czterech godzin. A jednak w nadzwyczajnych warunkach załoga i obsługa naziemna dała z siebie wszystko. Już po godzinie Orion był gotowy do startu. Wzbił się w powietrze i skierował w rejon wyspy Puolo Wai w poszukiwaniu amerykańskiego statku.

Ten samolot, przystosowany do poszukiwania okrętów podwodnych, nie miał uzbrojenia ani

opancerzenia. Z każdą minutą, kiedy zbliżając się do wyspy, wzrastało niebezpieczeństwo napotkania wrogiego samolotu. O ile potężny Orion mógł umknąć przestarzałym kambodżańskim T-28 Trojan, to nie miał szans w starciu z wietnamskimi myśliwcami Mig-21.

Podobnym zagrożeniem były działka przeciwlotnicze kambodżańskich okrętów, tymczasem lotniskowce amerykańskiej VII floty były za daleko, aby mogły wysłać myśliwce do osłony bezbronnego samolotu patrolowego. Tuż przed północą pilot Oriona usłyszał w słuchawkach głos dowódcy z bazy U-tapao:

Dowódca: Romeo do Alfya, zgłoś się.

Pilot: Alfa, zgłaszam się, odbiór

Dowódca: Romeo (wym. romio), do Alfya, nie wiemy, czy Wietnamcy pomagają Khmerom, ale wietnamskie migi pozostały na północy. Z ich strony nie ma zagrożenia. Niewielka szansa aby skierowali przeciwko tobie południowowietnamskie samoloty przechwycone przez komunistów. Uważaj na naziemny ogień przeciwlotniczy. Zachowaj wysokość 6 tysięcy stóp w promieniu półtorej mili od wrogich instalacji. Odbiór.

Pilot: Alfa do Romeo, zrozumiałem: 6 tysięcy stóp w promieniu półtorej mili. Za piętnaście minut wlatuję w obszar poszukiwań. Odbiór.

Dowódca: Romeo, Alfa - powodzenia. Bez odbioru

O godzinie 1.00 amerykański samolot zaczął krążyć w rejonie wysepki, wystrzeliwując flary oświetlające morze. Od tego, jak szybko znajdzie statek, mogło zależeć życie załogi.

W tym samym czasie w Owalnym Gabinetcie Białego Domu prezydent Gerald Ford zwołał naradę, aby podjąć decyzje co do dalszego postępowania mocarstwa, które w ostatnich tygodniach wielokrotnie zostało upokorzone.

W Waszyngtonie minęło południe, gdy w Owalnym Gabinetcie Białego Domu prezydent Gerald Ford zwołał naradę, aby rozważyć jakie kroki można podjąć wobec tak wrogiego aktu ze strony Czerwonych Khmerów. Nie bez znaczenia był fakt, że w ostatnich tygodniach Stany Zjednoczone poniosły wielką klęskę, jaką było zajęcie Sajgonu przez wojska Wietnamu Północnego. Był to ostatni akt wojny wietnamskiej, w której zginęło 50 tysięcy żołnierzy amerykańskich.

Cały świat mógł na ekranach telewizorów oglądać, jak w Sajgonie śmigłowce zabierały z dachu ambasady amerykańskiej setki urzędników, gdy oddziały marines do końca powstrzymywały tłumy wietnamskich oficjeli, którzy chcieli zabrać się z amerykańskimi kolegami. Niemiecki dziennik "Frankfurter Allgemeine Zeitung" na pierwszej stronie wydrukował wielki tytuł "Stany Zjednoczone - bezsilny gigant".

Czyżby Czerwoni Khmerzy, którzy przejęli władzę w Kambodży 16 kwietnia 1975 roku, uznali, że i oni powinni upokorzyć mocarstwo bezprawnie zatrzymując statek płynący pod amerykańską banderą? Wszystko na to wskazywało.

Prezydent Ford wiedział, że kolejna porażka może bardzo poważnie naruszyć wizerunek Stanów Zjednoczonych jako światowego mocarstwa. Zdecydowany był działać energicznie. Zbyt energicznie.

W czasie narady w Ovalnym Gabinetcie pierwszy zabrał głos William Colby, szef CIA:

Colby: Panie prezydencie, poszukiwania statku trwają, Na razie bez rezultatu. Nasza sytuacja jest bardzo trudna, gdyż nie mamy źródeł wywiadowczych w Kambodży, nie sędzę także, żebyśmy mogli uzyskać wiele z wywiadu elektronicznego.

Szef CIA mówił o zdjęciach satelitarnych, lotniczych, podsłuchu rozmów telefonicznych i łączności radiowej.

Prezydent spojrział na sekretarza Stanu Henry'ego Kissingera. Ten zaczął mówić z wyraźną emocją w głosie:

Kissinger: Jeżeli nie będziemy działać zdecydowanie, to po upokarzającej ewakuacji z Wietnamu, będzie to następny cios w nasz światowy prestiż. Rozumiem, że sytuacja "Mayaguez" jest trudna, ale musimy przejąć inicjatywę! Musimy działać natychmiast i działać zdecydowanie!

Prezydent Ford najwyraźniej chciał mieć trochę czasu na rozważenie sytuacji. Zapytał więc:

Ford: Jakie są możliwości działań dyplomatycznych?

Kissinger: Żadne. Nowy reżim istnieje w Kambodży niecały miesiąc. Nie wiemy nawet, kto rządzi w Phnom Penh.

Ford: Czy możemy liczyć na pośrednictwo Chińczyków?

Kissinger: Osobiście w to wątpię, ale oczywiście podjęliśmy działania, aby uzyskać ich pomoc w nawiązaniu kontaktu z Czerwonymi Khmerami.

NARRATOR: W czasie tej narady nie podjęto żadnych decyzji. Było zbyt wiele niewiadomych: Gdzie jest "Mayaguez"? Co stało się z załogą? Do czego zmierzają Czerwoni Khmerowie?

Prezydent Ford nakazał skierowanie do zagrożonego rejonu lotniskowca Coral Sea, przygotowanie desantu helikopterów oraz postawienie w stan gotowości amerykańskich sił w bazie U-tapao w Tajlandii. Zaniepokoiło to sekretarza stanu Henry'ego Kissingera.

Kissinger: Rząd Tajlandii nie będzie zadowolony, jeżeli skierujemy do akcji na ich terytorium samoloty z naszej bazy.

Ford: Dopóki załoga "Mayaguez" nie jest bezpieczna nie mam zamiaru przejmować się kłopotami rządu Tajlandii!

Te słowa były wyraźną zapowiedzią, że prezydent gotów jest użyć siły. Tymczasem nad Zatoką Syjamską do Oriona, poszukującego amerykańskiego statku, dołączył drugi. Tuż po 1.00 czasu kambodżańskiego pilot raportował:

Pilot: Alfa do Romeo: widzę statek na północ od Poulo Wai. Nie mogę go zidentyfikować. Proszę o zgodę na zmniejszenie wysokości. Odbiór.

Dowódca: Romeo do Alf, zezwalam na 300 stóp, ale w promieniu 1000 jardów. Melduj.

Pilot: Alfa do Romeo, nie mogę odczytać nazwy.

Dopiero 13 maja o 8 nad ranem, piloci dwóch Orionów, które zmieniały dyżurującą w nocny parę, zdołali odczytać napis na kadłubie: "Mayaguez". Jednakże za swoją odwagę mogły dużo zapłacić, gdyż dwa kambodżańskie kutry otworzyły do nich ogień. Pociski trafiły jeden z samolotów w statecznik, ale uszkodzenia nie były poważne i pilot zdołał wyprowadzić maszynę poza pociski wroga.

Tuż potem nadleciały amerykańskie myśliwce (odrzutowe): Phantom F-4, F-111A i A-7 Corsair, które zstąpiły parę bezbronnych samolotów rozpoznawczych. Zagrożenie ze strony kambodżańskich T-28 i wietnamskich migów praktycznie przestało istnieć, gdyż wątpliwe było, aby któryś z nich chciał rozpoczynać bitwę wobec zdecydowanej przewagi amerykańskich myśliwców.

W tym samym momencie z komina "Mayaguez" zaczął lecieć dym - nieomylny znak, że Kambodżanicy postanowili podjąć rejs w nieznanym kierunku. Pilot Phantoma obniżył lot i wystrzelił serię z działek tuż przed kadłubem statku. Białe rozbryzgi pocisków na wodzie wyraźnie wskazały Khmerom, że Amerykanie zdecydowani są zatrzymać statek.

Dym z komina przestał lecieć, ale wkrótce piloci samolotów zauważyli, jak do burty Mayaguez dobiły łodzie rybackie i Czerwoni Khmerowie sprowadzili po trapie amerykańską załogę. Teraz samoloty nie mogły strzelać, lecz jedynie obserwować, dokąd zmierzają łodzie. Kilka z nich skierowało się na niewielką wysepkę Koh Tang.

Tym samym szanse wyrwania marynarzy z rąk porywaczy znacznie się zmniejszyły. Dopóki pozostawali na pokładzie statku, można było myśleć o opanowaniu go przez komandosów zrzuconych ze śmigłowców. Atak na niewielką wyspę porośniętą tropikalną dżunglą był o wiele trudniejszym przedsięwzięciem. Dowódca operacji generał Burns uznał, że musi przygotować się na taką ewentualność, gdyż politycy z Waszyngtonu, po podjęciu decyzji o ataku będą oczekiwali, że zostanie on przeprowadzony natychmiast.

Do ataku na wyspę mógł wykorzystać osiem śmigłowców CH-53C Knife, opancerzonych, uzbrojonych w trzy karabiny maszynowe, oraz osiem śmigłowców HH-53 Super Jolly Green Giant, jeszcze silniej opancerzonych, z trzema karabinami maszynowymi. Generał nakazał, aby były one gotowe do startu w każdej chwili. Równocześnie rozkaz przygotowania do akcji dotarł do oddziału żandarmerii oraz batalionu marines. Były to jedyne jednostki, jakie w tak krótkim czasie mogły przystąpić do akcji.

13 maja o godzinie 21.30 amerykańskie oddziały były już gotowe. Decyzja należała do prezydenta Forda.

W Waszyngtonie była 4.00 nad ranem 14 maja, gdy prezydent po raz czwarty spotkał się ze swoimi współpracownikami, aby podjąć decyzję w sprawie uprowadzonego statku. Raport o sytuacji przedstawił William Colby.

Colby: Panie prezydencie, Czerwoni Khmerowie stają się coraz bardziej agresywni. W ciągu ostatnich dwóch dni przechwycili tajski frachtowiec i ostrzelali szwedzki statek handlowy. Z Paryża mamy wiadomość, że przedstawiciel Chin w tym mieście oświadczył, że Chiny nie będą interweniować, jeżeli USA podejmie wojskową akcję przeciwko Czerwonym Khmerom.

Prezydent Ford był już przekonany, że tak właśnie należy postąpić: uderzyć. Jednakże najbardziej interesowało go, gdzie są amerykańscy marynarze. Colby nie umiał na to pytanie odpowiedzieć.

Colby: Z raportów pilotów wynika, że część marynarzy przewieziono na wysepkę Koh Tang, resztę pozostawiono na statku lub przewieziono do portu Kompong Som.

William Colby mylił się i ta pomyłka miała okazać się tragiczna w skutkach. Prezydent Ford już podjął decyzję.

Dla dowódcy operacji gen. Burnsa oznaczało to, że niszczyciel Holt, który najszybciej mógł dotrzeć do "Mayaguez", ma przechwycić statek, samoloty z lotniskowca Coral Sea mają uderzyć na port Kompong Som, aby zapobiec wzmocnieniu sił kambodżańskich w tym rejonie, zaś na wysepkę Koh Tang należy dokonać desantu helikopterowego.

To był rozkaz dla niego, ale on nie wiedział, jak go wykonać. Przede wszystkim nie znał liczebności garnizonu na wysepce Koh Tang. Żadne źródła wywiadowcze tego nie podawały. Jeden z kambodżańskich uchodźców zeznał, że stacjonuje tam 20-30 żołnierzy. Wydawało się to prawdopodobne, gdyż nie było sensu trzymać więcej ludzi na małej wyspie. W tym wypadku logika zawiodła, gdyż na Koh Tang było około 200 Czerwonych Khmerów. Pierwszy błąd w ocenie sił nieprzyjaciela miał kosztować życie wielu żołnierzy amerykańskich.

Nic nie było wiadomo o umocnieniach na wysepce, zaś gęsta dżungla doskonale skrywała przed kamerami samolotów wszystkie fortyfikacje. Co gorsza, generał nie miał dokładnych map wyspy, której kształt na zdjęciach lotniczych i satelitarnych przypominał kość ułożoną niemalże pionowo z północy na południe. Bez dokładnych map nie można było koordynować ostrzału z okrętów. Nie można było zmieknąć kambodżańskiej obrony przed wylądowaniem tam amerykańskich komandosów ani wspomóc ich, gdyby napotkali na wyspie przeważające siły.

Generał jako miejsce desantu wybrał dwie plaże po obydwu stronach najszerszej części wyspy. Nie były duże, ale na każdej mogły pojedynczo lądować wielkie helikoptery Knife i Jolly Green Giant. Inne musiały czekać w powietrzu, aż komandosi wyskoczą ze śmigłowca. Co stałoby się, gdyby w czasie desantu śmigłowiec zostałby zestrzelony? Miejsca na lądowanie następnego praktycznie nie było. Generał Burns wolał o tym nie myśleć. Nikogo z przełożonych w Waszyngtonie nie interesowały jego rozterki.

W tajlandzkiej bazie U-tapao żołnierze rozpoczęli przygotowania do desantu. Pierwsza miała wyruszyć grupa, która w śmigłowcach dotarłaby do niszczyciela Holt i z jego pokładu miała wdrzeć się na "Mayaguez".

O 4.15 w nocy z 14 na 15 maja 1975 roku z U-tapao wystartowały trzy grupy śmigłowców.

Pierwsza grupa złożona z trzech śmigłowców wiozła marines, którzy mieli wylądować na pokładzie niszczyciela.

Druga grupa śmigłowców miała dokonać desantu na wschodnią plażę wyspy Koh Tang, trzecia miała dostarczyć komandosów na zachodnią plażę.

Na pokładzie lotniskowca Coral Sea rozpoczął się gorączkowy ruch. Załogi przygotowywały do startów 24 myśliwce Phantom z których każdy uzbrojony był w rakiety Sparrow i

Sidewinder. Pod skrzydłami 10 bombowców Intruder i 24 Corsair podczepiano bomby kierowane laserem Paveway o wadze 250 kg i 500 kg. Te samoloty miały uderzyć na port Kompong Som i pobliskie lotnisko. Do walki były również gotowe EA-6B Prowler, które miały zakłócać pracę radarów i łączność wroga. Z bazy U-tapao wzbiły się w powietrze potężne samoloty Spectre uzbrojone w karabiny maszynowe, działka 20-milimetrowe, 40-milimetrowe i działko o kalibrze 105 mm. Te turbośmigłowe samoloty, lecące dość wolno, miały z powietrza wspierać komandosów walczących na wyspie.

O 5.50 pierwszy śmigłowiec Super Jolly Green Giant zbliżył się do niszczyciela Holt. Pilot, porucznik Donald Backlund, patrzył z niepokojem na pomost na pokładzie, na którym mógł wylądować niewielki śmigłowiec rozpoznawczy, a nie jego gigant o długości kadłuba ponad 20 metrów.

Nawiązał łączność z niszczycielem.

Pilot: Jolly 11, chłopaki, macie tu cholernie małe lądowisko.

Głos: Nie przejmuj się, Jolly 11, skoro wylądował bombowiec B-52, to ty też potrafisz, tylko nie zetnij nam czegoś.

Wielki śmigłowiec, ostrożnie manewrując, ustawił się kilka metrów nad pomostem i otworzył tylną rampę ładunkową, z której po drabinkach linowych zaczęli się opuszczać marines. Podobny manewr zastosowały dwa pozostałe śmigłowce i gdy tylko wszyscy żołnierze znaleźli się bezpiecznie na pokładzie niszczyciela, odleciały na spotkanie z samolotem-tankowcem.

Niszczyciel całą mocą silników ruszył w stronę wyspy Koh Tang, gdzie dwie mile na północ kotwiczył "Mayaguez".

Wysoko przemknęły dwa samoloty A-7. Zatoczyły koło nad "Mayaguez" i nagle spod ich skrzydeł oderwały się pojemniki, które, padając na wodę, skryły statek w kłębach białego dymu.

Marines na pokładzie Holta założyli maski. Gaz łzawiący miał obezwładnić Czerwonych Khmerów, aby nie byli zdolni do obrony. Niszczyciel powoli zbliżał się do burty statku. Kapitan Walter Wood i kapral Carl Coker pierwsi przeskoczyli na pokład "Mayaguez". I nagle pozostali tam sami, gdyż fala odepchnęła niszczyciel, na kilka metrów od statku. Ukryli się za szalupami z bronią gotową do strzału, czekając, aż koledzy przyjdą im z pomocą. Po chwili rzucono im liny i po kilku minutach reszta marines znalazła się na pokładzie statku.

Strzały wciąż nie padały, co można było odczytać jako skuteczność ataku gazowego. Marines zaczęli przeszukiwać pomieszczenia. Mijały minuty - wciąż bez walki. Po 40 minutach gorączkowych poszukiwań było już wiadomo: na statku nie ma ani amerykańskich marynarzy, ani Czerwonych Khmerów.

Wszystko wskazywało na to, że są więzieni na wysepce Koh Tang. Do wyspy zbliżały się wielkie śmigłowce.

O godzinie 6.07 podpułkownik John Denham doprowadził swój śmigłowiec Knife 21 do zachodniej plaży wysepki Koh Tang. Na niewielkim skrawku piasku nie mogły równocześnie wylądować dwa śmigłowce, tak więc drugi, Knife 22, zataczał koła nad morzem wypatrując wroga i oczekując na swoją kolej.

Denham posadził na piasku swój śmigłowiec i otworzył rampę. Żołnierze z 1. plutonu zaczęli wybiegać na plażę. Dziesięciu było już na ziemi, kiedy z krzaków padły pierwsze strzały. Ogień karabinów maszynowych nasilał się z sekundy na sekundę. Na panelu przed pilotem zaczęły błyskać czerwone lampki informujące o uszkodzeniach mechanizmów.

Knife 22, widząc, że pierwszemu śmigłowcowi grozi zagłada, podleciał bliżej. Strzelcy stojąc w otwartych do połowy drzwiach zaczęli długimi seriami omiatać krzaki, w których błyskały ogniki wystrzałów. Wróg musiał przerwać strzelaninę, co wykorzystał pilot pierwszego śmigłowca i z wolna zaczął oddalać się na zachód. Leciał tuż nad wodą, jak zraniony ptak co chwilę uderzał kadłubem o wodę, która przez przestrzeliny w kadłubie wlewała się do wnętrza kabiny.

Przeleciał tak około kilometra, gdy silnik przestał pracować i Knife 21 spadł do morza. Pilot z drugiego śmigłowca zauważył, że z kadłuba wydostali się piloci i marines. Odwrócił swoją maszynę i podleciał do plaży.

Pociski rykoszetowały na blachach kadłuba wzbijając iskry. W każdej sekundzie mogła nastąpić katastrofa. Przez otwartą rampę wybiegali marines. Dziesięciu pozostało jeszcze we wnętrzu śmigłowca, gdy pocisk z najcięższego karabinu maszynowego przerwał przewód paliwowy z głównego zbiornika. Pilot, kapitan Terry Ohleimer, skierował śmigłowiec nad morze i lecąc tuż nad wodą rozpoczął ucieczkę z niebezpiecznego rejonu, obawiając się, że lada moment wybuchnie paliwo. Gdy oddalili się poza zasięg wrogich pocisków, udało się uszczelnić przewód i uzupełnić paliwo z tankowca. Knife 22 w eskorcie dwóch śmigłowców powrócił do bazy w Tajlandii.

Na wschodniej plaży było jeszcze gorzej. Tam śmigłowiec Knife 23 został trafiony w silnik, lecz pilot porucznik John Shramm zdołał osadzić drżącą od wibracji maszynę na piasku plaży. Wszyscy marines i pięcioosobowa załoga zdołali wydostać się na zewnątrz.

Równie dramatyczna była próba lądowania Knife 31. Pociski przebiły przewody paliwowe i śmigłowiec stanął w płomieniach. Pilot usiłował uciekać z piekła, jakie rozpętało się na plaży. Nie zdołał odlecieć daleko, gdy śmigłowiec został trafiony pociskiem z granatnika przeciwpancernego. Ekslozja zerwała dziób i wielki CH-53 zarył w płytką wodę. Wewnątrz byli uwięzieni marines. Mechanik sierżant Jon Harston pomógł im wyjść z kadłuba, a potem wrócił po pilota, który leżał nieprzytomny na swoim fotelu i wyciągnął go na powierzchnię. Ponownie zanurkował, aby wydobyć mechanika. Nigdy już nie wypłynął.

Wysoko nad nimi przelatywały trzy samoloty A-7, których piloci mogli tylko patrzeć na masakrę na plażach. Byli bezradni. Nie wiedzieli, gdzie znajdują się marynarze z "Mayaguez", więc nie mogli atakować za pomocą bomb i rakiet, gdyż mogli zabić zakładników. Udało im się jednak odkryć główne stanowiska ogniowe Czerwonych Khmerów i zaczęli ostrzeliwać je z działek 20 mm. Była to bezcenna pomoc dla marines z Knife 31, którzy brnąc po pas w wodzie usiłowali dotrzeć do plaży, gdzie mogliby okopać się i schronić przed ogniem wrogich karabinów maszynowych.

Czerwoni Khmerowie, zasypani pociskami z samolotów, musieli skryć się w okopach. Krótka przerwa pozwoliła komandosom z tonącego Knife 31 dotrzeć do zbawiennej plaży.

Nadlatywały następne śmigłowce, które - wiedząc, że na wschodniej plaży obrona jest bardzo

silna - kierowały się na zachodnią plażę i tam wysadzały marines.

Desant pierwszej fali zakończył się o godzinie 7.30. Sytuacja marines była dramatyczna. Zamiast 180 żołnierzy na wysepce znalazło się tylko 109, w dodatku podzielonych na trzy grupy. Dowódca operacji już wiedział, że wyspy broni co najmniej 200 Czerwonych Khmerów. Co gorsza: z 12 śmigłowców, które wyruszyły do akcji, tylko trzy nadawały się do służby i one wróciły do U-tapao, aby przywieźć następne grupy marines. Istniało więc ogromne niebezpieczeństwo, że Khmerowie lada moment podejmą kontratak i wybiją rozpaczliwie broniących się marines. Jednak ci mieli po swojej stronie wspaniałego sprzymierzeńca. Wielki samolot Spectre krążył nad nimi. Był wystarczająco silnie opancerzony, aby nie obawiać się ognia kambodżańskich karabinów maszynowych, zaś jego działka kaliber 20 mm, 40 mm i działko 105 mm miały wielką siłę rażenia. Wybuchy pocisków raziły Khmerów, zmuszały ich do chowania się w bunkrach i okopach. Uniemożliwiały podjęcie kontrataku, którego marines nie mogliby odeprzeć

W tym czasie samoloty z lotniskowca Coral Sea uderzyły na port Kompong Som i pobliskie lotnisko. W ciągu kilkudziesięciu minut zniszczyły 17 z 18 kambodżańskich samolotów T-28 i pas startowy, uniemożliwiając tym samym udzielenie pomocy garnizonowi na Koh Tang.

Daleko poza rejonem bitew krążyły swa samoloty Orion. Te same, które rozpoczęły nocne poszukiwanie "Mayaguez".

O 9.23 pierwszy z nich nawiązał łączność z dowódcą.

Pilot: Alfa do Romeo.

Dowódca: Romeo, słyszę cię, Alfa.

Pilot: Alfa, z kierunku Kompong Som płynie kuter rybacki.

Dowódca: Romeo do Alfy, sprawdź go.

12 minut później pilot Oriona zameldował:

Pilot: Alfa do Romeo, na pokładzie łodzi jest około 30 mężczyzn. Powiewają białą flagą.

Dowódca: OK. Alfa, pozostań tam. Wysyłam wsparcie. Odbiór.

O 9.49 do łodzi zbliżył się niszczyciel Wilson. Dowódca wyszedł na mostek i przez tubę zapytał:

Kapitan: Czy jesteście załogą "Mayaguez"?

Głosy: Tak.

Kapitan: Czy wszyscy są tutaj?

Głosy: Tak!

Kapitan: Trzymajcie się. Jesteście już bezpieczni.

Po kilkunastu minutach, gdy wszyscy marynarze z "Mayaguez" wspięli się na pokład niszczyciela, kapitan Miller podszedł do dowódcy i wyjaśnił, że przetrzymywano ich na wyspie Rong Sam Lem, a nie Koh Tang, gdzie trwały zażarte walki. Stało się oczywiste, że Czerwoni Khmerzy przestraszyli się determinacji i siły, z jaką Stany Zjednoczone upomniały się o swoich obywateli. Akcja marines spełniła swoje zadanie, zanim się zakończyła.

Prezydent Gerald Ford został powiadomiony natychmiast. W owalnym gabinecie wybuchła radość.

Kissinger: Panie prezydencie! Wydostaliśmy ich wszystkich! Dzięki Bogu. Wszystko poszło znakomicie.

Mylił się. Do tego czasu na wysepce Koh Tong wylądowało 231 marines. Kilkunastu zginęło w czasie desantu. Wielu innych odniosło rany.

Mimo wysokich strat i bohaterstwa komandosom nie udało się wdrzeć w głąb wyspy. Okopali się na plażach i odpierali zacięte ataki Czerwonych Khmerów. Jak długo mogli wytrzymać? Istniało niebezpieczeństwo, że w nocy wróg przejdzie do kontrnatarcia. Należało więc jak najszybciej zabrać żołnierzy z tego piekła. Ale jak? Operacja lądowania śmigłowców, które miałyby ewakuować żołnierzy była równie trudna i niebezpieczna jak desant. Sytuacja poprawiła się o tyle, że udało się zidentyfikować wiele stanowisk ogniowych Czerwonych Khmerów i zabójczy Spectre roznosił je ogniem swoich działek. Do akcji włączyły się niszczyciele, które zaczęły ostrzeliwać wykryte stanowiska wroga z dział 127 mm i rakiet.

Tylko dzięki temu ewakuacja stała się możliwa. O zmierzchu pierwszy śmigłowiec zabrał 44 marines. Do 20.30 ewakuowano wszystkich, z wyjątkiem trzech, którzy pozostali niezauważeni na zachodniej plaży. Krwawy bój o uwolnienie załogi "Mayaguez" zakończył się. W tej operacji zginęło 15 żołnierzy amerykańskich. Ta ofiara nie była jednak daremna. To Marines uderzając z taką determinacją zmusili Czerwonych Khmerów do zwolnienia załogi statku "Mayaguez". A świat uczył się, jak walczyć z groźbą terroryzmu i chronić spokojnych obywateli. Cena tej nauki była bardzo wysoka..

Rozdział 6 – Noc na pustyni

Telefon zadzwonił o godzinie 3.00 nad ranem. Była niedziela 4 listopada 1979 roku. Harold Collins pełniący dyżur w centrum operacyjnym Departamentu Stanu sięgnął po słuchawkę i usłyszał głos Ann Swift, sekretarz ambasady amerykańskiej w Teheranie. Mówiła, że tłum młodych Irańczyków wdarł się na teren ambasady, otoczył budynek kancelarii i wdzierał się do innych domów. Byli nieuzbrojeni.

Przez dwie godziny Ann Swift relacjonowała, jak forsują drzwi do budynków ambasady w Teheranie. Marines nie użyli broni, co wobec ogromnej przewagi liczebnej napastników mogłoby mieć tragiczne konsekwencje. Wkrótce cała ambasada została opanowana przez tłum, a pracownicy stali się zakładnikami.

Napaści dokonali studenci, ale było oczywiste że stało się tak za aprobatą, a może nawet na polecenie władz Iranu.

Przez wiele lat to państwo było najwierniejszym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie. Potężnym i bogatym.

Irańskie zasoby ropy naftowej szacowano na 60 mld baryłek i proste przeliczenie, po 20 dolarów za baryłkę, dawało oszałamiający wynik: 1 bilion 200 miliardów dolarów - dowodzący, że przez wiele lat Iran stać będzie na wszystko. Dlatego szach Reza Pahlawi, zakochany w zachodniej cywilizacji i nowoczesności, kazał kupować to, co najlepsze w najbardziej renomowanych firmach. Jednakże, mimo miliardowych inwestycji, gospodarka Iranu umierała.

Maszyny dla nowoczesnych fabryk przybywały punktualnie do irańskich portów i tam zalegały na wiele miesięcy. Nabrzeża przeładunkowe nie mogły wchłonąć takiej masy towaru. Brakowało dźwigów i magazynów. Brakowało dróg i ciężarówek, linii kolejowych i pociągów, które mogłyby zabrać z portów zakupione dobra i przewieźć je w głąb kraju. A gdy je wreszcie dowieziono na miejsce okazywało się, że brakuje specjalistów, którzy potrafiliby obsługiwać importowane maszyny.

Szach tego nie widział. Nie widział również, że naród, biedny i zacofany, źle się czuje w rzeczywistości kupowanej za dolary. Importowane kanony zachodniej cywilizacji wywoływały oburzenie, gniew, nienawiść zacofanego społeczeństwa. Te uczucia nie znajdując ujścia, gromadziły się. Tajna policja szacha, SAVAK, kształtowała społeczne nastroje z całą surowością. Każdy przejaw buntu, niezadowolenia czy protestu był okrutnie dławiony. Do czasu...

Zamieszki, które wybuchły na początku 1978 roku, przerodziły się w powszechny bunt. Wojsko odmawiało strzelania do tłumów gromadzących się na ulicach irańskich miast. Żołnierze przechodzili na jego stronę. Terror SAVAK-u, choć nasilający się z dnia na dzień, nie mógł już jednak zdusić rewolucji.

Szach zrozumiał, że przegrał. 16 stycznia 1979 roku odleciał do Egiptu. Na lotnisku mówił do dziennikarzy: "Nie wiem, kiedy wrócę, to będzie zależało od mojego stanu zdrowia".

Był ciężko chory.

1 lutego 1979 roku powrócił z wygnania Ajatollah Chomeini, przywódca opozycji.

Nowe władze Iranu wiedziały jak katastrofalna jest sytuacja gospodarcza kraju. Było oczywiste, że kryzys pogłębi się w następnych latach. Potrzebowały wydarzenia, które skupiłoby uwagę tłumów i pozwoliłoby zapomnieć o beznadziei codzienności. Bezpośrednim pretekstem była informacja, że szach Reza Pahlavi przybył do Stanów Zjednoczonych, gdzie w nowojorskim szpitalu miał poddać się leczeniu choroby nowotworowej. Rząd irański zażądał wydania szacha. Władze amerykańskie odmówiły. Wtedy studenci zaatakowali ambasadę amerykańską w Teheranie.

Wysiłki dyplomatów, mające na celu wynegocjowanie zwolnienia pracowników ambasady były daremne. Rząd Iranu odpowiadał - "Ambasadę zajęli studenci. Nie mamy na nich wpływu.", żądał: "Wydajcie nam Szacha." i groził: "Nie możemy zagwarantować bezpieczeństwa waszych ludzi".

Już 6 listopada prezydent Carter zdecydował o przeprowadzeniu zbrojnej akcji w celu odbicia zakładników.

Taki rozkaz otrzymał generał John Vaught. Natychmiast poleciał do Fortu Bragg, gdzie mieściły się koszary specjalnej jednostki komandosów "Delta".

Czekał tam na niego pułkownik Charles Beckwith, najbardziej doświadczony amerykański komandos.

W 1964 roku, w stopniu majora, objął on w Wietnamie dowodzenie specjalną jednostką "B-52", a później całością oddziałów, oznaczonych kryptonimem "Delta", których zadaniem było rozpoznanie sił wroga, prowadzenie akcji sabotażowych i dywersyjnych. Do końca czerwca 1970 roku, gdy oddział został wycofany z walki przeprowadzili 63 operacje, przy niewielkich stratach, zdobywając wiele cennych materiałów i informacji o bazach i oddziałach nieprzyjaciela. Beckwith, ranny w czasie pierwszej operacji, dał się później poznać jako doskonały i nadzwyczaj odważny dowódca, co zyskał przydomek "Szarżujący Charlie".

W listopadzie 1977 roku, już w stopniu pułkownika, przystąpił do organizowania amerykańskiej jednostki antyterrorystycznej "Delta". W krótkim czasie zgromadził najlepszych żołnierzy, gotowych do wykonania najtrudniejszych misji.

Generał Vaught, natychmiast po przylocie do Fortu Bragg poinformował Beckwitha.

Vaught: 12 listopada powołano połączoną grupę operacyjną 1-79 pod moją komendą z zadaniem uwolnienia zakładników z Teheranu. Zakładamy, że główny ciężar wykonania zadania przejmie pana jednostka. Dlatego przyjechałem tutaj, aby wstępnie zapoznać się z oddziałem i przedyskutować główne założenia operacji.

Beckwith słuchał w milczeniu. Rozumiał doskonale, jak trudne zadanie postawiono przed jego żołnierzami - wręcz samobójcze, ale czy mógł zaprotestować? Generał mówił dalej.

Vaught: Rozważaliśmy trzy opcje. Zrzucenie żołnierzy na spadochronach... Problemem byłoby jednakże wycofanie się z Teheranu, gdyż komandosi z uwolnionymi zakładnikami musieliby przebijać się przez miasto...

Beckwith: Desant spadochronowy jest w tym wypadku projektem niepoważnym i daje zero szans na sukces. Z reguły na stu żołnierzy lądujących na spadochronach siedmiu odnosi kontuzje: rany postrzałowe lub obrażenia nóg. Co miałbym zrobić w Teheranie z żołnierzem ze złamaną nogą: zostawić go, czy kazać innemu, aby go niósł?

Vaught: Tak. Druga opcja zakłada przetransportowanie żołnierzy "Delta" w ciężarówkach z granicy tureckiej do Teheranu. Zajęłoby to około dwóch dni i pozwoliło - zważając na intensywny ruch na drogach irańskich, gdzie kursuje bardzo dużo ciężarówek z Niemiec do Pakistanu - na skryty podjazd do centrum Teheranu. Musimy się jednak, podobnie jak przy lądowaniu na spadochronach, z ogromnymi trudnościami z wycofaniem się z Teheranu. Problemem mogą być również częste kontrole na drogach...

Beckwith: Jeżeli Pasadrani otworzą naszą ciężarówkę-chłodnię i zobaczą tam zamiast befsztyków naszych operatorów, to co, u diabła, wtedy zrobimy?

Vought: Pozostają śmigłowce. Są wolniejsze od samolotów, ale mogą lądować w bezpośrednim sąsiedztwie budynków, gdzie są zakładnicy. Jednakże warkot motorów może zaalarmować strażników, którzy mogliby po prostu ustawić piki na trawnikach wokół budynków ambasady, uniemożliwiając lądowanie. Możemy tego uniknąć włączając do akcji ciężarówki, które podwiozłyby żołnierzy do miejsca akcji.

Beckwith: Panie generale, nie widzę możliwości zapewnienia tej misji sukcesu. Moi chłopcy byli trenowani do działań na zaprzyjaźnionym terenie, gdzie mogli liczyć na pomoc i współdziałanie miejscowej ludności i władz. Sytuacja, w jakiej znajdują się w Teheranie, jest całkowicie odmienna...

Vaught: Panie pułkowniku, decyzja została podjęta. 19 listopada musimy przedstawić plan odbicia zakładników. Rozkaz wyruszenia do akcji wydadzą politycy. Beckwith nic nie odpowiedział. Był żołnierzem nawykłym do najbardziej nieprawdopodobnych rozkazów. Za taki uważał rozkaz odbicia zakładników w centrum Teheranu. Szanse na sukces były równe zero...

Obiekty ambasady w Teheranie rozciągały się na obszarze 10 hektarów. Wysoki mur otaczał korty tenisowe, boisko piłkarskie, parkingi samochodowe, zabudowania kancelarii, biblioteki, gospodarcze, rezydencję ambasadora - w sumie 14 budynków. Atakujący komandosi musieli działać jak najszybciej, a szukanie zakładników na tak rozległym terenie zajęłoby im co najmniej 3-4 godziny. Był to czas wystarczający dla Irańczyków na zgromadzenie posiłków i odcięcie wszelkich dróg odwrotu, a może nawet na zabicie zakładników. Jeżeli więc misja miałaby dojść do skutku, komandosi musieli wiedzieć, gdzie uderzać. To już było zadanie CIA.

W grudniu 1979 roku wysłano do Teheranu oficera wywiadu o pseudonimie "Bob". Wkrótce dołączył do niego drugi wysłannik Centralnej Agencji Wywiadowczej. Był to bogaty Irańczyk, który po obaleniu Szacha uciekł do Stanów Zjednoczonych. Powrócił do Teheranu z zadaniem przygotowania warunków dla ataku na ambasadę. Kupił pięć ciężarówek oraz dwa mikrobusy, które miały być użyte do przewiezienia komandosów z lądowiska na pustyni do centrum miasta. Na przedmieściach Teheranu wynajął magazyn, w którym ukrył samochody.

Ci agenci nie mieli jednak doświadczenia wojskowego, a komandosom potrzebny był człowiek, który mógłby rozpoznać teren wokół ambasady, przyjrzeć się rozstawieniu i uzbrojeniu strażników, stwierdzić czy wejścia zostały zaminowane, a także określić warunki lądowania śmigłowców w centrum miasta.

Na ochotnika zgłosił się Richard Meadows. Spędził on w armii 30 lat. W 1970 roku dowodził oddziałem uderzeniowym atakującym więzienie Son Tay w Wietnamie, gdzie jego żołnierze opanowali jeden z najsilniej bronionych budynków.

W styczniu 1980 roku płk Meadows wylądował w porcie lotniczym Mehrabad i nie napotykając żadnych przeszkód ze strony całkowicie zdezorganizowanej irańskiej straży granicznej pojechał do hotelu "Arya Sheraton", gdzie zameldował się jako obywatel irlandzki. Bardzo szybko zebrał wszystkie dane, na których podstawie opracowano plan uderzenia na ambasadę.

W dniu "X" na pustyni oznaczonej jako "Desert One" miały wylądować samoloty transportowe z komandosami oraz śmigłowce. One zabrałyby oddział uderzeniowy do miejsca oznaczonego jako "Desert Two", sto kilometrów na południowy wschód od Teheranu. Tam pułkownik Meadows poprowadziłby komandosów do puszczony kopalni soli, gdzie mieli przeczekać noc. Śmigłowce zaś odleciałyby do niewielkiej doliny, odległej od "Desert Two" o 45 kilometrów. Tam, osłonięte siatkami maskowniczymi, stałyby się niewidoczne dla irańskich samolotów.

Pułkownik Richard Meadows, po ukryciu komandosów, wsiadłby do swojego volkswagena i wyruszył do magazynu na przedmieściach Teheranu, aby z kilkoma komandosami-kierowcami przyprowadzić ciężarówki. Wszystko byłoby gotowe do podróży do Teheranu. Wieczorem komandosi ukryci pod deskami w skrzyniach ciężarówek mieli wyruszyć do centrum stolicy.

O północy przystąpiliby do ataku na ambasadę, uderzając z kilku stron.

Zagrożenie, że irańscy strażnicy mogą zabijać zakładników było niewielkie. Paradoksalnie, największe niebezpieczeństwo zagrażało zakładnikom ze strony wybawicieli. Łatwo mogli dostać się pod kule komandosów, a na dodatek, najbardziej krewcy mogli odebrać broń strażnikom i wówczas staliby się celem dla żołnierzy, którzy mogliby brać ich za irańskich studentów.

Cztery minuty miała trwać akcja uwalniana zakładników z budynku kancelarii. Na radiowy sygnał pułkownika Beckwitha na trawniku przed budynkiem kancelarii zaczęłyby lądować śmigłowce, aby zabrać uwolnionych zakładników. Komandosi mieli przebić się na pobliski stadion, gdzie lądowałyby następne śmigłowce.

Wszyscy spotkaliby się na opuszczonym lotnisku, gdzie uratowani i ich ratownicy zakładnicy i komandosi wsiedliby do samolotu C-141 Starlifter i odlecieli do bazy w Egipcie, pozostawiając śmigłowce.

Czas naglił. Zbliżało się lato. Noce stawały się krótsze, a dni gorące i wietrzne. Każdy dzień zwłoki zmniejszał szanse na udaną akcję. Sytuacja w Teheranie pogarszała się. Ajatollah wyraźnie przejmował kontrolę nad Radą Rewolucyjną. Narastała groźba konfliktu zbrojnego między Iranem i Irakiem.

11 kwietnia 1980 roku o godzinie 12.48 prezydent Carter powiedział: "Musimy bezzwłocznie przystąpić do akcji".

O zmroku 24 kwietnia 1980 roku na pokładzie lotniskowca USS Nimitz, płynącego w odległości 80 km od brzegów Iranu zaczęły wirować łopaty wielkiego śmigłowca RH-53D Sea Stallion, który wnet uniósł się nad pokład, pochylił dziób i odleciał poza burtę, gdzie zatoczył koło, aby w powietrzu oczekiwać na pozostałe śmigłowce. Jeden po drugim unosiły się nad pokładem i dołączały do dowódcy.

W tym czasie z omańskiej wyspy Masirah wystartowały trzy samoloty transportowe C-130 z komandosami, a także trzy samoloty EC-130E Hercules, z których każdy przewoził zbiornik zawierający 12 tysięcy litrów paliwa.

Zapadła noc, gdy osiem śmigłowców minęło brzeg Iranu.

O godzinie 21.30 w kabinie śmigłowca nr 6 zamigotała czerwona lampka sygnalizująca spadek ciśnienia azotu w wirniku. Jeżeli czujnik działał poprawnie, mogło to oznaczać pęknięcie łopaty. Jedyne wyjście było wylądować i sprawdzić, czy sygnał ostrzegawczy jest prawidłowy. Niestety, inspekcja urządzeń umieszczonych na zewnątrz wirnika potwierdziła elektroniczne wskazania przesyłane do kabiny. Pilot uznał, że dalszy lot może zakończyć się katastrofą. Na szczęście pilot śmigłowca nr 8 zauważył awarię i wylądował tuż obok. Na jego pokład przesiadła się załoga Sea Stallion nr 6, zabierając wszystkie materiały.

Piloci innych śmigłowców, którzy byli już daleko z przodu, zobaczyli nagle wielką białą chmurę. Po raz pierwszy spotkali się z tym nieznanym w Stanach Zjednoczonych fenomenem, nazywanym w Iranie "haboob" gorącym wiatrem, podrywającym pustynny piasek i unoszącym go na wysokość setek metrów. Wnet pogrążyli się w białej, gęstej mgle. Drobinę piasku wciskały się w każdą szczelinę, pokrywały cienką warstwą przyrządy, osiadały na twarzach, drażniły oczy.

Pułkownik Seiffert, dowódca zespołu śmigłowców zdecydował się wylądować, aby spokojnie rozważyć sytuację. Tuż za nim osiadł na piasku asekurujący go śmigłowiec nr 2.

Biała chmura ciągnęła się prawdopodobnie przez kilka lub kilkanaście kilometrów i ominięcie jej było niemożliwe ze względu na szczupłość zapasów paliwa. Można było lecieć wyżej, gdzie tuman nie był tak gęsty, lecz Seiffert nie chciał się na to zdecydować, obawiając się wykrycia przez irańskie radary.

Nie znalazł innego wyjścia, jak tylko kontynuowanie lotu i przebicie się przez tę mleczną zasłonę. Mógł mieć tylko nadzieję, że chmura piasku nie spowoduje uszkodzenia żadnego ze śmigłowców. Tuż przed startem zdemontowano osłony przeciwpiaškowe silników, aby zmniejszyć ciężar śmigłowców i zaoszczędzić paliwo.

Jednak pilotów pech nie opuszczał.

Nagle w śmigłowcu nr 5 pilot zameldował dowódcy:

Pilot: Panie pułkowniku, mamy kłopoty z OMEGA. PINS chyba też źle wskazuje! Pułkownik Pitman zerwał gogle noktowizyjne, przez które obserwował teren i zaczął wpatrywać się we wskazania urządzeń nawigacyjnych.

Pułkownik: Nie działa żyrokompas. Schodzimy niżej. Obniżyli lot, starając się dostrzec jakiegokolwiek obiekty terenowe, które pozwalałyby zorientować się, jakim kursem lecą, jednakże piaskowa mgła zakrywała dokładnie ziemię.

Pilot: Odnoszę wrażenie, że szorujemy brzuchem o kamienie.

Pułkownik: To nie jest najgorsze, co może nas spotkać. Przed nami góry. Trzy tysiące metrów. Jeżeli nie ustalimy kursu, wpakujemy się w tę kupę skał. Nie wiem, jak daleko jesteśmy od "Desert One", ani jak długo trwać będzie ta cholerna burza piaskowa. Czy potrafisz namierzyć irańskie sygnały nawigacyjne?

Pilot: Nie nadają, lub nasz odbiornik jest martwy.

Pułkownik:Zawracamy.

Śmigłowiec nr 5 dokonał zwrotu o 180 stopni i kierując się sygnałami nawigacyjnymi wysyłanymi przez lotniskowiec Nimitz rozpoczął lot w jego stronę.

Gdy wylądował na pokładzie lotniskowca okazało się, że do kanału wentylacyjnego żyrokompasu wpadła kamizelka ratunkowa, która spowodowała przegrzanie silnika tego urządzenia. Skąd się tam wzięła? Czy był to przypadek, czy sabotaż? Nigdy tego nie ustalono.

Dowódca operacji pułkownik Beckwith nie wiedział, że dwa śmigłowce przerwały podróż. Ale nie zmartwiłby się zbyt. Przewidywał, że w wyniku niesprzyjających warunków lub potyczek z żołnierzami irańskimi liczba śmigłowców może się zmniejszyć. Dlatego z lotniskowca wystartowało osiem maszyn, więcej niż było potrzebnych do przeprowadzenia akcji w Teheranie. Jednakże po wycofaniu się śmigłowca nr 5 komandosi nie mieli już rezerwy. Każda następna awaria lub uszkodzenie śmigłowca mogła oznaczać konieczność przerwania misji.

W tym czasie samoloty z komandosami lądowały już na pustyni oznaczonej jako "Desert One".

Wielki transportowiec C-130E wyhamował dobieg i przy końcu prowizorycznego pasa zjechał na bok, aby zostawić wolną drogę dla następnych samolotów. Jego silniki jeszcze pracowały, gdy z tyłu kadłuba otworzyły się szerokie drzwi ładunkowe, przez które wyjechał jeep z żołnierzami ochrony lądowiska. W tym samym momencie dostrzeżono światła samochodu.

Jeep, za którym podążyli dwaj komandosi na motocyklach, zmienił kierunek i wyjechał na środek kamienistej drogi. Po chwili okazało się, że nadjeżdża autobus, prawdopodobnie wypełniony pasażerami. Nie wiadomo, czy kierowca nie dostrzegł komandosów blokujących drogę, czy też - uznając, że są to bandyci - zdecydował się staranować przeszkodę, gdyż kontynuował jazdę z tą samą prędkością.

Zahamował z piskiem dopiero, gdy pociski z pistoletów maszynowych komandosów trafiły w chłodnicę i w oponę.

Wewnątrz autobusu było 44 pasażerów, głównie kobiet i dzieci. Beckwith kazał odprowadzić ich na bok i trzymać pod strażą. Mieli być jeńcami do czasu zakończenia akcji.

Ledwo komandosi z ochrony lądowiska wrócili do swych miejsc na poboczach, z ciemności wynurzyła się wielka cysterna, za którą podążał pikap. Samochody z dużą prędkością minęły posterunek dowódcy ochrony i wszystko wskazywało na to, że za chwilę znikną w ciemnościach. Jednakże któryś z żołnierzy nie stracił głowy i wyciągnął granatnik przeciwpancerny. Przyklęknął na jedno kolano i zanim cysterna dotarła do zakrętu wystrzelił w jej stronę.

Płomienie błyskawicznie objęły cysternę. Z kabiny wyskoczył kierowca, który wsiadł do pikapa i samochód ruszył ostro do przodu. Pościg w ciemnościach na pustyni nie miał sensu.

Pułkownik Beckwith, obserwujący tę scenę z daleka nie przejął się. Powiedział do pułkownika Kyle'a dowódcy lotniczej części operacji:

Beckwith: Ci ludzie zapewne przemycali benzynę. Na pewno nie pojedą na policję. O 23.00 wylądowały wszystkie samoloty z komandosami. Oczekiwano na śmigłowce, które powinny wylądować o 21. 30. Tymczasem dochodziła 24.00, a ich wciąż nie było.

Pułkownik Beckwith nawiązał łączność radiową z generałem Vaughtem w Egipcie. Rozmowa była krótka

Beckwith: Potrzebuję paru śmigłowców.

Generał: Będą u ciebie za 10 minut.

Generał Vaught nie poinformował Beckwitha o wycofaniu dwóch śmigłowców. Dlaczego tak postąpił? Może uznał, że nie ma to większego znaczenia dla dalszego przebiegu akcji. Może obawiał się, że taka wiadomość, przekazana przed rozpoczęciem operacji w Teheranie, osłabi ducha bojowego komandosów i ich dowódców.

Minęła północ, gdy wreszcie usłyszeli warkot pierwszego śmigłowca. W kilkunastominutowych odstępach wylądowało pozostałych pięć. Należało jak najszybciej przeładować do nich ekwipunek i wystartować do kolejnego etapu podróży do "Desert Two". Musieli całą operację zakończyć przed świtem, gdyż wtedy mogły ich wykryć irańskie myśliwce. Mieli duże opóźnienie. Czas naglił. Wtedy do pułkownika Beckwitha podszedł jeden z pilotów:

Pilot: Sir, mam panu przekazać, że pozostało pięć śmigłowców nadających się do lotu.

Beckwith: Co jest do jasnej cholery!

Wydawało się, że pułkownik nie zrozumiał, o co chodzi pilotowi. Beckwith odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę pułkownika Kyle'a.

Beckwith: Jim, porozmawiaj z Seiffertem. Tylko ty rozumiesz ten cholerny żargon lotników. Pułkownik Beckwith sądził, że źle zrozumiał pilota, ale Kyle wrócił po kilku minutach wyraźnie zmartwiony.

Kyle: Musimy nawiązać łączność radiową z dowództwem. Śmigłowiec nr 2 ma problemy z hydrauliką i Seiffert obawia się, że dalszy lot może być niebezpieczny.

Beckwith: Jim, sprawdź to! Muszę mieć całkowitą pewność.

Kyle zasalutował i odszedł bez słowa w stronę śmigłowca nr 2, ustawionego w pobliżu samolotu transportowego. Wspiął się do kabiny, gdzie pilot pokazał mu pęknięty przewód hydrauliczny, z którego wyciekł płyn. Nie wyglądało to zbyt groźnie, gdyż awaria nastąpiła w systemie pomocniczym i śmigłowiec mógł lecieć dalej, jednakże - gdyby nastąpiła awaria głównego systemu - oznaczałoby to katastrofę. Kyle uznał, że nie można podjąć takiego

ryzyka, gdyż w najbliższym czasie śmigłowiec miał się znaleźć w ogniu walki, gdy jego urządzenia pracowałyby pod największym obciążeniem.

Kyle: Możecie to naprawić?

Pilot: W śmigłowcach 1, 3 i 7 są kontenery z częściami zamiennymi. Na pewno mają takie przewody i płyn hydrauliczny.

Kyle: Jak długo będzie trwała naprawa?

Pilot: Do świtu lub dłużej...

Kyle zeskoczył na ziemię i ruszył w stronę Beckwitha.

Kyle: Charlie, czy możesz rozważyć udział w operacji tylko pięciu maszyn? Przemyśl to dokładnie zanim odpowiesz.

Beckwith doskonale rozumiał powagę sytuacji. Wiedział jak trudne będzie lądowanie na terenie ambasady lub stadionu. Musiał zakładać, że co najmniej jeden śmigłowiec rozbije się lub zostanie uszkodzony pociskami irańskich strażników. Oznaczałoby to, że w Teheranie pozostaną zakładnicy lub komandosi.

Pułkownik Kyle połączył się z dowództwem w Egipcie i zrelacjonował sytuację. Generał Vaught odpowiedział:

Generał: Poproś "Orła", aby rozważył możliwość przeprowadzenia akcji z pięcioma śmigłowcami.

Beckwith: Gównno! Nie!

Nerwy pułkownika Beckwitha nie wytrzymały już napięcia. Później wspominał:

Beckwith: "W tym momencie straciłem szacunek dla generała Vaughta. Do diabła, myślałem, jak do cholery, szef może wymagać tego ode mnie!

Beckwith opanował się szybko. Potwierdził swoją decyzję przerwania akcji. Powiedział do pułkownika Kyle'a.

Beckwith: Nie widzę możliwości. Musimy przerwać akcję. Przekaż to generałowi.

Na pustyni była godzina 1.57, gdy pułkownik Beckwith dowiedział się, że jego decyzja została zatwierdzona przez prezydenta Cartera. Nie miało to jednak większego znaczenia. Gdyby w Waszyngtonie uznano, że powinien kontynuować akcję z pięcioma śmigłowcami, udałby, że rozkaz nie dotarł do niego ze względu na zakłócenia łączności radiowej.

O 2.10 komandosi zaczęli przenosić ekwipunek ze śmigłowców do samolotów. Piloci przygotowywali się do długiej podróży powrotnej.

Czas naglił. Zbliżał się świt. Stojące na pustyni śmigłowce i samoloty nie zostały zamaskowane, nie przygotowano stanowisk obrony przeciwlotniczej. W każdej chwili mogły nadlecieć irańskie samoloty.

Wszyscy działali w ogromnym pośpiechu. Śmigłowce napełniały zbiorniki.

O 2.52 śmigłowiec nr 3 wystartował, aby nad kadłubami innych maszyn podlecieć do samolotu-cysterny.

Chmura pyłu uniesiona przez łopaty wirnika zakryła wszystko. Śmigłowiec wzbił się na kilka metrów.

Pilot pochylił maszynę i wtedy łopaty zahaczyły o kadłub samolotu. Trafiły dokładnie w przegrodę między kabiną pilotów, a przedziałem pasażerskim, w którym było 40 komandosów. Śmigłowiec, wytracony z kursu, runął na ziemię. Paliwo w jego zbiornikach eksplodowało i w ułamku sekundy wielka ognista kula objęła samolot.

Komandosi zaczęli wyskakiwać na zewnątrz. Padali natychmiast na ziemię słysząc wybuchy i gwizd pocisków nad głowami. To eksplodowały skrzynki z amunicją we wnętrzu kadłuba ogarniętego płomieniami.

Czterech komandosów, choć odbiegli wystarczająco daleko od płonącego wraku - zawróciło, aby wyciągnąć z koptopitu uwięzionych tam pilotów. Uratowali dwóch. Żar bijący z płonących kadłubów uniemożliwił udzielenie pomocy innym. W samolocie zginęło pięciu pilotów.

Obok płonął wrak śmigłowca, w którym zginął pilot i dwaj strzelcy.

Po pół godzinie komandosi i piloci śmigłowców siedzieli już w samolotach. Silniki pracowały i wielkie transportowce, jeden po drugim ustawiały się na pasie startowym. Pułkownik Kyle podszedł do Beckwitha.

Kyle: Charles, na pustyni zostawiamy pięć śmigłowców. Nie mogę ustalić, co z nich zabrano, a co jeszcze jest na pokładach. Musimy zniszczyć te maszyny.

Beckwith: Powiadomię lotniskowce. Niech przyślą myśliwce, żeby zniszczyły śmigłowce po naszym odlocie. Przygotować się do startu.

O świcie samoloty irańskie wykryły opuszczone na pustyni śmigłowce. Gdyby przeszukano je od razu, los pułkownika Beckwitha, nadaremnie czekającego na "Desert Two" i nieświadomego katastrofy, byłby przesądzony. Irańczycy uznali jednak, że lądowisko i śmigłowce zostały zaminowane. Dlatego otoczyli cały teren, a myśliwce ogniem działek zniszczyły dwa śmigłowce.

Dwa dni później prezydent Carter poleciał śmigłowcem do Fortu Bragg na spotkanie z żołnierzami "Deltą". Patrzył, jak zbliża się do niego sprężystym krokiem szczupły mężczyzna średniego wzrostu. Jak później powiedział: "był to najtwardszy facet, jakiego widział".

Pułkownik Beckwith stanął przed prezydentem podniósł dłoń do beretu. W oczach miał łzy.

Beckwith: Panie prezydencie. Przepraszam, że pana zawiedliśmy.
Carter nie odpowiedział. Podszedł do niego i objął go ramieniem.

4 listopada 1980 roku odbyły się wybory prezydenckie. Wygrał je Ronald Reagan.

Jimmy Carter miał nadzieję, że ostatnich dniach jego prezydentury Iran zdecyduje się zwolnić zakładników, a on, prezydent, będzie mógł powitać ich na lotnisku. Przecież zasłużył sobie na taką, satysfakcję. Pomimo nieudanej misji komandosów negocjacje z Iranem cały czas trwały i zakończyły się sukcesem.

18 stycznia 1981 roku, a więc dwa dni przed zaprzysiężeniem nowego prezydenta, było już pewne, że zakładnicy zostaną zwolnieni. Kiedy?

Minęła noc z 19 na 20 stycznia - ostatnia noc, którą Jimmy Carter spędził w Ovalnym Gabinetcie - oczekując na wiadomość z Teheranu. Samolot z zakładnikami stał już na teherańskim lotnisku, lecz w ostatniej chwili wstrzymano odlot.

Nad ranem 20 stycznia okazało się, że samolot wystartuje dopiero po ceremonii zaprzysiężenia prezydenta Reagana, która miała rozpocząć się na Capitolu o godzinie 11.00. Ajatollah Chomeini, zapiekły w nienawiści do Cartera, nie chciał dać mu ostatecznej satysfakcji.

Rozdział 7 – Zdalny zabójca

Senator Robert Kennedy, brat Johna Fitzgeralda Kennedy'ego, zginął zastrzelony przez palestyńskiego zamachowca tuż po północy 5 czerwca 1968 roku w hotelu "Ambassador" w Los Angeles. Prowadził kampanię wyborczą i miał ogromne szanse na zdobycie urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wydawałoby się więc, że zamachowiec został wynajęty przez przeciwników politycznych lub był fanatykiem, który usiłował nie dopuścić do wyborczego zwycięstwa Roberta Kennedy'ego. W śledztwie nie udało się jednak wyjaśnić motywów działania zamachowca. Dzisiaj, w świetle nowych faktów, możemy przypuszczać, że morderca był... zdalnie sterowany.

Minęła północ 5 czerwca 1968 roku, gdy Robert Kennedy zakończył spotkanie z wyborcami w holu eleganckiego hotelu "Ambassador". Zszedł z niewielkiego podwyższenia, na którym ustawiono mównicę i skierował się w stronę bocznych drzwi prowadzących do pomieszczenia gospodarczego. Tamtędy prowadziła bowiem najkrótsza droga do sali, w której miała się odbyć konferencja prasowa.

Strzały rozległy się cztery minuty później. Jeszcze nikt nie wiedział, co się stało. Aż rozeszła się wieść, że senator Kennedy został ciężko ranny w zamachu. Ponadto kule dosięgły pięciu przypadkowych osób, które szły tuż za nim.

Robert Francis Kennedy zmarł 25 godzin później, 6 czerwca o godzinie 1.44. Pozostałym rannym nie zagrażało niebezpieczeństwo i po okresie rekonwalescencji opuścili szpital.

Zabójca został schwytany bardzo szybko. Policja osaczyła go zanim zdołał uciec z hotelu i pozbyć się broni. Burmistrz Los Angeles ogłosił: "Wygląda na to, że nazywa się Sirhan-Sirhan, dwojga imion Sirhan-Sirhan".

Świadkowie widzieli, jak strzelał, tak więc nie mieli żadnych trudności w zidentyfikowaniu wysokiego szczupłego mężczyzny o śniadej cerze. Miał przy sobie rewolwer, z którego pociski utkwily w ciele Roberta Kennedy'ego. Jego winę potwierdzały znalezione w jego domu notatki. Pisał z nienawiścią o Robercie Kennedym jako o człowieku, który chciał prowadzić proizraelską i antyarabską politykę. Świadkowie potwierdzili, że przez cztery dni poprzedzające zamach intensywnie trenował na strzelnicy. Czy trzeba było więcej dowodów? Wydawałoby się, że nie. Tym bardziej, że sam podejrzany nie zaprzeczał, że mógł dokonać zamachu, ale nie przyznawał się do oddania strzałów! Twierdził bowiem, że niczego nie pamięta.

Komu mogło zależeć na śmierci Roberta Kennedy'ego?

Robert Francis Kennedy urodził się w 1925 roku. Był jednym z czterech synów Rosy i Josepha Kennedych, ludzi nadzwyczaj zamożnych i wpływowych. W czasie wojny przerwał studia prawnicze na uniwersytecie Harvarda, aby zaciągnąć się do marynarki wojennej. Powrócił na studia i ukończył je w 1948 roku. Wkrótce związał się z polityką, kierując w 1952 roku kampanią wyborczą swojego brata Johna, ubiegającego się o fotel senatora. Po raz drugi przejął prowadzenie kampanii brata w 1960 roku, gdy John zdecydował się walczyć o najwyższy urząd w państwie. Wygrane wybory prezydenckie były w dużej mierze zasługą Roberta, jego błyskotliwości, talentu organizacyjnego, niekonwencjonalnych pomysłów.

W 1961 roku Robert objął urząd prokuratora generalnego i mając poparcie brata bardzo energicznie przystąpił do zwalczania zorganizowanej przestępczości. Był bezkompromisowy wobec ludzi podejrzewanych o to, że są członkami mafii, jak i tych, którzy ze współdziałania z podziemnymi organizacjami odnosili korzyści. Starał się również ograniczyć samowolę tajnych służb, które za czasów poprzedniego prezydenta, Dwighta Eisenhowera, uzyskały decydujący wpływ na waszyngtońską administrację. Robert Kennedy, rozżłoszczony samowolą szefów potężnej agencji miał powiedzieć, że rozgoni ich na cztery wiatry. Zyskał potężnego, choć wiarołomnego sojusznika: szefa Federalnego Biura Śledczego FBI Edgara J. Hoovera. To on 10 kwietnia 1962 roku przyszedł do gabinetu Roberta. Powiedział:

Hoover: Nie mogę ukryć tej wiadomości. CIA jest powiązana z Samem Giancaną i Johnem Rossellim.

Hoover mówił o dwóch potężnych szefach mafii.

Robert Kennedy: Masz wystarczające dowody?

Hoover: Inaczej nie przychodziłbym do ciebie.

Kilka dni później Robert spotkał się z szefem CIA.

Robert Kennedy: Powiedziałem wyraźnie, że zabraniam podejmowania bez mojej wiedzy jakichkolwiek prób korzystania z usług organizacji przestępczych w tajnych operacjach. Zwłaszcza kontaktów z Samem Giancaną.

Chodziło o próby zamordowania kubańskiego przywódcy Fidela Castro, gdy CIA odwołała się do pomocy szefów mafii, zlecając im zorganizowanie zamachu w Hawanie.

Hoover: Rynsztokowe plotki mówią, że nic złego nie może stać się Samowi Giancanie, gdyż jest przyjacielem Franka Sinatry, a Frank jest bliskim przyjacielem rodziny Kennedych.

Robert Kennedy zerwał się z fotela.

Robert Kennedy: Zobaczymy!

Faktem jest, że tuż po tej rozmowie jego brat-prezydent bardzo rozluźnił związki z Frankiem Sinatrą, słynnym piosenkarzem znanym z powiązań z mafią, ale rzeczywiście ani Giancaniemu, ani Rosselemu nic złego ze strony państwowych służb się nie przydarzyło.

Potem przyszedł tragiczny dzień 22 listopada 1963 roku. Robert Kennedy wydawał przyjęcie w swoim domu w McLean w Virginii. W pewnym momencie wywołano z sali jego sekretarkę. Podeszła do telefonu. Dzwonił Edgar J. Hoover.

Hoover: John Kennedy został ranny. Zamach w Dallas. Proszę powiadomić Roberta.

Sekretarka: Nie! Nie mam odwagi tego zrobić...

Hoover: Dobrze, wywołajcie Roberta, sam to zrobię.

Gdy Robert podszedł do telefonu, Hoover powiedział do niego:

Hoover: Mam wiadomość, którą muszę przekazać...

Robert Kennedy: Tak?

Hoover: ...był zamach na prezydenta. Został postrzelony...

Robert Kennedy: Czy to poważna sprawa?

Hoover: Tak sądzę, wkrótce będę miał więcej informacji.

Zadzwoił po kilkunastu minutach.

Hoover: Prezydent nie żyje!

Śmierć brata była szokiem dla Roberta. Zrezygnował ze stanowiska prokuratora generalnego. Wyjechał do rodzinnej posiadłości w Virginii. Tam zamykał się w domu i spędzał czas stojąc przy oknie albo wyruszał się na wielogodzinne spacery po lesie. Otrząsnął się dopiero po roku. Podjął karierę polityczną. W listopadzie 1964 roku został wybrany senatorem. Cztery lata później zgłosił swoją kandydaturę do wyborów prezydenckich i miał ogromne szanse zdobycia najwyższego urzędu. Nie ze względu na charyzmę brata. Robert potrafił zjednywać sobie przeciętnych Amerykanów, gdy mówił o konieczności zaprowadzenia równości i

sprawiedliwości wśród białych i czarnych. Był przeciwnikiem kontynuowania wojny w Wietnamie.

Robert Kennedy: Cała historia wojen nie zawiera tak długiej listy błędów, jakie popełniono w Wietnamie. To czas, aby uznać te błędy i spojrzeć prawdzie w oczy: zwycięstwa nie ma i nigdy go nie będzie!

Otwarcie oskarżał ludzi odpowiedzialnych za kryzys społeczny i polityczny:

Robert Kennedy: Ci, którzy ponoszą odpowiedzialność za taką sytuację, ci, którzy sami się usuwają z amerykańskiej tradycji, ci, którzy są brudem na ciele narodu. To oni. Prezydent Stanów Zjednoczonych Lyndon Johnson! To on i jego ludzie dzielą naród!

Bezkompromisowość przysparzała mu wrogów, ale czy tak zawziętych, aby myśleli o zamachu? Amerykańska scena polityczna słyszała nie takie oskarżenia podnoszone przez jednych kandydatów do politycznych stanowisk przeciwko drugim.

Dlaczego więc zorganizowano zamach? Wszystko wskazywało, że było to dzieło szaleńca. Pozornie.

Wydawałoby się, że sprawa zamachu w Los Angeles nie wymagała żmudnego śledztwa. Wszystko było tak bardzo oczywiste: palestyński fanatyk postanowił zabić kandydata na prezydenta, gdyż nienawidził go za proizraelskie sympatie. Wielu świadków widziało jak strzelał, zabójcę schwytano z dymiącym rewolwerem w dłoni. Pozostało jednak wiele niewyjaśnionych spraw.

Wątpliwość pierwsza: zabójca uzbrojony był w rewolwer ośmiostrzałowy. Duża pojemność bębena została uzyskana dzięki zmniejszeniu naboju. Mniejszy pocisk ma mniejszą skuteczność. Zamachowiec wiedział, że będzie strzelać z niewielkiej odległości do jednego człowieka. Nie potrzebował tak wielu naboju. Powinien więc zabrać rewolwer jak największego kalibru, aby mieć pewność, że każdy celny pocisk będzie śmiertelny.

Wątpliwość druga: świadkowie byli zgodni, że zamachowiec strzelał do senatora z odległości od 90 do 150 cm. Tymczasem lekarz sądowy Naguchi zeznał:

Lekarz: Rana postrzałowa znajdowała się za prawym uchem. Było tam dużo prochu. Tuż za prawym uchem. Po próbach doszliśmy do wniosku, że odległość lufy od głowy wynosiła 2,5 cm i nie więcej niż 7 cm.

Skąd wzięły się tak rozbieżne oceny odległości, z jakiej morderca strzelał? Świadkowie twierdzili, że z odległości 90-150 cm, lekarz sądowy: z kilku centymetrów.

Wątpliwość trzecia: dalsze zeznania lekarza.

Lekarz: Kazano mi zachować w tajemnicy ustalenie, z jakiej odległości padły strzały. Nie zgodziłem się na to, w związku z czym zwolniono mnie z pracy pod pretekstem niewykonania obowiązków w czasie sekcji zwłok.

Rok później ponownie przyjęto go do pracy, ale minęło wystarczająco dużo czasu, aby zagmatwać całą sprawę.

Wątpliwość czwarta: Senatora Kennedy'ego trafiły cztery pociski. Cztery pozostałe raniły innych ludzi. Wszystko się zgadza, gdyż w bębenu rewolweru zamachowca mieściło się osiem naboju. Ale...

Policja uznała, że jeden z pocisków przeszedł przez materiał marynarki na ramieniu Kennedy'ego i trafił w głowę mężczyznę stojącego za senatorem. Było to możliwe, ale tylko

wtedy gdyby mężczyzna ten trzymał głowę na ramieniu Kennedy'ego lub miał trzy metry wzrostu! Tak więc człowiek ten został trafiony innym, dziewiątym pociskiem.

Ustalono, że kobieta stojąca najdalej od Kennedy'ego mogła zostać trafiona tylko pociskiem odbitym od sufitu, a więc lecącym z góry, gdyż między nią a senatorem było tak wiele osób, że nie mógł jej trafić pocisk lecący wprost z lufy rewolweru zamachowca, ani odbić się do podłogi. Tymczasem została trafiona pociskiem lecącym z dołu. Nie mógł więc on pochodzić z rewolweru Sirhana.

Dwa pociski wbiły się we framugę drzwi. Oznacza to, że łącznie znaleziono cztery dodatkowe pociski. O cztery więcej niż mieścił bębenek rewolweru Sirhana! Jak obliczono, strzelał on przez 12 do 15 sekund. Nie miał więc czasu, aby wyrzucić łuski z bębena i załadować nowe naboje. Wynika z tego, że w sali hotelu "Ambassador" był drugi strzelec. Potwierdził to w 1976 roku Baxter Ward, ekspert badający pociski. Powiedział: "Pociski nie pasują do siebie". Oznacza to, że pochodziły z dwóch rewolwerów.

Wątpliwość piąta: zeznania świadka zamachu na Kennedy'ego, Sandry Serrano.

Sandra: Stałam na dole schodów prowadzących z hollu, gdzie padły strzały. Widziałam dwoje bardzo podejrzanych ludzi. Wysokiego śniadego mężczyznę i kobietę w białej sukience w grochy. Stałam tam myśląc o tym, jak wiele ludzi tu przyszło i jak było cudownie. Potem ta dziewczyna zbiegła po schodach i powiedziała: zastrzeliliśmy go, zastrzeliliśmy go.

Spytałam: "Kogo zastrzeliliście?" A ona odpowiedziała: "Senatora Kennedy'ego". Pamiętam, co miała na sobie: była w białej sukience w kropki, miała jasną skórę i ciemne włosy, czarne buty i miała dziwny nos. Potem zszedł chłopak. Miał około 23 lat i był Meksykaninem. Wiem to, bo sama mieszkałam w meksykańskiej części Ameryki.

Oczywiście Sandra Serrano mogła kłamać, ale w czasie przesłuchania sierżant Hernandez z policji Los Angeles usiłował ją zastraszyć i zmusić do odwołania zeznań. Ich rozmowa została zarejestrowana na taśmie magnetofonowej:

Sandra: Widziałam tych ludzi.

Hernandez: Nie, nie, Sandy, pamiętaj, co ci powiedziałam. Nie możesz powiedzieć, że coś widziałaś, kiedy nie widziałaś. Mogę to wytłumaczyć detektywom i wtedy oni nie będą musieli z tobą rozmawiać i ty nie będziesz musiała z nimi rozmawiać. Proszę cię w imieniu Kennedy'ego.

Sandra: Proszę nie używać imienia Kennedy'ego!

Hernandez: Wiesz, że postępujesz źle.

To była bardzo długa rozmowa. Hernandezowi udało się nakłonić dziewczynę do odwołania zeznań. Dopiero po latach przyznała się, że widziała morderców.

Tak więc bardzo wiele wskazuje, że zamach na Kennedy'ego nie był tylko sprawą Sirhana.

Wątpliwość szósta: Kennedy'ego ochraniaли nie policjanci, lecz strażnicy z prywatnej firmy. Co więcej, policjanci otrzymali zakaz pilnowania sali, gdzie odbywał się wiec wyborczy. Dlaczego? Kto wydał taki zakaz?

Dodajmy inne pytania. Dlaczego prowadzący śledztwo nie uwzględnili faktu znalezienia dwunastu pocisków? Dlaczego nie uwzględniono stwierdzenia lekarza sądowego, że pierwszy strzał padł z odległości 2-7 cm od ucha Kennedy'ego, gdy domniemany zabójca stał w odległości około jednego metra? Dlaczego starano się zmusić lekarza do ukrycia tego faktu? Odpowiedź jest jedna: policji zależało na zatuszowaniu całej sprawy.

Robert Kennedy mówił na wiecach wyborczych:

Robert Kennedy: Będę prowadził nową politykę, która skończy rozlew krwi w Wietnamie i w naszych miastach. Politykę, która zlikwiduje przepaść między białymi i czarnymi, bogatymi i biednymi, młodymi i starymi w tym kraju i na całym świecie. Ubiegam się o urząd prezydenta, gdyż chcę, aby Partia Demokratyczna i Stany Zjednoczone działały dla nadziei, a nie rozpacz, dla pojednania ludzi, zamiast ryzyka wojny światowej.

W czerwcu 1968 roku było pewne, że Robert Kennedy będzie 37. prezydentem. Jego wrogowie mogli wierzyć, że pozostanie wierny linii politycznej, którą prezentował jako prokurator generalny za czasów prezydentury Johna, a następnie w przemówieniach wyborczych.

Miał więc bardzo wielu wrogów. Mafia, obawiając się energii i talentu organizacyjnego Roberta, wolała się go pozbyć, gdyż Robert jako prezydent mógł im poważnie zaszkodzić.

Zapowiedź zakończenia wojny w Wietnamie i wycofania amerykańskich żołnierzy oznaczała miliardowe straty dla przemysłu pracującego na potrzeby wojska.

Kennedy mówił wielokrotnie o konieczności przyznania pełni praw czarnej ludności USA. To wywoływało furię rasistów z południowych stanów, dla których zapowiedzi rozszerzenia praw i wpływów czarnej ludności były wystarczającym powodem do zamordowania Roberta.

Robert Kennedy zapowiadał również zaprowadzenie porządków w CIA, która zaczęła prowadzić własną politykę zagraniczną. Gdyby został prezydentem, wówczas od niego zależałoby mianowanie szefa tej instytucji. Czy stamtąd mógł wywodzić się morderca? Czyżby tajne służby, broniąc swojej niezależności i wpływów, gotowe były usunąć kandydata na prezydenta uznawanego za ich wroga?

Ta hipoteza znalazła fantastyczne wprost potwierdzenie w roku 1975.

Dr William Bryan Jr rok przed śmiercią wyznał dwóm prostytutkom, że zahipnotyzował Sirhana, zabójcę Kennedy'ego. Był ekspertem w wykorzystaniu hipnozy w prawie karnym.

Inny naukowiec dr Herbert Spiegel stwierdził, że prowadził w CIA badania nad hipnotyzowaniem ludzi, którzy mieli zabijać wskazane ofiary. Program taki pod kryptonimem "Artichoke" uruchomiono w 1950 roku i realizowano go w Landlay w stanie Virginia. W połowie tego roku szef programu kontroli zachowań zahipnotyzował swoją sekretarkę i nakazał jej strzelić z nienabitego pistoletu do swojej przyjaciółki. Kobieta wypełniła to polecenie.

Według zeznania dr. Williama Bryana Jr. w 1974 roku uzyskanie pełnej kontroli nad zachowaniami człowieka, zdalne sterowanie jego ruchami wymagało długiego treningu, stosowania tortur fizycznych i psychicznych, narkotyków i oczywiście hipnozy. Było jednak możliwe. Człowiek tak ukształtowany nie potrafił ocenić charakteru czynu, jaki mu zlecono, a mózg nastawiony był jedynie na wykonanie rozkazu, bez względu na okoliczności.

Czy Sirhan był tworem programu "Artichoke"? W czasie procesu biegli zeznali, że jego stan mógł wskazywać, iż był w transie hipnotycznym.

Lekarz więzienny dr Eduard Simson, który usiłował badać Sirhana, został zwolniony ze

stanowiska.

Sirhana skazano na karę śmierci, którą zamieniono na dożywotnie więzienie. Przebywa w nim do dzisiaj.

Rozdział 8 – Titanic

Dochodziła godzina 23.00, gdy do kabiny radiotelegrafisty na amerykańskim statku "Californian" płynącym z Londynu do Bostonu zajął kapitan Stanley Lord.

Kapitan Lord: Coś nowego?

Radiotelegrafista: Nie, sir. "Mesaby" nadał ostrzeżenie o górach lodowych. Płyną dwieście mil przed nami.

Kapitan Lord: Przesłałeś dalej?

Radiotelegrafista: Tak jest. Potwierdzili odbiór z "Titanica", są kilkadziesiąt mil na północ od nas.

Kapitan Lord: Co przekazali?

Radiotelegrafista: Hmm..., żebym im głowy nie zawracał. I tak mają dużo roboty.

Kapitan Lord: No cóż, to wielki "Titanic". Zastopowaliśmy maszyny. Idź spać.

Radiotelegrafista wyłączył aparaturę i poszedł do kajuty, nie przewidując, że tej nocy łączność radiowa na coś jeszcze się przyda. Kapitan też poszedł spać. Na mostku czuwała wachta wypatrująca strasznych gór lodowych, jakie o tej porze roku w tym rejonie Atlantyku spotkać można było często. Zagrożenie było tym większe, że noc była pochmurna, a widoczność nie najlepsza. Dlatego kapitan nakazał zatrzymać maszyny. Ryzyko było zbyt duże, a nie istniały powody, aby je podejmować.

W tym czasie "Titanic" płynął z prędkością 22 węzłów...

Radiotelegrafiści "Titanica", oficerowie Jack Philips i Thomas Bride, rzeczywiście mieli pełne ręce roboty. Pasażerowie zasypywali ich depeSZami, gdyż jedną z atrakcji rejsu była możliwość wysyłania z pokładu pozdrowień, zaś z lądu nadchodziły drogą radiową informacje dla pokładowej gazetki "Atlantic Daily Bulletin", drukowanej w okrętowej drukarni, dzięki czemu pasażerowie przez cały rejs mogli śledzić wydarzenia na świecie. Na sygnały "uwaga na góry lodowe" nikt nie zwracał uwagi.

O godzinie 22.00 na mostku służbę przejął pierwszy oficer Murdoch. Od jego decyzji miał zależeć los ponad dwóch tysięcy pasażerów wielkiego statku. Wiedział oczywiście, że znajdują się w niebezpiecznym rejonie Atlantyku, ale polecił utrzymać prędkość 22,5 węzła, to jest ponad 41 km/h. Zapewne takie polecenie otrzymał od kapitana lub nawet armatora. "Titanic" miał zachwycić świat ogromem, luksusem i nowoczesnością. Szybkość przebycia Atlantyku też się liczyła, gdyż "Titanic" chciał zdobyć piękne trofeum "Błękitną wstęgę", przyznaną za najszybsze pokonanie oceanicznej trasy z Liverpoolu do Nowego Jorku. Ta nagroda od 1907 roku należała do załogi statku "Mauretania", który rozwinął średnią prędkość 27 węzłów. Nie chodziło oczywiście o sportową rywalizację. "Błękitna wstęga" była wspaniałym chwytym reklamowym, który przysparzał liniom oceanicznym wielu pasażerów. Nic więc dziwnego, że po sukcesie "Mauretanii" właściciel, linie żeglugowe "Cunard Line" zabrały konkurentom ogromnie wielu pasażerów. Wśród przegranych znalazły się linie żeglugowe "White Star Line". Broniąc swojej pozycji odpowiedziały budową największych statków pasażerskich, jakie nosiły morza: "Olympica" o pojemności ponad 45 000 BRT, zwodowanego w 1911 roku, i tuż potem jeszcze większego "Titanica".

Ten parowiec o długości prawie 260 metrów i szerokości 28 metrów miał ponad 46 tysięcy BRT. Tyle, że nie rozwijał zbyt dużej prędkości, gdyż mógł osiągnąć tylko 21 węzłów. Jednakże luksus i bezpieczeństwo, jaki armator zaproponował pasażerom, miały usunąć niedogodność spędzenia na Oceanie kilkunastu godzin więcej niż w kabinach "Mauretanii".

Restauracje, bary, sala balowa, kino, basen, nadzwyczaj wytwornie umeblowane kabiny pierwszej klasy ściągnęły najmożniejszych tamtego świata. Bilety na pierwszy rejs "Titanica" wykupił John Jacob Astor, właściciel kilku wielkich hoteli w centrum Nowego Jorku, Izydora i Nathan Straussowie, właściciele wielkiego nowojorskiego domu towarowego Macy's, Harry Elkins Widener, wnuk amerykańskiego magnata transportowego oraz Daniel Guggenheim, przemysłowiec, właściciel wielu kopalń i największej amerykańskiej firmy metalurgicznej. Dla tych ludzi zawrotna kwota 4 350 dolarów, co odpowiada dzisiejszym 100 tysiącom dolarów, jakie musieli zapłacić za kabinę I klasy, nie była ceną wygórowaną, skoro mogli uczestniczyć w historycznym przedsięwzięciu. I otrzymywali gwarancję pełnego bezpieczeństwa. "Titanic" wzbudzał zaufanie już samym wyglądem, wysmukłą sylwetką z czterema wysokimi kominami, ogromem kadłuba. Nie bez znaczenia był fakt, że okręt powstał w irlandzkiej stoczni Harland & Wolff, która wcześniej budowała "Olympica", zaś nad konstrukcją wielkiego liniowca czuwał osobiście właściciel William James Pirrie, mający ogromne doświadczenie, jako że pracę w przemyśle stoczniowym rozpoczął w 1862 roku.

To za jego radą konstruktorzy irlandzkiej stoczni wprowadzili rozwiązania, które miały uczynić ten piękny statek niezatapialnym: kadłub podzielono na 16 sekcji z wodoszczelnymi drzwiami i zalanie nawet czterech z nich nie mogło spowodować zatonięcia olbrzymiego liniowca.

Jednakże rejs zaczął się pechowo.

10 kwietnia 1912 roku "Titanic" rzucił cumy i zaczął odchodzić od nabrzeża angielskiego portu Southampton. Ruch wielkiego kadłuba wzbudził w portowym basenie fale, która natarła na stojący przy nabrzeżu statek "New York". Jego cumy nie wytrzymały i pękły jak sznurki. Uwolniony statek, poddany prądom wody zaczął niebezpiecznie zbliżać się do manewrującego "Titanica" grożąc uderzeniem w jego kadłub. Zapewne kolizja skończyłaby się o wiele gorzej dla mniejszego "New York", jednakże pozostawiłaby fatalne wrażenie na 2 224 pasażerach "Titanica". Na szczęście kapitan Smith zachował przytomność umysłu i tak pokierował statkiem, że do zderzenia nie doszło.

Szybko zapomniano o niefortunnym początku podróży, rozkoszując się luksusem i wrażeniami z rejsu największym statkiem świata.

Po czterech dniach "Titanic", przekraczając dopuszczalną prędkość o półtora węzła, znalazł się 400 mil morskich tj. około 640 km na południe od Nowej Funlandii. To był najbardziej niebezpieczny rejon Atlantyku, gdyż o tej porze roku łatwo można było napotkać dryfujące góry lodowe. Kapitan umyślnie wybrał tę ryzykowną, acz najkrótszą trasę, licząc na odebranie konkurencyjnym liniom "Niebieskiej wstęgi". Wszystkie obliczenia wskazywały, że to się uda. O świcie 16 kwietnia mieli wejść do nowojorskiego portu.

Porucznik Murdoch nie miał więc nic innego do roboty, jak utrzymywać jak największą prędkość. Wiedział o zagrożeniu, ale liczył, że odpowiednio wcześniej uda się wypatrzeć gigantyczne bryły odłamujące się z lodowca Grenlandii. Niektóre miały wielkość fortepianu i nie stanowiły żadnego zagrożenia dla kadłuba "Titanica". Należało obawiać się tych największych, wynurzających się z wody na wysokość dziesięciopiętrowego budynku, gdy wielokrotnie więcej lodu kryło się pod taflą oceanu. Ich biała barwa, łatwo odbijająca poświatę księżycową oraz fale uderzające o stoki góry dawały szansę wypatrzenia niebezpieczeństwa z odpowiedniej odległości. Jednakże tej nocy ocean był spokojny jak jezioro, co utrudniało dostrzeżenie niebezpieczeństwa.

O 23.40 rozległy się trzy uderzenia w dzwon. Na pomoście zabrzączał telefon łączący z bocianym gniazdem, gdzie służbę pełnił Fred Fleet.

Murdoch: Porucznik Murdoch, co się tam dzieje?

Fred: Przed dziobem góra lodowa! Góra lodowa!

Porucznik Murdoch zareagował szybko:

Murdoch: Lewo na burt! Cała wstecz!

Popęlnił błąd!

Telegraf przekazał rozkaz z mostku do maszynowni i po chwili wielkie łopaty śrub napędowych "Titanica" obróciły się i zaczęły pchać strumień wody do przodu hamując rozpędzony okręt. Jednocześnie stery sprawiły, że dziób odchylił się w lewo i okręt zaczął schodzić z kursu kolizyjnego. Zbyt wolno! Po kilku minutach silne uderzenie dało się odczuć na wszystkich pokładach.

Na mostek wbiegł kapitan Edward Smith.

Kapitan: Pierwszy, co się dzieje?

Murdoch: Panie kapitanie, dałem rozkaz "lewo na burt" i "cała wstecz", ale było za blisko. Obawiam się, że uderzyliśmy w górę lodową. Kazałem zamknąć drzwi wodoszczelne.

Kapitan: Potwierdzam, proszę o meldunek o sytuacji na dole!

Jeszcze nie było powodu do paniki. Okręt o tak nowoczesnej konstrukcji powinien wytrzymać zderzenie, nawet jeżeli blachy kadłuba zostałyby rozdarte.

Tymczasem z dołu napłynął meldunek wskazujący, że sytuacja staje się tragiczna: w burcie statku był otwór o długości około 90 metrów. Pompy nie nadążały usuwać setek ton wody wdzierających się do wnętrza.

Tuż po północy kapitan Smith zdecydował się nadać sygnał alarmowy.

Kapitan: Radio, nadawać sygnał CQD.

CQD to skrót od Come Quick, Danger, czyli "Przybywajcie szybko, jestem w niebezpieczeństwie".

Kapitan: Radio nadawaj: CQD. Uderzyłem w górę lodową. Poważne uszkodzenia. Pozycja 41 stopni 44 minuty Nord, 50 stopni 24 minuty West.

Jack Philips, radiotelegrafista podał pobieżnie określoną pozycję statku. Kilka minut później uściślił ją.

Głos: CQD. Uderzyłem w górę lodową. "Titanic". Moja pozycja 41 stopni 46 minut Nord, 50 stopni 14 minut West.

Później drugi radiooficer zaczął używać nowego kodu ratunkowego SOS.

Na mostku działał kapitan Smith.

Kapitan: Panowie, chcę mieć stałe meldunki o sytuacji na dole. Zarządzam ewakuację pasażerów. Wszyscy do szalup.

Kapitan wiedział, że w szalupach ratunkowych jest miejsce dla 1 178 osób, a więc ledwie połowa ludzi na pokładzie mogła liczyć na ratunek. Inni, którzy założyli kamizelki ratunkowe nie mieli żadnej szansy przeżycia w wodzie, której temperatura niewiele przekraczała zero stopni Celsjusza. Mogli wytrzymać kilka minut zanim zabiłoby ich oziębienie organizmu.

Dochodziła pierwsza, gdy czwarty oficer Boxhall dostrzegł światła statku przepływającego w pobliżu. Był w odległości zaledwie paru mil, a więc mógł szybko przybyć na miejsce katastrofy i uratować wszystkich pasażerów!

Wystrzelono kilka białych rac, aby zwrócić uwagę sąsiada. Nie zareagował. Boxhall dopadł do lampy i za jej pomocą zaczął wysyłać sygnały wezwania o pomoc. Bezskutecznie. Statek, jak zjawą, nie reagował. Szybko oddalał się.

Radiotelegrafista Jack Philips wystukiwał morsem wezwania o ratunek:

Głos na tle alfabetu Morse'a: CQD. Zderzyliśmy się z górą lodową. Toniemy dziobem. 41 stopni 46 minut Nord, 50 stopni 14 minut West. CQD. Nasza maszynownia zalana.

Statek "Californian" był w odległości 20 mil od "Titanica", którego dziób nabierając wody pochylał się coraz bardziej. Dotarcie do tonącego okrętu zajęłoby im najdłużej półtorej godziny, a więc przybyliby z ratunkiem zanim kadłub "Titanica" pogrążyłby się pod wodą. Jednakże radiostacja "Californiana" nie przyjmowała sygnałów ratunkowych. Jeden z marynarzy pełniących służbę na mostku kapitańskim krzyknął do oficera:

Marynarz: Panie poruczniku, z lewej, strzelają rakiety!

Oficer wachtowy podniósł lornetkę do oczu.

Oficer: To może być z "Titanica". Oni przechodzili niedawno koło nas.

Nad horyzontem zajaśniała biała raca.

Oficer: Albo bawią się... Wpisać do dziennika okrętowego, że zauważono sygnały świetlne i poinformować kapitana.

Marynarz ostrożnie zastukał do drzwi kabiny, bojąc się zbyt natrączywym hałasem wyrwać ze snu kpt. Stanleya Lorda, który bardzo tego nie lubił.

Marynarz: Przepraszam, że pana budzę, sir, ale pierwszy kazał zameldować, że z "Titanica" strzelają rakiety.

Kapitan Lord: Czy to są rutynowe sygnały kompanii?

Marynarz nie zrozumiał, o co chodzi jego zwierzchnikowi.

Marynarz: Panie kapitanie, na niebie widać race.

Kapitan Lord: Pewnie na "Titanicu" bawią się w najlepsze.

O 1.30 załoga innego statku, "Carpathia" odebrała wezwanie pomocy z "Titanica". Kapitan Rostron natychmiast kazał zmienić kurs i całą mocą maszyn ruszył na ratunek tonącemu liniowcowi. Jednakże miał do przebycia 60 mil tj. 108 kilometrów. Musiało minąć wiele czasu, zanim mógł przybyć na miejsce katastrofy. Zbyt dużo...

O 2.20 wody oceanu zamknęły się nad wielkim liniowcem "Titanic", który osiadł na głębokości 4 tysięcy metrów. Razem z nim tonęło 1 522 pasażerów i członków załogi, którzy pozostali na pokładach lub zmarli w lodowatej wodzie. Zginęli kapitan Edward Smith i pierwszy oficer Murdoch.

"Carpatia" przybyła o czterdzieści minut później, aby uratować tych, którzy uszli z topieli. Około 6.00 "Californian" dołączył do poszukiwań rozbitków, ale żywych nie było już w wodzie. Jeszcze przez wiele miesięcy wyławiano z oceanu zwłoki pasażerów "Titanica".

Trybunał, który miał wyjaśnić okoliczności katastrofy, zebrał się 12 maja 1912 roku, rozpoczynając przesłuchania, które trwały 36 dni. Obraz, jaki wyłaniał się z zeznań świadków i biegłych, wskazywał jednoznacznie, że przyczyną zatonięcia było zderzenie z górą lodową, w wyniku czego poszycie kadłuba uległo rozdarciu na długości około 90 metrów. Woda wdarła się do pięciu lub sześciu przedziałów, co stało się bezpośrednią przyczyną zatonięcia. Sensacja miała przetrwać kilkadziesiąt lat później.

Trybunał badający w maju i czerwcu 1912 roku przyczyny zatonięcia "Titanica" uznał, że wina leżała po stronie kapitana Edwarda Smitha, który mimo ogromnego doświadczenia,

jakie dawała mu 28-letnia służba, nie zachował wymogów bezpieczeństwa. Jego wina polegała na utrzymaniu nadmiernej prędkości w rejonie znanym z występowania gór lodowych i lekceważeniu ostrzeżeń przekazywanych przez inne statki. "Było to bezsensowne nadużycie szybkości na oceanie" - powiedział lord Mersey, przewodniczący trybunału.

Kapitana Smitha nie było już wśród żywych.

Nikt nie wiedział, co się stało z pierwszym oficerem Murdochem, który wydał komendę: "Lewo na burt! Cała wstecz", doprowadzając do tragedii.

"Titanic" był już za blisko góry lodowej, aby śruby kierujące wodę do przodu kadłuba mogły zatrzymać rozpędzony statek, płynący z całą mocą 60 tys. koni mechanicznych. Jedynie spowolniły jego bieg, zaś wychylony w lewo ster zdążył spowodować zwrot kadłuba, tak że statek uderzył w górę bokiem, najsłabszą częścią, co okazało się fatalne. Oficer Murdoch powinien jedynie nakazać skręt w lewo i nie zmieniać prędkości statku, aby ster przejął masy wody pchanej przez lewą śrubę, umożliwiając szybszy skręt i ominięcie przeszkody. Jednakże oficera nie było wśród żywych.

Niechęć, ból, rozpacz skoncentrowały się więc na tym, który nie udzielił pomocy: kapitanie Stanleyu Lordzie, którego statek był tak blisko "Titanica". Członkowie załogi uratowani z katastrofy mówili, że widzieli statek płynący w odległości kilku mil. Kapitan Lord usiłował się bronić, dowodząc, że jego statek był zbyt daleko od "Titanica", aby z pokładu liniowca można było dostrzec światła "Californiana". Bezskutecznie. Prasa nazwała go "tysiącrotnym zabójcą". Powszechnie domagano się dla niego kary śmierci. Zmarł w 1962 roku w wieku 84 lat z ogromnym brzemieniem odpowiedzialności za nieudzielenie pomocy. Dopiero dwadzieścia trzy lata później jego syn uzyskał satysfakcję, jaką było oczyszczenie imienia ojca. Stało się to dzięki odnalezieniu zatopionego "Titanica".

Późno w nocy 1 września 1985 roku załoga amerykańskiego statku badawczego "Knorr", przeszukująca dno Oceanu za pomocą zdalnie sterowanego podwodnego pojazdu "Argo", zauważyła dziób transatlantyka. W następnych miesiącach zorganizowano nowe wyprawy.

W czerwcu 1986 roku człowiek, którego załoga odnalazła wrak - dr Robert Ballard zebrał pieniądze i opuścił się na dno oceanu w batyskafie wyposażonym w podwodny robot z kamerami, za pomocą których można było obejrzeć wnętrze okrętu. Rok później do wraku dotarli Francuzi, posługujący się głębinowym pojazdem.

Wyniki oględzin przełamanej kadłuba postawiły wiele nowych pytań, sprawiając, że sprawa "Titanica" stała się bardziej tajemnicza niż dotychczas sądzono.

Zlokalizowanie wraku pozwoliło zwrócić cześć kapitanowi Stanleyowi Lordowi. Na tej podstawie udowodniono bowiem, że jego "Californian" był w odległości co najmniej dwudziestu mil, a więc załoga "Titanica" nie mogła widzieć świateł jego statku. Do kogo więc błyskał lampą Aladisa oficer Boxhall? Jaki statek był tak blisko i nie udzielił pomocy? Czyżby na pokładzie tej tajemniczej jednostki znajdowali się ludzie odpowiedzialni za spowodowanie zagłady transatlantyku?!

To z pozoru bezsensowne pytanie znalazło podstawy, gdy podwodne kamery pokazały, że kadłub okrętu nie jest rozdarty! Tuż poniżej linii wodnej znajdował się otwór o średnicy około dwóch metrów, którego blachy były wygięte na zewnątrz, co zdawało się sugerować, że

wyrwa powstała w wyniku wybuchu! Czyżby na pokładzie była bomba? Komu mogło zależeć na zniszczeniu okrętu z ponad dwoma tysiącami pasażerów? Dzisiaj, po terrorystycznych atakach na WTC, wysadzaniu budynków zamieszkałych przez setki ludzi, nie wydaje się to niemożliwe. Wtedy zagłada największego liniowca świata mogła na lata zatrzymać rozwój transatlantyckiej żeglugi. A może chodziło o zwycięstwo w konkurencyjnej walce o pierwszeństwo na Atlantyku warte setki milionów dolarów? Pytania wydawały się tym bardziej usprawiedliwione, że dalsze podwodne obserwacje zdawały się wykluczać zderzenie z górą lodową jako wyłączną przyczynę zatonięcia.

Kadłub "Titanica" rozpadł się na dwie części, które leżały oddalone o około 600 metrów. Nie można wykluczyć, że nastąpiło to w wyniku uderzenia o dno. Ale z równym prawdopodobieństwem można przyjąć, że kadłub rozłamał się w wyniku eksplozji. Tym bardziej, że ludzie uratowani z katastrofy mówili, że słyszeli odgłos wybuchu. Rzecz w tym, że nie można było ustalić, czy huk rozległ się, gdy okręt był jeszcze na powierzchni, czy też wtedy, gdy jego kadłub skrył się pod wodą, co sugerowałoby, że wybuchły kotły.

Nie ma jednak żadnych dowodów na to, że "Titanic" zatonął w wyniku wybuchu bomb podłożonych przez terrorystów, którzy uratowali się przed zagładą uciekając na szalupie do statku pozostającego w pobliżu. To oczywiście wyjaśniałoby obecność dziwnej jednostki, która nie reagowała na wezwania ratunku. Ba, próbowano nawet dopasować do tej teorii zachowanie porucznika Murdocha, który jakoby w zмовie z terrorystami wydał błędny rozkaz "cała wstecz", aby doprowadzić do zderzenia z górą lodową. Potem sam uciekł na pokład statku stojącego w pobliżu, co by wyjaśniało, dlaczego nie znaleziono jego ciała.

Bez względu na to, jak bardzo wyniki oględzin wraku mogły rozbudzać wyobraźnię, jedno jest pewne: to nie góra lodowa rozerwała poszycie burty i spowodowała zatopienie okrętu. Amerykańscy eksperci z zespołu Williama Garzkego badający fragment wydobytego kadłuba uznali, że główną winę ponosi stocznia, która użyła złego materiału do budowy kadłuba, zaś wibracje wytwarzane przez pracujące z pełną mocą silniki spowodowały wypadnięcie nitów. Uderzenie o górę lodową, które w normalnych warunkach nie spowodowałoby większej szkody, zniszczyło płyty obluzowanego poszycia i spowodowało wdarcie się do wnętrza kadłuba mas wody, które pociągnęły statek na dno.

Być może armator i wielka stocznia Harland & Wolf zdały sobie sprawę, co było rzeczywistą przyczyną tragedii na Atlantyku. Nie ujawniały jej, aby nie odstraszać pasażerów i nie spowolnić dynamicznego rozwoju ruchu transoceanicznego. Wkrótce dwaj konkurujący przewoźnicy "Cunard Line" i "White Star Line" połączyli się, aby lepiej walczyć z konkurencją Niemców, którzy już w 1913 roku wprowadzili na atlantyckie szlaki wielkie okręty "Vaterland" o wyporności ponad 54 tys. ton i "Imperator" - 52 tys. ton.

90 lat temu Ocean pogrzebał na głębokości 4 tysięcy metrów tajemnicę wielkiej tragedii. Czy kiedykolwiek uda się znaleźć ostateczne wyjaśnienie?

Rozdział 9 – Pueblo

Okręt "Pueblo" był niewielki. Mierzył 60 metrów długości. Jego załoga liczyła osiemdziesiąt trzy osoby. Nie miał uzbrojenia, jeśli nie liczyć jednego ciężkiego karabinu maszynowego na mostku i kilku pistoletów maszynowych w kajutach załogi.

I ta niewielka jednostka stała się przyczyną jednego z najpoważniejszych kryzysów politycznych na świecie.

Kończył się rok 1967. Sytuacja w Azji pogarszała się. Rozpalała się wojna w Wietnamie, wiele wskazywało na to, że Kim Il Song, północnokoreański dyktator szykuje swe państwo do wojny. W 1967 roku na granicy dwóch państw koreańskich zanotowano 360 incydentów, w których zginęło sześciu żołnierzy amerykańskich. Prezydent Lyndon Johnson chciał wiedzieć, czy rzeczywiście Korea Północna gotowa jest do wojny. Tę odpowiedź mogli dać tylko szpiegdy: samoloty zwiadowcze fotografujące zgrupowania wojsk i okręty z aparaturą pozwalającą podsłuchiwać rozmowy telefoniczne, łączność radiową i inne sygnały elektroniczne. Na podstawie tego materiału łatwo było się zorientować, jak daleko posunięte są przygotowania wojenne.

W grudniu 1967 roku załoga okrętu "Pueblo" otrzymała rozkaz przygotowania się do trudnej misji. Była to stara jednostka - zwodowana w 1944 roku, przewoziła broń dla wojsk alianckich walczących w Europie, a na początku lat pięćdziesiątych zaopatrywała wojska ONZ w Korei. Mocno wyeksploatowana, została wycofana ze służby w 1954 roku i spokojnie rdzewiała w amerykańskim porcie. Aż w kwietniu 1962 roku odesłano ją do stoczni, gdzie została przygotowana do nowego życia: okrętu wywiadu elektronicznego. W maju 1967 roku na pokład "Pueblo" wszedł nowy kapitan Lloyd Mark Bucher. Osierocony we wczesnym dzieciństwie sam musiał walczyć z losem. Poradził sobie. Ukończył Uniwersytet w Nebrasce. Wstąpił do marynarki wojennej. Marzył, aby dowodzić okrętem podwodnym. Los i przełożeni zdecydowali inaczej - został dowódcą okrętu szpiegowskiego, który 5 stycznia 1968 roku wyruszył z amerykańskiego portu do Japonii. Celem rejsu był północnokoreański port Wonsan. Tam "Pueblo", płynąc poza wodami terytorialnymi, miał rejestrować sygnały elektroniczne. Dla ambitnego kapitana zapowiadała się długa i nudna misja. Nie zdawał sobie sprawy, jak trudna i niebezpieczna, gdyż nikt go nie poinformował, że sytuacja w tym rejonie świata staje się coraz bardziej zapalna, a Koreańczycy coraz bardziej agresywni. W bazie morskiej Jocosuka nad Zatoką Tokijską "Pueblo" pobrał zapasy. Na pokład weszło też kilkunastu tajemniczych mężczyzn. Nikt z załogi nie miał prawa z nimi rozmawiać ani zaglądać do pomieszczeń, gdzie zamknęli się natychmiast po zaokrętowaniu. Oczywiście marynarze wiedzieli, że mieszczą się tam urządzenia rejestrujące sygnały elektroniczne. Kapitan uważał, że nie należy tego ukrywać przed dobraną załogą, gdyż powstawałaby atmosfera niezdrowej ciekawości, plotek, domysłów, a to mogłoby szkodzić służbie.

11 stycznia "Pueblo" rzucił cumy i wyruszył na południe, aby opłynąć wyspy Japońskie i wejść do Cieśniny Cuszimskiej prowadzącej w stronę Korei Północnej.

W styczniu 1968 roku, gdy amerykański okręt szpiegowski wyszedł z japońskiego portu i zmierzał w stronę Półwyspu Koreańskiego, oddział 31 żołnierzy północnokoreańskich przedostał się przez zaskieki i pola minowe założone w strefie zdemilitaryzowanej na granicy dwóch państw koreańskich. W niewielkich grupkach, niezauważeni przemknęli się między patrolami i podążyli w stronę Seulu. Ich celem był pałac prezydenta Korei Południowej

generała Park Chung Hee.

Nad ranem 21 stycznia 1968 roku znaleźli się w odległości zaledwie jednego kilometra od pałacu. Przed nimi była ostatnia przeszkoda: posterunek na drodze prowadzącej do bramy Błękitnego Domu. Z wartowni wyszedł jeden z żołnierzy:

Żołnierz: Stój! Kto idzie?

Żołnierz 2: Patrol kontrwywiadowczy. Wracamy z misji w górach.

Żołnierz: Dokumenty...

Północnokoreańscy komandosi mieli na sobie mundury armii południowokoreańskiej i świetnie podrobione dokumenty. Wartownik przepuścił ich, ale postanowił sprawdzić, czy rzeczywiście jakiś patrol został wysłany w góry. Zadzwoił do dowództwa.

Żołnierz: Zatrzymałem oddział trzydziestu żołnierzy. Dowódca w stopniu porucznika podał, że wracają z gór po misji kontrwywiadowczej. Dokumenty mają w porządku. Przepuściłem, ale proszę o potwierdzenie.

Kilkanaście sekund później z dowództwa przekazano informację, że żaden oddział kontrwywiadowczy nie został wysłany w góry. Wartownik widział jeszcze sylwetki żołnierzy idących drogą. Włączył sygnał alarmowe i wybiegł z bunkra. Karabin maszynowy na dachu obrócił się w stronę odchodzących dywersantów.

Dywersanci rzucili się biegiem do przodu, ale nie mogli daleko uciec. Zza bramy prezydenckiego pałacu wyłonił się samochód pancerny.

Walka trwała do rana, ale żołnierze północnokoreańscy nie mieli żadnych szans w starciu z liczniejszymi oddziałami gwardii prezydenckiej. Tylko kilku ocalało życie.

W Seulu i Waszyngtonie zastanawiano się, czy próba ataku na pałac prezydencki mogła być początkiem inwazji wojsk północnokoreańskich. Na to pytanie mogła odpowiedzieć załoga "Pueblo" rejestrująca sygnały elektroniczne.

Okręt dotarł już na odległość dwudziestu mil morskich od portu Wonsan. To nie było dobre miejsce. Specjaliści od nasłuchu pracujący w kajutach pod pokładem meldowali, że sygnały są słabe, nie można było zrozumieć przechwytywanych depech radiowych. Na domiar złego w pobliżu pojawiły się dwa północnokoreańskie kutry rybackie.

Kapitan Busher podniósł do oczu lornetkę. Powiedział do pierwszego oficera:

Kapitan Bucher: Na pokładzie mają paru facetów w mundurach.

Oficer: Może to komisarze polityczni. Pilnują rybaków, żeby nie uciekli za granicę.

Kapitan Bucher: Może, ale wyglądają jakby chcieli nas przypilnować. Obserwuj ich.

Tej nocy kapitan zdecydował się zmienić miejsce kotwiczenia i popłynąć w stronę wysepki Ung-do, gdzie spodziewał się lepszych warunków do rejestrowania północnokoreańskich

sygnałów.

W tym samym czasie telewizja południowokoreańska nadała wiadomość o rozbiciu grupy komandosów szykujących się do ataku na pałac prezydenta. Ta wiadomość szybko dotarła do stolicy Korei Północnej, wywołując wściekłość dyktatora.

25 stycznia o godzinie 10.50 na okręcie "Pueblo" oficer zastukał do kabiny kapitana Buchera.

Oficer: Panie kapitanie, przechwyciliśmy sygnały radarowe dwóch ścigaczy koreańskich. Nie wiemy, w jakiej są odległości.

Kapitan wyszedł na mostek. Pół godziny później wykryto dwie następne jednostki wroga. Można je było dostrzec przez lornetkę.

Kapitan Bucher: Wywieście flagę, że prowadzimy badania hydrograficzne.

Oficer: Pytają, jakiej jesteśmy narodowości.

Kapitan Bucher: Odpowiedzcie, że prowadzimy badania hydrograficzne. W jakiej odległości jesteśmy od ich wód terytorialnych?

Oficer: Dokładnie 15,8 mili.

Kapitan Bucher: To nie ma powodów do zmartwień. Chłopcy z innych jednostek mówili, że Koreańczycy często robią takie zabawy. Będą chodzić dookoła nas przez parę godzin. Nie widzę powodów do obaw.

O godzinie 12.20 kapitan mógł przekonać się, że popełnił poważny błąd lekceważąc sytuację. Od strony portu Wonsan zbliżały się dwa kutry torpedowe. Po kilku minutach pojawił się trzeci. Na jego mostku błysnęła lampa sygnałowa: "Zatrzymać się, albo otworzymy ogień".

Kapitan Bucher zaczynał rozumieć, że sytuacja staje się niebezpieczna. Wiedział, że jego podstawowym obowiązkiem jest niedopuszczenie, aby sprzęt szpiegowski i dokumenty dostały się w ręce wroga. Byłoby to groźne dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Zwrócił się do wachtowego.

Kapitan Bucher: Odpowiedzcie, że jesteśmy na wodach międzynarodowych. Do bazy nadać wiadomość, że mamy towarzystwo. Niech do mnie przyjdzie pierwszy oficer.

Po chwili zameldował się Gene Lacy.

Kapitan zapytał go:

Kapitan Bucher: Jak długo zajmie nam zatopienie statku?

Oficer: Musimy zalać cztery przedziały węzami pożarniczymi. To będzie trwało trzy do czterech godzin.

Kapitan Bucher: Za długo.

Oficer: W maszynowni możemy otworzyć zawory rur pobierających wodę zaburtową i wyciąć otwór w grodzi. Gdy to zrobimy statek pójdzie na dno w ciągu czterdziestu minut.

Kapitan Bucher: Do tego czasu Koreańczycy otworzą ogień i mogą zniszczyć parę tratw i szalup. W tych, które pozostaną, nie starczy miejsca dla wszystkich marynarzy, a w wodzie przy tej temperaturze długo nie wytrzymają.

Pod pokładem "Pueblo" były najnowocześniejsze maszyny szyfrujące KL-47 i dwieście pięćdziesiąt kilogramów tajnych papierów: kodów, szyfrów i map. Gdyby Koreańczycy zdobyli te dokumenty i urządzenia i przekazali je Rosjanom, wywiad radziecki poznałby wiele najważniejszych tajemnic Stanów Zjednoczonych. Oczywiście przewidziano takie niebezpieczeństwo i ludzie obsługujący urządzenia pod pokładem wiedzieli, co robić. Na półkach leżały obciążone ołowiem worki z otworami, aby wypchane dokumentami jak najszybciej poszły na dno. Był też specjalny piec, ale nie było to wydajne urządzenie, gdyż można było do niego załadować tylko dwa kilogramy papierów, a ich spalanie trwało kilka minut. Dwie niszczarki dokumentów też nie były lepsze. Mogły pociąć w ciągu piętnastu minut paczki dokumentów o grubości 20 centymetrów, a więc operacja zniszczenia dwustu pięćdziesięciu kilogramów dokumentów trwałaby zbyt długo.

Na ścianach wisiały młoty i siekiery, których załoga mogła użyć do zniszczenia elektronicznych urządzeń, ale obudowy maszyn szyfrujących były bardzo solidne. Nic więc dziwnego, że kapitan rozważał zatopienie całego okrętu. Nie zdecydował się na to.

Sytuacja amerykańskiego okrętu szpiegowskiego "Pueblo" pogarszała się z minuty na minutę. O godzinie 13.00 do burty dobił jeden z północnokoreańskich ścigaczy, Na pokładzie było kilkunastu marynarzy w hełmach i z pistoletami maszynowymi.

"Zatrzymać maszyny, albo otworzymy ogień" nadawano z pomostu wrogiej jednostki.

Kapitan uważał, że uda się wymknąć prześladowcom.

Kapitan Bucher: Przekażcie im: "Dziękujemy za towarzystwo, odchodzimy w morze".
Maszyny - cała naprzód.

"Pueblo" nie miał żadnej szansy wyrwania się prześladowcom. Północnokoreańskie kutry, uzbrojone w działa i torpedy, były o wiele szybsze niż stary amerykański statek. Być może kapitan liczył, że napastnicy nie odważą się otworzyć ognia. Mylił się. Ledwo maszyny "Pueblo" ruszyły pełną mocą, z północnokoreańskich okrętów padły pierwsze strzały. Pociski z dział kalibru 57 milimetrów uderzyły w burtę amerykańskiej jednostki. Odłamki przebiły cienką stal. Kapitan, trafiony w kostkę, przewrócił się, jednak rana nie była groźna. Podniósł się szybko i tamując krew krzyknął do oficera.

Kapitan Bucher: Przygotować się do niszczenia dokumentów. Radio, nadaj: "Podjęliśmy awaryjne niszczenie urządzeń i dokumentów. Potrzebujemy pomocy. SOS. Prosimy, przyslijcie wsparcie".

Była 13.51. Na dole dwudziestu techników rozbijało młotami sprzęt, gorączkowo pakowało papiery do worków.

Kutry otaczały statek. Kapitan Bucher wciąż liczył na to, że lada moment przybędą z pomocą amerykańskie samoloty.

W Korei Południowej było tylko sześć amerykańskich myśliwców bombardujących F-107. Stanowiły wystarczającą siłę, aby przepędzić północnokoreańskie kutry. Jednakże wszystkie samoloty gotowe do akcji uzbrojone były w bomby nuklearne. Zainstalowanie konwencjonalnych bomb i rakiet musiało potrwać wiele godzin. Załoga "Pueblo" mogła jednak liczyć na pomoc, ale lotnictwa Korei Południowej, które dysponowało aż 210 myśliwcami. Rząd tego państwa gotów był wydać rozkaz startu i ochrony amerykańskiego okrętu. W ciągu kilkunastu minut dotarłyby do rejonu, w którym "Pueblo" został otoczony przez północnokoreańskie kutry i rozniosły je ogniem działek i rakiet. Na taką akcję musiały jednak zgodzić się amerykańskie władze wojskowe. Tymczasem dowódca amerykańskich wojsk w Korei generał Charles Bonesteel odmówił włączenia do walki sił południowokoreańskich. Obawiał się, że może to doprowadzić do wybuchu wojny między obydwojma państwami Korei.

W Japonii amerykańskie lotnictwo liczyło 78 myśliwców gotowych do startu, jednakże umowa z japońskim rządem uniemożliwiała użycie sił stacjonowanych w tym państwie do akcji ofensywnych. Pozostawały samoloty z lotniskowca "Enterprise", największego okrętu tej klasy, ale płynął on w odległości 475 mil, a więc 850 km na południe i jego samoloty dotarłyby zbyt późno. Pozostawało więc jedynie lotnictwo z bazy Kadena na Okinawie. I te samoloty wystartowały na ratunek "Pueblo". Piloci chcieli, jak najszybciej uderzyć na koreańskie kutry, a następnie polecieć do bazy Osan w Korei Południowej, aby tam zatankować paliwo. Otrzymali jednak inny rozkaz: najpierw zaatakować paliwo, a dopiero potem zaatakować północnokoreańskie jednostki. To był tragiczny w skutkach i głupi rozkaz.

Około godziny 14.00 jeden z północnokoreańskich kutrów z odległości kilkuset metrów otworzył ogień z dział i karabinów maszynowych. Pociski trafiały w burtę i nadbudówki, rozrywały się na pokładzie amerykańskiego okrętu szpiegowskiego "Pueblo". Jeden z pocisków przebił cienką stal nadbudówki i eksplodował wewnątrz ciężko raniąc trzech marynarzy. Kapitan Bucher zrozumiał, że jakakolwiek próba dalszego oporu nie ma już sensu. Napastnicy gotowi byli zatopić statek i wymordować całą załogę. Rozkazał zastopować maszyny, a sam pobiegł do kajuty radiotelegrafisty.

Kapitan Bucher: Nadawaj: "Żądają, abyśmy płynęli za nimi do portu Wonsan. Mamy trzech ciężko rannych. Jeden z nich stracił nogę. Niszczymy księgi kodowe i elektroniczny sprzęt tak szybko jak możemy. Co z pomocą? Nie możemy dłużej stawiać oporu. Nie wiem, jak długo zdołamy utrzymać łączność".

Odpowiedź nadeszła bardzo szybko.

"Robimy wszystko, co możemy. Dowiedziałem się, że F-105 wyruszyły wam na pomoc. To nieoficjalna wiadomość, ale mam nadzieję, że tak się stanie".

Na korytarzach unosił się dym palonych dokumentów, ale płomienie niszczyły tajne papiery zbyt wolno. Dlatego kapitan nakazał, żeby wyrzucać worki z dokumentami za burtę, choć instrukcja przewidywała, że należy to robić, gdy głębokość morza przekracza 300 metrów. Pod nimi było tylko 60 metrów.

Do burty Pueblo dobił koreański kuter. Na pokład wszedł oficer i 10 marynarzy z pistoletami maszynowymi. Kapitan zdążył nadać ostatnią wiadomość radiową:

Kapitan Bucher: "Niszczenie dokumentów nie udało się. Nie zniszczyliśmy całego sprzętu".

Otrzymał polecenie przekazania listy dokumentów i maszyn, których nie udało się zniszczyć. Nie zdążył. "Pueblo" był już w rękach koreańskich. Jego radiostacja zamilkła.

Po raz pierwszy od 1807 roku amerykański dowódca poddał okręt wrogowi.

Koreańczycy zażądali, aby kapitan Bucher zszedł z nimi pod pokład. W tajnych pomieszczeniach stały worki wypchane tajnymi dokumentami. Załoga nie zdążyła ich zniszczyć, ani wyrzucić za burtę. Na stołach leżały mapy ze wszystkimi odkrytymi stacjami radarowymi na terenie Korei, Związku Radzieckiego i Chin. Najtajniejsze urządzenia elektroniczne, w tym maszyny szyfrujące miały na obudowach ślady uderzeń siekier i młotków, ale ich wnętrze nie były uszkodzone. To była bezcenna zdobycz i Koreańczycy zdawali sobie z tego sprawę.

O godzinie 20.30 "Pueblo", eskortowany przez koreańskie kutry, wszedł do portu Wonsan. Amerykańska załoga była w niewoli. Technicy, którzy obsługiwali tajne maszyny wiedzieli, że wrogowie nie cofną się przed niczym, aby wydobyć i poznać tajniki ich pracy. Czekali ich tortury i prawdopodobnie śmierć. Chyba, że amerykańscy komandosi przybyliby z pomocą i uwolnili 23 techników i 60 marynarzy.

W Białym Domu w Waszyngtonie prezydent Lyndon B. Johnson zwołał posiedzenie Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Stany Zjednoczone zaczęły przygotowywać się na wojny z Koreą Północną. Rozpoczęła się operacja Combat Fox - przerzucenia wojsk i zaopatrzenia do baz w Korei Południowej. W drogę wyruszyło ponad osiem tysięcy lotników, setki samolotów, miliony ton paliwa i amunicji. Tajne służby zaproponowały prezydentowi przeprowadzenie akcji, która miała być pretekstem do wojny. Zaplanowano, że inny statek szpiegowski, "Banner", dotrze do miejsca, w którym Koreańczycy przechwycili "Pueblo". Poza zasięgiem radarów miał płynąć lotniskowiec. Gdy tylko "Banner" nadałby wezwanie na pomoc, myśliwce ruszyłyby do ataku.

"Czy zdajecie sobie panowie sprawę, że Koreańczycy mają osiemdziesięciu zakładników. Co się z nimi stanie, gdy nasze samoloty zatopią parę ich ścigaczy?" - zapytał jeden z oficerów Pentagonu. Plan został odwołany. Prezydent Lyndon Johnson był bezradny. Nie potrafił się zdecydować na podjęcie jakiegokolwiek akcji. Nawet dyplomatycznej.

Przez 11 miesięcy załoga "Pueblo" przebywała w koreańskiej niewoli.

Aż 23 grudnia 1968 roku amerykański generał Gilbert Woodward podpisał dokument. Przyznawał, że "Pueblo" prowadził akcję szpiegowską, za co Stany Zjednoczone Koreę przeproszały. Co prawda, trzymając pióro w dłoni generał zastrzegł się, że podpisuje to oświadczenie dokument tylko po to, aby uwolnić amerykańskich chłopców, ale nie miało to większego znaczenia. Skala upokorzenia mocarstwa została dopełniona.

Następnego dnia uwolnieni marynarze przeszli przez graniczny most.

Wydawałoby się, że przechwycenie amerykańskiego statku szpiegowskiego "Pueblo" wraz z tajnymi dokumentami i maszynami szyfrującymi nie będzie miało większego wpływu na bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych.

Co prawda, Koreańczycy szybko oddali zdobycz Rosjanom, ale szyfry były już zmienione, a maszyny szyfrujące zmodyfikowane. Sytuacja wróciła do normy. Wywiad amerykański nie wiedział jednak, że w tym samym czasie do radzieckiej ambasady w Waszyngtonie wszedł wysoki, czarnowłosa mężczyzna. Podszedł do strażnika.

James: Chcę się widzieć z oficerem.

Po kilku minutach przyszedł szef służby bezpieczeństwa ambasady Jakow Łukaszewicz. Młody mężczyzna poprosił go o rozmowę na osobności.

James: Chcę sprzedać wam największe tajemnice. Ważne informacje wojskowe. Przyniosłem próbkę.

Wydobył z kieszeni kilka kartek, które jak się okazało zawierały część kluczy szyfrowych maszyn KL-47. Łukaszewicz, gdy tylko sprawdził wartość informacji, wrócił do amerykańskiego gościa proponując współpracę.

James: To was będzie kosztowało 100 tysięcy dolarów. Na początek. Cenę innych informacji określe później. Aha, nazywam się James, James Harper.

Naprawdę nazywał się John Walker i przez wiele miesięcy dostarczał radzieckiemu wywiadowi tajne informacje. W połączeniu ze zdobytymi na pokładzie "Pueblo" maszynami szyfrującymi umożliwiły Rosjanom odczytywanie największych amerykańskich tajemnic.

Kapitan Bucher oraz szef techników obsługujących tajne maszyny na pokładzie "Pueblo" mieli stanąć przed sądem za niedopełnienie obowiązku zniszczenia tajnych dokumentów i urządzeń. Ostatecznie jednak darowano im to, uznając, że wycierpieli wystarczająco dużo.

"Pueblo" pozostał w północnokoreańskich rękach i w 2001 roku, zakotwiczony na rzece Taedong na przedmieściach stolicy, stał się atrakcją turystyczną. Zwiedzający mogą wysłuchać opowiadań dwóch marynarzy, którzy brali udział w przechwyceniu statku oraz obejrzeć nakręcony wówczas film.

Jak długo "Pueblo" stać będzie w koreańskim porcie? Może któryś z prezydentów uzna, że warto wykupić okręt...

Rozdział 10 – Skarby Hermanna Göringa

Myśliwski pałac położony w pięknym lesie, na przesmyku między jeziorami stał się symbolem władzy, pychy, bogactwa i tragicznej miłości. Po wojnie stał się również miejscem długich i bezskutecznych poszukiwań największych skarbów II wojny światowej. Karinhall.

Tego styczniowego dnia 1920 r. pogoda była wyjątkowo zła, a mimo to książę von Rosen postanowił samolotem odbyć podróż ze Sztokholmu do zamku Rockelstadt nad jeziorem Baven. Był to typowy kaprys arystokraty, gdyż zamek leżał w odległości 80 km od stolicy Szwecji i książę mógł dojechać tam samochodem. Pilot był wyraźnie zaniepokojony.

Göring: Wasza książęca wysokość, stanowczo przestrzegam przed tą podróżą. Pogoda jest zła, a lada moment może załamać się zupełnie.

Książę: Cóż to, mój drogi Hermannie, czyżbyś się bał o swoją skórę? Strach cię obleciał na widok ciemnych chmur?

Göring: Wasza wysokość, chodzi mi wyłącznie o pana bezpieczeństwo. A co do strachu, to pozwolę sobie zauważyć, że na wojnie często byłem w gorszym położeniu, zwłaszcza, gdy angielskie myśliwce siedziały na ogonie mojego samolotu.

Książę: No to lecimy. Obiecałem siostrze, że będę punktualnie na kolacji.

Szybko książę przekonał się, że nie miał racji upierając się przy lotniczej podróży. Silny wiatr rzucał niewielkim samolotem z taką siłą, że pilot z trudem utrzymywał drążek, a warstewka lodu, która zaczęła pokrywać skrzydła i kadłub groziła, że lada moment spadną na ziemię. Na szczęście podróż była krótka i zdążyli do celu przed wielką śnieżycą, która rozpełtała się, gdy tylko wylądowali. Książę poklepał pilota po ramieniu.

Książę: Nie chcesz chyba powiedzieć, mój drogi, że to ty miałeś rację odradzając tę podróż. Jak widzisz, dolecieliśmy cali i zdrowi.

Pilot uśmiechnął się. Widział pobladałą twarz księcia i dostrzegał jak bardzo drżą mu nogi. Książę mówił dalej.

Książę: Oczywiście powrót do Sztokholmu w takich warunkach jest niemożliwy. Zostaniesz u nas na noc. Zaciekało mnie to, co powiedziałeś o angielskich myśliwcach na ogonie twojego samolotu. Jaki to był samolot?

Göring: Na różnych latałem, ale najbardziej lubiłem Fokker Eindecker.

Książę: To nie tak, jak ten niemiecki as, baron Richthofen?

Göring: Latałem w jego zespole, a po jego śmierci przejąłem dowodzenie eskadrą.

Książę: Skoro wrogie myśliwce wlatywały na ogon twojego samolotu, to musiały cię strącić.

Göring: Wprost przeciwnie, książę, to ja je strącałem.

Książę: A ile?

Göring: Dwadzieścia dwa.

Rozmowa urwała się, gdyż doszli do bramy zamku. Książę postanowił jednak kontynuować ją i zaprosił lotnika na kolację. W jadalni oprócz księcia była jego siostra i jej przyjaciółka Karin, zameżna ze szwedzkim arystokratą kapitanem Nilsem von Kantzowem.

Książę: Drogie panie, przedstawiam wam mojego dzielnego pilota, który dowiódł mnie tutaj całego i zdrowego, choć wszystkie wichry świata sprzysięgły się, żeby rozbić nasz samolocik o ziemię. Hermann Göring.

As myśliwski z I wojny światowej Hermann Göring. Po wojnie szukając zarobku zatrudnił się jako pilot u księcia von Rosena.

Tego wieczoru pilot musiał jeszcze wiele opowiadać o powietrznych walkach, jakie toczył w czasie I wojny światowej. Te opowieści, jak i jego dziarska sylwetka zrobiły duże wrażenie na Karin von Kantzow. On też często zerkał w jej stronę. Drobna kobieta o wielkich

wyrazistych oczach, skromnie uczesana w kok zawróciła mu w głowie. Tak zaczęła się płomienna miłość. Wkrótce porzuciła dla niego męża i zamieszkali razem w Sztokholmie. W końcu 1922 roku przenieśli się do Monachium, gdzie wzięli ślub 3 lutego 1923 roku. Był to czas, gdy w Bawarii nazizm wybuchł z całą siłą, a Hermann Göring stanął przy boku szefa partii NSDAP Adolfa Hitlera.

W listopadzie 1923 roku postanowili sięgnąć po władzę w Monachium i stamtąd wyruszyć na Berlin. Zamach stanu nie udał się. Gdy 9 listopada Hitler i Göring maszerowali na czele tłumu, który szedł na Odeonsplatz, aby zająć znajdujące się tam gmachy bawarskiego Ministerstwa Wojny, drogę zagrodziła policja. Rozległy się strzały. Hitler upadł, ale nie został ranny. Jedyne potknął się i potłukł. Kula trafiła Göringa, który zdołał jednak uciec z placu. Żona wywiozła go do Austrii, co uchroniło go przed więzieniem. Silne bóle, jakie wywoływała rana i morfina aplikowana w nadmiarze przez lekarzy, sprawiły, że uzależnił się od tego narkotyku.

Rząd niemiecki szybko wybaczył nazistom, że w listopadzie 1923 roku usiłowali przechwycić władzę. Ci, którzy trafili do więzienia, jak Hitler i Rudolf Hess, szybko wyszli na wolność, a partia nazistowska, po krótkim okresie zakazu działalności, zaczęła odżywać, aż stała się główną siłą polityczną w państwie. Göring zmierzał do władzy i najwyższych urzędów. Los sprawił, że wtedy zabrakło przy nim ukochanej żony.

W październiku 1931 roku Karin Göring wyjechała do Szwecji na pogrzeb matki. Organizm Karin, od lat walczący z gruźlicą, nie wytrzymał trudów podróży i wzruszeń spowodowanych śmiercią najbliższej osoby. Zmarła nagle 17 października 1931 roku. Trumnę złożono na rodzinnym cmentarzu Lovö na szwedzkiej wyspie Drottningholm. Tam często przyjeżdżał Göring. W lecie 1933 roku, gdy złożył na grobie żony wieniec ze swastykami, prasa zagrzmiała. "Szwecja została obrażona użyciem grobu dla celów propagandowych. Pozwólmymy zmarłym spoczywać w spokoju!" - pisał dziennik "Svenska Dagbladet". Zapewne wtedy Göring postanowił przenieść grób żony do Niemiec. Pamiętał, że często marzyli o zameczku na odludziu. W połowie 1933 roku był wystarczająco potężny, aby marzenie to zrealizować. Zakupił za symboliczną cenę 100 tysięcy akrów pięknego lasu, 120 km na północny wschód od Berlina. W lipcu 1933 roku nakazał rozpoczęcie budowy pałacyku myśliwskiego. Było to najpiękniejsze miejsce w Niemczech. Na stromym zboczu między dwoma wielkimi jeziorami zaczęto wznosić dom z kamieni i nieociosanych bali. Za drzwiami wejściowymi był niewielki holl, który prowadził do pokoju kominkowego o powierzchni 60 m kw. Na ścianie naprzeciw wejścia był komin z wielkich kamieni wbudowany w grube nieociosane bale. Z boku były jeszcze niewielka kuchnia i dwie toalety. Na górze gabinet z wielkim tarasem był miejscem poświęconym pamięci Karin. Przed tym obrazem zawsze paliła się lampka. Göringowi nie dość było tej pamięci. Postanowił mieć grób żony w pobliżu. Równocześnie z budową myśliwskiego pałacyku w odległości stu kilkudziesięciu metrów powstało podziemne mauzoleum. Kamienna ścieżka prowadziła do niewielkiego wzniesienia, gdzie w obramowaniu z kamieni osadzono drzwi z brązu ozdobione swastykami. Po ich otwarciu ukazywała się niewielka izba oświetlona okienkiem wychodzącym na jezioro. 19 czerwca 1934 roku trumna Karin wyniesiona z grobu w Lovö, okryta sztandarami ze swastykami, została przewieziona do Niemiec i złożona w sarkofagu zaprojektowanym przez szwedzkiego architekta. Karinhall nie stał się jedynie pustelnią i miejscem pamięci zmarłej żony. Hermann Göring umiał się cieszyć życiem - za państwowe pieniądze. Myśliwski pałacyk miał przeistoczyć się w reprezentacyjny pałac jednego z najpotężniejszych ludzi Trzeciej Rzeszy.

Nie wiadomo, czy Adolf Hitler sam wpadł na ten pomysł, czy też podsunął mu go Hermann Göring; Karinhall musi zostać przebudowany na chwałę Trzeciej Rzeszy. Od tego momentu państwo miało sfinansować wielki program przebudowy myśliwskiego pałacyku, aby mogli przybywać tam najpotężniejsi tego świata. Był w tym pewien zamysł prowadzenia polityki w sposób niekonwencjonalny, pozbawiony dyplomatycznej sztywności. Wielcy Trzeciej Rzeszy mieli olśnić swych zagranicznych gości przepychem, pokazać swoją potęgę. W tym samym czasie Adolf Hitler rozbudował swoją bawarską willę w Obersalzbergu w Alpach, aby przyjmować tam polityków i dokonywać najważniejszych rozstrzygnięć.

Göring miał jeszcze inny plan: chciał, aby goście przybywający do Karinhallu, zostali olśnieni skarbami sztuki. Był kolekcjonerem dzieł sztuki. Do wybuchu II wojny światowej zgromadził tam 200 obrazów, rzeźb i gobelinów. W większości były to dary bogatych biznesmenów, szukających protekcji wpływowego polityka, lub zagranicznych przyjaciół. Na przykład włoski dyktator Benito Mussolini podarował mu piękny posąg Wenus. Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy wojska niemieckie zajęły Polskę, a następnie Norwegię, Danię, Belgię, Holandię i Francję i zaczęły plądrować muzea, pałace i kościoły.

Pewnego dnia Göring nakazał, aby do Karinhall sprowadzono z Holandii Aloisa Miedla, handlarza dzieł sztuki. Gestapo natychmiast to wykonało, aresztując przy okazji jego żonę oraz dwoje dzieci.

Göring: Panie Miedl, cieszę się, że mogę pana tutaj gościć. Chciałbym pokazać panu moją posiadłość. Proszę, niech pan idzie za mną.

Przerażony Holender, czując na karku oddechy dwóch rosnących esesmanów posłusznie podążył za Göringiem. Dawny myśliwski pałacyk stanowił już tylko część wielkiego kompleksu. W głównym budynku mieściły się apartamenty Göringa i jego nowej żony Emmy. W lewym skrzydle była wielka biblioteka, równie ogromna sala gimnastyczna oraz basen kąpielowy, gdzie gospodarz usiłował pozbyć się nadwagi, całkowicie bezskutecznie. W prawym skrzydle znajdowały się apartamenty dla gości, kuchnia i pokoje dla służby.

Reprezentacyjne pomieszczenia kapały od przepychu, jaki tworzyły marmurowe podłogi pokryte najkosztowniejszymi dywanami, ściany na których wisiały najpiękniejsze francuskie gobeliny i obrazy największych mistrzów włoskich, holenderskich, francuskich. Oko cieszyły najpiękniejsze rzeźby i okazy sztuki rękodzielniczej.

W gabinecie Göringa obok wielkiego dębowego biurka stały złote kandelabry, rzucające światło na srebrne ramki fotografii Karin i Hitlera. Jadalnia miała 250 m kw, a za stołem mogło usiąść 40 gości. Największą atrakcją było okno z widokiem na jezioro. Miało 10 m szerokości i 5 metrów wysokości. Po naciśnięciu guzika szyby chowały się w podłogę. Podobne okno, choć nieco mniejsze (6 m x 3 m) miał w salonie swojej alpejskiej willi Hitler.

Göring: Jak pan widzi, zgromadziłem tu najcenniejsze okazy europejskiej sztuki.

Najcenniejsze. Oczywiście ratując je przed zniszczeniem przez wojenną pożogę. Chcę, aby powstało tutaj muzeum i do Karinhallu przyjeżdżały wycieczki. Po wojnie Berlin i Karinhall połączy specjalna linia kolejowa.

Miedl: Gratuluję, Herr Reichmarschall. Nie mogę jednak zrozumieć celu, w jakim był pan łaskaw zaprosić mnie tutaj.

Miedl mówiąc "zaprosić" zerknął bojaźliwie na dwóch esesmanów, wciąż im towarzyszących.

Göring: Panie Miedl, moja biedna żona Karin byłaby szczęśliwa, gdyby mogła oglądać te arcydzieła. W jej imieniu chcę ratować pozostałe. Wojna jest okrutna. Wiem, że jest pan

cenionym w Holandii antykwariuszem i znawcą sztuki. Liczę, że będzie pan dla mnie pracował.

Miedl: To zaszczyt, ale jakże ja mogę równać moje możliwości z tak wielkimi zbiorami, jakie był łaskaw pan pokazać?

Göring: Pana żona jest Żydówką, nieprawdaż? Pana dzieci są Żydami. Zgodnie z naszym prawem zostały aresztowane. Wyjedźcie pan stąd z podpisanym przeze mnie nakazem zwolnienia ich, jeżeli będzie pan dla mnie pracować w Holandii. Chcę wiedzieć, gdzie pańscy rodacy ukryli najcenniejsze obrazy i jak do nich dotrzeć, gdzie znajdują się obrazy malarzy, których szczególnie cenię: Rubensa, Vermeera, Memlinga. Interesuje mnie przede wszystkim słynna kolekcja Goudstikkaera. Panie Miedl, pan to robi, prawda?

Alois Miedl nie miał wyboru. Od tego czasu poszukiwał dzieł sztuki dla Göringa. Podobno za nie płacił, ale trudno w to uwierzyć. Większość zbiorów w Karinhallu pochodziła z wojennego rabunku. Gdy rozpoczynała się wojna, było tam 200 dzieł sztuki; gdy się kończyła było już 1375 obrazów, 250 rzeźb, 108 gobelinów, 60 perskich i francuskich dywanów oraz 175 arcydzieł sztuki rękodzielniczej. Była to bez wątpienia jedna z największych i najcenniejszych kolekcji sztuki na świecie.

W styczniu 1945 roku w Karinhall odbyła się huczna uroczystość - 52. urodziny Hermanna Göringa. Z Berlina zjechały setki gości, zapominając o tym, że wypalają ostatnie rezerwy benzyny Trzeciej Rzeszy. W wielkiej sali na stole złożono cenne prezenty, wśród których najbardziej kuriozalnym był podarunek od architekta: plany rozbudowy Karinhallu. Miały powstać trzy nowe gmachy, wśród których najważniejszym miała być otwarta dla publiczności galeria oraz dworzec specjalnej linii kolejowej z Berlina dla ludzi, którzy przybywali obejrzeć galerię. Hermann Göring już zdawał sobie sprawę, że nigdy tego projektu nie zrealizuje. Wojska Radzieckie były blisko. Zbyt blisko, aby z leśnym siedliskiem wiązać jakiegokolwiek plany. Był jednak dobrej myśli. Liczył się z utratą Karinhallu, ale uważał, że uda mu się uratować zgromadzone tam skarby. W końcu stycznia z pałacowych sal zaczęto wynosić drewniane skrzynie i ładować je do wagonów specjalnego pociągu podstawionego na pobliskiej stacji kolejowej. Stacją docelową miał być Obersalzberg, gdzie obok Willi Hitlera Göring wybudował swój dom. Planował, że dzieła sztuki złoży w tamtejszym schronie przeciwlotniczym. Tuż przed odjazdem pociągu nadeszła wiadomość, że podziemia w Obersalzbergu nie zostaną wykończone i Göring podjął decyzję o skierowaniu transportu do innej siedziby: XVI-wiecznego zamku Veldenstein, niedaleko Norymbergi, odziedziczonego po teściowej, Lily von Epenstein.

20 kwietnia Göring zdecydował się ostatecznie opuścić swój leśny pałac. Hitler odwołał stamtąd żołnierzy i skierował ich do obrony Berlina. Wojska radzieckie szybko posuwały się w stronę stolicy. Istniało niebezpieczeństwo, że lada dzień dojdą do Karinhall. Göring tego dnia po raz ostatni obszedł wszystkie budynki, już puste, bez obrazów i rzeźb. Złożył wieniec na grobie żony, uściśnął ręce ludziom, którzy tam pracowali, wsiadł do samochodu i odjechał piękną leśną aleją. Na miejscu pozostali żołnierze z oddziału Luftwaffe. Zaminowali wszystkie budynki i wysadzili je. Wśród drzew pozostało rumowisko, posągi lwów, które cudem ocalały i... mauzoleum Karin. Göring nie zabrał sarkofagu. Pozostał nienaruszony, tam gdzie złożono go w 1934 roku. Kilka godzin później do Karinhallu wkroczyli żołnierze radzieccy.

Zamek Valdenstein nie był dobrym miejscem dla skarbów Göringa. 7 kwietnia złożona tam kolekcja została ponownie spakowana na osiem ciężarowych samochodów i dowieziona na pobliski dworzec, skąd pociągiem wyruszyła do Obersalzbergu. Innym pociągiem spieszył w tamtą stronę Hermann Göring. Był w dobrym humorze. Liczył, że Amerykanie potraktują go

jak nowego kanclerza Rzeszy. Nie czuł się winny zbrodni wojennych. Co prawda samoloty Luftwaffe na jego rozkaz bombardowały miasta, ale czyż alianckie bombowce nie zrównały z ziemią wielu dzielnic Berlina, Hamburga, Drezna?

Gdy pociągi przybyły na miejsce, wyjął ze skrzyni niewielki obraz Vermeera "Chrystus i grzesznica", aby podarować go swojej pielęgniarce, Chriscie Gormanns, która opiekowała się nim od 1933 roku. Dodał, że ten podarunek, gdyby został sprzedany, zapewniłby całej rodzinie doskonałe warunki życia na wiele lat. Wierzył, że zachowa resztę skarbów. Był zdecydowany przejąć ster rządów w swoje ręce. Wysłał taką depezę do Hitlera, co wywołało furię adresata. Oddziały SS otrzymały rozkaz schwytania i rozstrzelania Göringa. Udało mu się uniknąć tego niebezpieczeństwa i 7 maja oddał się w ręce żołnierzy amerykańskich.

Hermann Göring poddał się Amerykanom 7 maja 1945 r. W tym czasie jego pociąg wypełniony skarbami sztuki, meblami i prowiantem przygotowanym dla marszałka Rzeszy stał na stacji w Berchtesgaden. Żołnierze Luftwaffe z trudem przynosili wielkie skrzynie na ciężarówkę i wieźli je do niedokończonego podziemnego punktu dowodzenia przy drodze prowadzącej z Berchtesgaden do Königsee. Spieszyli się. Zewsząd dochodziły pogłoski o nadciągających wojskach alianckich. Ledwie połowę ładunku udało się przewieźć do bezpiecznych podziemi, gdy nadeszła wieść, że Amerykanie są w odległości kilku kilometrów. Dowódca nakazał odesłanie pięciu wagonów do pobliskiej miejscowości Unterstein, zaś w Berchtesgaden pozostawił trzy licząc, że uda się je rozładować zanim nadciągną oddziały wroga.

Francuskie czołgi pojawiły się niespodziewanie. Nie wiadomo, dlaczego otworzyły ogień do pociągu, gdyż niemieccy żołnierze pierzchli na ich widok. Pociski z dział i karabinów maszynowych zniszczyły dziesiątki obrazów i rzeźb.

Nie lepszy był los skarbów w pięciu wagonach, które dojechały do Unterstein.

Żołnierze uciekli, pozostawiając je bez opieki, a do wagonów wdarli się miejscowi mieszkańcy. Wynosili złote monety, XVII- wieczne francuskie dywany, obrazy, rzeźby, butelki z cennymi alkoholami, pudełka cygar, worki z cukrem i mąką. To, co pozostało, zabrali żołnierze amerykańskiej 101. dywizji, którzy wkrótce dotarli do niewielkiej stacyjki. Na szczęście udało się ocalić dzieła sztuki zgromadzone w podziemiach punktu dowodzenia nad jeziorem Königsee.

Hermann Göring dowieziony do sztabu dowódcy amerykańskiej 7. armii był przesłuchiwany przez majora Paula Kubalę. Dopytywał się o Hitlera i Himmlera.

Göring: Hitler, bez wątpienia jest martwy. Jeżeli chodzi o Himmlera, to wiem, że przebywał gdzieś w pobliżu duńskiej granicy. Nie wiem, co się z nim stało.

W pewnym momencie Göring, niepytany, powiedział. Mam dostęp do wielu wspaniałych obrazów. Tworzyłem kolekcję w Karinhallu. Miało tam powstać narodowe muzeum. Wiele rzeczy pozostawiłem tam zakopanych, ale już ich nie odnajdziecie. Tam są Rosjanie, ale oni nie wiedzą, gdzie szukać. Major Kubala natychmiast podjął temat. Dzisiaj możemy się zastanawiać, czy chciał wydobyć informacje dla armii Stanów Zjednoczonych, czy dla siebie. Göring nie chciał jednak rozmawiać na temat Karinhall.

Göring: To inna sprawa. Nie ma o czym mówić, skoro Karinhall jest w rękach Rosjan. Nie pozwolą wam kopać. Jeżeli jednak pozwolilibyście mi zabrać trochę osobistych rzeczy z mojego zamku Fischhorn, mógłbym przekazać parę obrazów amerykańskim władzom

wojskowym. W zamku jest moja żona, Emma. Wystarczyłoby, aby mój adiutant Kropp zgłosił się do niej z moim listem.

Kubala uzyskała na to zgodę i wkrótce adiutant Göringa przywiózł z zamku bieliznę i mundur, ponadto fotografię żony i córeczki Eddy oraz obraz Memlinga "Madonna z dzieciątkiem" - niewielki, 15 na 25 centymetrów. Kubala zaniósł obraz do gabinetu generała Patcha. Generała nie było, więc zostawił obraz na biurku. Podobno któryś z oficerów pokwitował odbiór obrazu. I tyle go widziano. Obraz Memlinga zniknął. Dzisiejsza wartość tego arcydzieła szacowana jest na 250 mln dolarów.

W tym samym czasie zaginęły również ordery Göringa oraz jego kordzik wysadzany brylantami. Los tego przedmiotu udało się odtworzyć. Zabrał go porucznik Wallace Stevenson. Podobno za pieniądze uzyskane z jego sprzedaży zamierzał kupić farmę. Nie wiadomo, dlaczego tego nie zrobił. Wydłubał brylanty, odkręcił rękojeść i wyrzucił klingę. Dopiero wiele lat po wojnie jego syn odnalazł pozostałości i sprzedał je za kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Znawczy oceniają wartość kordzika na milion dolarów.

Hermann Göring miał wystarczająco dużo atutów, aby kupić za nie wszystko, a prawdopodobnie kupił śmierć. Został skazany w procesie norymberskim na karę śmierci przez powieszenie. Miał pierwszy stanąć na szafocie. Nie stało się tak, gdyż przed wykonaniem wyroku popełnił samobójstwo. Był wielokrotnie rewidowany i nigdy nie znaleziono przy nim ampułki z trucizną. A jednak ktoś przekazał mu, a może sprzedał, truciznę. Przez dziesiątki powojennych lat nie było wiadomo, co stało się z grobem Karin. Władze NRD zamknęły teren dawnej posiadłości Göringa, gdzie zachował się tylko dom straży i brama wjazdowa. Nie dopuszczały tam nikogo. A jednak w listopadzie 1950 roku szwedzki ksiądz dostał się do Karinhallu. Na podłodze w mauzoleum leżały kości Karin. Ksiądz pozbiierał je do worka i powiadomił jej rodzinę w Szwecji. Kości pochowano na niewielkim cmentarzu w Lovö, skąd w 1934 roku Göring zabrał zwłoki ukochanej żony, aby zbudować dla niej mauzoleum i pałac wypełniony arcydziełami sztuki. Nie wiadomo jednak, czy ktoś odnalazł skarby, które, jak twierdził Göring, zostały zakopane gdzieś w lesie obok Karinhallu.

Rozdział 11 – Son Tay

Samochód zatrzymał się z piskiem opon przed parterowym budynkiem bazy amerykańskich sił powietrznych na Florydzie. Generał LeRoy L. Manor wysiadł z auta i pochylił się nad oknem kierowcy.

Generał: Pojedziesz na Duke Field. Odszukasz pułkownika Simonsa i przywieziesz go do mnie. Natychmiast!

W sekretariacie generał zatrzymał się na moment i polecił adiutantowi:

Generał: Wezwać pułkownika Kraljeva!

Musiało zdarzyć się coś niezwykłego, skoro generał Manor tak pilnie wzywał swoich zastępców.

Zamknął drzwi i zdjął marynarkę, gdyż 9 sierpnia 1970 roku był wyjątkowo upalnym dniem, nawet jak na warunki Florydy. Rozluźnił krawat, którego kośćcówka była przepisowo schowana między guzikami koszuli, usiadł na fotelu za biurkiem i włączył wentylator.

Pierwszy przyszedł jego zastępca podpułkownik Arthur Simons, nazywany Bykiem - zwaliste chłopisko o mocnej szczęce i lekko wystających zębach. Kilka miesięcy wcześniej wrócił z Wietnamu, gdzie służył w specjalnej jednostce "zielonych beretów", dowodzonej przez majora Charlesa Beckwitha, powołanej w 1964 roku do prowadzenia akcji sabotażowych i dywersyjnych przeciwko wietnamskim partyzantom.

Chwilę później zameldował się podpułkownik Ben Kraljev. Niższy o głowę od Simonsa, szczupły, o mocnych żyłastych rękach, bardziej ruchliwy. Zawsze chętnie przyjmował najtrudniejsze polecenia, gdyż, jak twierdził, przeżył już w wojsku wszystko, a chciałby przeżyć jeszcze więcej.

Obydwaj byli najwyraźniej zaskoczeni nagłym wezwaniem do gabinetu szefa. Ten na ich widok podniósł się z fotela i stanął przed mapą Wietnamu wiszącą na ścianie.

Generał: Wracam z Waszyngtonu. Rozkaz jest krótki: kilkudziesięciu komandosów ma dotrzeć do obozu Son Tay, tutaj, w rejonie Hanoi. Wietnamczycy prawdopodobnie przetrzymują tam jeńców. Mamy ich uwolnić.

Pułkownik Simons zdawał się być niezadowolony z tych wyjaśnień.

Simons: Dlaczego "prawdopodobnie przetrzymują"? Skoro mamy ich uwolnić powinniśmy wiedzieć na pewno.

Generał: Dwa lata temu, w lecie, wywiad ustalił, że do starej twierdzy położonej w odległości 23 mil na północny zachód od Hanoi Wietnamczycy przewieźli 55 naszych chłopców, głównie pilotów strąconych nad Wietnamem Północnym. Nie wiemy jednak czy są tam w dalszym ciągu, czy też Wietnamczycy przewieźli ich w inne miejsce. Wywiad nad tym pracuje.

Simons: Kiedy mamy przeprowadzić operację uwolnienia jeńców?

Generał: Musimy być gotowi w ciągu dwóch miesięcy. Prasa już zaczęła pisać o torturowaniu jeńców i strasznych warunkach w wietnamskich obozach, co jest zgodne z prawdą. I... oczekiwaniami prezydenta.

Simons i Kraljev spojrzeli zaskoczeni spojrzeli na dowódcę. Co oznaczały słowa: "I... oczekiwaniami prezydenta?". Generał Manor, dostrzegając ich zdumienie wyjaśnił:

Generał: Tak, panowie, mamy ratować prezydenta.

Generał doskonale rozumiał, dlaczego rozkaz uwolnienia jeńców wydano na początku sierpnia. Zbliżały się wybory i prezydent Richard Nixon zdecydował się ponownie kandydować, ale jego szanse nie były duże. Wygrał wybory w 1967 roku jako polityk, o którym mówiło się, że ma tajny plan zakończenia wojny w Wietnamie. Pierwsze miesiące jego prezydentury zdawały się wskazywać, że spełni obietnice. Ogłosił program "wietnamizacji wojny", co oznaczało, że w Wietnamie żołnierzy amerykańskich zastąpią żołnierze południowowietnamscy, a Stany Zjednoczone ograniczą swój udział w wojnie do pomocy finansowej i materiałowej.

Do 1970 roku amerykański kontyngent zmniejszył się z 543 tysięcy żołnierzy do 340 tysięcy i ich liczba stale spadała. Jednakże w miarę wycofywania wojsk amerykańskich nasilała się działalność komunistycznej partyzantki - Viet Congu, zasilanej głównie przez żołnierzy armii Wietnamu Północnego. W 1970 roku przez granicę przeszło do Wietnamu Południowego ponad 115 tysięcy żołnierzy. Z punktu widzenia amerykańskich strategów równie niebezpieczny był bardzo szybki wzrost pomocy materiałowej, jaką Viet Cong otrzymywał z Północy. Wywiad ustalił, że obok głównego szlaku, nazywanego drogą Ho Chi Minha, prowadzącego wprost z Wietnamu Północnego, coraz więcej amunicji, broni i lekarstw przemycano przez Kambodżę. Tam, w porcie Kompong Som radzieckie, północnowietnamskie i chińskie statki wyładowały zaopatrzenie, które partyzanci przynosili przez dżunglę na osłach, na rowerach i na plecach. Ponadto komunistyczna partyzantka zakładała wzdłuż granicy kambodżańskiej coraz więcej obozów.

Mimo ogromnych wysiłków lotnictwa amerykańskiego nie udawało się zablokować głównych szlaków zaopatrzeniowych. Z powietrza nie sposób było wykryć tras, którymi przemieszczały się transporty. Jeżeli nawet to się udało, to nie sposób ich było zniszczyć. Nie było tam trwałych budowli, takich jak betonowe mosty, wiadukty, bite drogi, które mogłyby zostać zniszczone wybuchami bomb. Do marca 1970 roku bombowce B-52 dokonały 3 630 nalotów, które jednak, podobnie jak ataki na bazy partyzanckie w Wietnamie, okazały się całkowicie nieskuteczne. Tylko żołnierze wysłani do walki w dżungli mogli zatrzymać karawany z zaopatrzeniem.

Dlatego prezydent Nixon zdecydował się wysłać wojska przeciwko partyzanckim bazom w Kambodży.

29 kwietnia 1970 roku 12 tysięcy żołnierzy południowowietnamskich przekroczyło granicę tego państwa. Dwa dni później bombowce B-52 i myśliwce bombardujące dokonały zmasowanych nalotów, zrzucając blisko 7 tysięcy ton bomb. O godzinie 7.40 żołnierze amerykańskiej 1 dywizji kawaleryjskiej ruszyli do walki. Wojna, którą Nixon obiecywał zakończyć, rozpaliała się i obejmowała nowe państwa Indochin.

To nie spodobało się Amerykanom. Poczuli się oszukani przez prezydenta. Nie chcieli nowych wojen w Indochinach.

Ameryka zawrzała. Fala demonstracji o niespotykanej sile rozlała się po wyższych uczelniach.

4 maja na terenie Kent State University w Ohio gwardia narodowa - wysłana, aby

spacyfikować antywojenne wystąpienia młodzieży - zastrzeliła czterech studentów. Kilka dni później w Waszyngtonie odbyły się wielkie demonstracje antywojenne. Richard Nixon rozumiał, że podobnie jak jego poprzednik, Lyndon B. Johnson, stawał się politykiem zbrodni.

Szansę na ponowny wybór na prezydenta w 1972 roku zmniejszały się z każdym dniem demonstracji i kontynuowania wojny w Indochinach. Udana akcja komandosów, którzy uratowaliby od tortur i poniżenia pięćdziesięciu amerykańskich żołnierzy, mogłaby całkowicie mienić sytuację. Amerykanie staliby się dumni ze swojego prezydenta. Dlatego Nixon wydał rozkaz ataku na wietnamską twierdzę Sont Tay, gdzie, jak donosił wywiad przetrzymywani byli amerykańscy jeńcy.

Plan ich uwolnienia opracował pułkownik Ben Kraljev. Zakładał, że komandosi dokonają desantu z sześciu wielkich śmigłowców HH-53 nazywanych Super Jolly Green Giant, które po ataku miały zabrać uwolnionych więźniów. Gdzie mogłyby wylądować?

Pułkownik Kraljev, wskazując na szkic rejonu Son Tray sporządzony na podstawie zdjęć satelitarnych i z samolotów rozpoznawczych mówił:

Kraljev: Są trzy miejsca w rejonie twierdzy, gdzie helikoptery mogą wylądować i wylądować komandosów. Jednakże przedostanie się z tych miejsc do murów twierdzy i sforsowanie ich może zająć kilkanaście minut. To wystarczający czas dla wietnamskich strażników, aby zabić jeńców...

Jeden z oficerów biorący udział w naradzie powiedział:

Oficer: Jeden z helikopterów musi wylądować w samym środku dziedzińca, między murami.

Kraljev: Niemożliwe! Druty i dwa drzewa na dziedzińcu wykluczają lądowanie śmigłowca tak dużego jak Jolly Green Giant.

Pułkownik bez wątplenia miał rację. Kadłub tego dwudziestotonowego śmigłowca miał ponad 20 metrów długości, zaś łopaty jego śmigła zataczały krąg o średnicy 22 metrów. Pilot musiał mieć dużo wolnego miejsca, aby bezpiecznie wylądować. Oficer nie ustępował.

Oficer: Musimy użyć mniejszej maszyny, na przykład HH-3. Niech się rozbije w czasie lądowania, ale efekt będzie piorunujący. Osiągniemy to, na czym nam zależy: całkowite zaskoczenie.

Pomysł był znakomity. Śmigłowiec HH-3, mniejszy od Super Jolly Green Giant i dwukrotnie lżejszy mógł wylądować na środku twierdzy, oczywiście łamiąc łopaty wirnika i zapewne rozbijając podwozie. Bez wątplenia byłby stracony, ale należało zakładać, że żołnierze na jego pokładzie nie ucierpieliby w czasie gwałtownego lądowania i atak byłby całkowitym zaskoczeniem dla Wietnamczyków. Strażnicy musieliby bronić się przed komandosami, którzy nagle spadliby z nieba pośrodku twierdzy, gdy w tym czasie inne grupy komandosów z dużych śmigłowców, lądujących nieco dalej, szturmowałyby mury.

Jednakże realizacja tego projektu była bardzo trudna. HH-3 miał słabe silniki i mógł lecieć z maksymalną prędkością 260 km/h, a było to za mało, aby mógł dorównać samolotom C-130, które miały prowadzić zespół śmigłowców z tajlandzkiej bazy do Wietnamu. Udział samolotów w wyprawie był niezbędny, gdyż miały sprzęt, którego brakowało helikopterom,

jak na przykład urządzenia pozwalające na obserwowanie terenu w nocy lub radary TFR, pokazujące ukształtowanie terenu, nad którym przelatywały. Bez pomocy tych urządzeń odnalezienie twierdzy w ciemnościach kryjących dżunglę było niemożliwe. Wnet okazało się jednak, że prądy powietrzne tworzące się za samolotem ułatwią lot śmigłowcom HH-3 i że będą mogły wtedy utrzymać się w formacji.

Pojawił się jednak inny problem. Z amerykańskiej bazy w Tajlandii do Son Tay było 540 kilometrów, zaś zasięg HH-53, przy najbardziej sprzyjających warunkach, wynosił 890 kilometrów. Tak więc, aby śmigłowce mogły powrócić do bazy, musiały tankować paliwo w czasie lotu. Co prawda wszystkie wyposażone były w urządzenia umożliwiające przeprowadzenie takiej operacji, jednakże nawet przy dobrej pogodzie było to przedsięwzięcie ryzykowne. Najmniejszy błąd ze strony pilota śmigłowca zbliżającego się do samolotu-cysterny mógł spowodować, że łopaty wirnika uderzyłyby w tył jego kadłuba. Co gorsza, w czasie lotu do Son Tay tankowanie miało się odbywać się w nocy i dość nisko nad ziemią. Nie było jednak innego wyjścia. To ryzyko należało podjąć i liczyć na to, że piloci przeprowadzą operację tankowania z należytą ostrożnością. I będą mieli dość szczęścia.

Czy jednak w Son Tay byli amerykańscy jeńcy?

Mijały tygodnie, w czasie których komandosi z "zielonych beretów" trenowali atak, zaś wywiad usiłował ustalić, ilu jeńców przebywa w wietnamskim więzieniu i czy w ogóle tam są. Pułkownik Simons miał coraz poważniejsze wątpliwości. W czasie jednej z narad powiedział do swojego dowódcy, generała Manora, wskazując na zdjęcia twierdzy zrobione przez samolot rozpoznawczy. Pułkownik: Nie podoba mi się to. Popatrz na dziedziniec. Nie widać tam żadnego człowieka, choć zdjęcie zrobiono w godzinie 16.00. Jeńcy powinni być na placu. Spójrz na ścieżki. Są zarośnięte trawą i chwastami. Nie byłoby tak, gdyby przebywało tam kilkudziesięciu ludzi.

Do rozmowy wtrącił się pułkownik Kraljev:

Kraljev: Kapitan Ron Jones, pilot z C-130 twierdzi, że w obozie nie ma jeńców. Rozmawiał z pilotem samolotu rozpoznawczego, który robił te zdjęcia.

Generał nie chciał jednak na ten temat dyskutować:

Generał: Musimy bezzwłocznie przystąpić do akcji!

Prezydent Richard Nixon, rozumiał jak niebezpieczne jest to przedsięwzięcie. Wahał się. Lecz patrzył na wyniki badań opinii publicznej i widział, jak szybko i jak bardzo spada jego popularność.

Nasilały się protesty przeciwko wojnie. Coraz więcej polityków atakowało prezydenta uznając, że rozszerzenie wojny na Kambodżę i Laos było karygodnym błędem. Nixon musiał odzyskać wiarygodność. Chciał, aby kamery telewizyjne pokazały, jak z lądujących po akcji śmigłowców, podziurawionych kulami, osmalonych dymem, wysiadają wynędzniali, straszliwie zmaltretowani amerykańscy chłopcy, wyrwani z rąk oprawców. A on stałby na lotnisku i ściszałby im dłonie.

Potem, gdy opowiadaliby, jak ich torturowano, poniżano i głodzono, naród musiałby uznać, że on, prezydent, zrobił dobrze rozkazując bombardować bazy komunistyczne - że jego bezwzględność wobec tych, którzy tak bestialsko traktowali jeńców, była całkowicie usprawiedliwiona. Naród znowu pokochałby swojego prezydenta.

Nie mógł jednak zapomnieć, że ma wysłać doborową drużynę w bardzo niebezpieczną i ryzykowną misję. Atak śmigłowców miał nastąpić w pobliżu silnie bronionego Hanoi. Na podstołecznym lotnisku stały nowoczesne samoloty myśliwskie, gotowe do startu i ataku w każdej chwili. Wszyscy komandos i jeńcy mogli zginąć, a wówczas polityczni wrogowie prezydenta wykorzystaliby to przeciwko niemu. Wahał się. Dopiero późnym popołudniem 18 listopada 1970 roku podjął decyzję.

Wieczorem 20 listopada 1970 roku w bazie w Udorn w północnej Tajlandii 56 komandosów wsiadło do kabin trzech śmigłowców, które wzbiły się w powietrze o 22.56. Od tego momentu liczyła się już każda minuta. Musieli przelecieć nad granicą Wietnamu Północnego w dokładnie wyznaczonym czasie, gdy anteny dwóch stacji radiolokacyjnych, jakie znajdowały się na trasie ich przelotu były zwrócone w drugą stronę. Ten sprzyjający okres trwał zaledwie 2-3 minuty, ale była to jedyna okazja, gdy samoloty i śmigłowce mogły przemknąć niezauważone, nie alarmując północnowietnamskich sił powietrznych.

Zaczęła działać wielka machina, w której sześć śmigłowców, dwa samoloty C-130 i samolot-tankowiec, były tylko niewielką częścią. Łącznie w operacji miało wziąć udział 116 samolotów, które miały osłaniać lądowanie śmigłowców, bronić ich północnowietnamskimi myśliwcami MiG i ogniem działek i rakiet zniszczyć wietnamskie stanowiska na terenie fortu. Kilkadziesiąt bombowców zostało skierowanych do ataku na port w Hajfongu, aby ściągnąć na siebie wietnamskie myśliwce w czasie, gdy śmigłowce lądowały w Son Tay.

Generał Manor poleciał do bazy w Da Nang w Wietnamie Południowym, skąd mógł łączyć się ze wszystkimi jednostkami biorącymi udział w akcji uwolnienia jeńców, a także lotniskowcami, z których w razie potrzeby mogły wyruszyć posiłki.

Pierwsza część operacji przeszła bez żadnych komplikacji. Śmigłowce przemknęły niezauważone nad granicą wietnamską i lecąc tuż za samolotami, które rozpoznawały trasę, mogły pomykać na niewielkiej wysokości. Zbliżali się do celu.

Pilot pierwszego śmigłowca przerwał ciszę radiową, jaką utrzymywali od startu z bazy w Tajlandii.

Pilot: Banana do Apple, 1 do 5, widzę cel. Schodzę!

Szesnastu komandosów na pokładzie śmigłowca schwyciło mocniej za parciane pasy przy ławkach i zaparło się nogami o burty. Na wysokości kilkunastu metrów pilot zmniejszył tempo opadania, jednakże nie udało mu się opanować śmigłowca, który uderzył o ziemię z takim impetem, że jeden z komandosów został wyrzucony na zewnątrz. Nikt jednak nie odniósł poważniejszych obrażeń. Wydobyli się z wraku i udało im się dobiec do ściany baraku, dającej osłonę przed pociskami straży. Wietnamscy żołnierze szybko otrząsnęli się z zaskoczenia i skierowali wszystkie karabiny na rozbity śmigłowiec.

W tym samym czasie helikopter, na pokładzie którego był pułkownik Simons, wylądował w odległości czterystu metrów od murów cytadeli na boisku obiektu rozpoznanego przez wywiad i zwiad lotniczy jako szkoła średnia.

Komandos wyskoczyli na plac i, nie spodziewając się oporu, ruszyli się w stronę murów cytadeli. Wtedy spadł na nich grad pocisków wystrzelianych z okien budynku. Amerykanie popełnili błąd, którzy mógł ich kosztować bardzo dużo: budynek, który uznano za szkołę, był w istocie koszarami! Plan, tak sprawnie realizowany, załamał się. Żołnierze grupy

pułkownika Simonsa zalegli pod huraganowym ogniem wietnamskich karabinów nie mogąc wyrwać się z tego piekła. A powinni szybko przemierzyć 400 metrów dzielących ich od murów i zaatakować twierdzę od południa, aby wspomóc inną grupę walczącą poza murami.

Ogień z okien budynku koszar nasilał się. Jediną szansą komandosów Simonsa na wyrwanie się spod ostrzału było wsparcie ze strony samolotów krążących nad polem bitwy.

Pułkownik Simons sięgnął po słuchawkę radiostacji i zaczął wywoływać kryptonim samolotów szturmowych:

Simons: Mushroom! Mushroom! Tu Apple 4! Dajcie wsparcie ogniowe. Zalegliśmy na placu! Dajcie ogień na okna budynku!

Głos: Ja, Mushroom, słyszę cię Apple 4. Idę do ciebie.

To meldował się pilot szturmowca A-1E Skyraider. Te niewielkie, śmigłowe samoloty startujące z lotniskowców, były potężnie uzbrojone. Dwa działka 20-milimetrowe rakiety i bomby miały wielką siłę niszczącą, a mała prędkość lotu była ich ogromnym atutem w takich operacjach. Wsławiły się w marcu 1966 roku, gdy zatrzymywały wietnamskich żołnierzy atakujących amerykańską bazę w dolinie Shau.

Dwa szturmowce pojawiły się nad drzewami. Przemknęły na niewielkiej wysokości tuż nad dachami budynków i wystrzeliły świecą w górę. Zrobiły obszerną pętlę i skrzydło w skrzydło, jak na pokazach lotniczych, nadleciały od północy. Pod ich skrzydłami widać było ogniki błyskające w lufach działek. Po sekundzie wybuchy na ścianie koszar wskazały, że za sterami samolotów siedzą doskonali piloci. Szybko zbliżały się do placu. Leciły coraz niżej. Simons dostrzegł, jak spod skrzydeł wytrysnęły smugi dymu, które wnet wyprzedziły samoloty i szybko zaczęły zbliżać się do budynku. Po chwili pojawiły się następne smugi. Cztery rakiety trafiły wprost okna. Simons wtulił głowę w ramiona i po chwili poczuł potężne uderzenie gorącego powietrza, a na jego głowę posypał się grad kamieni, kawałków cegieł i szkła. Nagle zaległa cisza, w której słychać było ryk silników samolotów lecących tuż nad dachami koszar. Pułkownik Simons podniósł mikrofon:

Simons: OK, Mushroom! Ładnie ich trafiliście! Powtórzcie to! Kryjcie nas, dopóki nie wsiądziemy do śmigłowca.

Głos: Mushroom do Apple 4. Bądźcie moimi gośćmi. Już wracamy do was.

Samoloty na moment znikły za drzewami, lecz wybuchy ich rakiet musiały wyrządzić tak duże szkody wewnątrz koszar, że nie padł już stamtąd żaden strzał.

Simons i żołnierze z jego oddziału, ostrzeliwując się na oślep, nie czekając aż powrócą szturmowce, zaczęli biec do wracającego po nich śmigłowca. Maszyna zawisła pół metra nad ziemią i obróciła się bokiem w stronę koszarowego budynku, aby osłonić biegnących i umożliwić bocznemu strzelcowi prowadzenie ognia. Widać było, jak stoi w drzwiach, których otwarta była tylko górna połowa, i wali długimi seriami po oknach wietnamskiego budynku.

Simons zaczął liczyć żołnierzy wskakujących do wielkiego kadłuba.

Simons: Nikt nie został?

Głos: Są wszyscy, pułkowniku!

Pułkownik Simons schwycił za klamkę i podciągnął się. Śmigłowiec już wzbijał się, gdy znowu nadleciały samoloty. Tym razem nie strzelały, gdyż obawiały się trafić we własną maszynę, która szybko wznosiła się nad placem apelowym, który tak niefortunnie uznano za szkolne boisko. Na szczęście tylko jeden żołnierz odniósł niegroźną ranę.

W tym czasie z drugiego śmigłowca, który wylądował w pobliżu muru twierdzy wyskakiwali komandosi. Pierwszy na ziemię zeskoczył major Richard Meadows, dowódca grupy. Dobiegł do muru i skrył się w niewielkim rowie odwadniającym. Wnet podbiegło do niego kilku komandosów. Jeden z rozmachem rzucił linę zakończoną niewielką kotwicą o trzech ramionach. Przeleciała przez mur. Wtedy ściągnął gwałtownie linę. Inny komandos przerzucił przez mur kilka granatów, na wypadek, gdyby tam kryli się Wietnamczycy. Oczekali kilka sekund, aż usłyszeli głuchoe wybuchy, i jeden po drugim zaczęli wspinać się po linie. Pierwszy, który dotarł na szczyt, rozejrzał się, ale nie widząc Wietnamczyków przełożył nogę przez mur i zniknął po drugiej stronie. Po kilku minutach cała grupa była na dziedzińcu. W oddali widzieli budynek o zakratowanych oknach. Tam powinni być jeńcy.

Dowódca, major Meadows, wskazał swoim żołnierzom stanowiska i krzyknął:

Meadows: Osłaniać mnie! Po oknach!

Wybrał trzech żołnierzy i razem przebiegli kilkadziesiąt kroków zygakiem, umykając wietnamskim pociskom. Dobiegli do muru. Meadows zębami wyciągnął zawleczkę z granatu i wsunął go przez szparę pod okiennicą okna na parterze. Wybuch wyrwał okiennicę i musiał uczynić wewnątrz wielkie spustoszenie, gdyż strzelanina wyraźnie osłabła. Jeden z komandosów podczołgał się do drzwi i zawiesił dwa granaty na klamce. Zawiązał sznurek na kółkach zawleczek i szybko wycofał się. Szarpnął za sznurek i odskoczył jeszcze o parę metrów, zanim wybuch wzbijający ceglany kurz wyrwał wielkie drewniane drzwi z futryny, odstawiając ciemną czelusć sieni.

Komandosi wdarli się do środka. Wietnamczyków na dole nie było. Wycofali się na piętra. Początkowo z rzadka rzucali granaty, ale widocznie nie mieli ich dużo, gdyż po kilku wybuchach, które nie wyrządziły nikomu szkody, zaprzestali, oczekując, aż Amerykanie zaczną wdzierać się na górę.

Meadows: Kalinsky i Hater, ustawić tutaj erkaemem i pilnować schodów. Reszta za mną. Wbiegli do korytarza. Drzwi do cel nie były zamknięte, lecz wewnątrz nie było nikogo.

Meadows przechodził z celi do celi. Nigdzie nie było najmniejszego śladu wskazującego na to, że w ostatnich miesiącach kogokolwiek tam więziono.

Meadows: Wycofujemy się!

Major Meadows nawiązał łączność z dowódcą oddziału komandosów pułkownikiem Simonsem.

Meadows: Apple 3 do Apple 1, tutaj nikogo nie ma. Wycofuję chłopców. Odbiór.

Wybiegali małymi grupkami w stronę muru, gdzie ziała pustką wielka wyrwa po wybuchu ładunku podłożonego przez saperów. Liczono, że zabiorą z budynku jeńców osłabionych, ledwo powłóczących nogami, więc niezdolnych do przejścia przez mur.

W tym czasie pułkownik Simons, który odebrał raport Meadowsa informował przez radio generała Manora w bazie Da Nang:

Simons: Generale, tu nikogo nie ma! Powtarzam: nikogo! Wycofujemy się!

Generał: Potwierdzam.

Jego najgorsze przecucia sprawdziły się. Uderzyli z ogromną precyzją. Wykonali plan jak na ćwiczeniach. Bez strat. Wszystko nadaremnie.

Po kilkunastu minutach śmigłowce, wzbijając tumany kurzu unosiły się nad palmami siejąc dookoła ogniem z karabinów maszynowych.

Akcja w Son Tay trwała zaledwie 27 minut. Cały oddział "zielonych беретów", 56 żołnierzy, wracał bez strat, tylko jeden, lekko ranny.

Wkrótce w pobliżu śmigłowców pojawiły się myśliwce F-105, które miały ochronić powolne maszyny, w razie gdyby Wietnamczycy wysłali w pościg za nimi swoje myśliwce.

Głos przez radio: "Apple 1" bez strat.

Głos przez radio: "Apple 2" bez strat.

Głos przez radio: "Apple 3" bez strat.

Głos przez radio: "Apple 4", jeden lekko ranny.

Wszystkie śmigłowce wracały, oczywiście z wyjątkiem "Banana 1", który, rozbity, pozostał na placu cytadeli Son Tay.

Dwa lata później Wietnam Północny zwolnił kilkudziesięciu jeńców amerykańskich. Wśród nich byli ci, których więziono w Son Tay. Generał Manor spotkał się z nimi na Filipinach. Dowiedział się wówczas, że w połowie lipca przeniesiono ich z Son Tay do innego obozu. Akcja komandosów miała jednak ten dobry skutek, że Wietnamczycy, obawiając się podobnych rajdów, przenieśli jeńców do kilku dużych obozów, silnie chronionych. Amerykańscy jeńcy byli tam lepiej traktowani, a w każdym razie nie byli już uzależnieni od humoru komendanta i strażników, którzy w niewielkich, zagubionych w dżungli obozach stawali się panami życia i śmierci tych, którzy trafiali w ich ręce.

Akcja w Son Tay stała się wzorcowym przykładem precyzyjnego uderzenia komandosów. Kilka lat później ludzie planujący inną akcję uwolnienia jeńców opierali się na doświadczeniach z Son Tay. Inny prezydent, Jimmy Carter, też chciał wykorzystać doświadczenia swojego poprzednika...

Rozdział 12 – Wielkie polowanie

Wojna światowa dobiegała końca. Nad Odrą i Nysą Łużycką stanęły armie dwóch radzieckich frontów, liczące blisko 2 mln żołnierzy. One miały zadać ostatni cios Trzeciej Rzeszy. Zwycięzcy liczyli na wielkie łupy. Dlatego do działania przygotowywały się zespoły specjalne.

W Kostrzynie nad Odrą, tuż obok kwatery dowódcy 1 Frontu Białoruskiego marszałka Gieorgija Żukowa swoją kwaterę urządził generał NKWD Awram Pawłowicz Zawieniagin. Do niego miało należeć poszukiwanie ludzi, urządzeń i dokumentów ważnych dla Związku Radzieckiego, a fakt, że zadanie to wyznaczono oficerowi, który był zastępcą Ławrentija Berii wskazywał, jak wielkie znaczenie Stalin przywiązywał do wojennych zdobyczy. I trudno się dziwić. Niemcy, choć przegrali wojnę, to pod względem osiągnięć technicznych pozostawili daleko w tyle zwycięzców. Niemieckie czołgi, Königstiger były bez wątpienia najlepszymi wozami bojowymi świata, Niemcy mieli odrzutowe samoloty myśliwskie i bombowe, mieli samoloty rakietowe, rakiety przeciwlotnicze, kierowane kamerami telewizyjnymi rakiety wystrzeliwane z samolotów, najpotężniejsze działa kolejowe, latające bomby V-1 i rakiety balistyczne V-2. Nic więc dziwnego, że zwycięzcom bardzo zależało na poznaniu tajemnic nowej broni.

W połowie kwietnia do kwatery generała Zawieniagina przybył major bezpieczeństwa państwowego Anatolij Cziżikow.

Cziżikow: Towarzyszu generale, major Cziżikow...

Zawieniagin: Wy wprost z drogi?

Cziżikow: Tak jest.

Zawieniagin: Ale nie czas na wypoczynek. Podejdźcie tutaj.

Cziżikow podszedł do stołu, na którym leżały mapy.

Zawieniagin: Ofensywa na Berlin ruszy lada dzień. Pójdą dwa skrzydła od północy i południa. Chcę, żeby już w kwietniu za Odrą znalazł się zespół naszych naukowców. To jest lista specjalistów, którzy mają być włączeni do tego zespołu. Ustalono to w Moskwie.

Gajdukow, specjalista od artylerii rakietowej i jego asystent Mrykin. Następnie Woskriesienskij i Czertok. Oni od 1944 roku pracują nad niemieckimi raketami, tymi z Polski, które Anglicy chcieli nam wykraść, ale nie daliśmy się podejść, burzuje przeklęte... Generał Zawieniagin mówił o brytyjskiej delegacji, która we wrześniu 1944 roku przyjechała na poligon rakietowy w Bliźnie, zajęty przez wojska radzieckie. Zgodę na ich przyjazd wyraził sam Stalin. Brytyjczycy badali stanowiska startowe rakiet V-2 i zebrali dużo części, które zapakowali w skrzynie. Potem pojechali do Moskwy, gdzie okazało się, że skrzynie gdzieś się zapodziały. Rosjanie obiecali jednak, że szybko je odnajdą i odeślą do Londynu. Rzeczywiście tak zrobili, tyle że w skrzyniach nie było części rakiet, lecz stare silniki samolotowe.

Zawieniagin: Ci specjaliści przyjadą do Niemiec w pierwszej kolejności. Potem pošlemy następnych: Głuszko, Korolow i inni. Oni będą oczywiście badać dokumenty i znalezione części. Wy macie im zapewnić bezpieczeństwo i ułatwić pracę.

Cziżikow: Tak jest, towarzyszu generale.

Zawieniagin: Boję się, że Amerykanie będą szybciej w miejscach, które nas interesują. Dlatego musicie być tuż za naszymi wojskami. I nie bójcie się odpowiedzialności, jeżeli wjedziecie na teren zajęty przez Amerykanów. Usprawiedliwię was, choćby przed samym Stalinem.

Zawieniagin zdawał sobie sprawę, że ludzie, broń i sprzęt, które interesowały Rosjan, znajdowały się bliżej wojsk amerykańskich. Główny konstruktor rakiet V-2, Wehrner von

Braun oraz jego najbliżsi współpracownicy w marcu 1945 roku wyjechali z ośrodka rakietowego Peenemünde na wyspie Uznam i dotarli do Bawarii. Zabrali ze sobą 14 ton dokumentacji technicznej. I było oczywiste, że zechcą te materiały oddać Amerykanom, a nie Rosjanom. Również w zasięgu wojsk amerykańskich znalazła się wielka podziemna fabryka "Dora" w Górach Harzu, gdzie Niemcy produkowali rakiety V-2 i pociski V-1.

Generał Zawieniagin miał jednak nadzieję, że uda się złapać von Brauna. Istniała pewna szansa. Konstruktor i jego koledzy byli pilnowani przez esesmanów, którzy nie mieli ochoty oddawać ich Amerykanom.

Konstruktor niemieckich rakiet balistycznych Wehrner von Braun zdawał sobie sprawę, że jest najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Niemczech. W jego rękach była tajemnica rakiet, które od września 1944 roku spadały na Londyn i trwożyły ludność i rząd brytyjski.

Nie było przed nimi obrony. Spadały z wysokości 90 km z prędkością przewyższającą prędkość dźwięku. Dlatego nie było ich słychać jak nadlatywały, aż wybuch uświadamiał londyńczykom, że zostali zaatakowani. Rakiety V-2 miały jednak wiele słabych stron. Ich zasięg wynosił tylko 300 km, lecz von Braun usiłował zwiększyć go instalując na kadłubach niewielkie skrzydła. Po kilku nieudanych próbach, gdy skrzydlate rakiety wznosiły się ledwie na kilkadziesiąt metrów nad wyrzutnię, w styczniu 1945 roku odbył się udany start. Rakieta A-4b osiągnęła wysokość 80 kilometrów i szybowiała z prędkością 4300 km/h, aż oderwało się skrzydło. Sukces eksperymentu pozwalał mieć nadzieję, że w ciągu kilkunastu tygodni rakiety zostaną udoskonalone na tyle, że będzie ich można używać przeciwko Anglii, ale nie było już czasu na nowe eksperymenty.

W planach von Brauna było również skonstruowanie prawdziwych rakiet międzykontynentalnych, za pomocą których można byłoby zaatakować amerykańskie miasta. Póki co, planowano wystrzeliwanie ich z wyrzutni nawodnych. Rakieta byłaby holowana za okrętem w pojemniku. Gdy okręt osiągnąłby wyznaczoną pozycję w pobliżu amerykańskiego brzegu zbiorniki balastowe pojemnika byłyby napełniane wodą, tak, aby ustawił się w pozycji pionowej i z jego wnętrza mogłaby wystartować rakietka.

Drugą słabością rakiet von Brauna była głowica bojowa zawierająca ledwie tonę materiału wybuchowego. Na Londyn w czasie całej wojny spadło bez mała 2900 rakiet, co oznaczało, że w mieście eksplodowało 2900 ton trotylu. To nie było dużo, zważywszy, że podczas jednego nalotu na niemieckie miasto alianckie bombardierzy potrafili zrzucić bomby o łącznej wadze 8 tysięcy ton. Sytuacja zmieniłaby się całkowicie, gdyby w głowicy V-2 był nie trotyl, lecz ładunek nuklearny.

Tak więc mimo tych słabości rakiety V-2 były bez wątpienia bronią, która najbardziej interesowała zwycięskie mocarstwa. Von Braun o tym wiedział. Pilnujący go esesmani - również.

Von Braun przekonał się o tym, gdy jego i 150 naukowców zamknięto w osiedlu otoczonym kolczastymi drutami, pilnowanym przez esesmanów. Poszedł do komendanta.

Braun: Chciałbym widzieć się z Gruppenführerem Kammlerem.

Von Braun mówił o dowódcy SS, kierującym programem rakietowym.

Zwalisty esesman o twarzy obrzękłej od nadmiaru alkoholu i zaczerwienionych oczach podniósł się z za stołu.

Esesman: SS-Gruppenführer Kammler wyjechał do Pragi.

Braun: Wobec tego pan musi podjąć decyzję o rozproszeniu moich ludzi. Trzymanie nas w jednym miejscu jest bezsensu. Wystarczy nalot kilku wrogich samolotów, a nikt z nas nie przeżyje. Nie mamy się gdzie ukryć przed bombami.

Esesman: A ja nie mam możliwości przetransportowania pana ludzi w inne miejsce.

Braun: W ciągu najbliższych godzin dojedzie tutaj co najmniej dwadzieścia samochodów z Bleicherode. Wystarczy, żeby rozwieść moich ludzi po okolicznych domach.

Esesman: Nie mam takiego rozkazu...

Braun: Poleciałem również, aby jeden z samochodów z dużym zapasem benzyny oddać do pana dyspozycji...

Esesman zastanawiał się przez chwilę. Propozycja von Brauna była bardzo ciekawa. Wreszcie zdecydował się.

Esesman: Rozkażę moim żołnierzom, aby eskortowali pana pracowników do okolicznych domów. Nikt nie powinien jednak opuszczać rejonu Oberammergau. A co z pana ręką?

Esesman zauważył grymas bólu na twarzy von Brauna, który kilka dni wcześniej złamał rękę, gdy kierowca samochodu, którym jechał, zasnął i wpadli do rowu.

Braun: Wciąż boli.

Esesman: W miejscowym szpitalu jest paru lekarzy bardzo doświadczonych w składaniu połamanych rąk i nóg narciarzy. Zadzwoń tam, żeby natychmiast pana przyjęli.

Okazało się, że złamana ręka była źle złożona i miejscowy chirurg zdecydował się na ponowne łamanie. Werner von Braun w szpitalnym łóżku mógł tylko biernie obserwować, co dzieje się wokół. Najbardziej niepokojące wiadomości docierały ze wschodu, gdzie 16 kwietnia Armia Czerwona rozpoczęła uderzenie na Berlin.

W nocy 16 kwietnia o godzinie 3.00 nad radzieckimi przyczółkami nad Odrą rozbłysły trzy zielone rakiety dając sygnał do rozpoczęcia artyleryjskiej kanonady. Niebo zajaśniało ogniem tysięcy luf.

Fala pożarów, wzniecona eksplozjami pocisków, ogarniała lasy i wsie z prędkością biegnącego człowieka. Po kilkunastu minutach gorące powietrze, niosące swąd spalenizny, popiół i płonące szmaty docierały do radzieckich okopów. Tam artylerzyści z otwartymi ustami, oszołomieni hukami wystrzałów i dymem prochowym jak w gorączce ładowali pociski i wystrzelili je w stronę niemieckich stanowisk.

Po półgodzinnej kanonadzie na niebie rozpałiło się tysiące różnokolorowych rakiet. I wtedy stało się coś dziwnego. Nad linią frontu rozbłysły jasnoniebieskie smugi, które rozżarzały się z sekundy na sekundę. To sto czterdzieści reflektorów lotniczych, których światło miało odnajdować samoloty lecące na wysokości wielu kilometrów, ustawionych co dwieście metrów, świeciło w stronę nieprzyjacielskich okopów. W ich świetle nikły sylwetki żołnierzy i czołgów, podążających w stronę niemieckich linii obronnych.

Czyżby tak doświadczony oficer jak marszałek Żukow uwierzył, że światło reflektorów odegra jakąkolwiek rolę w tym wielkim natarciu? Bez wątplenia nie. Żukow tworzył widowiskową oprawę ostatniej wielkiej bitwy w Europie. Rakiety i smugi reflektorów miały być efektem, niczym więcej. Był pewny, że jego pancerny walec przetoczy się przez okopy zasłane trupami niemieckich żołnierzy i pędzić będzie w stronę Berlina. Popełnił błąd, nie doceniając wroga. Niemieccy żołnierze zatrzymali radzieckie oddziały u stóp wzgórz Seelowskich. Nie mogło to jednak trwać długo. Ogrom środków, jakie zgromadzono do tej operacji, dawał pewność, że obrona niemiecka zostanie szybko przełamana. Już 18 kwietnia wojska Żukowa przebiły się przez niemieckie linie obronne.

Generał Awram Zawieniagin był wściekły. Dotarli do niego wiadomości, że 11 kwietnia wojska amerykańskie zajęły podziemną fabrykę rakiet Dora. Co prawda, według porozumienia między mocarstwami te tereny powinny się znaleźć pod okupacją radziecką, ale wojna jest wojną. Raz ci poszli za daleko, raz tamci. Zawieniagin wiedział, że Amerykanie wycofają się z tych terenów, ale do tego czasu wywiozą wszystkie najważniejsze maszyny i gotowe rakiety. Wkrótce nadeszła wiadomość, że von Braun i najważniejsi naukowcy oddali się w ręce Amerykanów. Ale nie na wszystkich polach Zawieniagin przegrywał.

Pewnego majowego dnia, gdy Berlin już był w rękach radzieckich, przyszedł do niego rozgorączkowany profesor Julij Chariton, włączony do specjalnego zespołu poszukującego niemieckich zapasów uranu.

Zawieniagin: Coście tacy zadowoleni, towarzyszu profesorze?

Chariton: Znalazłem to, czego nie spodziewałem się znaleźć! Tlenek uranu!

Zawieniagin: Gdzie znaleźliście? Na ulicy?

Chariton: Nie, w archiwum!

Zawieniagin: Tlenek uranu w archiwum? A po co faszyci go tam trzymali?

Naukowcowi zajęło trochę czasu, aby wytłumaczyć generałowi NKWD, gdzie znalazł substancję tak bardzo ważną dla radzieckich badań nuklearnych.

Hitlerowcy nadzwyczaj skrupulatnie inwentaryzowali dobra rabowane w okupowanych państwach: dzieła sztuki, aparaturę naukową i przemysłową, broń, opracowania naukowe. Dokładną dokumentację składali w specjalnym archiwum w Berlinie, które niezwykłym trafem przetrwało bombardowania i oblężenie miasta. Kartoteki zapełniały sale na sześciu kondygnacjach. Analiza ich zawartości musiała trwać przez wiele miesięcy, tym bardziej, że niemiecki personel odmówił współpracy, ale Chariton miał szczęście. Dość szybko udało mu się odnaleźć zapiski o przywiezieniu do Niemiec tlenku uranu.

Chariton: Ale ślad się urywał. Wiem, że mają w Niemczech duży zapas tlenku uranu, ale nie wiemy, gdzie teraz się znajduje.

Zawieniagin: Może u Amerykanów?

Chariton: Nie, to wykluczam. Powinien być w Berlinie lub okolicach.

Po długotrwałych i żmudnych poszukiwaniach, gdy specjalny zespół jeździł od miasta do miasta Chariton, otrzymał informację, że jakiś oddział wojska, uznając tlenek za barwnik odesłał go do... farbiarni w Berlinie.

Zawieniagin podszedł do tej wiadomości bardzo sceptycznie.

Zawieniagin: Czy to możliwe, profesorze?

Chariton: Całkowicie możliwe. Tlenek uranu ma intensywny żółty kolor. Dlatego mogli go wziąć za farbę do tkanin.

Zawieniagin: To niedobrze. Farbiarnia, o której mówicie, znajduje się niestety w części, do której weszły wojska amerykańskie.

Generał wpatrywał się w mapę miasta rozłożoną na stole. Chariton podszedł bliżej i spojrzał na punkt, który wskazywał generał.

Chariton: Odnoszę wrażenie, towarzyszu generale, że ta farbiarnia jest tuż, tuż, przy samej granicy sektora amerykańskiego, ale jeszcze po naszej stronie. Widzicie, tak się szczęśliwie złożyło.

Zawieniagin: Macie rację, Juliju Borysowiczu, omal bym to przeoczył.... Oczywiście, blisko Amerykanów, ale jeszcze na naszej części!

Chariton był nadzwyczaj podniecony, gdy o świcie w konwoju NKWD dotarł do farbiarni, dużego dwupiętrowego budynku z czerwonej cegły, otoczonego wysokim murem. Wewnątrz

spotkali grupę mężczyzn z czerwonymi opaskami na ramionach, którzy przedstawili się jako antyfaszyści pilnujący narodowego majątku. Rzeczywiście było czego strzec, gdyż oprócz zapasów farby magazyny były pełne owczych skór przygotowanych do barwienia i bel materiału. Antyfaszyści nie mieli jednak zamiaru stawiać oporu oddziałowi NKWD, więc Chariton i jego ludzie zaczęli przeszukiwać magazyny. W ostatnim znaleźli rzędy niewielkich drewnianych beczek ułożonych w kilku warstwach. Między nimi była tabliczkę z odręcznym napisem "U3O8".

Chariton: Zawiadomcie generała Zawieniagina, że znaleźliśmy to, czego szukaliśmy! Sto trzydzieści ton tlenku uranu załadowano na ciężarówkę i powieszono na stację kolejową. Później Igor Kurczatow stwierdził, że ten ładunek "przyspieszył uruchomienie reaktora produkującego pluton o cały rok."

Specjalna radziecka komisja przybyła do Niemiec 24 kwietnia 1945 roku. W jej składzie byli specjaliści z różnych dziedzin, ale najwięcej było ekspertów od rakiet, co wskazywało, że rząd radziecki największą wagę przykładał do zdobycia materiałów z tej dziedziny. Szef tego specjalnego zespołu, generał Leonid Gaidukow był specjalistą od artylerii raketowej i po pierwszym okresie poszukiwań dokumentów i fachowców pozostał w Niemczech kierując instytutem "Nordhausen". Później przyjechał Wiktor Miszin, który badał fragmenty V-2, jakie znaleziono na niemieckim poligonie raketowym w Bliźnie i dostarczono do Moskwy w 1944 roku. W sierpniu przyjechali Walentyn Głuszko i sam Siergiej Korolow, obydwaj niedawno zwolnieni z więzienia, gdzie osadzono ich w 1938 roku pod zarzutem działalności antypaństwowej.

Członkowie radzieckiej komisji szybko zorientowali się, że nie mają szans na schwytanie najważniejszych niemieckich naukowców i inżynierów ani na odnalezienie najcenniejszej dokumentacji. Jednakże sytuacja nie była tak beznadziejna. Do końca 1945 roku wywieziono z Niemiec do ZSRR osiem kompletnych rakiet na paliwo płynne, czterdzieści jeden rakiet na paliwo stałe, takich jak Rheinbote, SB-800, a ponadto 186 zespołów naprowadzania, naddźwiękowy samolot raketowy DFS 346, raketowe myśliwce Me 163B i wiele innych.

Nie schwytano najważniejszych specjalistów, takich jak Wehrner von Braun czy generał Dornberger, którzy byli już bezpieczni u Amerykanów, jednak w okolicach podziemnych zakładów "Dora" schwytano 200 techników, którzy nie zdołali lub nie chcieli uciekać na Zachód. Największą radziecką zdobyczą był Helmut Göttrup, specjalista od systemów naprowadzania rakiet. Przez wiele lat ukrywał swe komunistyczne przekonania, ale gdy mógł je zmanifestować, natychmiast oddał się w ręce radzieckie. To była najcenniejsza zdobycz Zawieniagina.

Początkowo niemieccy konstruktorzy pozostali w radzieckiej strefie okupacyjnej i rozpoczęli pracę w fabryce "Dora", którą Amerykanie oddali dopiero 1 czerwca 1945 roku, wywożąc stamtąd 100 rakiet V-2 oraz najważniejsze maszyny. Do wiosny 1946 roku udało się zatrudnić w tych zakładach, które otrzymały nazwę "Rabe", co było skrótem od Raketenbau, 1200 niemieckich techników i inżynierów. Do granicy zachodnich sektorów było bardzo blisko i wielu zdecydowało się przejść na drugą stronę. Zapewne zarówno ta sytuacja, jak i lęk przed penetracją zachodnich szpiegów nakazał Stalinowi podjąć decyzję o wielkiej przeprowadzce. Pierwszą grupę najważniejszych pracowników "Rabe" wywieziono do Związku Radzieckiego już do września 1945 roku. Drugą, znacznie większą grupę, bo od 3 do 3,5 tysiąca pracowników, przesiedlono w październiku 1945 roku. Ogółem do 1948 roku wywieziono z Niemiec 300 tysięcy raketowych i lotniczych specjalistów wraz z rodzinami. Oni mieli stworzyć raketową potęgę Kraju Rad.

W tym samym czasie na poligonie w Kapustin Jarze, położonym między Stalingradem i Astrachaniem, rozpoczęły się próby zdobywczych rakiet V-2, które nadzorował Siergiej Korolow. Jedenaście rakiet wystrzelono od października do listopada 1947 roku, z których tylko pięć trafiło w cel. Rok później wystrzelowano już rakiety zmodyfikowane przez radzieckich i niemieckich specjalistów, uzyskując nieco lepsze wyniki: na dwanaście wystrzelonych rakiet siedem trafiło w cel. Korolow, zbierając doświadczenia na poligonie w Kapustin Jarze opracował własną raketę, którą nazwał R-2.

Stalin nie potrafił docenić siły rakiet. Dopiero jego następca, Nikita Chruszczow zrozumiał, że wojnę ze Stanami Zjednoczonymi można wygrać tylko za pomocą rakiet, a nie samolotów.

Również w Stanach Zjednoczonych, gdzie znaleźli się najwybitniejsi konstruktorzy rakietowi z Wehrnerem von Braunem na czele, zapomniano o raketach, choć z zupełnie innych powodów. Ameryka rozbrajała się i prezydent Harry Truman nie chciał wydawać milionów na raketowe eksperymenty. Kongres tak zmniejszył wydatki na zbrojenia, że firma Convair nie mogła dłużej prowadzić kosztownych badań z raketami V-2 i przerwała je w czerwcu 1947 roku. Czas rakiet miał dopiero nadejść.

Rozdział 13 – Skarby wojny

II wojna światowa zniszczyła Europę. Zabiła miliony ludzi, wypaliła setki miast i tysiące wsi. Pozostawiła też bogactwa. Niewyobrażalne. Ledwo ukryte przed ludzkim wzrokiem. Wystarczyło się tylko schylić, aby odnaleźć milionowe fortuny. Przekonali się o tym dwaj żandarmi z amerykańskiego oddziału, który zajął wieś Keiselbach w Turynii.

Był zimny kwietniowy poranek 1945 roku. Dwaj żandarmi, Clyde Harmon i Anthony Kline, patrolujący okolice wsi Keiselbach zauważyli dwie kobiety i mężczyznę. Nie wolno było im przebywać w tej strefie, gdyż mieściła się tam kwatera dowództwa 90 dywizji i ze względu na zagrożenie atakami terrorystycznymi dowódca zabronił przebywania tam wszelkim cywilnym osobom. Clyde Harmon zdjął karabin z ramienia.

Żandarm: Stać! Zbliżyć się do okazania dokumentów!

Kobiety i mężczyzna posłusznie podeszli. Mężczyzna odezwał się pierwszy. Mówił płynnie po angielsku, ale z wyraźnym francuskim akcentem.

Mężczyzna: Proszę pana, jesteśmy Francuzami, robotnikami przymusowymi. Pracowaliśmy w pobliskiej kopalni. Moja żona, jak pan widzi, jest w ciąży. Szukam dla niej pomocy medycznej. Może niedługo rodzić.

Żandarm: Pokażcie dokumenty.

Ich dokumenty były w porządku, ale żandarmi zabrali całą trójkę na posterunek. Szczegółowe przesłuchanie potwierdziło ich słowa, więc kobietę w ciąży zabrał ambulans do wojskowego szpitala, a mężczyzna i druga kobieta w towarzystwie żandarma zostali odesłani do kopalni soli Merkers. Gdy zbliżali się do zabudowań kopalni, mężczyzna zwrócił się do żandarma.

Mężczyzna: Wie pan, że niedawno Niemcy ukryli w tej kopalni jakieś skrzynie?

Żandarm: Widziałeś to?

Mężczyzna: Nie, ale miejscowi mówili, że żołnierze zwozili na dół dużo skrzyń. Mieli je składać w chodniku na głębokości 530 metrów. Było ich tak dużo, więc niektórzy z okolicznych mieszkańców pomagali. Podobno pracowali przez trzy dni.

Żandarm: Oszukujesz...

Mężczyzna: Monsieur, jak pragnę, żeby moja żona pięknego syna mi urodziła!

Żandarm: Zatrzymaj się. Wracamy na posterunek.

Oficer 90 dywizji piechoty podpułkownik William Russel uwierzył w informacje francuskich robotników. Nakazał, aby czołgi 712 batalionu otoczyły teren kopalni i skierował tam dodatkowo żołnierzy z 357 pułku piechoty. W ciągu następnych dni w obawie przed niemieckim atakiem zbudowano umocnione posterunki z działami przeciwpancernymi i przeciwlotniczymi. 7 kwietnia pierwsi amerykańscy żołnierze zjechali windą na dół. Chodnik na głębokości 530 metrów przegradzała betonowa ściana z pancernymi drzwiami. Próby sforsowania tej przeszkody okazały się daremne. Dopiero następnego dnia ładunki wybuchowe założone przez saperów rozbiły drzwi i utworowały przejście do wielkiej komory. Miała 25 m szerokości i 50 metrów długości. Wysokość wynosiła nieco ponad trzy metry. Oczom żołnierzy ukazał się niezwykły widok. Wszędzie stały równo ułożone sztaby złota i leżały setki worków, które jak się okazało zawierały złote monety. Zważono je: 285 ton czystego złota. To nie wszystko. W drewnianych skrzyniach odkryto dolary: 52 miliony. Dzisiaj byłoby to 10-krotnie więcej - ponad pół miliarda dolarów.

Następnego dnia na biurku pułkownika Bernarda Bernsteina w Wersalu zadzwonił telefon. Jego przełożony nakazywał, aby jak najszybciej udał się do kopalni Merkers i zabezpieczył skarby. 10 kwietnia pułkownik Bernstein stawił się u dowódcy 3 armii generała Pattona.

Bernstein: Panie generale, otrzymałem rozkaz jak najszybszej ewakuacji skarbów z kopalni Merkers. Proszę, żeby zechciał pan oddać do mojej dyspozycji odpowiednią ilość środków transportu i eskortę. Potrzebuję 30 ciężarówek i eskorty ośmiu - dziesięciu czołgów.

Patton: Czy pan zwariował, pułkowniku! Złoto jest najbardziej bezpieczne tam gdzie jest, w kopalni!

Bernstein: Panie generale, ale Niemcy...

Patton: Chce pan powiedzieć, że Niemcy mogą odbić kopalnię? Niechby spróbowali, a skopimy im tyłki. Nie ma takiej możliwości, żeby odepchnęli moich chłopców z tego rejonu.

Bernstein: Ani przez chwilę nie wątpię bitność naszych żołnierzy, ale chcę powiedzieć, że według porozumienia Wielkiej Trójki Niemcy zostały podzielone i kopalnia Merkers jest przypisana do radzieckiej strefy. Lada dzień mogą tu wejść Rosjanie!

Patton: To dlaczego, do diabła, od razu pan nie mówi! Adiutant! Łączyć z dowódcą 90 dywizji!

Ewakuacja skarbów rozpoczęła się już 11 kwietnia. Tymczasem odkrywcom kopalnia soli ujawniała kolejne tajemnice. W innych chodnikach znaleziono dzieła sztuki przywiezione z berlińskiego muzeum. Ściągnięty na miejsce kurator Muzeum Narodowego dr Paul Rave ocenił, że w chodnikach złożono około 25% berlińskich zbiorów.

14 kwietnia 1945 roku konwój trzydziestu dziesięcotonowych ciężarówek wyjechał za bramę kopalni kierując się do siedziby Reichsbanku we Frankfurcie. Na całej 150 kilometrowej trasie ruch był wstrzymany, a bezpieczeństwa transportu strzegło 700 żołnierzy i osiem czołgów. Mimo to ładunek złota został uszczuplony. W nieznanym sposobie z ciężarówek zniknęło 12 470 dolarów, blisko pół miliona marek i duża ilość złotych monet. Nigdy ich nie odnaleziono ani nie złapano złodziei.

Gdy w maju 1945 roku, zgodnie z porozumieniem Wielkiej Trójki, wojska radzieckie wkroczyły na teren kopalni Merkers, nie było już tam ani jednego złotego pieniążka. Podobno duża część złota i dolarów Niemieckiego Banku, jaka znalazła się w posiadaniu aliantów, została oddana państwu, z których to złoto zostało zrabowane przez Niemców w czasie wojny. Ocenia się, że z samej Belgii niemieckie wojska okupacyjne wywiozły w czasie wojny 217 ton złota i blisko 200 mln dolarów, w cenach z 1945 r. Szczegółowe dane na temat skarbów z kopalni Merkers i innych miejsc, gdzie alianci odnaleźli depozyty o ogromnej wartości, pozostają do dziś tajemnicą.

Radzieckie wojska przegrały z aliantami nie tylko wyścig do niemieckiego złota. Nie zdążyły przechwycić wielu innych skarbów.

Marszałek Gieorgij Żukow dowodzący wojskami 1 Frontu Białoruskiego, które znad Odry miały uderzyć na Berlin, spieszył się. Wiedział, że na początku kwietnia wojska anglo-amerykańskie ruszyły w stronę niemieckiej stolicy, a ich marsz bardziej spowalniały korki na drogach niż opór Wehrmachtu. Już 11 kwietnia czołwki 9 armii generała Williama H. Simpsona doszły do Łaby i uchwyciły przyczółek na wschodnim brzegu; od Berlina dzieliło je tylko pięćdziesiąt kilometrów terenu dogodnego do rozwinięcia wojsk.

Żukow musiał więc spieszyć się, aby zachodni alianci nie uprzedzili Rosjan i pierwsi nie weszli do Berlina.

Nad Odrą w nocy 16 kwietnia po półgodzinnej kanonadzie artyleryjskiej na niebie rozpały się tysiące różnokolorowych rakiet. I wtedy stało się coś dziwnego. Nad linią frontu rozbłysły jasnyniebieskie smugi, które rozżarzały się z sekundy na sekundę. To sto czterdzieści

reflektorów lotniczych, ustawionych co dwieście metrów świeciło w stronę nieprzyjacielskich okopów. Podobno miały oślepiać wroga, ale nie o to chodziło, gdyż w istocie bardziej przeszkadzały atakującym Rosjanom niż broniącym się Niemcom.

Żukow tworzył widowiskową oprawę ostatniej wielkiej bitwy w Europie. Rakiety i smugi reflektorów miały być efektem, niczym więcej. Był pewny, że jego pancerny walec przetoczy się przez okopy zasłane trupami niemieckich żołnierzy i pędzić będzie w stronę Berlina. Popęłnił błąd nie doceniając wroga. U stóp Wzgórz Seelowskich, w połowie drogi do Berlina, radzieckie wojska zostały zatrzymane. Nie mogło to trwać długo. Ogrom środków, jakie zgromadzono do tej operacji, dawał pewność, że obrona niemiecka zostanie szybko przełamana. Już 18 kwietnia wojska Żukowa przebiły się przez niemieckie linie obronne i poszły dalej.

Po drugiej stronie Berlina, nad Łabą pułkownik John Landale pochylił się nad mapą, na której zaznaczał postępy wojsk radzieckich. Od sierpnia 1944 roku był członkiem specjalnej misji wojskowej "Alsos", której zadaniem było poszukiwanie niemieckich fizyków nuklearnych, urządzeń i dokumentów. Grupa dowodzona przez pułkownika Borysa Pasha odniosła wielkie sukcesy: schwyciła ośmiu niemieckich naukowców, wśród których byli wszyscy najważniejsi. W Hechingen odnaleziono niedokończony reaktor atomowy. Pozostawała jednak sprawa niemieckich zapasów uranu. Landale powiedział do swojego dowódcy, pułkownika Pasha: **Lansdale:** Nasze wojska są w tej chwili w Stassfurcie, ale ten rejon mają zająć Rosjanie. Musimy się spieszyć, jeżeli nie chcemy podarować Rosjanom wszystkich europejskich zapasów uranu.

Wywiad donosił, że Niemcy ukryli w fabryce w Stassfurcie co najmniej kilkaset ton uranu, przejętego przez nich w 1940 roku w Belgii. Pułkownik Borys Pash, dowodzący misją "Alsos", podszedł do szkolnej tablicy, na której Landale zawiesił mapę Niemiec i wykreślał postępy wojsk radzieckich.

Pash: Kiedy tam mogą dojść?

Lansdale: Jeśli utrzymają tempo natarcia, to mogą tam być jeszcze przed końcem miesiąca.

Pash: Zbieraj ludzi. Jutro rano jedziemy do Stassfurtu!

Następnego dnia, 17 kwietnia, Pash i Landale wysiedli z jeepa przez bramę fabryki, a właściwie jej resztkami. Dookoła nie było żywej duszy, a jedynie wiatr rozwiewał dym z płonących szmat i papierów. Wszędzie panował nieopisany bałagan, jaki pozostawili po sobie francuscy robotnicy przymusowi, którzy po wycofaniu się esesmanów splądrowali fabrykę, zabierając wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość. Na dziedzińcu pod prowizorycznym zadaszeniem ułożono długie rzędy beczek pomalowanych na jaskrawy żółty kolor. Wiele było rozbitych, co wskazywało, że szukano w nich wartościowych przedmiotów.

Pash: W tych beczkach może być ponad tysiąc ton rudy uranowej. Możemy uznać, że jest to cały zapas, jaki Niemcy przechwycili w Belgii, a to wskazywałoby, że nie przystąpili do produkcji bomby atomowej.

Pułkownik Landsdale szedł wzdłuż długiego rzędu beczek.

Lansdale: Zakładając, że na jedną ciężarówkę zmieścimy trzy tony, to potrzebujemy cholernie dużo samochodów albo cholernie dużo czasu. Nie mamy ani jednego, ani drugiego. Otrzymałem wiadomość, że Rosjanie będą tu lada dzień.

Pash: Nie mamy dużo ciężarówek ani dużo czasu. Nie mamy też innego wyjścia.

Tej nocy amerykańscy żołnierze zaczęli przetaczać beczki na ciężarówki, jakie udało się znaleźć w okolicy i transportować ładunek na pobliską bocznice kolejową. Wbrew obawom wojska radzieckie nie zdołały dotrzeć do Stassfurtu zanim operacja wywiezienia uranu nie została zakończona. Dokładne obliczenia wykazały, że udało się wywieźć 1200 ton rudy uranowej, co wówczas stanowiło ponad połowę zapasów dostępnych w Europie.

Wkrótce pułkownik Pash dowiedział się o następnym sukcesie: 2 maja 1945 roku w Bawarii do amerykańskiego oddziału zgłosili się ludzie pracujący przy budowie rakiet balistycznych: Werner von Braun i jego brat Magnus, generał Walter Dornberger, oraz dwudziestu innych konstruktorów z Peenemünde. Poinformowali, gdzie złożyli czternaście ton dokumentacji technicznej rakiet.

W tym samym dniu, 2 maja, przez bramę fabryki w Stossfurcie przejechało kilka jeepów z radzieckimi żołnierzami i cywilami. Na dziedzińcu nie wysiedli nawet z samochodów, lecz zatoczyli duże koło i odjechali. Można było odnieść wrażenie, że przybyli tylko po to, aby sprawdzić, czy informacje, że w fabryce już niczego nie ma, były prawdziwe.

W pierwszym samochodzie obok generała porucznika Awramiego Zawieniagina, zastępcy Berii, siedział mężczyzna w cywilnym ubraniu, choć na marynarkę narzucił wojskowy płaszcz. Szczupły blondyn z lekko przerzedzonymi włosami, o sympatycznej twarzy, profesor Julij Chariton, był wyraźnie zaniepokojony, że informacje o przejęciu przez Amerykanów całego zapasu belgijskiej rudy uranu potwierdziły się. Liczył, że uda im się odnaleźć choć część tego skarbu, tak ważnego dla radzieckiego projektu atomowego. Brak uranu hamował postępy nad skonstruowaniem bomby. Spóźnili się. Wojska radzieckie wygrywając wyścig do Berlina przegrały wyścig do najważniejszych skarbów II wojny światowej: rakiet balistycznych, konstruktorów, którzy te rakiety budowali, i zapasów uranu. Przegrali jeszcze jeden wyścig, a konsekwencje tej porażki pozostawały największą tajemnicą powojennego czasu.

Dochodziła północ, gdy ciężarówka wioząca grupę amerykańskich oficerów zatrzymała się na rynku w Augsburgu. Żandarm kontrolujący samochody wjeżdżające do miasta wskazał im ten dom jako jeden z nielicznych nadających się na spędzenie tam nocy. Jeszcze niedawno mieściła się tam kwatera Luftwaffe, ale po właścicielach nie było już śladu.

Howard Compaigne wybrał sobie kąt w dużym pokoju na parterze, gdzie na dwóch stołach rozłożył płaszcze i mimo, że to prowizoryczne postanie było wyjątkowo twarde i niewygodne, zasnął szybko.

Był amerykańskim matematykiem, którego wojskowa kariera rozpoczęła się zupełnie przypadkowo. W 1941 roku wysłał do dowództwa marynarki wojennej projekt maszyny szyfrującej. Projekt nie spodobał się, ale Howardowi, wówczas wykładowcy na Uniwersytecie w Minnesocie, zaproponowano kurs kryptoanalizy. Z ciekawości zabrał się za to i ukończył kurs 5 grudnia 1941 roku. Po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny wysłano go Bletchley Park, tajnego brytyjskiego ośrodka, gdzie odczytywano niemieckie szyfrogramy. Pracował tam do końca wojny, gdy włączono go do grupy TICOM, co było skrótem od nazwy "komitet wywiadu ds. specjalnego zadania". Zespół ten był jeszcze bardziej tajny niż ośrodek w Bletchley Park, a to dlatego, że miał działać nie przeciwko wrogowi, lecz wojennemu sojusznikowi - Związkowi Radzieckiemu. Decyzja o powołaniu specjalnej grupy wynikała z niejasnego przekonania, że Niemcy musieli odnieść wiele sukcesów w rozpracowywaniu radzieckich kodów i szyfrów. Należało więc jak najszybciej dotrzeć do ich tajnych ośrodków i zebrać jak najwięcej maszyn, dokumentów, a przede wszystkim schwytać jak najwięcej kryptologów. W kwietniu 1945 roku grupa TICOM, którą dowodził komandor porucznik Howard Compaigne, wyruszyła do Niemiec zamierzając jak najszybciej dotrzeć do Kaufbeuren, niewielkiego miasta położonego siedemdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Monachium. Według wskazań wywiadu w tym

bawarskim mieście znajdował się hitlerowski ośrodek kryptologiczny.

Z Paryża, dokąd dotarli samolotem, wyruszyli kilkoma samochodami kierując się do Bawarii. Postój w Augsburgu był konieczny, gdyż nocna jazda nie była bezpieczna. Następnego dnia mieli dotrzeć do Kaufbeuren.

Sen na niewygodnym pośłaniu został szybko przerwany.

Żołnierz: Panie komandorze, panie komandorze!

Compaigne podniósł z trudem głowę. Nie czuł pleców, a zdrętwiała ręka była pozbawiona czucia.

Żołnierz: Niech pan zejdzie jak najszybciej do piwnicy.

Cóż takiego mogli znaleźć w piwnicy? Komandor ruszył w ślad za żołnierzem masując zdrętwiałą rękę. Zszedł wąskimi schodami do wielkiego, niskiego pomieszczenia bez okien. Pod ścianami były długie rzędy stołów z aparaturą radiową i maszynami szyfrującymi. Wyglądało na to, że mieściło się tutaj centrum łączności, które operatorzy opuścili w wielkim pośpiechu.

Sięgnął po taśmę zwisającą z telegrafu. Był na niej zapis rozmowy dwóch operatorów.

- Jak u ciebie? - pytał żołnierz z Ulm. - Nasze raporty mówią, że Amerykanie są już w Augsburgu.

- Nie - odpowiedział operator z Augsburga. - Tu wszystko jest w porządku.

Po chwili napisał:

- O, Boże, oni już tu są. Cześć.

Compaigne zaczął przeglądać urządzenia na stołach. Żadne z nich nie było tym, którego poszukiwali. Był wściekły, że zbudzono go bez powodu, ale złość szybko przeszła, gdy poznał prawdziwy powód, dla którego ściągnięto go do piwnicy. Schwymano bowiem żołnierza niemieckiego, który służył w tym ośrodku łączności Luftwaffe. Jeniec był dość arogancki. Powiedział:

Jeniec: Oddam wam bardzo interesujący aparat, jeżeli zwolnicie mnie z niewoli.

Compaigne skinął głową. Wielokrotnie już słyszał podobne propozycje i z reguły nic z nich nie wynikało.

Compaigne: Jeżeli nie popełnił pan zbrodni wojennych, to da się załatwić.

Jeniec: Nie popełniłem...

Compaigne: Co to za aparat?

Jeniec: Używaliśmy go do dekryptażu rosyjskich depesz. Z ogromnym powodzeniem!

Compaigne z trudem ukrył radość. Nie spodziewał się, że tak szybko może wpaść na trop niezwyklej aparatury.

Compaigne: Wie pan, gdzie to jest?

Jeniec: Wiem, ale najpierw poproszę o dokument zwalniający z niewoli.

Komandor wrócił po kilkunastu minutach i położył na stole glejt, który Niemiec dokładnie przestudiował. Złożył go starannie i schował do kieszeni.

Jeniec: Wszystko się zgadza. Jutro rano wskażę wam miejsce, gdzie schowaliśmy to urządzenie. Teraz jest już za późno. Przygotujcie na jutro ze trzydziestu ludzi. Aparat, a właściwie wszystkie urządzenia, są zakopane niedaleko, ale zajmują dużo skrzyń.

O świcie dwudziestu ośmiu jeńców zaczęło kopać dół przy budynku położnym nieopodal amerykańskiej kwatery. Po kilkunastu minutach ukazały się drewniane wieka. Z ogromnym trudem wydobyli dwanaście skrzyń, z których każda ważyła około dwustu kilogramów. Ponadto odkopano pięćdziesiąt trzy mniejsze skrzynie o wadze około trzydziestu kilogramów każda i kilkadziesiąt jeszcze mniejszych. W sumie wydobyte skrzynie ważyły ponad siedem ton.

Przez następnych kilka dni zmontowano ciemnoszare aparaty w piwnicy budynku zajętego przez misję TICOM. Komandorowi wydawało się, że odkrył największy skarb drugiej wojny światowej: niemiecką maszynę, za pomocą której można było odczytywać najtajniejszą radziecką korespondencję wojskową i wywiadowczą. Szyfry, których żaden aliancki kryptolog nie potrafił odczytać, choć pracowano nad nimi od 1943 roku, wystukane na klawiaturze tego aparatu w oka mgnieniu ujawniały treść.

Istota działania tego urządzenia pozostała tajemnicą do dzisiaj. Wiele lat po wojnie Campaigne ujawnił niektóre szczegóły. Wynikało z tego, że aparat pozwalał odtworzyć sygnał radiowy, który przez radziecką stację nadawczą był zniekształczony. Radziecka aparatura nadawcza dzieliła depeszę na dziewięć części i wysyłała radiogram na dziewięciu kanałach, zmieniając ich kolejność w dowolny sposób. Niemiecki aparat potrafił złożyć części podzielonego radiogramu.

Następnego dnia maszyna, rozmontowana i ponownie zapakowana w skrzynie, została wywieziona do Bletchley Park. Jej kopię dostarczono do Stanów Zjednoczonych, gdzie działała stacja nasłuchowa Vint Hill Farms, znana jako Stacja Monitorowania Nr 1 w pobliżu miasta Warrenton w stanie Virginia. W czasie wojny wykorzystywano ją głównie do przechwytywania komunikacji japońskiej. Po wojnie stała się centrum nasłuchu łączności radzieckiej.

Nie wiadomo, ile i jakie depesze udało się odczytać dzięki niemieckiemu urządzeniu. Wiele jednak wskazuje na to, że dzięki aparatowi znalezionemu w Niemczech amerykańskiemu kontrwywiadowi udało się odczytać najważniejsze meldunki radzieckich szpiegów i na ich podstawie schwytać tych, którzy wykradali tajemnice bomby atomowej. W decydującym momencie atomowego wyścigu, gdy obydwa mocarstwa przystąpiły do konstruowania bomby wodorowej, radziecki wywiad został pozbawiony najważniejszych informacji, co miało ogromny wpływ na powojenną historię. Radzieccy naukowcy, pozbawieni informacji z USA, skierowali się w ślepy zaułek. Skonstruowana przez nich bomba wodorowa była nieudana. Naprawienie błędu kosztowało ich wiele lat ciężkiej pracy.

Skarby odnalezione w ostatnich tygodniach wojny w Niemczech miały wielki wpływ na nową historię. Ale nie wszędzie radzieckie grupy specjalne przegrywały wyścig o dotarcie do skarbów...

Rozdział 14 - Polski Łącznik

Część I

Samochody ze zgaszonymi światłami zatrzymały się dwie przecznice dalej. Żołnierze zeskakowali na ziemię, mieli buty owinięte szmatami, aby nie zdradził ich stukot podkutych obcasów. Jedni podbiegli do głównego wejścia do budynku kliniki w pobliżu obserwatorium w Paryżu. Inni okrążyli budynek i obstawili tylne drzwi. Ludzie, po których przyjechali, nie mieli żadnej szansy ucieczki.

Za żołnierzami podszedł do wejścia porucznik Abwehry Hugo Bleicher. To on miał aresztować groźnego alianckiego szpiega, ukrywającego się w wynajętym mieszkaniu na najwyższym piętrze kliniki. Na jego znak jeden z żołnierzy podniósł wielki młot i uderzył w zamek. Drzwi rozpadły się i żołnierze wtargnęli do wnętrza.

Kapitan Roman Czerniawski pracował do późna w nocy. Przed położeniem się spać zebrał kartki z meldunkami wywiadowczymi, jakie tego dnia, 17 listopada 1941 roku kurier przywiózł z Cherbourg. Zmęczenie sprawiło, że nie zszedł do piwnicy, aby włożyć papiery do skrytki pod podłogą. Wrzucił je tylko do szafy i położył się spać. Była godzina trzecia nad ranem.

Nie spał długo. Zerwał się z łóżka nie wiedząc, czy hałas w przedpokoju jest jawą czy snem. Chwilę później zobaczył niemieckiego żołnierza mierzącego do niego z pistoletu maszynowego. Krzyknął:

Czerniawski: Jestem oficerem polskiego sztabu, wykonuję zadania wojskowe! Żądam, abym był traktowany jak więzień wojenny!

Zza żołnierzy wysunął się mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu i berecie na głowie.

Bleicher: Co za dziwne żądanie?! Niech pan się ubierze, panie Armand!

Niemiec znał jego pseudonim, a więc akcja była dobrze przygotowana. Wiedzieli, kogo szukają i kogo schwytali.

Twarz i głos mężczyzny w nieprzemakalnym płaszczu i berecie wydawały się Czerniawskiemu znajome. Po chwili przypomniał sobie, gdzie go widział. Poprzedniego dnia, gdy był na kolacji ze swoją przyjaciółką Violetta, do ich stolika podszedł pijany mężczyzna. Miał na sobie ten sam płaszcz i beret. Chciał przysiąc się, ale Violetta nie zgodziła się na to. Odszedł zataczając się. A teraz stał z pistoletem w dłoni. Czyżby był to przypadek?

Wiele lat później Czerniawski wyjaśnił to dziwne zdarzenie.

Zawieziono go od hotelu "Edward VII", gdzie mieściła się kwatera tajnej policji. Stamtąd po dokładnej rewizji przewieziono go do podparyskiego więzienia Fresnes. Tam miał czekać na wyrok.

Kapitan Roman Czerniawski od lipca 1940 roku kierował siatką wywiadowczą działającą we

Francji. W ciągu kilku miesięcy udało mu się wciągnąć do współpracy 150 francuskich patriotów, którzy zbierali informacje o ruchach niemieckich wojsk, przygotowaniach do inwazji na Wielką Brytanię, sile garnizonów. Pracowali nadzwyczaj wydajnie. Zdarzało się, że jednego dnia trzykrotnie przekazywali przez radio meldunki do Londynu. Polskie władze wojskowe potrafiły docenić sukcesy kapitana Czerniawskiego. W październiku 1941 roku przysłano po niego samolot Lysander, który wylądował na opuszczonym lotnisku pod Paryżem i zabrał Czerniawskiego do Anglii. Tam stanął się przed naczelnym wodzem, generałem Władysławem Sikorskim, który odznaczył go krzyżem Virtuti Militari. Był pierwszym w tej wojnie pracownikiem służb specjalnych uhonorowanym tak wysokim odznaczeniem. 11 października wsiadł do samolotu na lotnisku w Londynie, aby powrócić do Francji. Przywoził szczegółowe wytyczne, jakie informacje mają szczególne znaczenie dla alianckiego wywiadu.

Nad ranem 11 października 1941 roku Czerniawski wyskoczył ze spadochronem w rejonie Tours i stamtąd przedostał się do Paryża. Już wtedy niemiecka sieć zaciskała się wokół niego. Zdradziła go kobieta..

Kapitan Roman Czerniawski, szef wielkiej siatki wywiadowczej, która rozpracowała dyslokację wszystkich niemieckich dywizji na terenie Francji został aresztowany 18 listopada 1941 roku.

Żołnierzami, którzy wtargnęli do paryskiego mieszkania Czerniawskiego dowodził Hugo Bleicher. Kilka tygodni wcześniej aresztował Matyldę Carre, pseudonim Kotka, kochankę Czerniawskiego. Natychmiast zgodziła się współpracować z Niemcami i zdradziła wszystkie tajemnice. Od tego momentu schwytywanie go było już tylko sprawą czasu.

Mijały miesiące. Czerniawskiego nie przesłuchiowano. Uznał, że jest specjalnym więźniem, z którym Abwehra łączy jakieś plany, choć nie mógł odgadnąć, jakie. Nie mylił się. Zainteresował się nim pułkownik Abwehry Oscar Reile i postanowił wykorzystać go w swoim wielkim projekcie.

W pierwszych dniach marca 1942 roku Reile stanął się u swojego szefa admirała Wilhelma Canarisa, aby zreferować projekt.

Canaris: A któż to jest ten... Czerniawski, wobec którego to zamierza pan być tak wspaniałomyślny i podarować mu wolność? Za co?

Pułkownik Reile rozłożył teczkę i wyciągnął kartkę z danymi, jakie udało mu się zebrać na temat Czerniawskiego.

Reile: Kapitan lotnictwa Roman Czerniawski, urodzony w 1910 roku, w służbie wojskowej od 1928 roku. Ukończył Wyższą Szkołę Wojenną w Warszawie. W 1939 roku przedostał się do Paryża. Ukończył Ecole Superier de Guerre. Był szefem wywiadu w polskiej dywizji. Po klęsce Francji pozostał tam i na polecenie polskiego dowództwa zorganizował siatkę szpiegowską. Wyjątkowo sprawną. Rozpracowali wszystkie nasze dywizje do szczybla batalionu włącznie. Zbrali wszystkie dane na temat naszych lotnisk. Teraz on i jego 64 ludzi znajdują w naszym więzieniu pod Paryżem.

Canaris: I pan proponuje, żeby go wypuścić na wolność?

Reile: Panie admirale, liczę, że pewnego dnia szef polskiego rządu w Londynie, generał Sikorski mógłby wykorzystać meldunek radiowy Czerniawskiego, aby zaproponować nam wspólne przedsięwzięcia wobec posuwającej się naprzód Armii Czerwonej.

Canaris: Zakłada pan, że wojska rosyjskie wejdą na ziemie polskie?

Reile: Panie admirale, sytuacja na froncie wschodnim nie napawa optymizmem...

Pułkownik Oscar Reile, członek antyhitlerowskiej organizacji spiskowej, dobrze znał poglądy swojego szefa. Admirał Canaris uważał, że wojna, jaką rozpętał Hitler, zakończy się unicestwieniem Niemiec. Ugruntował się w tym przekonaniu, gdy wojska Wehrmachtu, odnosząc wcześniej świetne sukcesy w Związku Radzieckim, zostały w grudniu 1941 roku zatrzymane i odrzucone spod Moskwy. Oznaczało to, że wojna błyskawiczna zamieniła się w wojnę na wyczerpanie, a tej Niemcy, mając mniejsze rezerwy ludzkie i surowcowe, wygrać nie mogły. W grudniu 1941 roku Hitler popełnił też następny błąd. Lekceważąc potęgę gospodarczą Stanów Zjednoczonych wypowiedział wojnę mocarstwu zza oceanu. Wojna prowadzona na dwóch frontach, na wschodzie i zachodzie Europy, musiała zakończyć się klęską. Realna stawała się groźba, że wojska radzieckie, spychając Wehrmacht na zachód, przekroczą granice Rzeszy. Canaris i spiskowcy zaczęli coraz bardziej gorączkowo szukać możliwości uratowania Niemiec przed katastrofą, jaką byłoby wkroczenie wojsk radzieckich. Uznali, że jedyną szansą jest obalenie Hitlera, aresztowanie jego podwładnych odpowiedzialnych za zbrodnie wojenne i utworzenie demokratycznego rządu, który podjąłby rozmowy pokojowe z wrogami Rzeszy. Dlatego Canarisa tak zainteresował projekt pułkownika Reilego. Pytał:

Canaris: Jaką mamy gwarancję, że Czerniawski zechce zastosować się do naszych życzeń?

Reile: Wierzę w jego ideowość. Współpraca z nami jest dla niego formą walki z bolszewizmem, a poza tym... w naszych więzieniach pozostaje 64 jego współpracowników. Staną się zakładnikami.

Canaris: Zgadza się na pana projekt zwolnienia Czerniawskiego. Proszę, aby poinformował pan o tym również generała von Stülpnagela.

Reile: Tak jest, panie admirale.

Nazwisko generała Karla Heinricha von Stülpnagela, wojskowego gubernatora Paryża, padło nieprzypadkowo. Był jednym z aktywnych działaczy antyhitlerowskich. Za udział w spisku przeciwko Hitlerowi w 1944 roku został skazany na śmierć i powieszony na rzeźnickim haku.

Pułkownik Reile przyszedł do celi Czerniawskiego w marcowy dzień 1942 roku.

Reile: Jestem pułkownik Oscar Reile z Abwehry. Mogę usiąść?

Czerniawski: Tak, proszę.

Reile: Przyszedłem, aby zaproponować panu zmianę pana położenia, które, przyznam, jest nie do pozazdroszczenia. Wkrótce zostanie pan skazany na śmierć jako polski szpieg.

Reile mówił płynnie po polsku, gdyż przed wojną przez wiele lat był szefem oddziału Abwehry w Gdańsku.

Reile: Chciałbym panu pogratulować sukcesów. Jak ustaliliśmy, pana siatka odkryła rozmieszczenie wszystkich naszych 22 dywizji na terenie Francji, do szczebla batalionu włącznie. Zebrał pan materiały o stu lotniskach, o sytuacji we wszystkich portach. Gratuluję, panie kapitanie.

Czerniawski: Dziękuję, ale chyba nie po to pan tu przyszedł.

Reile: W istocie. Pragnę panu przypomnieć, że schwytaliśmy większość ludzi z pana organizacji. W naszych więzieniach znajduje się 65 osób. Postępowanie sądowe przeciwko nim nie zostało wszczęte. Ale jeżeli do tego dojdzie, to - zgodnie z prawem wojennym - należy oczekiwać wyroków śmierci.

Czerniawski: Jak mam to rozumieć, panie pułkowniku? Jako pierwszy mogę oczekiwać kary śmierci.

Reile: Niech mi pan powie, jakie motywy skłoniły pana do działalności szpiegowskiej przeciwko Niemcom?

Czerniawski: Jako polski oficer czułem się do tego zobowiązany.

Reile: Czy poważnie pan myśli, że dla Polski byłoby korzystne, gdyby Rosja wygrała wojnę? Czy pański kraj miałby wówczas kształt i przyszłość, której pan sobie życzy?

Ja, podobnie jak zdecydowana większość Niemców, uważam Rosję i komunizm za największego wroga Europy. Mam nadzieję, że dostrzeże pan wspólny interes Polski i Niemiec w działaniu przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Niech pan to przemyśli, panie kapitanie. Wróć tutaj.

Tak tę rozmowę przedstawił w pamiętniku Roman Czerniawski. Tak też zapamiętał ją pułkownik Reile. On jasno określił, do czego zmierza. Nie ujawnił tylko, że działał na polecenie admirała Wilhelma Canarisa.

Szef Abwehry już wcześniej podjął próbę nawiązania kontaktu z rządem polskim w Londynie. Łączniczką miała być Halina Szymańska, żona polskiego dyplomaty pracującego przed wojną w Berlinie.

Znał ją z dyplomatycznych przyjęć, na których bywała z mężem. W Polsce spotkali się w listopadzie 1939 roku, gdy Halina Szymańska, wykorzystując nadarzającą się okazję, podeszła do Canarisa, aby prosić o pomoc w odnalezieniu męża. Zgodził się. Po kilkunastu dniach zaprosił ją do byłego konsulatu niemieckiego w Poznaniu.

Canaris: Niewiele mogłem się dowiedzieć o pani mężu. Nie ma go już w Berlinie, gdyż została dokonana wymiana dyplomatów. Można mieć tylko nadzieję, że udało mu się przedostać do któregoś z państw neutralnych.

Co do pani, to nie radzę wracać do Warszawy. Gestapo zna pani nazwisko i bez wątplenia już

pani szukają. Powinna pani wyjechać do Szwajcarii.

Szymańska: Nie będzie mnie na to stać. Jak przejadę przez granicę?

Canaris: Mogę się zobowiązać do najdalej idącej pomocy. Przyjedzie po panią mój oficer i zawiezie panią do Berlina, a później dalej, do Szwajcarii. Tam będzie pani bezpieczna.

Szymańska: Jestem tutaj w Poznaniu z dziećmi.

Canaris: To oczywiste, że pojedą z panią. Samochód będzie na was czekał.

Halina Szymańska dzięki pomocy Canarisa dojechała do Berna, gdzie zgłosiła się do polskiej ambasady i opowiedziała o współpracy z Canarisem. Polecono jej kontynuować tę znajomość. Spotykali się w Szwajcarii. Początkowo z Canarisem, później z jego wysłannikiem. Halina Szymańska stała się łączniczką między Canarisem a rządem brytyjskim. Czy szef Abwehry również taką rolę wyznaczył Czerniawskiemu?

Pułkownik Oscar Reile wielokrotnie przychodził do celi kapitana Romana Czerniawskiego, aby namówić go do współpracy z Abwehrą. Proponował działanie przeciwko Związkiowi Radzieckiemu, gdyby Armia Czerwona wkroczyła na polskie ziemie w pościgu za cofającymi się wojskami Wehrmachtu.

W czerwcu 1942 roku Czerniawski zgodził się zostać agentem Abwehry. Powiedział do Reilego:

Czerniawski: Przemyślałem pana słowa. Rzeczywiście nie życzyłbym sobie, aby Polska dostała się pod reżym komunistyczny.

Reile: Czy oznacza to, że uwzględnia pan możliwość współpracy z nami?

Czerniawski: Zgłaszam gotowość, po sfingowanej ucieczce do Anglii, prowadzić tam działalność wywiadowczą przeciwko wszystkim wrogim Niemcom mocarstwom, z wyjątkiem Polski, ale mam warunki, moim zdaniem, nie do przyjęcia przez pana.

Reile: Niechże je pan wymieni, chociażby dla zaspokojenia mojej ciekawości.

Czerniawski: Mój pierwszy warunek to zapewnienie rządu niemieckiego, że gdy w wyniku mojej akcji i ewentualnej pomocy czynników polskich przyczynimy się do zwycięstwa nad komunizmem, to Polska będzie miała uprzywilejowany status w traktacie pokojowym. Ponadto chciałbym, aby wszyscy aresztowani moi ludzie zyskali status więźniów wojennych i zostali przewiezieni do obozu jeńców.

Reile: To jest do zrobienia.

Wynika z tego nadzwyczaj ciekawa sprawa. Czerniawski miał być łącznikiem między antyhitlerowską organizacją, a rządem brytyjskim i polskim. Jaki był plan spiskowców?

Wobec zagrożenia wtargnięciem Armii Czerwonej na terytorium Niemiec, spiskowcy planowali obalenie i aresztowanie Hitlera. Nowy rząd, na czele którego stanąłby jeden z

działaczy antyhitlerowskich, wystąpiłby do Londynu o zawarcie pokoju. Jaką rolę przypisali autorzy tego planu rządowi Sikorskiego?

Chcieli, aby polski rząd skierował przeciwko armiom radzieckim posuwającym się na zachód Armię Krajową i wojska przerzucone z Wielkiej Brytanii. Liczyli na antyradzieckie nastawienie polskich dowódców i żołnierzy.

Tak projekt ten przedstawił w swoich pamiętnikach pułkownik Reile. Pisał:

Reile: Dla admirała Canarisa decydująca była myśl, że szef polskiego rządu w Londynie pewnego dnia mógłby (...) zaproponować niemieckiej Abwehrze wspólne przedsięwzięcia wobec posuwającej się naprzód Armii Czerwonej.

W czasie następnej wizyty Reilego w celi Czerniawskiego omówiono szczegóły ucieczki z więzienia. Miała nastąpić 14 lipca, w czasie święta narodowego Francji, kiedy ulice byłyby zatłoczone.

Reile: Najlepszym dniem dla pańskiej ucieczki będzie 14 lipca. Święto narodowe, Francuzi zapełnią ulicę. Wszędzie tłumy. Będzie pan przewożony w odkrytym samochodem, który na bulwarze St. Germain zderzy się z innym pojazdem niemieckim. Musi pan wykorzystać zamieszanie, wyskoczyć, zmieszać się z tłumem. Będę pana oczekiwał w apartamencie przy Avenue Foche nr 19. Od tego momentu będzie pan bezpieczny. Z więzienia wyjechali rano. Dwaj żołnierze pilnujący Czerniawskiego nie zostali wtajemniczeni w plan ucieczki. Było oczywiste, że nie zawahają się zastrzelić zbiega. Wszystko więc zależałoby od tego, jak szybko zmiesza się z tłumem, co uniemożliwiłoby strażnikom oddanie strzałów.

Mijali kolejne ulice, ale na żadnej nie doszło do kolizji. Czerniawski uznał, że Reile oszukał go. Gdy samochód skręcił w ulicę Foche'a i w oddali dostrzegł Reilego stojącego przed domem, był już pewien, że Niemiec zakpił sobie z niego, ale w jakim celu? Po co przez kilka miesięcy namawiał go do współpracy, opracował plan ucieczki, aby w ostatnim momencie wszystko zmienić? Czerniawski nie potrafił sobie odpowiedzieć na te pytania. Wysiadł z samochodu i w eskorcie żołnierzy poszedł za pułkownikiem Reilem na górę.

O co chodziło w tej grze niemieckiego kontrwywiadu?

Część II

Kapitan Roman Czerniawski został schwytany przez niemiecki kontrwywiad w listopadzie 1941 roku w wyniku zdrady Matyldy Carre. Uwięziono również 64 członków siatki szpiegowskiej, którą założył we Francji. Przez rok przekazywali do Londynu setki meldunków o ruchach niemieckich wojsk, ich dyslokacji i sile. Karą za to mogła być tylko śmierć. Kapitan Czerniawski w podparyskim więzieniu Fresnes oczekiwał na wyrok. Mijały miesiące, ale z przyczyn dla niego nie zrozumiałych Niemcy odwlekali egzekucję. Aż w marcu 1942 roku do celi Czerniawskiego przyszedł oficer Abwehry, aby powiedzieć mu, jak może się uratować.

Był to pułkownik Oscar Reile. Dobrze mówił po polsku, gdyż przez wiele lat kierował w Gdańsku placówką Abwehry. Zaproponował Czerniawskiemu podjęcie współpracy z wywiadem niemieckim. Pozostawił mu czas do namysłu i wrócił do jego celi po kilku tygodniach. Czerniawski zgodził się.

Czerniawski: Zgłaszam gotowość, aby po sfinansowanej ucieczce do Anglii prowadzić tam działalność wywiadowczą przeciwko wszystkim wrogim Niemcom mocarstwom, z wyjątkiem Polski, ale mam warunki - moim zdaniem, nie do przyjęcia przez pana.

Reile: Niechże je chociaż pan wymieni, chociażby dla zaspokojenia mojej ciekawości...

Czerniawski: Mój pierwszy warunek to zapewnienie rządu niemieckiego, że jeżeli w wyniku mojej akcji i ewentualnej pomocy czynników polskich przyczynimy się do zwycięstwa nad komunizmem, to Polska będzie miała uprzywilejowany status w traktacie pokojowym. Ponadto chciałbym, aby wszyscy aresztowani moi ludzie zyskali status więźniów wojennych i zostali przewiezieni do obozu jeńców.

Reile: To jest do zrobienia...

Czerniawski nie wiedział, że pułkownik Reile wykonuje zadanie zlecone mu przez szefa Abwehry, admirała Wilhelma Canarisa. I nie chodziło bynajmniej o to, aby zwerbować jeszcze jednego agenta i wysłać go do Anglii. Miał tam przybyć w zupełnie innym charakterze, którego zapewne nie znał, gdy zgodził się na współpracę.

Pułkownik Reile przedstawił mu plan:

Reile: Najlepszym dniem dla pańskiej ucieczki będzie 14 lipca. To święto narodowe, Francuzi zapełnią ulicę. Wszędzie tłumy. Będzie pan przewożony odkrytym samochodem, który na bulwarze St. Germain zderzy się z innym pojazdem niemieckim. Musi pan wykorzystać zamieszanie, wyskoczyć, zmieszać się z tłumem. Ja będę na pana czekał w apartamencie przy Avenue Foch nr 19. Od tego momentu będzie pan bezpieczny.

Czerniawski: Czy eskorta będzie ze mną współpracować?

Reile: Strażnicy, a będzie ich dwóch w samochodzie, oczywiście nie mogą wiedzieć, że pańska ucieczka jest aprobowana przez nas. Będą więc starali się pana złapać lub zastrzelić. Mogę tylko panu radzić, aby uniemożliwić im pan wykonanie tych zadań. Powodzenia, kapitanie. I do zobaczenia 14 lipca na Avenue Foch.

Plan wydawał się realny. Chwila zatrzymania samochodu wystarczała, aby wyskoczyć i zmieszać się z tłumem, zanim strażnicy zaaferowani zderzeniem zdążyliby sięgnąć po broń.

Mijali ulice. Raz samochód przystanął, aby przepuścić kilka samochodów z wojskiem. Nie była to jednak sytuacja, o której wspominał Reile. Czerniawski czekał więc, aż zajędzie im drogę drugi samochód.

Im dłużej jechali, tym stawał się coraz bardziej niespokojny. Zaczynał wątpić w szczerłość oficera Abwehry. Odnosił wrażenie, że Reile zakpił z niego. Podejrzenia zamieniły się w pewność, gdy zobaczył, że skręcili w Avenue Foch. Przed domem stał Reile z drugim oficerem. Na widok Czerniawskiego szybko weszli do sieni, do której strażnicy wprowadzili i jego. Po schodach wspięli się na piętro do mieszkania nr 19, gdzie wartownicy stanęli przed drzwiami. Czerniawski zapytał:

Czerniawski: Czyżby zrezygnował pan z planu uwolnienia mnie?

Reile: Nie, ale doszedłem do wniosku, że ucieczka byłaby zbyt niebezpieczna dla pana. W tej chwili więzień podobny do pana ucieka na Bulwarze Focha. Strażnicy go gonią. Jeśli uda im się go zastrzelić, to nie będzie to strata tak duża, jakby trafili pana. A jutro Paryż będzie mówił o śmiałej ucieczce więźnia, zaś ludzie, z którymi pan się skontaktuje, będą przekonani, że to pan uciekał na Bulwarze Focha. Będzie obława, więc proszę pozostać w tym mieszkaniu przez noc. Rano może pan skontaktować się ze swoją organizacją...

Czerniawski nagle zrozumiał, że Niemcy mogli wypuścić go z więzienia tylko po to, aby po jego śladach trafić do pozostałych ludzi z jego siatki. Aresztowano sześćdziesięciu czterech, ale prawie dziewięćdziesięciu pozostało na wolności. Reile zdawał się odczytywać jego myśli. Powiedział nagle:

Reile: Niech pan się nie obawia, że będziemy pana śledzić, aby schwytać pana współpracowników. Zaręczyłem oficerskim słowem, że tak nie będzie. Może pan mi wierzyć. Ma pan tu wszystko, aby spędzić tę noc spokojnie, a rano wyruszyć w drogę do Anglii. Do widzenia, panie kapitanie. I powodzenia!

Pułkownik Reile nie kłamał. Następnego dnia Czerniawski, sprawdzając wielokrotnie, czy nie jest śledzony, dotarł do jednego z dawnych towarzyszy walki. Czy już wiedział, jaki jest właściwy cel uwolnienia go?

Kilka dni po ucieczce Roman Czerniawski nawiązał kontakt z członkami dawnej organizacji. Wszyscy słyszeli o śmiałej ucieczce więźnia na Avenue Foch. On sam upewnił się, że Reile dotrzymał słowa i nie kazał go śledzić. Wszystko rozwijało się zgodnie z planem.

Na początku sierpnia 1942 roku Roman Czerniawski, przemycony przez granicę hiszpańską, dotarł do Madrytu, gdzie natychmiast zameldował się w brytyjskiej ambasadzie i attache wojskowemu wyjawiał, że podjął współpracę z Abwehrą. Wyjaśniał, że nie miał zamiaru być niemieckim szpiegiem, lecz dostrzegając okazję uratowania swoich towarzyszy i podjęcia współpracy z wywiadem brytyjskim.

Czyżby Canaris i Reile byli tak naiwni i nie przewidzieli, że tak się stanie? Że po przekroczeniu granicy Czerniawski skontaktuje się z wywiadem brytyjskim i opowie o wszystkim? Oczywiście brali to pod uwagę, ale to było częścią ich planu.

Czerniawskiego przewieziono go do Londynu, gdzie wrześniowego dnia 1942 roku stanął przed szefem polskich tajnych służb podpułkownikiem Stanisławem Gano. Nie ma żadnych zapisów przebiegu pierwszej rozmowy. Zachowała się relacja z przebiegu drugiego spotkania. Czerniawski wszedł wtedy do małego pokoju, który podpułkownik Gano zajmował w Hotelu "Rubens" w Londynie. Nie lubił zgiełku, jaki otaczał Naczelnego Wodza, dlatego swój gabinet i pokoje podwładnych urządził na ostatnim piętrze.

Czerniawski: Panie pułkowniku, melduję się!

Gano: Niech pan siada, panie kapitanie...

Gano: Czy przychodzi pan z raportem, o którym mówiliśmy kilka dni temu?

Czerniawski: Tak jest, panie pułkowniku. To jest projekt operacji, którą nazwałem "Wielka Gra".

Podpułkownik Gano przez wiele minut uważnie czytał dokument, jaki podał mu Czerniawski.

Gano: Teraz rozumiem, dlaczego pytał mnie pan, jak oceniam szanse wygrania wojny przez Niemcy i co wówczas zrobi nasz rząd...

Wie pan, kapitanie, ryzykuje pan dużo. Dzisiaj jeszcze będę rozmawiać z generałem Sikorskim. Uważam jednak, że generał nawet się do tego nie dotknie. To sprawa brytyjskiego Ministerstwa Wojny. Proszę oczekiwać na wezwanie.

Jakież to propozycje Czerniawski zawarł w raporcie? O jaką wielką grę chodziło? W żadnym z zapisków, jakie się zachowały, nie ma na ten temat ani słowa. Podpułkownik Gano powinien oddać raport Czerniawskiego do archiwum. I zapewne tak się stało, ale później osobiście dopilnował, aby dokument ten został zniszczony.

Możemy założyć, że Czerniawski proponował, iż działając jako niemiecki agent będzie wprowadzać Niemców w błąd. Jeżeli do tego ograniczała się jego propozycja, to jakże zrozumieć reakcję ppłk. Gano, który postanowił natychmiast zawiadomić generała Sikorskiego! Czyżby szef wywiadu musiał informować premiera i naczelnego wodza, że jakiś agent chce wprowadzać Niemców w błąd? Oczywiście nie. A w dodatku **Gano** stwierdził:

"Uważam, że generał nawet się do tego nie dotknie. To sprawa brytyjskiego Ministerstwa Wojny".

Jedyną wskazówką pozwalającą wyjaśnić, czego mógł dotyczyć projekt Czerniawskiego, mogą być słowa, które pułkownik Reile wypowiedział po wojnie:

Gano: Dla admirała Canarisa decydująca była myśl, że szef polskiego rządu w Londynie pewnego dnia mógłby zaproponować niemieckiej Abwehrze wspólne przedsięwzięcia wobec posuwającej się naprzód Armii Czerwonej.

Szokujące! Admirał Wilhelm Canaris, szef niemieckiego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego, myślał o współpracy wojsk niemieckich i polskich przeciwko Związkowi Radzieckiemu!

Czy to możliwe, aby w połowie 1942 roku admirał Wilhelm Canaris planował współdziałanie wojsk polskich i niemieckich w powstrzymaniu Armii Czerwonej?

Był przeciwnikiem Hitlera, gdyż uważał, że doprowadzi do zguby naród niemiecki. Knuł przeciwko führerowi już od 1938 roku, gdy związał się z organizacją spiskową "Schwarze Kapelle". Uważał jednak, że obalenie Hitlera nie będzie możliwe bez współdziałania Wielkiej Brytanii. Dlatego wysyłał do Londynu tajnych emisariuszy. Nie udało mu się uzyskać poparcia rządu brytyjskiego dla spiskowych planów. Może dlatego, że był to rząd tchórzliwego i głupiego polityka Neville Chamberlaina, prowadzącego bardzo uległą politykę wobec Hitlera. Może dlatego, że Brytyjczycy nie wierzyli w jego szczerą intencję.

W 1942 roku Canaris uznał, że jego najgorsze przewidywania zaczęły się sprawdzać.

Wehrmacht został odrzucony spod Moskwy, zatrzymany pod Leningradem, a wkrótce pod Stalingradem. Nie udało im się zająć półroponośnych Kaukazu.

Niemcy nie zdołali zniszczyć źródeł siły Armii Czerwonej: przemysłu zbrojeniowego, który po przejściowym załamaniu produkował coraz więcej broni. W 1942 roku Armia Czerwona otrzymała 24 tysiące czołgów i samochodów pancernych - czterokrotnie więcej niż niemieckie zakłady zdołały dostarczyć Wehrmachtowi.

Przegrana w wojnie stała się jeszcze bardziej oczywista po klęsce sojuszniczej Japonii w bitwie o Midway, która rozpoczęła się 4 czerwca 1942 roku.

Dla Canarisa klęska państw osi stawała się oczywista. Uznał, że zbliża się czas, w którym Armia Czerwona ruszy na zachód. Postanowił działać, aby zapobiec najgorszemu: wkroczeniu wojsk radzieckich na terytorium Niemiec.

Jego plan był taki: Hitler zostanie obalony, a nowy, demokratyczny rząd niemiecki postawi przed sądem winnych zbrodni wojennych i podejmie działania, aby nie dopuścić do wkroczenia wojsk radzieckich na terytorium Niemiec. Canaris liczył, że ta idea znajdzie zrozumienie rządu generała Sikorskiego, który zechce zespolić siły, aby zatrzymać Armię Czerwoną zanim wkroczy na polskie ziemie.

Taka była misja Romana Czerniawskiego.

W Londynie wynajął mieszkanie na poddaszu willi w dzielnicy Richmond. Stamtąd za pomocą nadajnika radiowego, który zrobił według instrukcji, jaką otrzymał od Abwehry, nadał pierwszy meldunek:

Czerniawski: Bezpiecznie w Anglii. Nie tak łatwo było się urządzać. Współpraca z polskim rządem wątpliwa. Będę się koncentrować na informacjach militarnych.

Ten pierwszy meldunek, w którym Czerniawski napisał: "Współpraca z polskim rządem wątpliwa", ostatecznie wyjaśnia charakter jego misji. Dowodził także, że generał Sikorski, poinformowany przez pułkownika Gano, nie zechciał tej gry podjąć.

Popęłnił kolejny błąd, jeden z wielu, które obciążały czas jego rządów. Nie chodziło oczywiście o zgodę na to, żeby żołnierze Armii Krajowej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, przetrzeni do Polski, ramię w ramię z żołnierzami niemieckimi zatrzymali żołnierzy radzieckich; lecz o wsparcie antyhitlerowskich spiskowców, którzy osłabiliby władzę Hitlera, a przede wszystkim o uzyskanie argumentów przeciw Stalinowi. W połowie 1942 roku generał Władysław Sikorski nie miał już niczego, co mógłby wykorzystać przeciwko radzieckiemu dyktatorowi. To po stronie Stalina były wszystkie atuty.

Roman Czerniawski, któremu nadano pseudonim "Brutus", został oddany pod nadzór wywiadu brytyjskiego. Jaką rolę pełnił?

Podobno przekazywał Niemcom odpowiednio spreparowane meldunki, które miały wprowadzać ich w błąd co do miejsca i czasu planowanej inwazji na kontynent. Były tak doskonałe, że przedstawiano je Adolfowi Hitlerowi. Podobno w oparciu o nie führer doszedł

do przekonania, że inwazja nastąpi w rejonie Calais, a więc trzysta kilometrów na wschód od Normandii. Tak bardzo w to wierzył, że trzymał tam całą armię nawet wtedy, gdy pierwsze alianckie oddziały lądowały na plażach Normandii. Brytyjczycy uhonorowali zasługi Czerniawskiego odznaczając go Orderem Imperium Brytyjskiego. Czy równocześnie realizował misję, na której Canarisowi i opozycji antyhitlerowskiej zależało najbardziej: pośrednika między rządem brytyjskim a opozycją antyhitlerowską. Sam Roman Czerniawski, który zmarł w 1985 roku, nic na ten temat nie napisał.

Halina Szymańska, która była drugą łączniczką między Canarisem a wywiadem brytyjskim, również nie ujawniła niczego ze swojej działalności.

Powinny jednak przemówić dokumenty: raporty, które przekazywała Szymańska, projekt "Wielkiej Gry" Czerniawskiego, protokoły przesłuchań, jakim oboje zostali poddani przez oficerów wywiadu brytyjskiego, protokoły przesłuchań prowadzonych przez oficerów polskiego wywiadu. Gdzie są te dokumenty?

W lipcu i sierpniu 1945 roku nad zabudowaniami szkoły St. Paul na Hammersmith w Londynie unosiły się kłęby dymu, a wiatr rozwiewał popiół palonych papierów. Działo się tak przez wiele dni, co wywoływało protesty okolicznych mieszkańców. Ślali więc skargi do lokalnych władz, a te uprzejmie odsyłały rozgniewanych mieszkańców Hammersmith do polskich władz wojskowych. W zabudowaniach szkoły mieściły się bowiem biura polskiego wywiadu i kontrwywiadu. Przez wiele dni zwożono tam tajne dokumenty i palono je na podwórzu pod osobistym nadzorem pułkownika Gano. Dlaczego dwa miesiące po zakończeniu wojny szef polskiego wywiadu zdecydował się zniszczyć tajne akta?

30 czerwca 1945 r. pułkownik Gano otrzymał pismo od wywiadu brytyjskiego żądające przekazania akt polskiego wywiadu. Bardzo go to zaniepokoiło. Uważał, że brytyjskie władze zbyt naiwnie podchodzą do Związku Radzieckiego, a dbając o dobre stosunki po wojnie gotowe są oddać mu wiele przysług. Historia uczyła, że jeżeli Brytyjczycy cokolwiek darują, to na pewno z obcej kieszeni, więc wolał się zabezpieczyć tak, aby nie była to kieszeń polskiego wywiadu.

W czasie wojny służby, którymi kierował pułkownik Gano, stworzyły wiele siatek w państwach, do których wkroczyła Armia Czerwona i w samym Związku Radzieckim. Życie agentów zależało od zachowania tajemnicy. Gdyby tajne materiały z Londynu trafiły do Moskwy, los tych ludzi byłby przesądzony.

Pułkownik Gano wolał nie sprawdzać, czy jego podejrzenia są uzasadnione. Dlatego bezzwłocznie nakazał wysłanie listu do polskiej szkoły wywiadu w Szkocji, gdzie mieściły się niektóre archiwa. Pisał w nim:

Gano: "Dokumenty określone jako wartościowe i podlegające dalszemu przechowaniu w archiwum w Szkocji obecnie muszą być sprowadzone do Londynu i zdeponowane w znanym nam miejscu pod specjalnie zorganizowaną ochroną. Wszystko inne musi być bezzwłocznie spalone na miejscu. Szczególnie wszelkie bez wyjątku dokumenty dotyczące:

- wiadomości o ZSSR
- współpracy z Brytyjczykami, Amerykanami itp.
- personalia, rachunkowość.

Instrukcję po przeczytaniu proszę zniszczyć".

Obawy przed przechwyceniem dokumentów przez wywiad brytyjski były posunięte tak daleko, że oficerowie przewozili je nie samochodami, lecz w walizkach pociągiem, a po dotarciu do Londynu, oczekując na dalszy transport, pozostawiali je w przechowalni dworcowej - nie przewozili ich do siedziby polskiego wywiadu. Pułkownik Gano obawiał się również swoich kolegów. Wielu z nich deklarowało poparcie dla nowych władz Polski. Inni wybierali się do kraju, co w jego ocenie rodziło niebezpieczeństwo, że zechcą wkupić się w łaski nowych przełożonych i zabiorą najbardziej wartościowe akta.

Tysiące tajnych dokumentów poszło z dymem wielkiego ogniska, jakie przez wiele dni płonęło na podwórzu szkoły w Hammersmith. Jednak wszystkich zniszczyć nie można było.

Brytyjczycy dostali tylko część dokumentów, należy sądzić, że mniej ważnych. Po raz ostatni widziano je w 1948 roku. Władze brytyjskie twierdzą, że zaginęły na początku lat pięćdziesiątych.

Pozostały akta, które ukryli polscy oficerowie i po latach oddali je do Instytutu Sikorskiego. Tylko dzięki temu możliwe było odtworzenie części niezwyklej sprawy Haliny Szymańskiej i Romana Czerniawskiego.

Czy oznacza to, że nigdy nie poznamy w pełni losów tych ludzi? Wydawałoby się, że nie ma takiej możliwości. A jednak. Prawdopodobnie kopie akt polskiego wywiadu wysyłane były do Waszyngtonu. Jeżeli jest to prawdą, najbliższy czas może przynieść jeszcze wiele sensacji XX wieku.

Rozdział 14 - Marszałek Tuchaczewski

Część I

22 maja 1937 roku do gabinetu szefa organizacji partyjnej w Kujbyszewie, gdzie przebywał marszałek Michaił Tuchaczewski, weszli trzej enkawudziści. Do przodu wysunął się starszy major Papiaszew. Powiedział:

Papiaszew: Obywatelu Tuchaczewski, jesteście aresztowani.

Dwaj inni schwycili Tuchaczewskiego za ręce i wykręcili je do tyłu uniemożliwiając mu obronę. Papiaszew zerwał z munduru pagony i marszałkowskie odznaki. Wyprowadzili go z budynku tylnym wyjściem i wsadzili do samochodu. Bezwzględnie przewieziono marszałka do Moskwy.

Wszystko to, co działo się później: przesłuchanie, tortury, proces i rozstrzelanie - było wykonaniem wyroku, jaki na najwybitniejszego radzieckiego dowódcę i stratega wydał Józef Stalin.

Wielka kariera marszałka rozpoczęła się w 1914 roku. Wówczas w randze porucznika Michaił Tuchaczewski, potomek starego szlacheckiego rodu, absolwent słynnej Aleksandrowskiej Szkoły Wojskowej i żołnierz elitarnego Siemionowskiego Pułku Gwardii, wyruszył na wojnę. Walczył dzielnie, ale w 1915 roku dostał się do niewoli. Po czterokrotnych próbach zdołał uciec z niemieckiej twierdzy Ingolstadt i przez Szwajcarię powrócił do Rosji.

Po krótkim odpoczynku podjął służbę. Podobno wówczas zmienił już poglądy polityczne. Miał wystarczająco dużo powodów, aby inaczej patrzeć na armię carską. Widział nieudolność dowódców i ogromną daninę krwi, jaką Rosja płaciła za niekompetencję i głupotę generałów. Armia, źle dowodzona i źle zaopatrzona, tej wojny wygrać nie mogła. Żołnierze mieli dość czterech lat walk, życia w okopach, krwi, wszy, brudu. Jednakże car nie miał ochoty kończyć wojny. Podobnie postąpił nowy Rząd Tymczasowy, który przejął władzę po abdykacji cara w lutym 1917 roku i nie zakończył walk. To obiecali wymęczonemu społeczeństwu Lenin i bolszewicy. Dlatego wojsko poparło bolszewików.

Gdy w marcu 1918 roku nowa władza ogłosiła mobilizację wojskowych specjalistów Michaił Tuchaczewski zgłosił się do służby. Wkrótce wstąpił do partii komunistycznej. Odwaga, doświadczenie, zdolności dowódcze i partyjna legitymacja umożliwiły mu szybki awans. Były carski porucznik w wieku zaledwie 25 lat został komisarzem Moskiewskiego Rejonu Zachodniej Strefy Obronnej. Potem dowodził armiami w walkach nad Środkową Wołgą i na Syberii

Przełomowym okresem w życiu Tuchaczewskiego stała się wojna z Polską.

W kwietniu 1920 roku objął dowodzenie Frontem Zachodnim, którego armie podeszły do Warszawy.

Chciał zdobyć polską stolicę potężnym uderzeniem od północy. Na prawym skrzydle zgrupował cztery armie. Liczył, że spod Lwowa nadejdą dwie armie i uderzą na lewym skrzydle. Gdyby tak się stało, Warszawa nie mogłaby się obronić przed przeważającymi siłami wroga. Ale dwie armie nie nadeszły na czas. Zatrzymał je Stalin, który chciał użyć tych armii do zdobycia Lwowa.

To była jedna z przyczyn klęski Tuchaczewskiego pod Warszawą. I źródło konfliktu ze Stalinem.

Stalin nigdy nie zapomniał, że w 1920 roku, oskarżony o sabotowanie dyrektyw partii i rozkazów dowództwa Armii Czerwonej, musiał ustąpić ze stanowiska członka Rady Wojennej. Był mściwy. Nigdy nie wybaczał krzywd, rzeczywistych lub urojonych. Cierpliwie czekał.

Przez wiele lat nie szkodził Tuchaczewskiemu. Znał wartość tego człowieka jako doskonałego organizatora i wybitnego stratega. Wiedział również, że nie tak łatwo jest zniszczyć bohatera wojny domowej, który miał wielu wysoko postawionych przyjaciół. Czekał więc na najbardziej odpowiedni czas i na odpowiedni pretekst.

Tuchaczewski awansował. W czerwcu 1931 roku mianowano go wiceprzewodniczącym Rady Wojennej, wicekomisarzem do spraw wojskowych i morskich oraz szefem uzbrojenia armii. W 1935 roku, jako jeden z pięciu pierwszych oficerów, otrzymał stopień marszałka Związku Radzieckiego.

Budował nowoczesną Armię Czerwoną. Zmotoryzowaną, wyposażoną w czołgi, dysponującą licznymi oddziałami powietrznodesantowymi, o których mało kto słyszał na świecie. Z jego polecenia prowadzono prace nad bronią rakietową.

Jego działalności uważnie przypatrywali się Niemcy i obawiali się go. Wiedzieli, że jest wrogo do nich nastawiony ze względu na przeżycia na froncie I wojny i potem w niemieckich obozach jenieckich. Wiedzieli, że opowiadał się za sojuszem Związku Radzieckiego z Francją przeciwko Niemcom, a szacunek i uznanie ze strony generalicji francuskiej oraz osobiste znajomości ułatwiały Tuchaczewskiemu działanie na rzecz wojskowego zbliżenia obydwu państw. Mieli więc wystarczająco dużo powodów, aby planować usunięcie Tuchaczewskiego.

W tym samym czasie Józef Stalin doszedł do wniosku, że należy zniszczyć Tuchaczewskiego.

Dwie tajne służby, radziecka i niemiecka, rozpoczęły osaczenie marszałka.

Pewnego grudniowego popołudnia w 1936 roku do pokoju hotelu "Ambasador" w Berlinie przyszedł ubrany po cywilnemu Reinhard Heydrich, szef niemieckiej Służby Bezpieczeństwa, Sicherheitsdienst. Umówiony był ze swoim agentem generałem Nikołajem Skoblinem.

Były carski oficer od 1921 roku przebywał na emigracji. Do Paryża przeniósł się w 1930 roku i tam wstąpił do emigracyjnej organizacji Rosyjski Powszechny Związek Wojskowy, gdzie pełnił funkcję szefa służby informacyjnej. Na przełomie lat 1935/36 nawiązał kontakt z niemiecką tajną służbą SD. Heydrich nie miał wątpliwości, że Skoblin był również agentem wywiadu radzieckiego. W istocie od 1921 roku współpracował z radzieckim wywiadem wojskowym GRU.

Heydrichowi nie przeszkadzała świadomość podwójnej roli Skoblina. Uważał, że to nawet pożyteczne, gdyż zyskiwał możliwość poznania metod działania wroga. Ponadto mógł w najprostszy sposób podsuwać wywiadowi radzieckiemu fałszywe wiadomości.

W grudniu 1936 roku Skoblin przesłał wiadomość: "W Moskwie zawiązał się spisek przeciw

Stalinowi. Na czele spisku stoi marszałek Tuchaczewski". Heydrich wiedział, jak ważna jest to informacja. Natychmiast wezwał Skoblina na spotkanie.

12 grudnia 1936 roku w berlińskim hotelu Ambassador spotkali się Reinhard Heydrich, szef nazistowskiej służby bezpieczeństwa i generał Nikołaj Skoblin, działacz emigracyjnej organizacji antybolszewickiej i zarazem podwójny agent: niemieckiej Służby Bezpieczeństwa i radzieckiego wywiadu.

Rozmowę rozpoczął Reinhard Heydrich:

Heydrich: Wiadomość z Paryża była dla nas bardzo interesująca. Proszę mi podać bliższe szczegóły.

Skoblin: W Moskwie przygotowują zamach na Stalina. Po jego obaleniu ma być wprowadzona dyktatura wojskowa. Na czele spisku stoi marszałek Tuchaczewski.

Heydrich: Skąd ta wiadomość?

Skoblin: Jak pan zapewne wie, marszałek Tuchaczewski był w styczniu tego roku w Londynie, a następnie zatrzymał się na kilka dni w Paryżu...

Heydrich: Na siedem dni.

Skoblin: Tak, dokładnie. Londyńska część podróży marszałka jest mi nieznana, ale o pobycie w Paryżu wiem bardzo wiele.

Heydrich: Słucham dalej, panie generale.

Skoblin: Tuchaczewski rozmawiał z przedstawicielami francuskiego rządu o możliwości obalenia Stalina. Wiem, że odbył tajne rozmowy z marszałkiem Petainem, ministrem spraw zagranicznych, ministrem wojny, a także przewodniczącym Najwyższej Rady Wojennej generałem Gamelin. To naturalne, że Tuchaczewski planując utworzenie nowego rządu w Moskwie chciał poznać reakcję mocarstw zachodnich. Ponadto spotkał się generałem Jewgienijem Millerem - przywódcą Rosyjskiego Powszechnego Związku Wojskowego. Usiłując pozyskać go dla swoich planów jasno przedstawił zamiar obalenia Stalina. Z rozmowy z Millerem wynikało, że marszałek stara się zrealizować swój plan przejęcia władzy w Rosji przy współpracy z niemiecką generalicją. W tym wypadku może pan zapewne uzyskać więcej informacji z Abwehry.

Heydrich: Ma pan dowody?

Skoblin: Spiskowcy starają się nie zostawiać śladów, a tym bardziej pisemnych zobowiązań. Jak pan się zorientował, moje informacje pochodzą z pierwszej ręki i odrzucam możliwość, że mogą być nieprawdziwe. Reszta należy do pana...

Heydrich wyjął z kieszeni kopertę zawierającą plik banknotów i położył ją na stole przed Skoblinem.

Wiedział, że intryga, w której wyniku usunięto by Tuchaczewskiego i kadrę dowódczą Armii Czerwonej, wymagała akceptacji Himmlera i zapewne samego Hitlera. Po powrocie do biura Heydrich zadzwonił do swojego zwierzchnika, szefa SS Heinricha Himmlera i poprosił o natychmiastowe spotkanie w "sprawie, która może być ważna dla Niemiec".

Himmler początkowo dość sceptycznie podszedł do rewelacji Heydricha. Zapytał:

Himmler: Uważa pan, że ten... Skoblin mówi prawdę?

Heydrich: Nie wierzę mu. To mało prawdopodobne, aby Tuchaczewski w czasie pobytu w Londynie i Paryżu informował przedstawicieli rządów tamtych państw o zamiarze obalenia Stalina. Tym bardziej nie ujawnił swoich planów szefowi emigracyjnej organizacji, który nienawidzi go za przystąpienie do komunistów i który zapewne jest agentem NKWD.

Himmler: Chce pan powiedzieć, że NKWD podsunęło nam Skoblina?

Heydrich: Tak sędę. Uważam, że NKWD, bez wątpienia na rozkaz Stalina, chce się pozbyć Tuchaczewskiego i poszukuje dowodów. Oskarżenie marszałka, bohatera wojny domowej, wymaga solidnych podstaw. Jeżeli tak nie jest i rzeczywiście Tuchaczewski zaangażował się w spisek przeciwko Stalinowi, dostarczenie dowodów zdrady również jest dla nas bardzo interesujące. Usunięcie stratega tej miary działa tylko na korzyść Niemiec.

Himmler: Zgadzam się z panem. Uważam, że powinniśmy poinformować führera. Himmler i Heydrich stawili się w gabinecie Hitlera 24 grudnia 1936 roku. Pomysł intrygi spodobał się führerowi. Niemiecka Służba Bezpieczeństwa rozpoczęła tajną grę.

Reinhard Heydrich postanowił nie podejmować żadnych działań, dopóki dogłębnie nie przemyśli wszystkich kroków, a okres świąt wydawał mu się doskonałą okazją ku temu. Opracowanie planu działania zlecił Behrendsowi, szefowi sekcji wschodniej SD. 4 stycznia 1937 roku podczas narady w gabinecie Heydricha, Behrends przedstawił swój pomysł.

Behrends: Zakładamy, że Tuchaczewski przygotowywał spisek przy współpracy z naszymi generałami. Oczywiście nie mogłoby to ujść uwadze naszego wywiadu wojskowego. Abwehra gromadziłaby stenogramy podsłuchiwanym rozmów telefonicznych, raporty z bezpośredniej inwigilacji oficerów niemieckich oraz kopie przechwyconych listów. Wśród nich powinien znaleźć się list marszałka Tuchaczewskiego do jednego z naszych generałów zawierający wyraźne informacje o przygotowywanym zamachu. Oczywiście dokumenty będą miały wszystkie atrybuty sprawy urzędowej: pieczęcie, urzędowe adnotacje itp. Co więcej: sprawa, jako szczególnie ważna powinna nosić ślady osobistego zainteresowania admirała Canarisa, a może nawet...

Behrends zawahał się na moment, ale Heydrich uzupełnił jego słowa:

Heydrich: Samego Führera. To dobry pomysł i sędę, że spodoba się Führerowi, który zapewne zdecyduje się na to. Proszę dalej...

Behrends: Jeden z naszych ludzi, mający gardłową sprawę, wykradnie te dokumenty i sprzeda je Rosjanom. Osobnym problemem pozostaje sposób powiadomienia ich o możliwości zakupu tajnych dokumentów. Inaczej mówiąc: Rosjanie powinni dowiedzieć się, że mamy dowody zdrady Tuchaczewskiego z niezależnego i wiarygodnego źródła, w następstwie czego powinni zwrócić się z propozycją zakupu. To wszystko. Wszystkie planowane działania zawarłem w tej notatce.

Heydrich: Akceptuję ten plan. Obersturmführer Naujocks zajmie się sprawą wykonania tego planu.

Alfred Naujocks zabrał się do poszukiwania fałszerza, który potrafiłby po mistrzowsku podrobić podpisy oraz sfałszować listy i urzędowe adnotacje. Kolega z SD Werner Gröthe, mający dobre rozeznanie w środowisku przestępczym, wskazał Franza Putziga prowadzącego niewielką drukarnię w dzielnicy Kopenick.

Z danych zebranych przez SD wynikało, że Putzig miał 58 lat, od 1929 roku był członkiem nazistowskiej partii NSDAP, a w czasie wielkiego kryzysu nie miał pracy. Źródła jego utrzymania pozostawały nieznane. W 1935 roku ponownie uruchomił drukarnię.

Naujocks nakazał Putzigowi przenieść się do tajnych pomieszczeń Służby Bezpieczeństwa przy Prinz Albert Strasse w Berlinie i tam zabrać się do fałszowania listu Tuchaczewskiego i kilku innych dokumentów.

W tym czasie Heydrich odbył naradę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych poszukując najlepszego sposobu powiadomienia Rosjan o dowodach zdrady Tuchaczewskiego. Wszystko wskazywało na to, że pośrednikami mogą być Czesi.

Od listopada 1936 r. prowadzili negocjacje z Niemcami na temat zawarcia paktu o nieagresji. Spotkania głównych negocjatorów: czeskiego posła w Berlinie Wojtecha Mastnego i hrabiego Maximiliana Karla von Trauttmansdorffa tworzyły naturalną możliwość podsuwania Czechom informacji, na których zależało Niemcom.

Sposób, w jaki Heydrich wykorzystał tę możliwość, był majstersztykiem intrygi politycznej.

Negocjacje z Niemcami były oczkiem w głowie prezydenta Czechosłowacji Edwarda Benesza, który nerwowo reagował na wszelkie zakłócenia. Takie pojawiły się na początku 1937 r. Niemiecki negocjator hrabia von Trauttmansdorff wspomniał czeskiemu koledze, ambasadorowi Mastnemu, że w stosunkach Niemiec ze Związkiem Radzieckim pojawiły się nowe sprawy. Niewiele to znaczyło, ale doświadczony czeski polityk nie zlekceważył tej informacji. Natychmiast zawiadomił prezydenta.

W końcu stycznia Niemcy wykonali następny ruch. Zawiesili rokowania z Czechami na kilka tygodni.

Zaniepokojony Mastny zwrócił się natychmiast do hr. Trauttmansdorffa, aby uzyskać wyjaśnienia sytuacji. Ten, zastrzegając się, że przekazuje sekretne informacje, wyjawiał, iż führer oczekuje na przewrót w Moskwie, w którego wyniku zostanie usunięty Stalin, co oczywiście określi politykę Niemiec wobec Związku Radzieckiego i innych państw europejskich. Mastny nie uwierzył w to wyjaśnienie, ale nie mógł zatrzymać dla siebie tak sensacyjnej wiadomości. 9 lutego wysłał telegram do prezydenta Benesza, w którym napisał:

"Prawdziwą przyczyną decyzji kanclerza Hitlera odroczenia rozmów jest przypuszczenie oparte na określonych dowodach, które otrzymał z Rosji, że wkrótce możliwy będzie przewrót prowadzący do odsunięcia Stalina oraz ustanowienia dyktatury wojskowej".

Benesz był bardzo zaniepokojony.

Zwycięstwo spiskowców związanych z Niemcami i korzystających z ich pomocy pociągałoby za sobą ścisły sojusz nowego rządu w Moskwie i w Berlinie. Byłoby to bardzo niekorzystne dla Czechosłowacji. Benesz mógł uznać, że w interesie jego państwa leży powstrzymanie zamachowców i niedopuszczenie do usunięcia Stalina, który zdawał się być gwarantem integralności Czechosłowacji. Mógł przeszkodzić spiskowcom informując Stalina o grożącym mu niebezpieczeństwie. Musiał jednak mieć niepodważalne dowody. A te powstawały pod ręką Putziga w laboratorium SD w Berlinie.

Heydrich zdawał sobie sprawę, że sfałszowane dokumenty muszą zostać zmieszane z autentycznymi materiałami wywiadu. Jednakże szef wywiadu wojskowego adm. Wilhelm Canaris odmówił udostępnienia jakichkolwiek akt. Nie powstrzymało to Heydricha.

W nocy z 1 na 2 marca 1937 roku do archiwów Abwehry w pomieszczeniach Ministerstwa Wojny przedostały się trzy grupy włamywaczy, którzy otworzyli sejfy i wydostali z nich tajne dokumenty. Po akcji złodzieje podłożyli ogień, aby zatrzeć ślady.

9 kwietnia Putzig wykonał zadanie.

Heydrich przez wiele minut z niedowierzaniem wpatrywał się w podrobione dokumenty. Patrzył na nie pod światło, analizował przez szkło powiększające. Niepodobnieństwem było doszukanie się jakiegokolwiek błędu. List Tuchaczewskiego do anonimowego generała niemieckiego był wręcz majstersztykiem. Tuchaczewski zwierzał się w nim z planów dokonania zamachu stanu i pytał o rady. Innym mistrzowsko wykonanym dokumentem była adnotacja szefa Abwehry nakazująca przekazanie wszystkich akt Hitlerowi.

Heydrich połączył się z Himmlerem i zapowiedział, że jest już gotów do omówienia najważniejszego etapu akcji. Ujawnienia fałszywych dokumentów Rosjanom.

Himmler: Gratuluję Heydrich! Ta praca została wykonana w sposób mistrzowski.

Heydrich: Sądzę jednak, że brakuje jednego, najważniejszego elementu...

Himmler: Nie chce pan chyba powiedzieć, że führer powinien załączyć jakąś adnotację będącą odpowiedzią na notę Canarisa?

Heydrich: Uważam, że sfałszowanie podpisu führera byłoby niedopuszczalne, a jednak zestaw tych dokumentów, ich logiczny ciąg wzmacnia zwieńczenia w postaci dowodu bezpośredniego zainteresowania führera.

Himmler milczał przez chwilę. Rozwagał, czym ryzykuje stawiając się u Hitlera z propozycją złożenia podpisu na sfałszowanych dokumentach. Powiedział wreszcie:

Himmler: Ma pan rację. Zajmę się tym. Mam dla pana ważną informację. 21 kwietnia przybywa do Berlina szef czeskiej tajnej policji dr Karel Novak. Nie mam wątpliwości, że jego wizyta jest następstwem naszej akcji, która przekonała Czechów, że najwyżsi oficerowie Armii Czerwonej szykują się do obalenia Stalina i ustanowienia dyktatury wojskowej. Novak zapewne będzie chciał uzyskać dowody spisku w Moskwie. Chciałbym, aby pan wziął udział w tym spotkaniu i przekazał Novakowi niektóre z fotokopii tych dokumentów.

Heydrich: Czy nie wzbudzi to ich podejrzeń?

Himmler: Nie sądzę, Czesi są tak przekonani o istnieniu spisku, że nie będą analizować, dlaczego oddaliśmy im dowody.

Himmler nie mylił się. Novotny już na samym początku spotkania wyraził zainteresowanie dokumentami dotyczącymi współdziałania oficerów niemieckich i radzieckich w sprawie zamachu stanu. Po powrocie do Pragi przekazał odbitki prezydentowi Beneszowi zaznaczając, że ich autentyczność nie budzi najmniejszych wątpliwości. Beneszowi już takie zapewnienia nie były potrzebne. Od pierwszej chwili wierzył w prawdziwość informacji nadchodzących z Berlina. Fotokopie przywiezione przez dr Novaka były dowodem ostatecznym. Należało się tylko zastanowić, jaką drogą poinformować Stalina. Nikt w Pradze nie wiedział, jak bardzo rozgałęziony jest rzekomy spisek. Istniało niebezpieczeństwo, że informacja przekazana NKWD mogła trafić w ręce człowieka związanego z rebeliantami. Dlatego Benesz zdecydował się na drogę pośrednią. Postanowił poinformować radzieckiego posła w Pradze Aleksandrowskiego, aby ten, najlepiej zorientowany w geografii radzieckich organów władzy, wybrał najpewniejszą drogę lub dotarł bezpośrednio do Stalina.

Prawdopodobnie 7 maja 1937 roku prezydent Edward Benesz przekazał Aleksandrowskiemu list do Stalina zawierający bezpośrednie ostrzeżenie i najważniejsze dane o źródłach informacji o spisku oraz ludziach zamieszanych w działalność spiskową.

W Moskwie zaczęła działać machina NKWD.

Rozpoczęła się najważniejsza część rozgrywki, w której stawką było życie marszałka Michaiła Tuchaczewskiego i wielu najwyższych oficerów Armii Czerwonej.

Część II

Szef niemieckich tajnych służb Reinhard Heydrich wiedział, że nie może wypuścić okazji, jaka wpadła mu w ręce w grudniu 1936 roku. Wówczas jego agent, generał Skoblin, były carski oficer działający w środowisku rosyjskich emigrantów w Paryżu, poinformował go, że w Moskwie przygotowany jest zamach stanu. Skoblin twierdził, że na czele spiskowców stoi marszałek Michaił Tuchaczewski. Taka informacja dawała możliwość zniszczenia Tuchaczewskiego, którego Niemcy uważali za groźnego przeciwnika, gdyż z ogromną energią budował potęgę Armii Czerwonej.

Reinhard Heydrich przystąpił do działania.

W wigilię 1936 roku Heydrich zlecił swojemu podwładnemu Wilhelmowi Berendsowi, szefowi sekcji wschodniej Służby Bezpieczeństwa opracowanie planu działania przeciwko Tuchaczewskiemu.

4 stycznia 1937 roku podczas narady w gabinecie Heydricha Behrends przedstawił swój pomysł.

Behrends: Zakładamy, że Tuchaczewski przygotowywał spisek przy współpracy z naszymi generałami. Oczywiście nie mogłoby to ujść uwadze naszego wywiadu wojskowego. Abwehra gromadziłaby stenogramy podsłuchiwanym rozmów telefonicznych, raporty z bezpośredniej inwigilacji oficerów niemieckich oraz kopie przechwyconych listów. Wśród nich powinien znaleźć się list marszałka Tuchaczewskiego do jednego z naszych generałów, zawierający wyraźne informacje o przygotowywanym zamachu. Oczywiście dokumenty będą miały wszystkie atrybuty sprawy urzędowej: pieczęcie, urzędowe adnotacje itp. Co więcej: sprawa jako szczególnie ważna powinna nosić ślady osobistego zainteresowania admirała Canarisa, a może nawet...

Behrends zawahał się na moment, ale Heydrich uzupełnił jego słowa:

Heydrich: Samego führera. To dobry pomysł i sędzę, że spodoba się führerowi, który zapewne zdecyduje się na to. Proszę dalej.

Behrends: Jeden z naszych ludzi, mający gardłową sprawę, wykradnie te dokumenty i sprzeda je Rosjanom. Osobnym problemem pozostaje sposób powiadomienia ich o możliwości zakupu tajnych dokumentów. Inaczej mówiąc, Rosjanie powinni dowiedzieć się, że mamy dowody zdrady Tuchaczewskiego, z niezależnego i wiarygodnego źródła, w następstwie czego powinni zwrócić się z propozycją zakupu. To wszystko. Wszystkie planowane działania zawarłem w tej notatce.

Heydrich: Akceptuję ten plan. Obersturmführer Naujocks zajmie się sprawą wykonania tego planu.

Naujocks odnalazł drukarza Franza Putziga, znanego w środowisku przestępczym z nadzwyczajnych uzdolnień fałszerskich, i nakazał mu przygotowanie dokumentów. List Tuchaczewskiego do niemieckiego generała, w którym marszałek pisał o potrzebie nawiązania sojuszu niemiecko-radzieckiego po obaleniu Stalina, był majstersztykiem. Do tego dołączono sfałszowane raporty niemieckiego kontrwywiadu obserwującego niemieckich oficerów kontaktujących się z radzieckimi spiskowcami, sfałszowany list szefa wywiadu i kontrwywiadu admirała Wilhelma Canarisa do Hitlera i odpowiedź Hitlera. Jedyne ten ostatni dokument był autentyczny, gdyż Heydrich uznał, że nie uchodzi fałszować podpisu Wodza, a Hitler zgodził się wziąć udział w tej mistyfikacji.

W kwietniu 1937 roku niemiecka tajna służba przystąpiła do ostatniego etapu operacji: podsunięcia sfałszowanych dokumentów Rosjanom.

Obersturmführer Naujocks źle się czuł w marynarce, która wydawała mu się za wąska w ramionach i uwierała pod pachami. Zawsze, gdy zakładał cywilne ubranie, wydawało mu się, że wygląda jak komiwojażer. Nie lubił rozstawać się z mundurem, którego groźny wygląd, jak sądził, dodawał mu powagi.

Jednakże tego dnia, siedząc przy stoliku w kawiarni, był nawet zadowolony ze złego samopoczucia, jakie wynikało z cywilnych łańców, gdyż uważał, że to dodaje autentyzmu jego osobie. Powinien wyglądać jak oficer, który stara się ukryć swój zawód.

Kilka minut po 17.00 do stolika podszedł mężczyzna.

Hans: Nazywam się Hans. Czy mógłby mi pan podać ogień?

Naujocks wyjął zapalniczkę i podsunął ją nieznanemu. Ten, pochylając się nad stolikiem, powiedział cicho:

Hans: To nie najlepsze miejsce na nasze spotkanie. Oczekuję pana w samochodzie na rogu ulicy. Zielony opel.

Naujocks zawołał kelnera, zapłacił i wyszedł na ulicę. Tuż przy skrzyżowaniu dostrzegł zielony samochód. Gdy tylko usiadł obok kierowcy, ruszyli z miejsca.

Hans: Tu możemy wyjaśnić sobie wszystkie sprawy. Co ma pan na sprzedaż?

Naujocks: Dokumenty niezwykle interesujące dla rosyjskiej służby bezpieczeństwa.

Hans: To wiem, a konkretnie?

Naujocks: Są to wyniki śledztwa prowadzonego przez Abwehrę w sprawie kontaktów wysokich oficerów niemieckich i rosyjskich, zmierzających do obalenia Stalina i ustanowienia dyktatury wojskowej.

Hans: Jak dostał pan te dokumenty?

Naujocks: Ja ich nie dostałem. Znajdują się w Sicherheitsdienst, która na podstawie decyzji Hitlera przejęła prowadzenie śledztwa. Mam dostęp do tych dokumentów, a konkretnie - będę miał dostęp jeszcze przez dwa dni.

Hans: Za ile chce pan je sprzedać?

Naujocks: Za 50 tysięcy rubli.

Hans: To dużo, bardzo dużo...

Naujocks: Uważam, że warte są więcej. Podobnie jak moja głowa, która spadnie gdyby wyszło na jaw, w jaki sposób Rosja dowiedziała się o zdradzie swoich oficerów.

Hans: To bardzo wysoka kwota. Nie mogę sam decydować. Muszę mieć zgodę moich przełożonych.

Naujocks: Niech pan się pośpieszy. Juro w nocy minie możliwość zrobienia fotokopii tych dokumentów.

Hans: Dam panu odpowiedź rano. Spotkamy się w tym samym miejscu.

Hans przybył punktualnie. Nie przysiadł się do stolika Naujocksa, lecz przechodząc obok rzucił tylko: "Zgadzam się. Jutro tutaj", i poszedł dalej.

Następnego dnia Naujocks stawił się na spotkanie mając w teczce komplet fotografii sfalszowanych dokumentów.

Hans: Ma pan dokumenty?

Naujocks: Pan chyba żartuje. Zacznijmy od tego, czy pan ma pieniądze?

Hans: Tak.

Naujocks: Wobec tego jedźmy do hotelu "Adler". Wynająłem tam pokój.

Przeszli obok recepcji i skierowali się do pokoju na pierwszym piętrze. Naujocks zamknął drzwi na klucz. W ciągu kilkunastu minut zakończyli transakcję.

Kilka dni później zdjęcia dokumentów, wśród których znajdowała się odbitka listu Tuchaczewskiego do niemieckiego generała, dotarły na Kreml.

Długi urlop w Gagrze nad Morzem Czarnym dobiegał końca. Tuchaczewski z niepokojem myślał o powrocie do pracy. Od kilku tygodni każda nadchodząca wiadomość niosła zapowiedź niebezpieczeństwa. Wiedział, że w 1936 roku NKWD aresztowała kilku najwyższych dowódców. W więzieniu znalazł się dowódca 8. samodzielnej brygady ciężkich czołgów Dmitrij Schmidt, oskarżony o przygotowania do zabicia komisarza Klimenta Woroszyłowa, a następnie o przygotowanie buntu we własnej brygadzie. Aresztowano dowódców korpusów Witalija Primakowa, Witowta Putnę, Siemiona Turowskiego. Wszyscy byli starymi komunistami, którzy już dawno związali swoje losy z partią bolszewicką i służyli jej z pełnym oddaniem. Łączyła ich ponadto służba na froncie polskim w 1920 roku, co musiało zaniepokoić Tuchaczewskiego. Pojawiły się też inne sygnały.

W grudniu 1936 roku Stalin, przemawiając na plenum Komitetu Centralnego, wymienił nazwisko Tuchaczewskiego. Powiedział, że organy śledcze mają materiały obciążające marszałka, ale, jak stwierdził: "połapaliśmy się i towarzysz Tuchaczewski może spokojnie pracować". Oznaczało to, że aresztowani towarzysze Tuchaczewskiego obciążają go, ale póki co Stalin wierzy w jego niewinność. Jak długo będzie wierzyć?

W styczniu dotarła do Tuchaczewskiego kolejna niepokojąca wiadomość. W czasie procesu siedemnastu członków partii oskarżonych o działalność kontrewolucyjną jeden z podsądnych Karol Radek wymienił nazwisko Tuchaczewskiego. Prawdopodobnie uczynił to przypadkiem, relacjonując jakąś sytuację bez szczególnego znaczenia. Jednakże prokurator uchwycił ten ślad i wielokrotnie dopytywał o związki Tuchaczewskiego z wywrotowcami. Radek stanowczo temu zaprzeczał, ale mogło to świadczyć o tym, że broni kompana.

Następny cios przyszedł w lutym. Zmarł najbliższy jego przyjaciel Sergo Ordżonikidze, człowiek bardzo wpływowy. Samobójcza śmierć, dziwna i tajemnicza, wstrząsnęła Tuchaczewskim. Odszedł najszczerzy druh, którego poznał i z którym zaprzyjaźnił się w najtrudniejszym dla nich obu okresie walk na Zakaukaziu. Ordżonikidze był jego najsilniejszym protektorem i doradcą.

W serii tych niepokojących wydarzeń jedno pozwalało optymistycznie patrzeć w przyszłość: Tuchaczewski miał przewodniczyć grupie oficerów udających się do Wielkiej Brytanii na uroczystość koronacji króla Jerzego VI. Partia nie wysłałaby człowieka niepewnego, podejrzanego o prowadzenie działalności antyrewolucyjnej. Nie wiedział, że 21 kwietnia komisarz spraw wewnętrznych Nikołaj Jeżow wystąpił do Stalina z wnioskiem o odwołanie wyjazdu marszałka, rzekomo ze względu na zamach, jaki przygotowano na niego w Warszawie. Stalin szybko zaakceptował tę propozycję. Rozprawa z Tuchaczewskim rozpoczęła się.

Oskarżenie i skazanie tak wysokiego oficera miało umożliwić Stalinowi rozprawę z innymi. Oni stali mu na drodze do wielkości i jednowładztwa.

Stalin z podziwem obserwował, jak w Niemczech w 1934 roku Hitler rozprawił się z silną

opozycją. W ciągu kilku godzin w nocy z 29 na 30 czerwca wierne oddziały SS zamordowały prawie dwustu przeciwników führera, w tym Ernsta Röhma, stojącego na czele armii liczącej bez mała milion ludzi. Kilka miesięcy później Stalin przeniósł metody działania Hitlera na grunt radziecki.

Pretekstem stał się zamach 1 grudnia 1934 roku na szefa leningradzkiej organizacji partyjnej Siergieja Kirowa.

Nie ma wątpliwości, że zabójca działał z polecenia Stalina.

Śmierć Kirowa pozwalała przekonać władze partii i społeczeństwo, że był to wynik spisku. Tajna policja przystąpiła do ścigania rzekomych spiskowców. W Związku Radzieckim rozpoczęła się wielka czystka.

Wielka czystka przybierała gigantyczne rozmiary. Niewinni ludzie, wyrwani nagle z normalnego życia i zamknięci w więzieniu, załamywali się. Niewielu, bardzo niewielu wytrzymało noce bez snu, obawę o los najbliższych, wreszcie tortury - od bicia gumową pałką po najbardziej wyrafinowane, jakie tylko mogła wymyślić bestia ludzka. Oskarżali siebie, najbliższych, sąsiadów, znajomych z pracy. Teczki NKWD pęczniały, a samochody zwoziły do cel nowych podejrzanych.

Pierwsi ofiarami czystki padli starzy działacze partyjni. Ci, którzy gotowi byli życie oddać w walce z caratem, nie zaakceptowałyby nowego jednowładztwa Stalina. Musieli zginąć lub zniknąć w pustce Syberii, gdzie sami zakładali obozy dla przeciwników komunizmu. W równym stopniu Stalinowi zagrażali starzy wojskowi: weterani rewolucji, bohaterowie wojny domowej. Chciał, żeby odeszli jako zdrajcy, szpiegzy, ludzie, którzy oddali się na usługi wrogim mocarstwom. Wina orzeczona przez sąd miała zniszczyć ich legendę. W ten sposób Stalin chciał zrealizować kilka celów za jednym zamachem: rozbić środowiska w wojsku, w których mógł narodzić się plan obalenia go, zniszczyć starą kadre, aby stworzyć miejsce dla nowej, kształconej w stalinowskich szkołach i zastraszyć pozostałych.

Czystka w wojsku zaczęła się w 1935 roku i początkowo ograniczała się do zwalniania oficerów. Szybko jednak stała się równie zabójcza jak czystka w partii. Tuchaczewski, człowiek, który kiedyś wszedł w konflikt ze Stalinem, bohater rewolucji, oficer samodzielny i przedsiębiorczy, musiał odejść, gdyż był zagrożeniem dla Stalina. Fakt wycofania go z delegacji do Wielkiej Brytanii mówił już wszystko.

1 maja 1937 roku marszałek wszedł na trybunę honorową na Placu Czerwonym, aby razem z innymi dostojnikami przyjąć defiladę wojska i ludności cywilnej. W części zarezerwowanej dla przedstawicieli władz wojskowych nie było jeszcze nikogo. Tuchaczewski stanął z boku. Dopiero po kilku minutach przyszedł marszałek Jegorow. Przeszedł obok, nie zaszalutował, nie odezwał się ani słowem. Również wicekomisarz Gamarnik zdawał się nie dostrzegać Tuchaczewskiego. Nie przeczuwali, że wkrótce ich spotka los człowieka, od którego ostentacyjnie się odsuwali. Podobnie zachował się marszałek Budionny, co - zważywszy na nienawiść, jaką darzyli się od wielu lat - nikogo nie zdziwiło. Tuchaczewski był niebezpieczny. Przyjacielska rozmowa z nim, jakieś słowo powiedziane na ucho, a nawet wymiana uścisków dłoni nie mogła ująć uwadze wnikliwych widzów z NKWD. A może nawet samego Stalina, który na tej samej trybunie stał dwa metry wyżej i doskonale widział, jak zachowują się marszałkowie.

Tuchaczewski nie dotrwał do końca parady. Gdy tylko z Placu Czerwonego zjechały ostatnie ciężarówki z wojskiem i ruszyły równo szeregi robotników skandujących "Niech żyje towarzysz Stalin", wsadził ręce do kieszeni, zszedł po marmurowych schodach z trybuny i zmieszał się z tłumem.

Jeszcze nie wiedział, że jego wyjazd do Londynu został odwołany. Kilka dni później zadzwonił komisarz Kliment Woroszyłow.

Woroszyłow: Towarzyszu Tuchaczewski, ze względu na zamach przygotowywany na was w Warszawie w czasie drogi do Londynu zdecydowaliśmy się, w trosce o wasze bezpieczeństwo, odwołać wyjazd.

Tuchaczewski: To zaskakujące...

Woroszyłow nie miał zamiaru wdawać się w rozmowę

Woroszyłow: Informacje na temat zamachu, niebudzące żadnych wątpliwości, ma szef NKWD i oczywiście udostępni wam wszystkie dokumenty. Do widzenia.

Ostatnia nadzieja na powrót do normalności prysła w jednej chwili. Należało oczekiwać następnych ciosów, przed którymi nie mógł się uchylić. Był już osaczony.

9 maja Tuchaczewski został zwolniony ze stanowiska zastępcy komisarza spraw wojskowych i mianowany dowódcą maleńkiego Nadwożańskiego Okręgu Wojskowego.

Tego samego dnia wyjechał z żoną na daczę w Pietrowskim. Wkrótce przyjechała tam siostra Jelizawieta z mężem. Dostrzegła od razu, jak bardzo zmienił się jej brat. W ciągu kilku tygodni posiwiął, przygarbił się i postarzał. Widać było, że bardzo przeżywa sytuację, w jakiej się znalazł, a której nie potrafił zrozumieć. Jego pierwszą reakcją na wiadomość o odwołaniu ze stanowiska zastępcy komisarza było złożenie dymisji, ale nie została przyjęta. Był żołnierzem, musiał więc wykonać rozkaz i udać się do Kujbyszewa. Żona i siostra starały się go przekonać, że odesłanie do pracy w okręgu wojskowym z dala od Moskwy nic nie znaczy. Nie raz w jego życiu zdarzały się upadki, przecież nie tak dawno oddelegowano go do Leningradu, skąd powrócił na wysokie stanowisko. Tuchaczewski nie mógł się jednak pozbyć najczarniejszych myśli. Chciał działać, bronić się, ale przeciwko czemu? Nie mógł wiedzieć, że 6 maja NKWD aresztowało kombryga Michaiła Miedwidiewa, któremu wyznaczono rolę głównego świadka przeciw Tuchaczewskiemu. Trzymał się przez dwa dni, aż wreszcie, zmasakrowany przez oficera śledczego, przyznał, że Tuchaczewski stoi na czele organizacji, która postawiła sobie za cel obalić legalne władze i wprowadzić dyktaturę. To jeszcze było za mało dla udowodnienia "zdrady" Tuchaczewskiego. Wszystko pozostawało kwestią czasu. Oficerowie, którzy przebywali w więzieniach, Primakow, Putna oraz dopiero co aresztowani, mieli dostarczyć następnych dowodów winy Tuchaczewskiego.

21 maja 1937 roku Michaił Tuchaczewski wszedł do samochodu, który miał go odwieźć na dworzec. W pewnym momencie powiedział do swojego adiutanta Jewgienija Szyłowa:

Tuchaczewski: Nie wyjeżdżam na długo. Obiecano mi szybki powrót do Moskwy.

Adiutant: To bardzo dobra wiadomość, Michaiłe Nikołajewiczu. Towarzysz Woroszyłow obiecał?

Tuchaczewski: Wyżej, Żenia, wyżej. Zostawiam cię tutaj. Pilnuj gospodarstwa, żeby wszystko było w porządku, jak wrócę.

Tuchaczewski miał wszelkie powody do optymizmu. Wysłał list do Stalina. Odpowiedź nie nadchodziła przez kilka dni. Wreszcie wezwano go do sekretarza generalnego.

Stalin: Dostałem wasz list Michaiłe Nikołajewiczu, czemuście tacy zaniepokojeni wyjazdem?

Tuchaczewski: Towarzyszu Stalin, czuję, że zostałem ukarany, a nie wiem za co!

Stalin: Mówicie o rozkazie wyjazdu do Kujbyszewa? Nie zostaliście ukarani. Wiecie, w polityce są takie sytuacje, że trzeba się usunąć na pewien czas, przeczekać...

Tuchaczewski: Nie wiem, co macie na myśli, towarzyszu Stalin.

Stalin: Trzeba przeczekać, aż ucichną plotki. Środowisko w Moskwie jest niechętnie, niebezpieczne i nieszcześnie gotowe.

Stalin sugerował, że musiał wydać rozkaz wyjazdu do Kujbyszewa, gdyż wrogowie Tuchaczewskiego rozprowadzają plotki na tyle prawdopodobne, że nawet on, sekretarz generalny nie może ich lekceważyć.

Stalin: Jedźcie tam spokojni. Szybko was ściągnę z powrotem do Moskwy. No to powodzenia, towarzyszu marszałku.

Stalin nie kłamał. Chciał jak najszybciej sprowadzić Tuchaczewskiego do Moskwy. Tego wieczoru, gdy marszałek pojechał do Kujbyszewa, Stalin rozłożył na biurku dokumenty. Spokojnie i długo wpatrywał się w każdą kartkę, analizował treść oryginałów i dołączonych tłumaczeń. Były to sfalszowane dokumenty zakupione za 50 tysięcy rubli przez agenta NKWD w Berlinie.

Stalin: No, towarzyszu Tuchaczewski, obiecałem wam, że szybko wrócicie i wrócicie. Szybciej, niż myślałem.

Podniósł słuchawkę.

Stalin: Połączcie mnie z Jeżowem...

Mówił o szefie tajnej policji politycznej NKWD.

Stalin: Towarzyszu Jeżow, aresztujcie Tuchaczewskiego. Wystarczy już tej jego kreć roboty. Dowody zdrady są oczywiste.

Dzień później, 22 maja 1937 roku, do gabinetu szefa organizacji partyjnej w Kujbyszewie, gdzie przebywał marszałek Michaił Tuchaczewski, weszli trzech enkawudziści. Dowodzący nimi starszy major Papiszew powiedział: Papiszew: Obywatelu Tuchaczewski, jesteście aresztowani.

Dwaj inni schwycili go za ręce, wykręcili je do tyłu, uniemożliwiając Tuchaczewskiemu obronę. Papiszew podszedł do niego, zerwał z munduru pagony i odznaki marszałkowskie. Wyprowadzili go z budynku tylnym wyjściem i wsadzili do samochodu. Bezwzględnie przewieziono go do Moskwy. Przez kilka pierwszych dni nie protokołowano zeznań, co oznaczało, że nie przyznawał się do winy. Nie wytrzymał długo. 26 maja przyznał się do wszystkich zarzucanych zbrodni. Prawdopodobnie zmuszono go torturami. Na protokole przesłuchania z podpisem Tuchaczewskiego odkryto po latach krople krwi. Zapewne ściekała z pejcza, którym go bito.

Proces, jaki rozpoczął się 11 czerwca 1937 roku, był krótki. Zakończył się tego samego dnia. Tuchaczewski i siedmiu innych oskarżonych oficerów przyznali się do winy. Zostali skazani na śmierć przez rozstrzelanie. Następnego dnia nad ranem Tuchaczewski stanął przed plutonem egzekucyjnym na podwórzu więzienia na Łubiance.

Gdy żołnierze podnieśli broń, krzyknął:

Tuchaczewski: Nie do mnie strzelacie! Strzelacie do Armii Czerwonej!

Rozdział 15 – Mata Hari

O świcie 15 października 1917 roku do celi więzienia w St. Lonar, gdzie na pryczy spała kobieta w szarym drelichu, weszli: dyrektor więzienia, lekarz wojskowy i pastor. Dużo czasu zajęło im obudzenie więźniarki, która poprzedniego wieczora dostała silny środek nasenny. Wreszcie ocknęła się. Dyrektor więzienia wysunął się do przodu. Powiedział:

Dyrektor: Mam bardzo złą wiadomość dla pani. Prośba o ułaskawienie została przez rząd francuski odrzucona. Spoczywa na mnie szczególnie przykry obowiązek poinformowania pani, że egzekucja odbędzie się za godzinę.

Strażniczki wyprowadziły z celi kobietę i wsadziły ją do samochodu, który wnet wyruszył do lasu Vincennes.

Nazywała się Margaretha Gertuda MacLeod, z domu - Zelle. Świat znał ją jako Matę Hari. Czy zasłużyła na wyrok śmierci? Dzisiaj wiemy, że nie. Padła ofiarą gry wywiadów, której nie rozumiała ani nie potrafiła się przed nią obronić.

Miała 18 lat, gdy wyjechała z Amsterdamu, wygnana skandalem, jakim był jej romans z dyrektorem szkoły.

W Hadze odpowiedziała na prasowe ogłoszenie kapitana Rudolfa MacLeoda poszukującego towarzyszkę życia. Był od niej o 22 lata starszy i niemal całe dorosłe życie spędził w służbie wojskowej w Holenderskich Indiach Wschodnich. Spotkanie, na jakie umówili się w muzeum, przerodziło się w gorący, choć krótkotrwały związek. Po sześciu dniach zaręczyli się, a pobraли się 4 miesiące później. Wkrótce urodził im się syn, Norman John, z którym w maju 1897 roku wyjechali na Sumatrę.

Kapitan MacLeod wracał do służby, jaką pełnił od ponad 20 lat w tej holenderskiej kolonii. Margaretha urodziła tam córkę, ale ich związek rozpadał się. Okres ekscytacji egzotyczną wyspą trwał krótko, a codzienne waśnie i problemy stawały się nie do zniesienia. Jej mąż odślaniał prawdziwą naturę żołdaka i hulaki.

Kres małżeństwa nastąpił po śmierci syna. Podobno został on otruty przez opiekunkę, namówioną do zbrodni przez narzeczonego, żołnierza, który chciał się zemścić na kapitanie MacLeodzie za złe traktowanie w czasie służby

W 1901 roku wrócili do Amsterdamu. Kłótnie, sprzeczki były już codziennością. Margaretha skarżyła się, że mąż nie dawał jej pieniędzy i bił ją. Pewnego sierpniowego dnia 1902 roku zabrał córkę i odszedł. Musiała urządzić sobie życie.

Wyjechała do Paryża, aby szukać szczęścia jako modelka. Potrafiła wykorzystać urodę i wpływ na mężczyzn i przy pomocy francuskiego dyplomaty dostała się, jako orientalna tancerka, do jednego z najmodniejszych wówczas salonów Madame Kiréewski.

Tam zwrócił na nią uwagę właściciel Muzeum Sztuki Orientalnej, który zaproponował jej występy. Prawdopodobnie to on nadał jej pseudonim Mata Hari - "Oko dnia". Tak rozpoczęła się wielka kariera holenderskiej dziewczyny udającej z powodzeniem Malajkę, której taniec, często wykonywany nago lub w cielestym trykocie, zachwycał wszystkich mężczyzn, co oczywiście sprawiało, że rosły szeregi jej wpływowych i bogatych kochanków.

Występowała w Monte Carlo, Kairze, Wiedniu, Mediolanie i Berlinie. Wszędzie do drzwi jej garderoby pukali zamożni i wpływowi mężczyźni, których nie odsyłała z kwitkiem. Wśród bardzo licznych kochanków Maty Hari znaleźli się francuski ambasador w Berlinie, prefekt policji berlińskiej, a nawet szef kontrwywiadu niemieckiego. Te znajomości dawały jej pieniądze, kosztowności, łatwe życie i znaczącą pozycję w towarzyskich sferach. Miały również doprowadzić ją do zguby.

W 1910 roku gwiazda Maty Hari zaczęła świecić najpełniejszym blaskiem. Odnosiła największe triumfy, choć miała już 34 lata, jak dla tancerki - był to poważny wiek. Otrzymała angaż do słynnej La Scali. Miała nadzieję, że będzie występować w balecie Diagiliewa, z którym w marcu 1912 roku miała wyjechać do Sankt Petersburga. Nie udało się. W poszukiwaniu okazji do kontynuowania estradowej kariery pojechała do Berlina, gdzie miała występować w tamtejszym Metropolu. Był lipiec 1914 roku. Polityka, która przesądziła o jej zgubie, niespodziewanie znalazła się bardzo blisko. Nie zważała na to.

28 czerwca 1914 roku w Sarajewie zginął Arcyksiążę Franciszek Ferdynand i jego żona Zofia. To wydarzenie, tragiczne dla rodziny, ale zupełnie nic nie znaczące w skali kontynentu, okazało się katastrofalne dla historii świata. Europa w błyskawicznym tempie zaczęła staczać się ku wojnie.

W tym czasie Mata Hari przebywała w Berlinie.

Co gorsza, spotykała się tam ze swoim byłym kochankiem Alfredem Kiepertem. Przekazał jej on w pożegnalnym prezencie 100 tys. marek. Nieraz brała pieniądze od swoich kochanków i nikt nie czynił jej z tego zarzutu. Jednakże Kiepert był oficerem, służył w 2 Westfalskim Pułku Huzarów. Może więc nie o prezent chodziło.

Dalszy pobyt w Berlinie mógł być dla niej niebezpieczny, gdyż była obywatelką wrogiego państwa. Podobno władze niemieckie zarekwirowały jej futra i biżuterię. W sierpniu 1914 roku wróciła do Holandii, gdzie dała ostatni w swojej karierze występ na scenie Królewskiego Teatru w Amsterdamie. Przedstawienie zakończyło się całkowitą kląpą. Być może dlatego postanowiła wyjechać do Paryża, uważając, że tylko tam znajdzie warunki odpowiednie dla swojego talentu.

Wojna ogarniała kontynent, a wszystkie walczące strony uważały, że zakończą ją szybko.

W tej wojnie nikt nie docenił siły nowej technologii. Karabiny maszynowe dziesiątkowały atakujących, gdy tylko wyskoczyli z okopów. Pociski ciężkiej artylerii roznosiły umocnienia polowe. Każda próba przełamania frontu kończyła się hekatombami ofiar, a rozstrzygnięcie nie nadchodziło.

W końcu 1914 roku na froncie zachodnim armie niemieckie, francuskie i brytyjskie zapadły w okopach. Rozpoczęła się straszna pozycyjna wojna, której celem było wykrwawienie wroga.

Wydawałoby się, że Paryż żył normalnym życiem, nie wiedząc nic o potworności frontu. Jednakże mimo pozorów normalnego życia miasto zmieniło się. Na scenach kabaretów nie wystawiano już roznegliżowanych scenek. Nawet tam zapanował duch patriotyzmu. W

czasie, gdy na frontach ginęły tysiące francuskich chłopców, paryska publiczność nie chciała oglądać erotycznych tancerek.

Mata Hari zdawała się nie dostrzegać ani nie rozumieć tego, co dzieje się dookoła niej. Postanowiła pojechać do Paryża, ale ze względu na wojnę i front, który przecinał Francję, z Amsterdamu do Paryża można było dotrzeć jedynie okreśną drogą. Trzeba było dopłynąć do brytyjskiego portu, tam przesiąść się na statek do Hiszpanii, a dalej pociągiem dojechać do Paryża. I w taką drogę wyruszyła Mata Hari.

Mata Hari dopłynęła statkiem do brytyjskiego portu Folkestone, aby tam przesiąść się na statek zmierzający do Hiszpanii. Ze względu na wojnę wszyscy pasażerowie poddawani byli szczegółowej kontroli.

Drobne z pozoru zdarzenie miało przesądzić o dalszym losie słynnej tancerki. W porcie zwrócił na nią uwagę urzędnik imigracyjny.

Urzędnik: Czy pani podróżuje sama?

Mata Hari: Tak.

Urzędnik: Pani paszport jest zaplamiony.

Mata Hari: Och, rozlałam wino. Wieczorem statek tak kołysał.

Urzędnik: W czasie wojny, gdy brytyjscy chłopcy giną we Francji, nie należy bawić się na statku, proszę pani.

Mata Hari: To nie pana sprawa, co robię na statku. Zaraz pójmę do pana przełożonego, aby poskarżyć się na traktowanie, z jakim spotkałam się z pana strony. Gbur!

Trudno się dziwić, że zrobiła fatalne wrażenie na urzędniku imigracyjnym, który zanotował po rozmowie z nią:

Urzędnik: Wypadła bardzo niezadowolająco i nie powinna dostać zezwolenia na ponowny wjazd do Zjednoczonego Królestwa.

Gdyby nie wojna, nie zwrócono by uwagi na zatarg z urzędnikiem. Jednakże wtedy brytyjski kontrwywiad wszędzie doszukiwał się szpiegów, a samotnie podróżująca kobieta musiała budzić podejrzenia.

Notatka brytyjskiego urzędnika imigracyjnego uruchomiła wielką maszynę kontrwywiadu. Matę Hari zaczęła oplątywać się, o istnieniu której nie miała pojęcia.

Sytuacja na froncie pogarszała się z miesiąca na miesiąc. Francja składała ogromną daninę krwi.

Pod Verdun 2 lutego 1916 roku Niemcy rozpoczęli bitwę, która miała wykrawać wojska francuskie.

Tylko pierwszego dnia walk wystrzelono milion pocisków artyleryjskich.

Mijały dni zażartych walk. Przesunięcie frontu choćby o kilkaset metrów pochłaniało tysiące ofiar, a tak krwawo okupiony sukces kończył się z reguły utratą zdobyczy po kilku dniach.

Drugi rok wojny nie przynosił żadnych rozstrzygnięć. Tylko straty.

W czerwcu 1916 roku Mata Hari ponownie przybyła do Paryża. Już wtedy podążało za nią dwóch agentów francuskiego kontrwywiadu - Tarlet i Monier.

Ustalili, że słynna tancerka zakochała się w dużo młodszym i nadzwyczaj przystojnym rosyjskim arystokracie, poruczniku Vadimie Masloffie, który służył we francuskim lotnictwie i po odniesieniu rany przebywał w szpitalu w miejscowości Vittel.

Było gorące sierpniowe popołudnie 1916 roku, gdy kapitan Georges Ladoux, szef francuskiego wywiadu i kontrwywiadu, niski gruby mężczyzna z kruczoczarnymi włosami i brodą, z cygaretką tłącą się w kąciu ust, otworzył drzwi gabinetu mieszczącego się w kamienicy przy Boulevard Saint-Germain 282 w Paryżu. Stała w nich kobieta, którą znał doskonale z afiszów i zdjęć w gazetach.

Przysunęła sobie krzesło do biurka i usiadła wygodnie, opierając się o blat.

Mata Hari: Czego chcecie ode mnie? I niech pan nie udaje, że mnie pan nie zna!

Ladoux: Wiem, że chce pani jechać do Vittel i gotów jestem dać pani przepustkę.

Mata Hari: Jeżeli tak, to niech pan powie tym dwóm kapusiom, czekającym przed drzwiami, którzy przykleili się do mnie jak cienie, że w upalne dni mają pana zezwolenie na wypicie kieliszka za moje zdrowie w bistro na rogu.

Ladoux: Nie wiem, o czym pani mówi?

Mata Hari: Podążają za mną, dokąd bym się nie udała. Gdy wyjdę z hotelu, przetrząsają moje bagaże. Gdy wracam, wszystko jest do góry nogami.

Kapitan Ladoux zapał później:

Ladoux: Widząc, jak jest pewna siebie i jak panuje nad swoim zachowaniem, zacząłem się zastanawiać, czy wywiad brytyjski nie mylił się przesyłając mi informację, że Mata Hari musi być niemieckim szpiegiem.

Być może to jedno zdanie zawiera wyjaśnienie całej tajemnicy Maty Hari.

Kapitan Ladoux był przekonany, że słynna tancerka, która tak chętnie otwierała drzwi do swojej sypialni wpływowym mężczyznom, w ten sam sposób może zdobywać ważne informacje. Jednakże doświadczenie podpowiadało mu, że niemiecki wywiad wcześniej od niego doszedł do takiego wniosku i podczas pobytu Maty Hari w Berlinie zwerbował ją do współpracy. Podobno Mata Hari przyznała się do tego podczas pierwszej rozmowy. Miała powiedzieć:

Mata Hari: Teraz ta idiotyczna gra zakończyła się. Albo jestem zbyt niebezpieczna i w tym przypadku musi pan wyrzucić mnie z Francji, albo jestem małą kobietką, która chciałaby wreszcie mieć trochę spokoju.

Ladoux: Czy nie podjęłaby się pani chwalebnej służby dla Francji?

Mata Hari: Nigdy o tym nie myślałam.

Ladoux: Pani musi być bardzo kosztowna...

Mata Hari: To na pewno.

Ladoux: Jak pani sądzi, ile jest pani warta?

Mata Hari: Wiele albo nic. Szybko określiła swoją cenę. Była bardzo wysoka.

Na początku września 1916 roku Mata Hari wróciła z Vittel, gdzie spędziła kilka dni ze swoim ukochanym, rosyjskim arystokratą porucznikiem Vadimem Masloffem. Oświadczył się jej, ale na drodze do małżeństwa stanęła jego rodzina, która nie chciała słyszeć o związku z tancerką. Mata Hari wróciła do Paryża z mocnym postanowieniem zarobienia tak wielu pieniędzy, że mogliby pobrać się bez względu na sprzeciw arystokratycznej rodziny.

Dzień później, podczas spotkania z kapitanem Ladoux przedstawiła mu szaleńczą propozycję:

Mata Hari: Chcę panu zaoferować informacje od... następcy niemieckiego tronu.

Ladoux: Kronprinza Wilhelma?

Mata Hari: No cóż, nie znam go jeszcze, ale mogę poznać.

Ladoux: A jaką cenę wyznaczyłaby pani za dotarcie do Kronprinza?

Mata Hari: Milion franków!

Ladoux: To dużo! Bardzo dużo! Gotów jednak jestem ponieść to ryzyko. Dla mojej ciekawości: jak pani ma zamiar dotrzeć tak wysoko?

Mata Hari: Muszę odnowić znajomość z generałem Moritzem Ferdinandem von Bissingiem...

Ladoux: Mówi pani o dowódcy wojsk niemieckich okupujących Belgię?

Mata Hari: Tak, przy jego pomocy zostanę przedstawiona na niemieckim dworze.

Ladoux: Zna pani generała von Bissinga?

Mata Hari: Jeszcze nie, ale przedstawi mnie mój bardzo dobry znajomy, Karl Kramer, niemiecki konsul w Amsterdamie. Jest przyjacielem generała von Bissinga.

Kapitan Ladoux był przekonany, że Mata Hari jest niemieckim szpiegiem. Nie miał jednak żadnego dowodu, na podstawie którego mógłby ją aresztować. Dlatego przystał na jej pomysł, gdyż był przekonany, że Mata Hari w pogoni za milionem franków chętnie nawiąże lub odnowi współpracę z niemieckim wywiadem. Wówczas zdobyłby dowody i mógłby ją posłać na szafot. Byłby to piękny sukces kapitana Ladoux i jego agentów.

Na froncie straszna, trwająca pół roku bitwa pod Verdun nie przyniosła rozstrzygnięcia, na które liczyło niemieckie dowództwo. Straty po obydwu stronach były olbrzymie. Zginęło pół miliona żołnierzy. Koniec wojny wciąż wydawał się bardzo odległy. Na początku 1917 roku wojsko zaczęło się burzyć. W armii francuskiej odnotowano 250 przypadków zbiorowych buntów. W wielu fabrykach rozpoczęły się strajki i protesty robotników. Rząd oskarżał szpiegów o sianie zamętu i nadrywanie morale wojska.

Mata Hari zabrała się do wypełniania swojego planu z zapałem kobiety zakochanej, gotowej poświęcić wszystko dla uratowania miłości i szansy na poślubienie rosyjskiego arystokraty. Nie zwróciła uwagi na poważny sygnał ostrzegawczy.

W czasie kolejnej podróży z Paryża do Amsterdamu przez Wielką Brytanię została aresztowana przez brytyjski kontrwywiad jako Klara Bendix, niemiecka agentka. Ciekawe, do dzisiaj nikt nic na temat Klary Bendix nie wie. Prawdopodobnie nigdy nie istniała, a tę postać wymyślił kontrwywiad brytyjski, aby mieć pretekst do zatrzymania Maty Hari i wyciągnięcia od niej jak najwięcej informacji o jej kochankach.

Gdy Mata Hari zorientowała się, że grozi jej oskarżenie o szpiegostwo, wyjawiała, że pracuje dla kapitana Ladoux, który tego nie potwierdził. Nie zwróciła na to uwagi może dlatego, że Brytyjczycy wkrótce ją zwolnili i zezwolili na dalszą podróż do Madrytu. Tam zabrała się energicznie do wypełniania planu dotarcia do następcy niemieckiego tronu. Uznała, że pomocni w tym jej będą urzędnicy tamtejszej ambasady niemieckiej: Hans von Khale i Hans von Krohn.

W tym samym czasie francuska stacja nasłuchowa na wieży Eiffela zaczęła odbierać niemieckie radiogramy nadawane z Madrytu do Berlina, utajnione za pomocą szyfru, złamanego już przez Francuzów. Informowano o agencie "H21". Czyżby tym agentem była Mata Hari?

Pierwsza depesza brzmiała:

Głos: Agent H21 właśnie przybył do Madrytu. Udało mu się podjąć pracę we francuskim wywiadzie, ale został odesłany przez Brytyjczyków. Pyta o instrukcje i pieniądze. Przekazał informacje o ruchach francuskich jednostek oraz że pewien francuski polityk X utrzymuje bliskie stosunki z zagraniczną księżniczką.

Ta depesza jednoznacznie wskazywała na Matę Hari, a takich radiogramów Francuzi przechwycili znacznie więcej. Co ciekawe: tylko informacje o agencie "H21" Niemcy przesyłali z Madrytu utajniając je szyfrem, który Francuzi znali. Wyglądało tak, jakby niemieckiemu wywiadowi zależało na tym, aby francuski kontrwywiad poznał treść szyfrogramów i dowiedział się o ich agencie? Czy tym kryptonimem oznaczono Matę Hari? Nie było na to żadnego dowodu, choć informacje podawane przez Niemców rzeczywiście wskazywały na tancerkę.

13 lutego 1917 roku Mata Hari, wkrótce po powrocie z Madrytu do Paryża, została aresztowana. Jednakże dowody, jakie zebrano przeciwko niej, były nadzwyczaj słabe: niemieckie depesze z Madrytu i buteleczka z sympatycznym atramentem, znaleziona podczas rewizji wśród jej kosmetyków. Mata Hari tłumaczyła, że podejrzana buteleczka zawierała środek antykoncepcyjny. Przypadek mógł sprawić, że substancja mogła z powodzeniem służyć do utajniania pisma. Niewidzialnym atramentem może być wiele cieczy: mleko, sok z cytryny, a nawet mocz. Sędzia śledczy nie miał żadnych poważniejszych dowodów. Do czasu, aż dostarczyła ich sama Mata Hari.

W kwietniu, po dwóch miesiącach śledztwa, zażądała widzenia z sędzią.

Mata Hari: Chce złożyć zeznanie. W 1916 roku w Hadze odwiedził mnie Karl Kramer, Niemiec, oferując 20 tys. marek za zdobywanie wiadomości dla niemieckiego wywiadu. Wręczył mi również buteleczkę z sympatycznym atramentem, za pomocą którego miałam sporządzać szpiegowskie meldunki.

Przyjęłam pieniądze, gdyż traktowałam je jako rekompensatę za futra i biżuterię skonfiskowaną przez rząd niemiecki w 1914 roku. Przysięgam, że nigdy nie wywiązałam się z tego zobowiązania, a buteleczkę z atramentem szybko wyrzuciłam.

To przyznanie przesądziło o losie Maty Hari.

Dlaczego tak postąpiła? Dla kobiety przywykłej do luksusu i przyjmowania wyrazów uwielbienia pobyt w strasznym XIX-wiecznym więzieniu dla prostytutek musiał być koszmarem. Załamała się, czego dowodzą jej listy pisane do przyjaciół. Nikt nie odpowiadał na listy. Nikt jej nie odwiedzał. Nie można wykluczyć, że sędzia śledczy sprytnie wykorzystał jej załamanie i skłonił do przyznania się. Mógł łatwo oszukać ją szansą zwolnienia lub chociażby poprawienia warunków.

Przewieziono ją do więzienia sąsiadującego z gmachem Pałacu Sprawiedliwości w Paryżu. Tam 24 lipca 1917 roku rozpoczął się proces, który trwał tylko jeden dzień.

W tamtym czasie, gdy na froncie co dzień ginęły tysiące młodych mężczyzn, ludzkie życie niewiele było warte.

Margaretha Gertuda MacLeod została skazana na śmierć przez rozstrzelanie.

W zimny październikowy poranek, stojąc przed plutonem egzekucyjnym w lesie Vincennes, nie pozwoliła zawiązać sobie oczu. Ucałowała zakonnicę, która podeszła do niej, a potem posłała całusa dwunastu żołnierzom, gdy unosili karabiny...

Po jej ciało nie zgłosił się nikt z rodziny ani żaden z kochanków. Przewieziono je do akademii medycznej, gdzie miało służyć do nauki anatomii.

Rozdział 16 – Los bohatera

W niedzielny poranek 12 sierpnia 1945 roku na Placu Czerwonym zebrał się 20-tysięczny tłum. Moskwianie witali generała Dwighta Eisenhowera, głównodowodzącego wojskami alianckimi, które przeszły od Normandii do Łaby.

Generał szedł wzdłuż szpaleru ludzi machających do niego przyjaźnie i uśmiechał się nieśmiało. Obok niego stapał ambasador Averell Harriman, a pół kroku z tyłu szedł marszałek Geоргij Żukow, któremu przypadła rola gospodarza podczas pobytu amerykańskiego dowódcy w Związku Radzieckim.

Gdy weszli na podwyższenie tuż obok głównej trybuny na Placu Czerwonym, podszedł do nich oficer, który zwrócił się do Eisenhowera:

Oficer: Generalissimus Stalin zaprasza pana na główną trybunę. Generalissimus powiedział, że jeżeli zechciałby pan przyjść, to zaprasza również dwóch pana towarzyszy.

Ambasador Harriman szepnął do Eisenhowera: "Nigdy w historii Związku Radzieckiego nie zapraszano obcokrajowca na główną trybunę na Placu Czerwonym".

Po kilku minutach stanęli obok Stalina, który serdecznie powitał amerykańskich gości i ruchem ręki przywołał Żukowa trzymającego się kilka kroków z tyłu.

Eisenhower zanotował później w pamiętniku: "Marszałek Żukow był wielkim faworytem Generalissimusa. Był włączony do każdej rozmowy, którą prowadziłem ze Stalinem, a obydwaj zwracali się do siebie w sposób zażyły i serdeczny. Było to dla mnie bardzo sympatyczne ze względu na wiarę jaką pokładałem w przyjaźni i współpracy z marszałkiem Żukowem."

Eisenhower wyciągał bardzo błędne wnioski. Do głowy mu nie przychodziło, że dni radzieckiego marszałka są już policzone. Stalin postanowił usunąć go, choć wydawałoby się to nieprawdopodobne.

Geоргij Żukow stał przy nim wiernie od pierwszych dni wojny. Był szefem Sztabu Generalnego, gdy w czerwcu 1941 roku Niemcy uderzyli na Związek Radziecki. Dowodził obroną Moskwy, gdy wydawało się, że stolica lada dzień znajdzie się w rękach niemieckich. Zaplanował kontrofensywę, w wyniku której wrogie wojska zostały odrzucone na zachód. Stalin wysyłał go na najtrudniejsze odcinki frontu: do Leningradu, pod Stalingrad, Kursk. Armie Żukowa zdobyły Berlin. Tam przyjął kapitulację wojsk niemieckich, a szczególną nagrodą było wyznaczenie go na stanowisko dowódcy radzieckich wojsk okupacyjnych w Niemczech.

Dlaczego więc Stalin chciałby usunąć legendarnego dowódcę i wiernego oficera?

Stalin bał się ludzi, którzy zdobyli ogromną popularność w społeczeństwie i wielkie uznanie w wojsku. A mając za sobą naród i wojsko mogli zagrozić jego władzy.

Ponadto Żukow uraził Stalina. Było to na posiedzeniu Biura Politycznego partii komunistycznej 24 maja 1945 roku. Stalin, upojony zwycięstwem, zdał najwyższemu dowódcy pytanie, co sądzą o nadaniu mu stopnia generalissimusa. Żukow nie zastanawiał

się długo nad odpowiedzią.

Żukow: Powinniśmy pamiętać, że tytuł generalissimusa noszą tak odrażające indywidua jak Franco i Czang Kai-szek.

Żukow popełnił niewybaczalny błąd: dotknął dyktatora do żywego. Stalin nigdy nie zapominał zniewag. Mógł odłożyć zemstę na rok albo dziesięć lat, ale zawsze do niej powracał.

Stalin podejrzliwie patrzył na marszałka Gieorgija Żukowa. Bał się popularności i uznania, jakie ten legendarny dowódca miał w wojsku i społeczeństwie. Tym bardziej, że coraz częściej dochodziły go informacje, iż marszałek uważa się za zwycięzcę II wojny, skupia dookoła siebie oddanych oficerów i zabiega o popularność na Zachodzie.

Stalin postanowił porozmawiać o Żukowie z Ławrentijem Berią, ministrem bezpieczeństwa państwowego.

Stalin: Ławrentij, wyrasta nam nowy przywódca Związku Radzieckiego. Żdanow, Bułganin i paru jeszcze innych towarzyszy powiada, że marszałek Żukow poczuł się w Berlinie bardzo pewnie.

Beria: To prawda, Koba. Prawda. Moi ludzie informują o zbyt częstych kontaktach Żukowa z Eisenhowerem.

Stalin: Ostatnio widzieli się 7 listopada na przyjęciu w z okazji święta rewolucji.

Beria: Otrzymałem pełny raport w tej sprawie.

Beria podał Stalinowi stenogram rozmowy, jaką w saloniku ambasady radzieckiej w Berlinie prowadzili Żukow, któremu towarzyszyła żona, i Eisenhower. Był to oczywiście zapis podsłuchu.

Stalin przez kilka minut w milczeniu studiował stenogram.

Stalin: A to łajdak. Kuty na cztery nogi. Komunizmem się zaślania...

Beria wiedział, czego dotyczyła ta uwaga. Żukow przekonywał Eisenhowera, że kapitalizm odwołuje się do egoizmu człowieka, zaś komunizm stara się wyrobić w obywatelu poświęcenie dla narodu kompleksu, którego jest częścią. Przy tym nie wspomniał o Stalinie i nie zganił Eisenhowera, gdy ten wyraził potępienie dla wszystkich systemów umożliwiających rozwój dyktatury.

Stalin: Myśli, że jest obrońcą Związku Radzieckiego. Jak przywołać go do porządku?

Beria: Trzeba dać ludziom do zrozumienia, że Żukow już nie korzysta z twojego poparcia. To powinno wystarczyć. Resztę zostaw mnie.

Stalin: Tak, trzeba zwołać naradę najwyższych dowódców, aby przedstawić nasze wątpliwości co do szczerości działań Żukowa. Gdy towarzysze przekonają się, że Żukow

utracił zaufanie i poparcie kierownictwa partii, nie będzie większych kłopotów z pozbyciem się go.

Stalin chciał zastosować metodę, którą sprawdził w latach trzydziestych, gdy rozprawiał się z dowództwem Armii Czerwonej. Wtedy popadnięcie w niełaskę któregoś z najwyższych oficerów tworzyło dookoła niego próżnię. Odsuwali się najbliżsi współpracownicy i przyjaciele. Osamotnionego łatwiej było złamać, zmusić do przyznania się do wymyślonych zarzutów, co umożliwiało skazanie go na śmierć.

Nie mylił się: najwyżsi oficerowie zebrani w gabinecie Stalina w milczeniu wysłuchali słów dyktatora, który o swoim najwierniejszym dowódcy mówił, że przypisuje sobie wszystkie zwycięstwa i w oczywisty sposób obniża rolę Naczelnego Dowództwa.

Potem zabierali głos: jeden po drugim potwierdzali zarzuty Stalina i występowali, mniej lub bardziej ostro, przeciwko Żukowowi. Dyktator słuchając wystąpień tych ludzi był zadowolony. Nie zawiedli go. Oddawali mu najlepszego ze swojego grona, nie wiedząc, że gdy spadnie jego głowa, bardzo szybko Stalin zażąda ich życia.

Żukowa na tym zebraniu nie było, ale wieści szybko dotarły do jego kwatery w Berlinie.

Tielegin: Gieorgij, niedobre wiadomości z Moskwy.

Żukow: Co znowu?

Tielegin: Wczoraj na Kremlu odbyła się narada najwyższych dowódców.

Żukow: Nie sądzę, żeby było tam coś ważnego, skoro nie zaprosił mnie.

Tielegin: No właśnie. Stalin otworzył posiedzenie mówiąc o tobie, że sobie przypisujesz wszystkie zwycięstwa.

Żukow: Bzdura!

Tielegin: Mnie tego nie tłumacz. Podobno wszyscy, którzy brali udział w tej naradzie, byli tego zdania.

Żukow: To jakieś nieporozumienie. Wyjaśnię to w czasie najbliższej rozmowy ze Stalinem.

Tielegin: Gieorgij, nie lekceważ tego ostrzeżenia. Jest też druga wiadomość, sądzę, że w bezpośrednim związku z pierwszą: za kilka dni przyjeżdża do Berlina Abakumow.

Żukow: Zastępca Berii, Wiktor Abakumow?

Tielegin: Tak.

Żukow: Meldujcie mi o wszystkich ruchach Abakumowa, a teraz wybacz, muszę trochę popracować.

Generał Tielegin skinął głową i szybko wyszedł z gabinetu. Wiedział, że Żukow chciał pozostać sam, aby przemyśleć sytuację. Nie było cienia wątpliwości, że narada w Moskwie i

przyjazd Abakumowa wiąże się bezpośrednio i zapewne chodziło o zebranie dowodów obciążających Żukowa. Nie mylił się.

Generał Wiktor Abakumow, najbliższy współpracownik Ławrentija Berii, był groźnym wrogiem i Żukow zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział również, że Abakumow przybył do Berlina, aby zebrać dowody przeciwko niemu. Nie miał jednak zamiaru poddawać się. Kazał obserwować Abakumowa.

Nie czekał długo. Już drugiego dnia pobytu w Berlinie Abakumow kazał aresztować sześciu oficerów.

Tielegin wzburzony położył przed Żukowem listę aresztowanych. **Tielegin:** Ci ludzie zostali dzisiaj rano aresztowani przez Abakumowa. Czy ty coś o tym wiesz?

Żukow nie odpowiedział. Sięgnął po słuchawkę telefonu.

Żukow: Dyżurny, weźmiesz dwóch żołnierzy i pojedziesz do kwatery generała Abakumowa. Powiesz, że ma przyjechać do mnie i przyjedziesz z nim do mnie! Zrozumieliście?! Tielegin patrzył na tę scenę ze zdumieniem. Dawno już nie widział tak wściekłego Żukowa. Tymczasem patrol dotarł do kwatery Abakumowa. Trzej żołnierze zastukali do drzwi pokoju generała i nie czekając na pozwolenie weszli.

Żołnierz: Towarzyszu generale, marszałek Żukow oczekuje was. A krótko mówiąc, mam rozkaz dowieźć was. Sami pójdziecie, czy mam wykonać rozkaz?

Abakumow patrzył zdziwiony na zwalistego lejtnanta, który trzymał rękę na otwartej kaburze pistoletu. Jego mina mówiła wszystko: przy próbie odmowy wyjmie pistolet i dzieli rękojęścią w głowę. Zarzucił bez słowa płaszcz i skierował się do wyjścia.

Gdy wszedł do gabinetu Żukowa opuściła go pewność, z jaką przybył do Berlina. Spotkanie ze starym frontowcem, bohaterem II wojny oneśmieliło go.

Żukow: Aresztowaliście sześciu moich oficerów. Zwolnicie ich natychmiast czy mam was odesłać pod strażą do Moskwy?

Abakumow: Towarzyszu marszałku, aresztowaliśmy ludzi podejrzanych o współpracę z wrogiem. Takie było polecenie towarzysza Berii.

Żukow: Natychmiast czy pod strażą do Moskwy?! Na froncie kazałbym was rozstrzelać. Zrozumiano!?

Abakumow wiedział, że Żukow nie zwykł żartować i jakakolwiek próba oporu może go drogo kosztować. Natychmiast nakazał zwolnić aresztowanych. Wychodząc z gabinetu zatrzymał się na moment i spojrzął w stronę Żukowa. Chciał powiedzieć: jeszcze się spotkamy, ale widząc minę marszałka przestraszył się, że jakakolwiek uwaga może mieć dla niego fatalne następstwa.

Beria szalał po wysłuchaniu raportu Abakumowa. Stawił się natychmiast u Stalina:

Beria: Żukow przegonił Abakumowa!

Stalin (ze śmiechem): Jak widzisz Ławrentij, moi oficerowie to nie byle kto, a nad swoimi powinienesz trochę popracować.

Beria: Koba, on czuje się zbyt pewnie.

Stalin: Nie, to my popełniliśmy błąd. Nie doceniliśmy Żukowa, a poparcie, jakie udzielili nam najwyżsi dowódcy na grudniowej naradzie może być funta kłaków warte.

Beria: Znajdę dowody przeciwko niemu. Nie wymknie się.

Stalin: Posłuchaj Ławrentij, wczoraj rozmawiałem z moim Wasilijem...

Stalin mówił o swoim synu, który mimo młodego wieku miał już stopień generała-majora lotnictwa.

Stalin: Powiedział, że jakość naszego sprzętu lotniczego jest dużo niższa od amerykańskiego czy brytyjskiego.

Beria: To doświadczony lotnik. W czasie wojny latał na samolotach dostarczanych przez sojuszników, wie co mówi.

Stalin: No właśnie. Jeżeli, mimo tak dużej wagi, jaką przykładamy do produkcji lotniczej, ciągle powstają złe modele, to znaczy, że rozplenił się tam sabotaż. Wróg przeniknął i tutaj...

To były straszne słowa, zapowiadające śmierć wielu niewinnych ludzi. Stalin przystępował do nowej czystki. Zamierzał rozpętać wielką kampanię podejrzeń i oskarżeń o zdradę i sabotaż. Tak jak zrobił w 1937 roku, gdy rozprawiał się ze starymi komunistami i Armią Czerwoną.

Pierwszą ofiarą Stalina, który w końcu 1945 roku przystępował do nowych czystek padł zastępca dowódcy sił powietrznych marszałek lotnictwa Siergiej Chudiakow. Aresztowano go 14 grudnia 1945 r. W ciągu kilku następnych miesięcy w więzieniu znalazło się całe dowództwo lotnictwa wojskowego.

Najważniejsi aresztowani byli przesłuchiwanymi osobiście przez Wiktora Abakumowa.

Dowódca lotnictwa marszałek Aleksandr Nowikow nie wytrzymał tortur i zeznał, że Żukow skupił wokół siebie grupę niezadowolonych oficerów.

Inni aresztowani, poddani torturom zeznawali, że Żukow współpracował z aliantami zachodnimi. W ten sposób Beria i Stalin zebrali dowody, na podstawie których mogli oskarżyć Żukowa o zdradę i przygotowanie spisku.

W marcowy wieczór 1946 roku Stalin zadzwonił do Żukowa: **Stalin:** Rząd Stanów Zjednoczonych odwołał z Niemiec Eisenhowera, pozostawiając na jego miejscu generała Claya. Rząd brytyjski odwołał marszałka Montgomery'ego. Czy i wy nie powinniście powrócić do Moskwy?

Żukow: Zgoda. Jeśli chodzi o mojego następcę, to proponuję wyznaczyć na dowódcę grupy wojsk oraz głównego komendanta radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech generała Sokołowskiego. On najlepiej ze wszystkich jest zaznajomiony z pracą Sojuszniczej Rady Kontroli i dobrze zna własne wojska.

Stalin: Dobrze. Zastanowimy się nad tym. Proszę czekać na wskazówki.

Po kilku dniach Żukow otrzymał rozkaz powrotu do Moskwy, gdzie miał objąć stanowisko dowódcy wojsk lądowych. Nie miał więc powodu do niepokoju.

W kwietniu 1946 roku wraz z rodziną był już w Moskwie.

Mijały miesiące i nic złego się nie działo. Aż do pewnego czerwcowego wieczora.

Żukow przebywał wówczas w swoim domu letniskowym w Sosnowce pod Moskwą, gdy przyjechali do niego trzech mężczyzn. Weszli do domu.

Głos: Marszałek Żukow? Jesteśmy z ministerstwa bezpieczeństwa. Mamy nakaz przeprowadzenia rewizji.

Żukow: Tak, synu. Masz nakaz. To pokaż go. Ciekawym, kto podpisał.

Głos: Pokażemy we właściwym czasie. Zaczynamy, Boria.

Żukow powoli podszedł do ściany i zdjął sztucer wiszący pod olbrzymimi szablami dzika, którego upolował zeszłego lata. Przeładował broń i podniósł do góry. Ze sposobu, jaki to zrobił wynikało, że następną czynnością będzie naciśnięcie spustu. Mężczyźni, widząc, że nie ma żartów, gwałtownie rzucili się do drzwi. Słychać było szybkie kroki i po chwili zobaczył ich przez okno, jak zamienili kilka słów z trzecim mężczyzną, który pozostał przy samochodzie, wsiedli do auta i odjechali.

Żukow nie wiedział, czy była to prowokacja czy też próba zastraszenia go, choć bez wątpienia za wizytą trzech funkcjonariuszy stał Abakumow.

Georgij Żukow, wielki dowódca rzucający do boju całe armie, wielbiony przez żołnierzy, witany kwiatami przez tłumy w oswobodzonych miastach, decydujący o życiu i śmierci swoich żołnierzy, stał przy oknie daczy wiedząc, co przyniesie mu los.

Stalin przystępował do następnej rundy. Zwołał zebranie członków Biura Politycznego i najwyższych dowódców Armii Radzieckiej.

Ostro, nie przebierając w słowach zaatakował Żukowa. Przytoczył zarzuty oparte na zeznaniach torturowanych ludzi: jakoby Żukow wypowiadał się przeciwko rządowi, pomniejszał znaczenie Naczelnego Dowództwa i podważał jego autorytet, a w oficjalnych wypowiedziach, zwłaszcza dla prasy zagranicznej wywyższał swoją rolę w zwycięstwie nad faszysmem.

Takie były zarzuty Stalina.

Na mównicę wszedł generał Siergiej Sztienienko, człowiek Berii.

Odczytał materiały zebrane przez NKWD, opierające się na zeznaniach marsz. Aleksandra Nowikowa, które, miały być dowodem, że Żukow przygotowywał zamach stanu.

Potem występowali członkowie Biura Politycznego: Beria Mołotow, Malenkov, Kaganowicz. Jednogłośnie oskarżali i potępiali Żukowa.

Stalinowi brakowało już tylko głosu wojskowych.

Pierwszy wystąpił gen. Fiodor Golikow. Jednakże jego argumenty nie miały żadnej siły, gdyż wiadano, że nienawidzi Żukowa, który w 1943 r. pozbawił go (całkowicie słusznie) dowództwa Frontu Briańskiego. Potrzebny był ktoś mający większy autorytet. Wybór padł na marszałka Iwana Koniewa.

Koniew zaczął tak, jak Stalin sobie życzył: skrytykował Żukowa za oschłość w stosunkach międzyludzkich, samolubność, nietolerancyjność, ale na tym krytyka się skończyła. W pewnym momencie Koniew zaczął mówić o Żukowie jako wybitnym dowódcy, uczciwym człowieku, oddanym partii i ojczyźnie.

Potem wstawali inni: marszałkowie Sokołowski, Wasilewski, Rokossowski, marszałek wojsk pancernych Rybałko. Wojenni bohaterowie. Żaden nie odważył się oskarżyć Żukowa. Wiedzieli, że jeżeli oddadzą Żukowa w ręce oprawców Berii, wkrótce na nich przyjdzie kolej.

Stalin stracił argumenty, które pozwoliłyby mu nakazać aresztowanie Żukowa. Nie mógł zrobić nic innego jak tylko powiedzieć do marszałka:

Stalin: Przyjdzie wam na pewien czas opuścić Moskwę.

9 czerwca 1946 roku marszałek Żukow został wysłany do Odessy na stanowisko dowódcy tamtejszego okręgu wojskowego. Ocalił życie. Tylko czy na długo? Stalin nie zrezygnował tak szybko, a generał Abakumow nie zapomniał upokorzenia, jakie spotkało go w Berlinie.

> Strażnicy wprowadzili generała Kriukowa do gabinetu, gdzie za biurkiem siedział generał Abakumow zajęty przeglądaniem papierów. Trwało to przez kilka minut.

Kriukow rozejrzał się po pokoju, w którym wielokrotnie go przesłuchiowano. Ale dopiero w tym momencie uzmysłowił sobie, dlaczego na ścianie wisiało duże lustro. Patrzył na swoje odbicie i wydawało mu się, że widzi obcego człowieka: starca z siwymi włosami, ziemistą cerą, podkrążonymi oczami. A więc po to je tutaj powiesili: żeby badany mógł widzieć jak się zmienia, jak opuszczają go siły. To był dodatkowy chwyt, aby złamać podejrzanego.

Abakumow: No siadajcie. Oj, bili.

Kriukow: Bili. Jeden siadał na nogach, drugi na ramionach i grzmocili gumową pałką. Złamali mi nos, wybili zęby.

Abakumow: To dranie, ukarzę drani. Ale..., wiecie generale, ukarzę jednych, przyjdą drudzy. Będą rozszoszczeni, że przez was ukarano kolegów. Przecież wy macie 52 lata. Piękną żonę. Chcecie, żeby Lidia Rusłanowa zęby straciła?

Abakumow wyjął z teczki na biurku zdjęcie żony Kriukowa i położył tak, aby aresztowany mógł je zobaczyć.

Abakumow: Siedzi w celi niedaleko was, oczywiście w żeńskim oddziale. Piękna kobieta. Pomyślcie, generale: nos jej złamię, zęby wybiją. Brutali jest dużo.

Kriukow: Czego ode mnie chcecie?

Abakumow: A widzicie, obywatelu generale, zaczynamy rozmawiać. No to powiedzcie w jaki to sposób w waszym mieszkaniu znalazły się 123 obrazy. Wszystkie opisane: 2 obrazy Rublowa, jeden Chagalla, jeden Chranacha i tak dalej, i tak dalej. To niezły majątek. A 700 000 rubli? Dużo. Skąd to wszystko macie?

Kriukow nie odzywał się. Wiedział, że przyznanie oznaczać będzie wyrok.

Abakumow: Generale Kriukow, was już nic gorszego spotkać nie może, ale żony szkoda. Dostaniecie wyrok, czy chcecie czy nie, ale po co kazać cierpieć kobiecie. Mam w ręku wystarczająco dużo dowodów przeciwko wam i waszej żonie, żeby was wsadzić na długie lata. Możecie skrócić wyrok, jeśli powiecie wszystko o waszych wspólnikach. Skąd to macie?

Kriukow: Z Niemiec.

Abakumow: No widzicie. Zaczynamy wreszcie rozmawiać. Mówcie, w jaki sposób dostaliście w Niemczech 123 obrazy mistrzów. Obywatele wam dali w podzięcie za obalenie Hitlera?

Kriukow: Od generała Tielegina...

Abakumow: Ot, ciekawe! Od Tielegina, mówicie. Zastępcy marszałka Żukowa. Kiedy dostaliście?

Kriukow: Moja żona była na występach w Niemczech dla naszych wojsk. To znaczy śpiewała patriotyczne pieśni. Wszystkim to się bardzo podobało. Marszałek Żukow nawet dał jej order. Często w naszym towarzystwie był generał Tielegin. Pewnego dnia, był już mocno pijany, zaproponował, żeby moje żona zabrała dużą przesyłkę do Moskwy. Powiedział, że skoro zwykle wozi dużo skrzyń z ubraniami i rekwizytami i takiej gwiazdy to nikt nie będzie sprawdzał. Tym bardziej, że z nią podróżuje mąż-generał. Zgodziliśmy się.

Abakumow: Co to było?

Kriukow: Bizuteria i obrazy.

Abakumow: Co jeszcze wysłał Tielegin?

Kriukow: Wiem, że wysłał pociąg złożony z 25 wagonów. Nie wiem, do kogo należały dobra przewożone w tych wagonach. Tielegin twierdził, że są to dary dla Tatarska.

Abakumow: Podpiszcie zeznania.

Abakumow był wyraźnie zadowolony. Uzyskał dowody przeciwko najbliższemu współpracownikowi Żukowa, generałowi Tieleginowi, który został aresztowany 24 stycznia 1948 roku.

Śledztwo w jego sprawie ciągnęło się do września 1951 r., gdy został skazany na 25 lat pozbawienia wolności. W grypsie przemyconym z łagru pisał:

Tielegin: Śledczy żądali ode mnie zeznań o "spisku", którym jakoby kierowali Żukow, Sierow i ja. 26 lutego 1948 r. zostałem pospiesznie przerzucony z wewnętrznego więzienia NKWD do lefortowskiego i tego dnia byłem dwukrotnie potwornie, ze zwierzęcym okrucieństwem, pobity gumowymi pałkami przez śledczych Sokołowa i Samarina. Katusze te trwały codziennie do 4 marca 1948 r. Jedynym moim pragnieniem i błaganiami wobec katów było, aby mnie najszybciej zabili, kończąc moje męki.

Żukow wiedział, że jego wrogowie gromadzą dowody. Każdego ranka, gdy wychodził do pracy, miał przy sobie niewielką walizkę. W niej było bielizna i przybory toaletowe. Obawiał się, że w każdej chwili może być zabrany do więzienia.

Serce nie wytrzymało stałego napięcia. Na początku 1948 r. dostał zawału. Jednakże aresztowanie nie nastąpiło. Do dzisiaj nie wyjaśniono, dlaczego Stalin zrezygnował z planu zamordowania marszałka. Może przesądziło o tym pamiętne zebranie, gdy najwyżsi oficerowie nie wsparli jego oskarżeń. Może dlatego, że sytuacja na świecie uległa gwałtownej zmianie. 26 czerwca 1950 r. w Korei wybuchła wojna i niebezpieczeństwo, że przerodzi się w konflikt globalny, było bardzo duże. Stary marszałek, który swą wartość wykazał w najbardziej przełomowych momentach II wojny, stał się znowu potrzebny. Objął stanowisko zastępcy ministra obrony.

Czy Stalin zrezygnował z planu usunięcia Żukowa? Zapewne po zakończeniu wojny podjąłby swoją akcję. Nie zdążył. Zmarł w marcu 1953 roku. A marszałek Gieorgij Żukow zemścił się na Berii, osobiście go aresztując.

Rozdział 17 – Tajemnica śmierci Adolfa Hitlera

Część I

Co stało się w bunkrze, 17 metrów pod powierzchnią ogrodu Kancelarii Rzeszy, gdzie 30 kwietnia 1945 roku mieli umrzeć Adolf Hitler i jego żona Ewa Braun. Przez ponad pół wieku, jakie minęły od tamtego czasu uważaliśmy, że ci ludzie, popełnili samobójstwo. Dziś wiemy, że prawda może być całkowicie inna. Szokująca...

20 kwietnia 1945 roku, Adolf Hitler w dzień swoich 56. urodzin wyszedł z bunkra, który od kilku miesięcy był jego domem. Na dziedzińcu zebrali się młodzi żołnierze z Volkssturmu. Przybyli z życzeniami dla wodza. Szedł wzdłuż szeregu, w płaszczu z podniesionym kołnierzem, zgarbiony, lekko powłóczęc nogą. Zatrzymał się przy 17-letnim Erwinie Scheidewigu, który miał rękę na temblaku

Hitler: Już jesteś ranny, mój chłopcze?

Potem poklepał po twarzy 16-letniego Willego Hübnera.

Hitler: Dzielny, dzielny mój kochany chłopiec.

Odwrócił się do szefa niemieckiej młodzieży Artura Axmanna i cicho powiedział:

Hitler: Oni pozostali mi wierni. Młodość nie zna zdrady, jaką obserwuję dookoła, na każdym kroku...

Zdjęcia filmowe, jakie wówczas nakręcono, ostatnie pokazujące Hitlera żywego, pokazują, jak fatalny był stan psychiczny i fizyczny Wodza.

Szkliste, zażawione oczy, silnie zaczerwienione z braku snu, trzęsąca się prawa ręka - ślad kontuzji odniesionej w zamachu 20 lipca 1944 roku - lekki niedowład nogi. Taki był Hitler w ostatnich dniach kwietnia.

Dość powszechne były podejrzenia, że cierpiał na zaburzenia psychiczne będące następstwem choroby wenerycznej, jaką miał zarazić się w czasach młodości, gdy żył w przytułkach Monachium. To nieprawda. Rutynowe badania krwi przeprowadzone 5 stycznia 1940 roku, których zapis zachował się do dzisiaj, dały wynik ujemny, zaś lekarze, którzy badali Hitlera, zdecydowanie wykluczają taką możliwość.

Bez wątplenia był uzależniony od leków. Trzy razy dziennie połykał 10 różnych pigułek, co pół godziny zakraplał oczy atropiną, co - jak twierdził - poprawiało wzrok, oraz używał preparatów stymulujących aktywność, opartych na amfetaminie.

Blizsze prawdy wydaje się podejrzenie, że cierpiał na chorobę Parkinsona. Stan jego zdrowia zdaje się wskazywać na to, że nie mógł zdecydować się na ucieczkę z bunkra. Niebezpieczeństwo, że zostanie schwytyany, było zbyt duże.

Czy jednak Hitler nie wymknął się ze schronu, tego z całą pewnością stwierdzić nie można.

Co działo się w bunkrze Kancelarii Rzeszy w krytycznym okresie między 20 a 30 kwietnia 1945 roku?

Wojska radzieckie, które 16 kwietnia rozpoczęły uderzenie z nad Odry i Nysy Łużyckiej podeszły do przedmieść Berlina. Niebezpieczeństwo, że miasto lada dzień zostanie całkowicie odcięte było coraz bardziej realne i Hitler zdawał sobie z tego sprawę. W dniu swoich urodzin, 20 kwietnia o 21.30 zebrał w swoim gabinecie najbliższych współpracowników. Zwrócił się do swoich dwóch sekretarek, Johanny Wolf i Christy Schroeder:

Hitler: Przez ostatnie 4 dni sytuacja zmieniła się na gorsze.

Okoliczności zmuszają mnie do podzielenia personelu na grupy, a ponieważ wy, drogie panie, należycie do starszych stażem pracowników, wyjedźcie z pierwszą grupą. Za godzinę wyruszy samolot na południe. Każda z was może zabrać po dwie walizki z rzeczami, Martin Bormann udzieli wam dalszych wskazówek

Christa: Mein Führer, chciałabym pozostać w Berlinie. Niech na południe jedzie Johana, on ma rodzinę w Monachium.

Hitler: Nie! Zamierzam na południu utworzyć ruch oporu i obie panie będziecie mi tam potrzebne.

Gestem dał znać, że nie życzy sobie dalszej dyskusji na ten temat. Dodał tylko:

Hitler: Wkrótce się zobaczymy, za kilka dni wyjadę i ja.

Wtedy Hitler zamierzał wydostać się z Berlina i dojechać do swojej rezydencji w Obersalzbergu w Alpach. Rozmowa z sekretarkami jednoznacznie na to wskazuje.

Kilka godzin później na południe odleciało z Berlina 80 osób z najbliższego tocznia Hitlera. Każda miała określone zadanie sprowadzające się do przygotowania obrony Alp Bawarskich, gdzie miała powstać niezwyciężona reduta. Jednakże Hitler szybko zmienił zdanie. Gdy zadzwonił feldmarszałek Wilhelm Keitel, aby namówić Hitlera do opuszczenia miasta, führer powiedział:

Hitler: Zamierzam bronić Berlina aż do tragicznego końca. Albo zachowam dowodzenie w stolicy, pod warunkiem, że generał Wenck zdoła zatrzymać Amerykanów i odrzuci ich ku Łabie, albo zginę z wiernymi mi żołnierzami, walcząc za naszą stolicę - symbol Rzeszy.

Wszystkie rozmowy, jakie prowadził, wszystkie relacje zdają się wskazywać, że zrezygnował z ucieczki z bunkra i postanowił tam zginąć. To zrozumiałe i oczywiste.

Hitler - twórca nazizmu; przywódca, na którego rozkaz zginęły miliony ludzi w podbijanych państwach i miliony jego rodaków. On nie mógł wymykać się jak szczur, ryzykując, że zostanie schwytany i osądzony.

Hitler martwy mógł nazizmowi służyć - jako męczennik, który poniósł bohaterską śmierć w ruinach miasta, które zamierzał uczynić stolicą świata.

Sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę. Armia Czerwona, która do zdobycia Berlina przeznaczyła ponad dwa i pół miliona żołnierzy, 6 500 czołgów i dwa tysiące samolotów miała tak ogromną przewagę nad słabymi, zdemoralizowanymi, pozbawionymi odpowiedniej ilości broni i amunicji wojskami niemieckimi, że zwycięstwo było tylko kwestią czasu. Niedługo czasu.

Nad ranem 21 kwietnia pociski artyleryjskie zaczęły wybuchać w centrum miasta. Szybko ustalono, że ostrzał prowadzi bateria oddalona zaledwie o 12 kilometrów. Wróg był już tak blisko.

Każdy następny dzień potwierdzał, że zguba jest nieuchronna i że nie można liczyć na odsiecz jednostek, które znajdowały się poza miastem.

29 kwietnia o 2.00 w nocy Hitler podyktował testament. Pisał:

Hitler: W czasie mych lat walki uważałem, że nie mogę przyjąć na siebie obowiązków, jakie wynikają z małżeństwa. Dzisiaj, przed śmiercią, postanowiłem pojąć za żonę kobietę, która po wielu latach wiernej przyjaźni dobrowolnie przybyła do tego oblężonego miasta, aby podzielić mój los. Umrze wraz ze mną z własnej woli jako moja żona.

Pisał o Ewie Braun. Poznał ją w 1923 roku, w pracowni swojego fotografa Heinricha Hoffmana, u którego pracowała jako laborantka. Miała wówczas 17 lat.

Przez wiele lat utrzymywał ten związek w absolutnej tajemnicy. Ewa Braun mieszkała w górskiej rezydencji w Obersalzbergu, którą zarządzała siostra Hitlera - Paula. Nigdy nie przyjeżdżała do Berlina, dopiero 15 kwietnia 1945 roku przyjechała do bunkra pod Kancelarią Rzeszy i nie zgodziła się opuścić tego miejsca.

29 kwietnia na ranem urzędnik partyjny Walter Wagner, który tuż potem zginął na ulicy Berlina, udzielił ślubu Hitlerowi i Ewie Braun. Kilka godzin po uroczystości do bunkra przybył generał Karl Weidling, dowódca obrony Berlina.

Weidling: Mein Führer, sytuacja staje się krytyczna. Rosjanie podeszli do Saarlandstrasse i Wilhelmstrasse. Ich czołgi są już na wysokości Ministerstwa Lotnictwa. Ciężkie walki toczą się na stacji Poczdamskiej, ale nie wytrzymamy długo, gdyż skończyły się pancerfausty.

Ten meldunek oznaczał, że radzieccy żołnierze znaleźli się już w bezpośrednim sąsiedztwie bunkra. Hitler wstał z krzesła i ruszył do drzwi pozostawiając zakłopotanego generała. Ten usiłował zatrzymać Hitlera:

Weidling: Mein Führer, co ma robić wojsko po wyczerpaniu amunicji?

Hitler: Pańscy żołnierze będą musieli wymykać się z okrażenia małymi grupkami...

Los mieszkańców bunkra pod Kancelarią Rzeszy był już przesądzony.

Panowały tam okropne warunki. Podziemna budowla nie została wykończona. Brakowało wielu urządzeń niezbędnych do funkcjonowania schronu ukrytego 17 metrów pod

powierzchnią gruntu. Było duszno, gdyż aparaty tłoczące powietrze miały za małą wydajność. Wszędzie panowała straszna wilgoć, której przyczyną był świeży beton, oraz roznosił się nieznośny odór zapychającej się i często wylewającej kanalizacji. Na dodatek bunkier praktycznie nie miał łączności ze światem zewnętrznym, gdyż jedyna centrala telefoniczna Siemens była za słaba i Hitler musiał polegać na gońcach, z których wielu nie docierało do miejsca przeznaczenia.

30 kwietnia zadzwonił dowódca obrony Berlina generał Weidling.

Wiedling: Mein Führer, stacja kolejowa Schlesicher, odbita przez nas nad ranem, została ponownie zajęta przez Rosjan. Umocnili oni swoje pozycje wokół Kancelarii Rzeszy. Obawiam się, że jutro, 1 maja, przystąpią do ostatecznego szturmu. Czy pan mnie słyszy? Mein Führer, czy pan mnie słyszy?

Hitler nie odpowiadał. Odłożył słuchawkę. Zrozumiał, że już dłużej nie może czekać. Żołnierze radzieccy mogli lada godzina wdrzeć się na teren Kancelarii Rzeszy, a zdobycie bunkra nie było trudne.

Tuż po obiedzie Hitler wyszedł na chwilę ze swojego gabinetu. Przy nim była Ewa Braun. Czekają na nich kilka osób: Martin Bormann - sekretarz Hitlera, Joseph Goebbels - minister propagandy, sekretarki. Nie było Magdy Goebbels. Ona zdecydowała się już zabić swoich sześciorgo dzieci i świadomość zbliżającej się zbrodni paraliżowała ją, nakazywała pozostać w samotności. Ale nie na długo.

Hitler uściśnął wszystkim dłonie. Miał wówczas powiedzieć do swojego adiutanta Otto Günschego:

Hitler: Nie chcę, aby po śmierci moje ciało zostało wystawione w rosyjskim panoptikum. Bez względu na okoliczności to nie może się zdarzyć!

Potem wszedł do swojego gabinetu za pancernymi drzwiami. W pewnym momencie do sekretariatu wbiegła Magda Goebbels. Kamerdyner Heinz Linge nie zatrzymał jej. Zapewne wiedział, że od wielu lat była zakochana w Hitlerze, i chciał, aby go pożegnała. Wyszła z gabinetu po kilku minutach i wróciła do swojego pokoju.

W sekretariacie prawdopodobnie byli:
Heinz Linge - kamerdyner Hitlera
Otto Günsche - adiutant
Artur Axmann - szef niemieckiej młodzieży
Martin Bormann - sekretarz Hitlera
Joseph Goebbels - minister propagandy
Wilhelm Burgdorf - generał.

Czy usłyszeli strzał?

W 1945 roku Linge i Kempka zeznali, że przez zamknięte drzwi gabinetu usłyszeli strzał.

Artur Axmann temu zaprzecza. Twierdził, że stał najbliżej drzwi i że strzał nie padł.

To bardzo prawdopodobne. Do pokoju Hitlera prowadziły pancerne podwójne drzwi,

zamykane bardzo szczelnie. Z zewnątrz bunkra dobiegały wybuchy pocisków. Usłyszenie huku pistoletowego wystrzału wydaje się wręcz niemożliwe.

Kto pierwszy wszedł do pokoju? Według oficjalnej wersji był to Linge. Przez kilka minut był tam sam. Później zeznał:

Linge: Gdy wszedłem do gabinetu, dym prochowy i silny zapach cyjanku szczypały mnie w oczy. Nie wytrzymałem nerwowo i wycofałem się stamtąd. Po chwili wróciłem. Razem ze mną wszedł Bormann, a także Günsche, Goebbels i Axmann. Hitler i Ewa Braun siedzieli na sofie. Z prawej skroni Hitlera ciekła strużka krwi. Jego pistolet walter 7.65 leżał na podłodze u jego stóp. Ewa Braun, z podkulonymi nogami, leżała bezwładnie. Przez dwie minuty patrzyliśmy na tę scenę. To było straszne...

Ta relacja stała się historią. Nie było powodów, aby w nią nie wierzyć. Wydawało się oczywiste, że Hitler popełnił samobójstwo, a wierna Ewa Braun poszła w jego ślady.

Taką wersję znaleźliśmy i wierzyliśmy w nią przez ponad pół wieku.

Dzisiaj znamy już fakty, które każą podważyć relację Heinza Lingego. Ujawniono bowiem zdjęcia gabinetu i sypialni Hitlera, a także relacje, które każą zakwestionować zeznania świadków.

Na zdjęciu sofa, na której Hitler i Ewa Braun mieli popełnić samobójstwo, widać ścianę, przy której sofa stała. Nie ma tam śladów krwi, które musiałyby pozostać, gdyby Hitler strzelił sobie w głowę z pistoletu kalibru 7,65 mm. Plamy krwi zachowały się natomiast na poręczy i wskazują, że płynęła z rozciętego nadgarstka. Ślady krwi znaleziono również na brzegu łóżka Adolfa Hitlera w jego sypialni przylegającej do gabinetu.

Dlaczego więc ludzie, którzy byli w bezpośrednim sąsiedztwie pokoju, w którym Hitler i Ewa Braun mieli popełnić samobójstwo - kłamali? Można to wytłumaczyć...

Czy Adolf Hitler zginął w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy, czy też wydostał się stamtąd żywy? Wszystko wskazuje, że zginął. Ale jak? Dzisiaj znamy już wystarczająco wiele faktów, które pozwalają zakwestionować dotychczasową wersję podaną przez ludzi z najbliższego otoczenia Hitlera.

Z 44 osób, które były w bunkrze 30 kwietnia 1945 roku, gdy Hitler miał popełnić samobójstwo, 19 dostało się do radzieckiej niewoli. Wśród nich znaleźli się ci, którzy byli w najbliższym otoczeniu Hitlera w czasie jego domniemanej śmierci. Zostali oni na ponad dziesięć lat zamknięci w radzieckim obozie jenieckim. Wrócili do Niemiec dopiero w październiku 1955 roku. Składali całkowicie sprzeczne zeznania, a w dodatku później je odwoływali. Na przykład Hans Baur, pilot Hitlera, zeznał tak:

Baur: Führer spojrział mi smutno w oczy, potrząsnął ręką, powiedział "żegnaj" i zastrzelił się. Ewa Braun zastrzeliła się w tym samym czasie. Nie pozostałem tam dłużej i nie wiem, co stało się z ciałami.

Tak więc Baur stwierdził, że Ewa Braun zastrzeliła się. Ale kilka dni później odwołał swoje słowa.

Baur: Moje oświadczenie zostało opacznie zrozumiane.

Co w tych trzech zdaniach można było "opacznie zrozumieć"? Tymczasem Linge stwierdził, że Baur nie wyjechał przed pogrzebaniem zwłok, lecz był wówczas w bunkrze.

Linge: Pamiętam dobrze, że Hans Baur był obecny przy spaleniu zwłok. Dopiero później opuścił bunkier.

Takich sprzecznych zeznań było znacznie więcej. Pamiętajmy: świadkowie byli w radzieckim obozie przez ponad 10 lat. To wystarczająco długi czas, aby zatrzeć w ich umysłach obraz wydarzeń i wprowadzić nowy.

Skoro świadkowie nie chcą lub nie mogą odtworzyć wydarzeń, to nic prostszego niż odwołać się do protokołów, badań przedmiotów znalezionych w bunkrze, zdjęć. Okazuje się jednak, że jest to równie trudne.

Przede wszystkim nie ma pewności, czy odnaleziono zwłoki Hitlera i jego żony Ewy Braun.

2 maja 1945 roku o 9.00 na teren ogrodu Kancelarii Rzeszy weszło dwanaście radzieckich sanitariuszek. Prawdopodobnie zmyliły drogę w ruinach Berlina. Na ich spotkanie wyszedł z bunkra ostatni człowiek, który tam pozostał: Johannes Hentschel, hydraulik. Sanitariuszki wzięły przerażonego Niemca do niewoli.

Wkrótce na teren Kancelarii wkroczyli żołnierze specjalnego oddziału kontrwywiadu. Ich dowódca, pułkownik Iwan Klimienko, otrzymał polecenie ustalenia, co stało się z Hitlerem i przeszukania pomieszczeń. Zanim uciły walki, urządził swoją kwaterę w więzieniu Plötzensee, dokąd kazał zwozić wszystkich ludzi, którzy mogli cokolwiek wiedzieć o losie Hitlera. Wśród nich znalazł się wiceadmirał Hans-Erich Voss. On często widywał się z führerem, więc łatwo mógł go rozpoznać.

W ogrodzie kancelarii Rzeszy, który był zasłany gruzem, odłamkami szkła, połamanymi meblami, zryty głębokimi lejami, jakie pozostały po wybuchach bomb i pocisków artyleryjskich, trudno było cokolwiek znaleźć. Jednakże szybko dostrzeżono zwęglone zwłoki Josepha Goebbelsa i jego żony oraz ich sześciorga dzieci, które, zabite wcześniej trucizną, nie zostały spalone.

Klimienko szukał zwłok Hitlera. Idący obok niego wiceadmirał Voss nagle krzyknął:

Voss: Tam jest ciało Hitlera!

Wskazywał na zwłoki mężczyzny w na dnie basenu, w którym nie było wody. Nikt nie miał wątpliwości, że jest to Hitler: wąsik, charakterystyczna grzywka, czarna marynarka z plakietką na wewnętrznej kieszeni: Adolf Hitler. Jednakże po pewnym czasie admirał Voss zaczął się zastanawiać. Na stopach trupa były pocerowane skarpetki. Hitler znany był z pedantyzmu i schludności. Bez wątpienia nie mógł założyć takich skarpetek. Wreszcie Voss oznajmił:

Voss: To nie jest Hitler.

Miał rację. To nie były zwłoki Hitlera, lecz jego sobowtóra, Gustawa Welera, który został zabity strzałem w głowę.

Jego los jest dość tajemniczy. Nie był oficjalnym sobowtorem zatrudnionym w celu zastępowania Führera wtedy, gdy obecność Wodza nie była konieczna lub gdy zagrażało mu niebezpieczeństwo. Weler o rysach identycznych jak Hitler chciał jeszcze bardziej upodobnić się do uwielbianego Wodza, zapuścił więc wąsik i czesał się z charakterystyczną grzywką. Z tego powodu miał podobno wiele kłopotów, gdyż nachodziło go Gestapo żądając, aby zmienił wygląd.

W jaki sposób znalazł się w bunkrze? Nie wspominają o nim żadne dokumenty ani świadkowie! Dlaczego go zastrzelono? Jak to się stało, że miał na sobie marynarkę Hitlera? Czyżby umyślnie podrzucono zwłoki tego człowieka, aby przerwać poszukiwanie prawdziwych zwłok lub zakończyć pościg za Hitlerem?

Na żadne z tych pytań nie ma odpowiedzi.

Czy Iwan Klimienko nie zadał sobie tych pytań? Kazał pogrzebać zwłoki Welera, zamiast poddać je badaniom. Wyjaśniłyby one wiele wątpliwości, co mogło mieć kapitalne znaczenie w poszukiwaniach Hitlera i odtworzeniu historii ostatnich dni.

Tuż potem szeregowiec Iwan Czuriakow zsunął się do dużego leja, obok wyjścia z bunkra.

Głos: Towarzyszu pułkowniku, wystają stąd jakieś nogi.

Z leja wyciągnięto zwęglone zwłoki. Klimienko, który podobno nie podejrzewał, że mogą to być zwłoki Hitlera i jego żony, kazał zawinąć je w koc i pogrzebać.

Dopiero następnego dnia schwytano szefa ochrony bunkra, który stwierdził, że zwłoki Hitlera i jego żony zostały spalone i pogrzebane w leju po bombie, a więc tam, gdzie znalazł je szeregowy Czuriakow. Natychmiast odkopano zwęglone szczątki i... na wiele lat wszelki słuch o nich zaginął.

4 maja 1945 roku generał Barabanow, szef służb medycznych Pierwszego Frontu Białoruskiego, którego armie zdobyły Berlin, wezwał dr Fausta Szkarawskiego, anatomopatologa i nakazał mu natychmiastowe udanie się do Berlina. Tam, prawdopodobnie 8 maja, Szkarawski dokonał sekcji zwłok znalezionych w pobliżu bunkra Kancelarii Rzeszy. Protokoły sekcji zwłok uznanych za zwłoki Hitlera, oraz metody jej przeprowadzenia ujawniono bez mała ćwierć wieku później, bo w 1968 roku. Protokoły sekcji drugiej osoby, uważanej za Ewę Braun jeszcze dłużej pozostały ściśle strzeżoną tajemnicą radzieckich archiwów. Ujawniono je dopiero po rozpadzie Związku Radzieckiego w 1994 roku.

Dlaczego śmierć Adolfa Hitlera i jego żony otoczono tak wielką tajemnicą? Co kryły protokoły, skoro tak długo nie ujawniano ich treści?

Część II

30 kwietnia 1945 roku w bunkrze ukrytym 17 metrów pod ogrodem Kancelarii Rzeszy w Berlinie rozegrały się wydarzenia, które na wiele dziesięcioleci zostały objęte tajemnicą. Zналиśmy fałszywą historię. Dopiero dzisiaj, ponad pół wieku później, możemy podjąć próbę

wyjaśnienia tego, co stało się w berlińskim bunkrze.

Tego dnia wieczorem Adolf Hitler pożegnał się ze swoimi współpracownikami. Działo się to w sekretariacie, z którego pancerne drzwi prowadziły do gabinetu, niewielkiego pomieszczenia, gdzie jedynymi sprzętami były: biurko, niewielka sofa, stolik i dwa krzesła. Drugie drzwi prowadziły do sypialni, w której stało drewniane łóżko, nocna szafka i szafa na ubrania.

Heinz Linge, kamerdyner Hitlera, stanął przed drzwiami gabinetu. Gdy usłyszał strzał, odczekał chwilę i wszedł tam. Zeznał później:

Linge: Gdy wszedłem do gabinetu, dym prochowy i silny zapach cyjanku szczypały mnie w oczy. Nie wytrzymałem nerwowo i wycofałem się z pokoju. Po chwili wróciłem. Razem ze mną wszedł Bormann, a także Günsche, Goebbels i Axmann. Hitler i Ewa Braun siedzieli na sofie. Z prawej skroni Hitlera ciekła strużka krwi. Jego pistolet walther 7.65 leżał na podłodze u jego stóp. Ewa Braun z podkulonymi nogami leżała bezwładnie. Przez dwie minuty patrzyliśmy na tę scenę. To było straszne...

Z ludzi, których wymienił Linge jako naocznych świadków dramatu w berlińskim bunkrze, Goebbels popełnił samobójstwo, Martin Bormann zaginał. Przeżyli tylko Otto Günsche i Linge - trafili do radzieckiej niewoli, z której wrócili po 10 latach. Artur Axmann został aresztowany w grudniu 1945 roku i osadzony w alianckim więzieniu. Ich zeznania były całkowicie sprzeczne, aczkolwiek dawano wiarę Lingemu, który zeznał, że Hitler strzelił sobie w skroń, a Ewa Braun zażyła truciznę.

Aż pojawiły się dowody, które kazały zakwestionować to zeznanie.

Na ujawnionych przez Rosjan zdjęciach gabinetu Hitlera widać sofę, na której Hitler i Ewa Braun mieli popełnić samobójstwo. Zastanawiające jest to, że na ścianie za sofą nie ma śladów krwi. Musiałyby tam być, gdyby Hitler strzelił sobie w skroń. Za to ślady krwi są na poręczu i na brzegu łóżka w sypialni Hitlera. Nie wspominał o nich żaden ze świadków.

To nie wszystko.

W Państwowym Archiwum w Moskwie znajduje się fragment czaszki Hitlera z otworem po kuli w części czołowej, co wskazywałoby, że Führer strzelił sobie w usta lub w podbródek. W żadnym wypadku nie w skroń, jak zeznawał Linge. Czaszka jest bardzo zniszczona przez ogień i nie sposób stwierdzić, czy jest to otwór wlotowy czy wylotowy. Inaczej mówiąc, czy pocisk wyleciał tamtędy, gdy Hitler strzelił sobie w usta lub podbródek, czy też ktoś strzelił do niego z góry.

Co więcej, eksperci badający zwłoki Hitlera znaleźli w jamie ustnej kawałki szkła ampułki i ślady trucizny w organach wewnętrznych. Było oczywiste, że Hitler zażył cyjanek, ale kształt odłamków szkła wskazywał jednoznacznie, że zostało rozkruszone, a nie przegryzione.

Możliwe jest, że sam Hitler rozkruszył ampułkę i połknął truciznę. Cyjanek działa w ciągu trzech sekund. Gdyby tak było, nie miałby czasu sięgnąć po pistolet, włożyć lufy w usta i pociągnąć za spust.

Bardzo prawdopodobna staje się inna wersja wypadków w bunkrze.

28 kwietnia, dwa dni przed śmiercią, Hitler postanowił wypróbować truciznę, którą otrzymał od lekarza SS Stumpfeggera. Sprowadzono jego ulubioną sukę, Blondi, owczarka alzackiego. Rozwarto jej szczęki, rozkruszono ampulkę i wsypano truciznę do pyska. Wydała krótki skowyt i zdechła. Hitler uzyskał pewność, że cyjanek działa. Czy jednak zadziałała trucizna, którą zażył 30 kwietnia? A jeżeli nie, to czy ktoś nie dobił Hitlera?

Czy zabójcą mógł być wierny kamerdyner Heinz Linge?

Był pierwszym, który wszedł do gabinetu. Nie można wykluczyć, że Hitler jeszcze żył. Leżał na podłodze. Był tak słaby, że nie potrafił unieść ręki z pistoletem, przyłożyć do skroni i pociągnąć za spust.

Hitler: Trucizna... nie zadziałała... Pomóż mi! Musisz mi pomóc...

To był rozkaz Führera. Linge wyjął z jego ręki pistolet i strzelił z góry w głowę. Następnie przeniósł zwłoki i posadził je na kanapie przy ścianie, pozorując samobójstwo. Później wrócił do gabinetu z innymi.

A co się działo z Ewą Braun? Prawdopodobnie w ogóle jej tam nie było.

Co przemawia za takim rozwojem wypadków?

Hitler brał bardzo dużo leków, zwłaszcza w ostatnim okresie wojny, gdy nie potrafił poradzić sobie z ogromnym napięciem, w jakim żył od lat. Jest prawdopodobne, że niektóre z leków mogły osłabić działanie trucizny.

A może stchórzył i nie miał tyle odwagi, aby popełnić samobójstwo. Linge dobił go.

Równie prawdopodobna jest inna wersja wypadków:

Tego dnia rano jak co dzień odbyła się narada w pokoju konferencyjnym lub gabinecie Hitlera.

Hitler: Czy są informacje o armii Wencka?

Weidling: Mein Führer, czołówki Wencka ugrzęzły na południe od jeziora Schwielow. Z tego powodu 12. armia nie może kontynuować natarcia na Berlin...

Hitler: Bzdura! Wszyscy jesteście zdrajcami. Oszukujecie mnie! Każę was rozstrzelać! Wszystkich. Tak jak tę tłustą świnię Göringa! I tego łotra Himmlera. Zwycięstwo musi nadejść! Ja sam zwyciężę!

Wybuch wściekłości stał się sygnałem dla ludzi, którzy stali obok Hitlera. Linge i Bormann schwycili go za ręce. Kempka rozgniół na stoliku ampulkę z trucizną i wsypał Hitlerowi do ust. Po chwili, gdy Hitler znieruchomiał na podłodze, Linge strzelił do niego z pistoletu, pozorując samobójstwo.

Czy taka hipoteza nie jest zbyt fantastyczna?

Nie możemy wykluczyć, że Hitler utracił kontakt z rzeczywistością. Odmawiał ucieczki z bunkra i popełnienia samobójstwa, wierząc, że wkrótce nadejdą z odsieczą armie, które już nie istniały. Ludzie z najbliższego otoczenia doskonale rozumieli, że odsiecz nie będzie, a lada moment do bunkra wedrą się czerwonoarmiści. Ich Wódz zostanie schwytyany przez komunistów i postawiony przed sądem.

Z Hitlerem skazanym na śmierć i idącym na szafot zginęłaby idea nazizmu. Gdyby umarł honorową śmiercią, stałby się męczennikiem dla następnych pokoleń nazistów.

Zabili go.

A potem kamerdyner Heinz Linge wyniósł z gabinetu ciało Hitlera zawinięte w koc. Na korytarzu oddał je dwóm oficerom SS, którzy ponieśli je dalej w stronę zapasowego wyjścia z bunkra. Do gabinetu wszedł Martin Bormann i podobno zabrał ciało Ewy Braun. W pewnym momencie przejął je Erich Kempka, kierowca Hitlera, który wiedział, że Ewa Braun nienawidziła Bormanna. Dzisiaj wiemy z całą pewnością, że była to mistyfikacja. Esesman niósł ciało innej kobiety, ubranej w niebieską sukienkę Ewy Braun.

Ten pogrzeb miał się odbyć w całkowitej tajemnicy, dlatego zadbano, aby w korytarzach nie było nikogo, a jednak dwaj ludzie obserwowali, co działo się dalej.

Erich Mansfeld miał służbę w gmachu Kancelarii Rzeszy. W pewnym momencie podszedł do okna, aby odetchnąć świeżym powietrzem.

Mansfeld: Zauważyłem, jak z zapasowego wyjścia z bunkra wyszło kilku esesmanów niosących dwa ciała owinięte w koce. Złożyli je blisko wyjścia, oblali benzyną z kanistrów i podpalili. W pewnym momencie ostrzał artyleryjski zmusił ludzi stojących dookoła płonących zwłok do schronienia się w bunkrze. Wróciłem do okna wieczorem i w świetle rosyjskich flar zauważyłem, że ciała znikły, a w leju po bombie widać było świeżo usypany kopiec. Nie mam wątpliwości, że tam właśnie pochowano Hitlera i Ewę Braun.

W leju, o którym mówił Erich Mansfeld, ciała odnalazł radziecki żołnierz. Wszystko się zgadza.

W następnych dniach dokonano identyfikacji zwłok na podstawie uzębienia. Zadanie było o tyle ułatwione, że żołnierze radzieccy schwytali Käthe Heusermann, asystentkę dentysty Hitlera. Ona rozpoznała mostek na szczęce zwłok znalezionych w leju, a ponadto zaprowadziła Rosjan do ambulatorium Kancelarii Rzeszy, gdzie odnaleziono kartę z opisem uzębienia Führera oraz wszelkich zabiegów stomatologicznych. Wkrótce odnaleziono Fritza Echtmana, technika, który mostek ten wykonał. Na podstawie ich zeznań można powiedzieć z całkowitą pewnością, że rozpoznano zwłoki Hitlera. Pod warunkiem, że szczęka znaleziona w ogrodzie Kancelarii Rzeszy była autentyczna, a nie odpowiednio spreparowana.

Prawdziwą sensacją był protokół sekcji zwłok Ewy Braun. Tak wielką, że utajniono go na pół wieku.

Dlaczego protokół sekcji zwłok Ewy Braun został ujawniony dopiero w 1994 roku? Jego treść

była szokująca.

Lekarze przeprowadzający autopsję stwierdzili, że w płucach zwłok były liczne rany spowodowane odłamkami bomb lub pocisków artyleryjskich, które spowodowały obfity krwotok.

Wydawałoby się - nic nadzwyczajnego. Zwłoki Ewy Braun leżały przez wiele godzin w ogrodzie Kancelarii Rzeszy ostrzeliwanym przez radziecką artylerię. Odłamki mogły trafić zwłoki. Mogły, ale gdyby trafiły trupa, nie spowodowałyby krwotoku. Kobieta uważana za Ewę Braun zginęła trafiona pociskami.

Ponadto sekcja wykazała, że szczęka zwłok kobiety znalezionych w ogrodzie Kancelarii Rzeszy została poddana zabiegom chirurgicznym, które miały upodobnić ją do szczęki żony Adolfa Hitlera.

Po co to wszystko? Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że cała mistyfikacja: ubranie ciała kobiety, która zginęła trafiona odłamkami, w niebieską sukienkę Ewy Braun i pobieżna operacja chirurgiczna szczęki miały przekonać Rosjan, choć na kilka dni, że znaleźli ciało żony Hitlera. Tym samym wstrzymano by poszukiwania autentycznej Ewy Braun, dając jej czas na ucieczkę z Niemiec i znalezienie bezpiecznego schronienia.

No cóż, jej winą było to, że przez dwadzieścia lat była konkubiną Adolfa Hitlera. Nie ciążyły na niej zarzuty popełnienia zbrodni. Nie została osądzona ani skazana.

Przez wiele lat rząd radziecki nie przyznawał się, że odnaleziono zwłoki Adolfa Hitlera.

9 czerwca 1945 roku, a więc ponad miesiąc po zakończeniu walk o Berlin marszałek Geоргий Żukow dowodzący wojskami 1. Frontu Białoruskiego, które zajęły schron Kancelarii Rzeszy, stwierdził, że nie zidentyfikowali zwłok Hitlera.

16 lipca 1945 roku, w czasie konferencji trzech mocarstw w Poczdamie, Józef Stalin powiedział prezydentowi Harry'emu Trumanowi, że cały czas trwają intensywne poszukiwania Hitlera. On zaś uważa, że Hitler cały i zdrowy ukrywa się w Hiszpanii lub Argentynie.

Dlaczego kłamał? A może radzieckie tajne służby miały wątpliwości, czy szczątki znalezione w leju po bombie były szczątkami Adolfa Hitlera?

We wrześniu 1945 roku Rosjanie wydali oświadczenie:

Głos 1: Nie odnaleziono śladów ciał Adolfa Hitlera i Ewy Braun. (...) Istnieje niepodważalny dowód, że mały samolot wyleciał z Tiergarten o świcie 30 kwietnia i skierował się do Hamburga. Trzej mężczyźni i kobieta byli na pokładzie. Ustalono również, że duży okręt podwodny wyruszył z Hamburga, zanim weszły tam wojska brytyjskie. Na pokładzie były tajemnicze osoby, a wśród nich kobieta.

Dzisiaj wiemy, że w najbliższym otoczeniu Führera był co najmniej jeden radziecki szpieg. Nazywał się Aleksandr Kwapiszewski. Nie wiadomo, jak brzmiało jego niemieckie nazwisko. Prawdopodobnie był oficerem oddelegowanym do bunkra w celu utrzymywania łączności z podberlińskim Zossen, gdzie mieściły się kwatery Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych

i Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Jest to bardzo prawdopodobne, gdyż w bunkrze Hitlera niewielka centrala telefoniczna firmy Siemens absolutnie nie wystarczała do zapewnienia sprawnej łączności. Dlatego posługiwano się kurierami. I jednym z nich był Aleksandr Kwapiszewski, który bezpośrednio od Hitlera przejmował pisemne rozkazy i dostarczał je do Zossen. Po drodze - kopiował i przekazywał Rosjanom. Potwierdza to niezwykle wiedza, jaką dowództwo wojsk radzieckich miało na temat najtajniejszych obiektów w Zossen. Na początku marca 1945 roku marszałek Siergiej Chudjakow wysłał depeszę do generała Johna Deane'a, szefa amerykańskiej misji wojskowej w Moskwie, prosząc o zbombardowanie Zossen. Pisał na temat tamtejszych obiektów:

Głos 2: Zgodnie z naszymi informacjami Sztab Generalny armii niemieckiej usytuowany jest 38 km na południe od Berlina w silnie ufortyfikowanym schronie nazywanym przez Niemców "Cytadelą". Usytuowana jest (...) 5 i pół do 6 km na południe - południowy wschód od autostrady (...) biegnącej równolegle do linii kolejowej Berlin-Drezno. Podziemne fortyfikacje rozciągają się na obszarze około 6 km. Cały obszar otoczony jest drutami kolczastymi i jest bardzo silnie strzeżony przez pułk SS. Według naszego źródła budowa podziemnych fortyfikacji rozpoczęła się w 1936 roku. W załączeniu mapa z dokładną lokalizacją niemieckiego Sztabu Generalnego.

Niewykluczone, że drugim szpiegiem w otoczeniu Hitlera był jego sekretarz Martin Bormann. O to podejrzewał go szef wywiadu Fremde Heere Ost generał Reinhard Gehlen i szef wywiadu SD Walter Schellenberg. Były to tylko podejrzenia i nigdy nie udało się zebrać wystarczających dowodów, aby oskarżyć Bormanna, mającego zaufanie Hitlera i ogromne wpływy. Sprawa Adolfa Hitlera wciąż pozostaje tajemnicą radzieckich archiwów. Być może za kilkanaście lat poznamy prawdę. Przyszłość przyniesie jeszcze jedną sensację XX wieku. Rząd brytyjski utajnił na sto lat, a więc do 2045 roku wszystkie dokumenty dotyczące śmierci Heinricha Himmlera, człowieka, który zarządzał nazistowską machiną terronu.

Heinrich Himmler po raz ostatni był w Berlinie 16 kwietnia. Później przebywał w podberlińskim sanatorium, gdzie urządził swoją kwaterę. 1 maja, prawdopodobnie na wieść o śmierci Hitlera, wyjechał z miasta na północ Niemiec. Do 8 maja ukrywał się we Flensburgu, 150 kilometrów na północ od Hamburga, gdzie założył swoją kwaterę nowy rząd niemiecki. Flensburg nazywany był wyjściem ratunkowym. Uważano, że okręty podwodne stacjonujące w miejscowym porcie zabierają nazistowskich dygnitarzy w podróż do Ameryki Północnej.

Himmler zgolił włosy i przykrył oko czarną opaską. Zaopatrzył się w dokumenty funkcjonariusza żandarmerii polowej na nazwisko Heinrich Hitzinger. Była to bardzo dziwna mistyfikacja, gdyż musiała zwrócić uwagę każdego alianckiego żołnierza. Co więcej, Himmlerowi towarzyszyło piętnastu esesmanów. W ceratowych płaszczach Feldpolizei wyglądali jak banda rzezimieszków.

8 maja wyruszyli w czterech samochodach na południe Niemiec. I stało się to, co łatwo było przewidzieć. Pierwsza grupa została zatrzymana 22 maja na brytyjskim posterunku kontrolnym. Nie było wśród nich Himmlera. Ale zjawił się tam kilka godzin później w towarzystwie dwóch esesmanów, przebranych za funkcjonariuszy Feldpolizei. Himmler nieproszony podszedł do wartownika i okazał dokumenty. Brytyjskiego żołnierza bardzo to zdziwiło. Nikt dobrowolnie nie legitymował się. Co więcej, w tamtym czasie było normalne, że ludzie nie mieli żadnych dokumentów. Żołnierz na wszelki wypadek zatrzymał gorliwego Niemca, który został osadzony w obozie. Dzień później, 23 maja, nie wiadomo dlaczego,

Himmler poprosił wieczorem o rozmowę z komendantem obozu kapitanem Tomem Selvestrem. Gdy stanął w jego gabinecie, zdjął opaskę, założył okulary i powiedział spokojnie:

Himmler: Panie kapitanie, zdecydowałem się przyznać, jestem SS-Reichsführer Heinrich Himmler.

Zrewidowano go. W kieszeni kurtki znaleziono fiolkę z trucizną.

Himmler: Proszę mi to zostawić. To jest lekarstwo. Cierpię na wrzody żołądka.

Kapitan Selvester nie miał jednak wątpliwości, co to jest.

Szklana ampułka o średnicy 9 mm i długości 35 mm zawierała 8 mg cyjanku. Ampułki taki wytwarzali więźniowie obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Z 4 tysięcy fiolek 950 było przeznaczonych dla nazistowskich dygnitarzy, gdyby znaleźli się w okolicznościach, w których jedynym wyjściem była samobójcza śmierć.

Następnego dnia Himmlera przewieziono do Lüneburga. Wieczorem rozpoczęło się przesłuchanie, które prowadził oficer wywiadu pułkownik Osborne. Później odwieziono Himmlera do willi na Ulzenerstrasse 31a, zajętej przez wojska brytyjskie. Tam, w pustym pokoju lekarz, kapitan Clement Wells, któremu towarzyszył major Austin, przystąpił do dokładnej rewizji. Gdy sprawdzał usta, zaniepokoił go niebieskawy odbłysek jakiegoś przedmiotu, który więzień trzymał między policzkiem a żuchwą. Podejrzał, że błysk, który zobaczył, to odbicie światła na szklanej fiolce. Przez moment zastanawiał się, co ma robić. Udał więc, że nie zauważył niczego podejrzanego i kontynuował sprawdzian. Po chwili ponownie kazał więźniowi otworzyć usta i natychmiast wsunął tam palec, aby wydobyć kapsułkę. Nie zdążył. Więzień, odgadując zamiary lekarza, cofnął głowę i zagryzł zęby. Zsiniał i osunął się na podłogę. Wszelkie próby uratowania go nie dały rezultatu.

Przez pół wieku wierzyliśmy, że tak właśnie zmarł Heinrich Himmler, organizator obozów koncentracyjnych, szef wielkiej maszyny terroru, bezpośrednio odpowiedzialny za ludobójstwo.

Ale dlaczego władze brytyjskie utajniły wszelkie dokumenty dotyczące jego śmierci aż na sto lat?! Dopiero w 2045 roku zostaną ujawnione protokoły, wyniki sekcji i oficjalne zeznania ludzi obecnych przy jego śmierci.

Dzisiaj mamy już wystarczająco dużo dowodów, aby wątpić, czy człowiekiem, który popełnił samobójstwo w Lüneburgu, był Himmler.

Rozdział 18 – Tajemnica lotu Rudolfa Hessa

Rudolf Hess przybył do swojego domu w spokojnej monachijskiej dzielnicy Harlaching 10 maja 1941 roku o godzinie 14.20. Przebrał się w niebieski mundur Luftwaffe i zszedł na dół, aby w salonie wypić herbatę z żoną.

Dziwiło ją, że mąż ma na sobie mundur kapitana lotnictwa, gdyż nigdy go w takim nie widziała. Zawsze chodził w mundurze wysokiego funkcjonariusza NSDAP.

Ilse: Co oznacza ta niebieska koszula?

Hess: Chciałem sprawić ci przyjemną niespodziankę.

Ilse: Kiedy wrócisz?

Hess: Nie jestem pewien, być może jutro. Na pewno będę w domu w poniedziałek wieczorem.

Ilse: Jutro albo w poniedziałek? Nie wierzę, że wrócisz tak szybko, kochanie.

Skąd mogła przypuszczać, że spotkają się po 28 latach.

Dwie godziny po rozmowie w salonie Rudolf Hess, zastępca Hitlera, wsiadł do samolotu Messerschmitt Bf-110 i wystartował, by odbyć samotny lot do Szkocji. Wiedział, że za kilkanaście dni Niemcy rozpoczną wojnę ze Związkiem Radzieckim i uważał, że uda mu się doprowadzić do podpisania pokoju z Wielką Brytanią, aby Wehrmacht nie musiał prowadzić walki na dwóch frontach. Plan nie udał się i lotnik, który w nocy z 10 na 11 maja 1941 roku wyskoczył ze spadochronem w Szkocji, został aresztowany. Czy był to Rudolf Hess?

Wszystkie okoliczności lotu kazały zadawać to pytanie.

Na zdjęciu samolotu Hessa, zrobionym tuż przed startem przez jego adiutanta, nie widać dodatkowych zbiorników paliwa, bez których Messerschmitt Bf-110 miał niewielkie szanse dotarcia do Szkocji.

Nawet jeżeli zdjęcie zrobione było w innym czasie i Hess wystartował z dodatkowymi zbiornikami, to nie sposób wyjaśnić, dlaczego leciał dłuższą trasą, a u wybrzeży Szkocji przez 40 minut krążył marnotrawiąc cenne paliwo.

Rudolf Hess nadzwyczaj starannie przygotował się do długiego i niebezpiecznego lotu. Przewidywał, że będzie musiał wyskoczyć ze spadochronem, dlatego więc nie zapytał instruktorów, jak wyskakuje się z Messerschmitta Bf-110!? Co więcej: w Augsburgu wielokrotnie siadał za sterami tego samolotu wyruszając na treningowe loty. Czyżby nikt z personelu nie udzielił zastępcy Führera instrukcji, jak wydostać się z samolotu i ratować na spadochronie, gdy zawiodą silniki lub wydarzy się jakakolwiek awaria uniemożliwiająca bezpieczne lądowanie? To niemożliwe! Prawdziwy Hess musiałby otrzymać taką naukę, zaś dubler, pospiesznie przyuczony do pilotowania myśliwskiego samolotu, mógł tego się nie dowiedzieć. To jeszcze jeden argument wskazujący, że do Szkocji doleciał inny człowiek. Ale to nie ostatni argument...

Pasażerka: Dym był wszędzie. Duszący, oślepiający. Ludzie krzyczeli i płakali. Zewsząd padały strzały. Kule świtały nad głowami i pruły siedzenia foteli, za którymi usiłowaliśmy się ukryć. To było jak piekło. Nie możecie sobie tego wyobrazić.

Egipscy komandosi niewiele widzieli w dymie granatów łzawiących i ogłuszających, które wrzucili do kabiny pasażerskiej. Walczyli na oślep, nawzajem sobie przeszkadzając. Wynik tej walki był tragiczny: z dziewięćdziesięciu ośmiu pasażerów i członków załogi samolotu zginęło pięćdziesięciu siedmiu. Uduśli się gazem albo trafiły ich kule komandosów lub terrorystów.

Abu Nidal mógł być zadowolony. Zemsta była krwawa. Poległo trzech jego towarzyszy, ale to była konieczna ofiara. Odwet za "Achille Lauro" był tak krwawy, jak zaplanował. To jednak nie był koniec zemsty.

Czy w nocy 11 maja 1941 roku w Szkocji wylądował ze spadochronem Rudolf Hess? Jeżeli był to zastępca führera, to czy ten sam człowiek stanął przed Trybunałem Norymberskim?

Hess został dowieziony do Norymbergi z angielskiego więzienia 10 października 1945 roku. Już od samego początku, gdy tylko wszedł do celi norymberskiego więzienia, jego zachowanie było zastanawiające. Wiedział, że stanie przed międzynarodowym trybunałem, który sądzić go będzie za zbrodnie przeciwko ludzkości, tymczasem jego uwaga koncentrowała się zupełnie na czymś innym. Zaraz po przybyciu do Norymbergi zażądał widzenia z komendantem więzienia amerykańskiego pułkownikiem Burtonem C. Andrussem.

Hess: Panie pułkowniku, chcę, by dostarczono mi moje osobiste rzeczy. Jak najszybciej, to bardzo ważne.

Pułkownik: Dlaczego pana osobiste przedmioty są takie ważne? Czyżby były to pamiątki rodzinne?

Hess: Panie pułkowniku, muszę to otrzymać bezzwłocznie!

Pułkownik: Przykro mi, ale więźniowie nie mogą mieć przy sobie osobistych przedmiotów.

Hess: Ja protestuję! Żądam natychmiastowego dostarczenia mi moich rzeczy. Złożę protest u prezydenta Stanów Zjednoczonych!

Pułkownik: Panie Hess, takie jest prawo.

Hess: Dobrze, to wobec tego proszę o pozostawienie mi kilku małych paczuszek, które wskażę. Zawierają materiał dowodowy, konieczny dla mojej obrony przed sądem!

Pułkownik: Jaki to materiał?

Hess: Są tam pastylki i żywność, które zamierzam oddać do chemicznej analizy, najlepiej jakiemuś bezstronnemu naukowcowi.

Pułkownik: Pańskie rzeczy osobiste zostaną złożone w depozycie i zabezpieczone w obecności świadków.

Co Hess chciał udowodnić za pomocą zawartości zaplombowanych paczuszek? Przywieziono je z Anglii 30 października i w jego obecności otwarto. Zawierały głównie resztki jedzenia, które, jak stwierdził Hess, odpowiednio preparowane stały się przyczyną utraty pamięci i poważnych kłopotów zdrowotnych.

20 listopada 1945 roku o godz. 10.03 do sali sądu Pałacu Sprawiedliwości weszli sędziowie reprezentujący zwycięskie mocarstwa. Okna sali rozpraw były, ze względów bezpieczeństwa, szczelnie zasłonięte grubymi kotarami, a całość rozświetlały silne reflektory ekip filmowych. Rozpoczął się pierwszy w historii świata proces przywódców państwa, którzy zgotowali śmierć milionom.

Oskarżyciel zarzucił Hessowi, jako człowiekowi sprawującemu wysokie urzędy w nazistowskiej hierarchii, popełnienie najcięższych zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości.

Sędzia: Czy oskarżony Hess przyznaje się do winy?

Hess: Nie!

Sędzia: Będzie to zanotowane jako "niewinny".

Od tego momentu Hess nie przywiązywał wielkiej wagi do tego, co działo się na sali sądowej. Często nawet nie zakładał słuchawek, aby usłyszeć tłumaczenia zeznań świadków, czy wystąpień oskarżycieli i sędziów. Mimo udowodnienia najcięższych zarzutów, Rudolf Hess nie został skazany na karę śmierci, jak inni dostojnicy hitlerowscy, lecz na dożywotnie więzienie.

18 lipca 1947 roku o godzinie 11.00 w brytyjskiej bazie lotniczej Gatow w Berlinie wylądowała dakota, z której wyprowadzono siedmiu mężczyzn, przykutych kajdankami do eskortujących ich amerykańskich żandarmów.

Baldur von Schirach, przywódca organizacji młodzieżowej Hitlerjugend, skazany na 20 lat więzienia; Karl Dönitz, dowódca Kriegsmarine - 10 lat więzienia; Konstantin von Neurath, dyplomata, były protektor Czech i Moraw - 15 lat; wielki admirał Erich Raeder, były dowódca Kriegsmarine - dożywocie; Albert Speer, były architekt Hitlera, były minister ds. zbrojeń - 20 lat więzienia; Walther Funk, były prezes banku Rzeszy - dożywocie. I Rudolf Hess.

Wsiedli do autokaru RAF-u, pokrytego stalową blachą, z zakratowanymi oknami, który w asyście samochodów pancernych i jeepów ruszył w stronę więzienia Spandau. Wybudowane w 1876 roku, w ocenie zwycięskich mocarstw dawały największe gwarancje bezpieczeństwa więźniów.

Mur wysoki na 5 do 8 metrów z kilkoma wieżyczkami strażniczymi z karabinami maszynowymi uniemożliwiał ucieczkę i zabezpieczał przed próbą uwolnienia więźniów podjętą z zewnątrz. Przed murami ustawiono dwa płoty z siatki o wysokości 3 metrów każdy. Między nimi biegł pas zaminowanej ziemi, a ogrodzenie ustawione bliżej murów było pod napięciem 4000 V.

W budynku znajdowały się 132 pojedyncze cele, 5 cel przejściowych i 10 dużych sal mogących pomieścić po 40 osób. Administracja więzienia należała do czterech zwycięskich mocarstw, aczkolwiek za utrzymanie tego obiektu płacił rząd Republiki Federalnej Niemiec prawdopodobnie około miliona dolarów rocznie. Obsada strażnicza zmieniała się co miesiąc, a służbę pełnili kolejno Francuzi, Brytyjczycy, Rosjanie i Amerykanie. Garnizon Spandau stanowili oficer i 28 żołnierzy, dwaj lekarze, pięciu strażników, dwaj kucharze, pomywaczka i kilka osób personelu technicznego.

Gdy autobus wjechał na podwórze Spandau, więźniom zdjęto kajdanki, a następnie skierowano ich do kąpieli. Potem musieli przejść bardzo szczegółowe badania lekarskie, po których sporządzono protokoły. Miały one okazać się szczególnie ważne po 26 latach.

W celi Hessa biegła żółta lamperia, a nad nią ścianę i sufit pomalowano na biało, było jedno okno - tak wysoko, że nie mógł przez nie wyjrzeć. Pod nim stało czarne, żelazne łóżko z materacem z końskiego włosia, prześcieradłem, dwoma poduszkami i wełnianymi wojskowymi kocami. Na przeciwległej ścianie wisiała niewielka szafka z jedną półką, na której rozłożył bieliznę, ręczniki i przybory toaletowe.

Dzień zaczynał się o godzinie 6.00, gdy więźniowie musieli wstać i dokonać porannej toalety. Śniadanie, podobnie jak inne posiłki podawane do cel, trwało od 6.45 do 7.30, obiad - od 12.00 do 12.30, kolacja zaczynała się o 17.00. O godzinie 22.00 gaszono światła w celach. Więźniowie nie mogli mieć przy sobie żadnych ostrych przedmiotów i dlatego golono ich trzy razy w tygodniu, a w miarę potrzeby również strzyżono im włosy.

Mogli dostawać książki i gazety, ale liczba listów była ograniczona do jednego w tygodniu, zaś odwiedziny mogły się odbywać tylko raz na miesiąc.

Rudolf Hess nie zgadzał się na przyjmowanie nikogo. Nie podając żadnych wyjaśnień nie chciał, aby przychodziła jego żona czy syn. Nagabywany przez amerykańskiego komendanta odpowiedział:

Hess: Nie życzę sobie odwiedzin, niezależnie od tego, czy są ważne, czy nie. Nie są ważne dopóty, dopóki tutaj siedzę.

Dopiero w 1969 roku, po 28-letniej rozłące zgodził się na odwiedziny najbliższej rodziny. Gdy Hess po raz ostatni był w domu, jego syn Wolf Rüdiger miał 4 lata. W 1969 roku 32-letni mężczyzna przyszedł na spotkanie z 75-letnim starcem. Żona Ilse nie mogła nic powiedzieć mężczyźnie, którego zobaczyła w szpitalnej piżamie, siedzącego przy stoliku w izolatce.

Na ich widok zerwał się z krzesła i unosząc rękę do czoła powiedział:

Hess: Całuję twoją dłoń, kochana Ilse!

Ilse: Wspaniale cię znowu widzieć, tatuśku... Zobacz, nie ośmielamy nawet się uścisnąć... Jak się czujesz?

Rudolf Hess nie odpowiedział na to pytanie.

Ilse: Minęło wiele czasu, odkąd wyjechałeś. Ostatni raz, gdy byłeś z nami, to...

Hess: Tak, czasy się zmieniają. Ty się zmieniłaś.

Ilse: I ty także. Twój głos jest teraz całkiem inny niż go pamiętam.

Hess: Co przez to rozumiesz?

Ilse: Twój głos jest niższy, znacznie niższy niż wtedy.

Hess: Och, uważasz, że jest bardziej męski?

Oddzieleni stołem spędzili w ten sposób pół godziny. Wieloletnia rozłąka zatarła sentymenty, ślady i wspomnienia. Jednakże, gdy odeszli, Hess powiedział do pułkownika Birda, komendanta więzienia:

Hess: Wizytę mojej rodziny będę pamiętał do końca moich dni. Oczywiście było parę momentów, kiedy bałem się, że popłyną łzy. Próbowałem to zagadać...

Gdy był z rodziną, uważano go za kochającego męża i ojca. Dlaczego więc przez ponad ćwierć wieku nie chciał zobaczyć najbliższych?

Już wtedy był jedynym mieszkańcem ponurego więzienia Spandau, gdyż inni więźniowie zostali zwolnieni po odbyciu kary. Jego stan pogarszał się. Coraz częściej powracały silne bóle żołądka. Dlatego we wrześniu 1973 roku zawieziono go do pobliskiego brytyjskiego szpitala wojskowego i poddano dokładnym badaniom. Na zdjęciach rentgenowskich stwierdzono pewne nieregularności budowy żołądka i blizny po wrzodach.

Badający go lekarz, Hughe Thomas, obserwował jak Hess zakłada koszulę. Coś go zastanowiło. Co?... Po chwili uświadomił sobie, że na piersi Hessa nie było blizny po kuli karabinowej, która przeszła na wylot lewe płuco Rudolfa Hessa 8 sierpnia 1917 roku!

Tamtego dnia Hess, żołnierz piechoty, szedł do ataku pod Ungureana na froncie rumuńskim. Karabinowy pocisk trafił go w płuco, ale ranny miał szczęście, gdyż jeden z żołnierzy wyciągnął go spod nieprzyjacielskiego ognia, a sanitariusze zatamowali upływ krwi. Bez wątplenia nastąpiło zakażenie. Leżał w okopie przez cały dzień, bez antybiotyków, których wówczas nie znano, zanim odwieziono go do szpitala polowego, gdzie chirurg udzielił mu pełnej pomocy. 25 sierpnia odesłano go do pobliskiego szpitala. Rana była bardzo ciężka, a kula uczyniła duże spustoszenia w jego ciele, skoro 17 września ewakuowano Hessa do szpitala w Niemczech, gdzie przebywał do 10 grudnia 1917 roku.

Być może - myślał lekarz - Hess przeszedł operację plastyczną, w wyniku której zmniejszono lub usunięto bliznę na skórze. Mało prawdopodobne, ale teoretycznie możliwe. Nie było jednak możliwości zatarcia śladów, jakie pocisk musiał pozostawić wewnątrz organizmu.

Hughe Thomas sięgnął po zdjęcie rentgenowskie, na którym powinien zobaczyć ślady na żebrach lub kręgosłupie, gdyż nie istnieje możliwość, aby pocisk przeszył klatkę piersiową nie naruszając żadnej z kości.

Na zdjęciu rentgenowskim człowieka z więzienia Spandau nie było żadnych śladów!

Prawdziwy Rudolf Hess powinien mieć jeszcze inne blizny.

12 czerwca 1916 roku podczas walki w pobliżu francuskiego fortu Douaumont odłamek pocisku artyleryjskiego zranił jego lewą rękę i ramię. Były to dość poważne rany, skoro przez miesiąc przebywał w szpitalu. 25 lipca ponownie został zraniony w lewe ramię.

Wszystkich więźniów przyjmowanych do Spandau poddano bardzo dokładnym badaniom.

Hughe Thomas sięgnął po protokół sporządzony przez lekarza w 1947 roku. Nie było w nim ani słowa o bliznach na lewej ręce, ramieniu i klatce piersiowej. Wniosek może być tylko jeden.

Rudolf Hess był bardzo krnąbrnym więźniem. Wielokrotnie odmawiał podporządkowania się regulaminowi: nie chciał wstawać z łóżka, gdy nadchodził czas pobudki, odmawiał sprzątanania celi i wychodzenia na spacer. Protestował przeciwko próbom nakłonienia go do pracy, gdy inni więźniowie porządkowali ogród albo uprawiali założone przez siebie rabaty. Karano go za to karcerem i pozbawianiem prawa korzystania z książek i przyborów do pisania, ale niewiele to pomagało. Jednakże najbardziej obawiano się jego samobójczych skłonności. Jeszcze w Wielkiej Brytanii usiłował dwukrotnie targnąć się na życie. Po pierwszej nieudanej próbie tłumaczył się, że obawiał się utraty zmysłów. W lutym 1945 roku dźgnął się w klatkę piersiową nożem do chleba, ale rana okazała się lekka. Potem, usiłując umrzeć z głodu, odmawiał przyjmowania pokarmów. W Spandau podobno sześciokrotnie usiłował targnąć się na życie. Nie wiadomo, czy ta liczba prób samobójczych zamachów podawana przez prasę jest prawdziwa, ale bez wątpienia raz usiłował nożem do chleba przeciąć sobie żyły.

Aż w upalne sierpniowe popołudnie 1987 roku wyszedł na spacer do więziennego ogrodu. Pilnował go strażnik, młody chłopak z Ohio.

Gdy przechodzili obok szopy z narzędziami ogrodniczymi, zatrzymał się.

Hess: Odpocznę chwilę tu, w cieniu. Chłodniej. A nie przyniósłbyś mi, synu, kubka wody?

Żołnierz rozejrzał się bezradnie. Regulamin zabraniał pozostawiania więźnia bez nadzoru, ale do kranu nie było tak daleko. Poza tym często widywał, jak więzień przesiadywał na ławce czytając książki, gdy strażnicy załatwiali swoje sprawy. Sam też chętnie napiłby się czegoś zimnego.

Po krótkim wahaniu ruszył w stronę szarego więziennego budynku. Nie było go kilka minut. Może trzy, może cztery. Gdy nadszedł z kubkiem w dłoni dostrzegł, że ławeczka przed szopą była pusta. Rozejrzał się wokół, ale nie widząc więźnia uznał, że ten wszedł do środka, ale zdziwiło go to, gdyż w nagrzanym słońcem szopie musiało być bardzo gorąco i duszno. Uchylił drzwi. Przez kilka sekund oczy przyzwyczajały się do mroku panującego wewnątrz.

Hess siedział na podłodze pod oknem. Jego głowa była przekręcona, nienaturalnie wysoko nad ramionami, a z klamki okna do jego szyi biegł czarny kabel.

Gdy przyszedł lekarz, serce więźnia jeszcze biło. Do szpitala wojskowego nie było daleko, zaledwie 2-3 kilometry. Być może młodszego człowieka można by uratować, ale Rudolf

Hess, więzień nr 7 ze Spandau, miał już 93 lata. Jego organizm nie wytrzymał kilkuminutowego braku oddechu. Zmarł wkrótce po przewiezieniu go do szpitala.

17 sierpnia 1987 roku radio BBC około godziny 16.30 podało wiadomość, że Rudolf Hess nie żyje. Potem zaczęły nadchodzić kolejne informacje, z których wynikało, że więźnia przewieziono do szpitala wojskowego, gdzie zmarł. Ciągłe nie podawano przyczyn zgonu, a ponieważ chodziło o 93-letniego starca, ciężko chorego, nikt nie zwracał na to specjalnej uwagi, sądząc, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych. Uwaga prasy skoncentrowała się na pogrzebie, tym bardziej, że major Walter Kruger, przewodniczący organizacji skupiającej byłych esesmanów zapowiedział, iż pogrzeb odbędzie się w rodzinnym mieście, a Hess zostanie pochowany jako męczennik.

24 godziny po śmierci przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji podpisali komunikat stwierdzający, że miał miejsce zamach samobójczy. 19 sierpnia wojskowe władze brytyjskie opublikowały następne oświadczenie stwierdzające, że w kieszeni zmarłego znaleziono notatkę, jednakże nie ujawniono jej treści.

Wstępne ustalenia wskazywały, że Hess podczas spaceru znalazł kawałek kabla porzucony przez technika z firmy, która prowadziła roboty elektryczne w więzieniu. Schował go do kieszeni i gdy tylko strażnik pozostawił go samego, zawiązał pętlę, którą zacisnął na szyi.

Ta oficjalna wersja nie trafiła do przekonania synowi Rudolfa Hessa i dr. Seidlowi, jego obrońcy jeszcze z czasów procesu norymberskiego. Dr Seidl stwierdził, że ślady na szyi zmarłego wskazują, iż został on zamordowany. Ani słowa na ten temat nie wspomina protokół z oficjalnej autopsji przeprowadzonej przez dr. Camerona. Miał on stwierdzić, że przyczyną śmierci była asphyxia spowodowana zaciśnięciem krtani w wyniku powieszenia.

Władze ujawniły też więcej szczegółów na temat pożegnalnego listu znalezionego w kieszeni denata. Napisany na odwrocie listu, jaki 20 lipca Hess otrzymał od synowej, zaczynał się od słów:

Hess: Proszę, aby dyrektor przesłał do mojego domu tę notatkę, napisaną kilka minut przed moją śmiercią.

Wkrótce niemiecka gazeta Bild opublikowała dużą część treści kartki znalezionej w kieszeni zmarłego:

Hess: Droga Ilso, piszę to tuż przed śmiercią (...) Dziękuję ci za wszystko, co zrobiliście dla mnie.

Pełnej treści nie opublikowano nigdy.

Rudolf Hess został pochowany w nieznanym miejscu, aby jego grób nie stał się miejscem pielgrzymek starych towarzyszy z SS i neonazistów.

Władze nie ujawniły pełnego protokołu sekcji zwłok. Werdyktu lekarzy nie poznała również najbliższa rodzina. Syn Rudiger zapowiadał, że zostanie przeprowadzona druga obdukcja, lecz nie stało się tak, gdyż w przeddzień doznał ataku serca.

Kim był człowiek, który zmarł w więzieniu w Spandau? Jeżeli obserwacje brytyjskiego

lekarza, który analizował zdjęcia rentgenowskie Hessa i nie zauważył na nich śladów kuli, były prawdziwe oznaczałoby to, że w więzieniu zmarł sobowtór. Czy jest to możliwe?

Tymczasem historia szykuje następną sensację.

Heinrich Himmler, szef SS, człowiek, który stworzył i kierował nazistowską machiną terroru, przeżył wojnę i ukrywał się do 21 maja 1945 roku, prawdopodobnie we Flensburgu. Zaopatrzony w dokumenty funkcjonariusza tajnej żandarmerii polowej na nazwisko Heinrich Hintzinger, zgolił wąsy i przykrył oko czarną opaską. Bardzo trudno było go rozpoznać. Jeden z największych zbrodniarzy w historii cywilizacji działał sprytnie i miał wszelkie szanse umknienia sprawiedliwości. Los i natura skrupulatnego niemieckiego policjanta zdecydowały inaczej.

21 maja szedł w tłumie uchodźców przez brytyjski punkt kontrolny w Meinstedt. W pewnym momencie, bez wyraźnej potrzeby, podszedł do wartownika i okazał dokumenty. Brytyjskiego żołnierza bardzo to zdziwiło. Nikt dobrowolnie nie legitymował się. Ci więcej: w tamtym czasie było normalne, że ludzie nie mieli żadnych dokumentów. Żołnierz na wszelki wypadek zatrzymał gorliwego Niemca. 22 maja w obozie Westertimke, nie wiadomo dlaczego, Himmler wieczorem poprosił o rozmowę z komendantem obozu kapitanem Tomem Sylwestrem. Gdy stanął w jego gabinecie, zdjął opaskę, założył okulary i przyznał się, że nazywa się Heinrich Himmler. Zrewidowano go. W kieszeni kurtki znaleziono fiolkę z trucizną. Następnego dnia przewieziono go do Luneburga. Tego dnia wieczorem, kiedy próbowano zbadać mu jamę ustną, czy nie ukrył fiołki z trucizną, Himmler na oczach Anglików przegryzł szklaną ampułkę z cyjankiem i skonał po kilkunastu sekundach.

Zwłoki zakopano w wielkiej tajemnicy gdzieś w lesie w pobliżu Luneburga. Wydawałoby się, że jeden z największych zbrodniarzy w historii cywilizacji, popełniając samobójstwo, umknął sprawiedliwości.

A jednak dopiero dzisiaj ujawniono dokumenty, z których wynika, że na twarzy zmarłego nie było blizny, którą Heinrich Himmler musiałby mieć... Kim był człowiek, który popełnił samobójstwo w Luneburgu?

Rozdział 19 – Tajemnica Rudolfa Hessa

Późnym popołudniem 10 maja 1941 roku na pas lotniska zakładów Messerschmitta w Augsburgu wyjechał dwusilnikowy myśliwiec Bf 110. Start następował z opóźnieniem, co było następstwem awarii instalacji elektrycznej. Usunięto ją na tyle szybko, że pilot mógł rozpocząć lot jeszcze za dnia. A miał to być niezwykle lot, który zapoczątkował serię wydarzeń tak tajemniczych, że nawet dzisiaj, 60 lat później, możemy jedynie domyślać się, o co w nich chodziło.

Za sterami myśliwca siedział Rudolf Hess, zastępca Hitlera.

Nie było w tym nic dziwnego, że wybierał się w powietrzną podróż. Był doświadczonym i wytrawnym pilotem, który nauczył się latać jeszcze podczas I wojny światowej, a później zdobywał międzynarodowe laury w zawodach lotniczych.

Niezwykły był cel tej podróży: Wielka Brytania! Tak, zastępca Hitlera wyruszał w samotny i niebezpieczny lot do wrogiego państwa!

O 17.15 samolot wzbił się w powietrze i obrał kurs na północ, aby po pięciu godzinach zbliżyć się do wybrzeży Szkocji.

Wtedy samotny Messerschmitt został wykryty przez brytyjską stację radiolokacyjną, a następnie przez posterunek obserwacyjny, którego załoga natychmiast powiadomiła centrum operacyjne Królewskich Sił Powietrznych w Inverness. Jednakże oficer, który odebrał tę wiadomość, pomyślał, że ochotnicy Home Guardu pełniąc służbę na posterunku wypili za dużo piwa, gdyż żaden Bf 110 nie mógł zapuścić się tak daleko, nie mając szans na powrót. Wkrótce jednak zaczęły nadchodzić meldunki z innych posterunków. Wysłano w pościg samolot myśliwski - ten jednak nie zdołał odnaleźć intruza. Tak sądzono przez 60 lat. Od niespełna miesiąca znamy zapis rozmowy pilota hurricana z centrum dowodzenia.

Pilot: Zero, piętnaście, widzę "bandytę" na jedenastej. To Messerschmitt Bf 110. Leci wolno, bez uników. Nie widzi mnie... Za chwilę wejdę mu na ogon...

Centrala: Piętnaście, melduj o rozwoju akcji.

Pilot hurricana zbliżał się od dołu wrogiego samolotu obawiając się ostrzału ze strony tylnego strzelca, który zazwyczaj siedział w kabinie pilota i osłaniał samolot przed atakami z góry.

Pilot: "Bandyta" w celowniku, odległość 400 jardów, odległość 350 jardów..., 250 jardów..., otwieram ogień.

Centrala: Piętnaście, przerwij pościg. Przerwij pościg.

Pilot: Zero, "bandyta" w odległości 200 jardów! Pewny cel!

Centrala: Piętnaście, przerwij pościg, powtarzam: przerwij pościg i wracaj.

Pilot: Potwierdzam, "przerwij pościg". Wracam.

Hurricane dokonał gwałtownego zwrotu. Pilot mógł tylko żałować, że tak łatwa zdobycz umyka spod jego karabinów maszynowych. Nie rozumiał, dlaczego kazano przerwać pogoń za wrogiem, ale musiał wykonać rozkaz. Czyżby finał jego pościgu miał związek z tym, że

dowódcą 602 dywizjonu myśliwskiego w Glasgow był księżę Hamilton? Na to pytanie nie ma odpowiedzi.

Rudolf Hess nie zauważył, że znalazł się w zasięgu karabinów maszynowych brytyjskiego myśliwca. Był zbyt zajęty wypatrywaniem obiektów, które mogły pomóc mu w zorientowaniu się, gdzie się znalazł. Robiło się coraz ciemniej. Czego szukał?

Dzisiaj już wiemy, że w tym samym czasie na prywatnym lotnisku księcia Hamiltona w Dungavel zapalono światła. Sugerowałoby to, że oczekiwano tam lądowania jakiegoś samolotu. Czyżby samolotu Rudolfa Hessa? Nie ma na to odpowiedzi.

Jak twierdzą świadkowie, których zeznania ujawniono kilka tygodni temu, światła zgasły po 15 minutach. Czyżby obsługa lotniska wiedziała już, że oczekiwany samolot nie wyląduje?

Dlaczego Rudolf Hess, lecący do Szkocji z zamiarem dotarcia do księcia Hamiltona, nie zdecydował się lądować na prywatnym lotnisku księcia, lecz wyskoczył ze spadochronem. Najprostsza odpowiedź brzmi: stracił orientację w terenie. I to jest bardzo prawdopodobne. Dochodziła godzina 23.00 10 maja 1941 roku. Było ciemno. Dla samotnego lotnika obserwacja terenu, nad którym przelatywał, była bardzo trudnym zadaniem. Łatwo mógł pomylić trasę. Nie odnalazł oświetlonego lotniska przy zamku księcia. Musiał skakać. Nie przewidział, jak trudno wydostać się z kabiny, gdy pęd powietrza wciska go w fotel. Udało mu się to jednak i bezpiecznie opadł ze spadochronem.

David Maclean, zatrudniony na farmie Floors, jadł kolację, gdy usłyszał warkot samolotu, po chwili wybuch, a niebo za oknem rozświetlił blask eksplozji. Wybiegł na podwórze i zobaczył w jasnym świetle księżycy skoczka opadającego na spadochronie. Schwycił widły - tak na wszelki wypadek, gdyby spadochroniarz okazał się Niemcem - i popędził na pole, gdzie rozpostarła się biała czasza, spod której gramolił się pilot w czarnym skórzanym kombinezonie. Z trudem usiłował stanąć, miał zranioną nogę.

Chłop: Jesteś Niemcem?

Hess: Tak. Jestem Niemcem. Kapitan Alfred Horn. Chcę dostać się do Dungavel House. Mam ważną wiadomość dla księcia Hamiltona.

Chłop: Jesteś sam?

Hess: Nie ma poza mną nikogo. Nie mam broni. Chcę się widzieć z księciem Hamiltonem.

Chłop: Nie mogę cię tam zaprowadzić, gdyż lada moment nadejdą żołnierze. To już ich sprawa.

Hess nie był świadom faktu, że wylądował 50 kilometrów od celu, ale to nie miało już większego znaczenia. Wkrótce przybyli żołnierze, którzy zabrali go do koszar w Maryhill. Tam w niedzielę 11 maja o 10.00 rano przybył księżę Hamilton. Najpierw przejrzał rzeczy, jakie znaleziono przy pilocie, a następnie, w towarzystwie oficera śledczego i strażnika, wszedł do pokoju, gdzie na łóżku siedział Hess. Powiedział on na widok księcia:

Hess: Nie wiem, czy mnie pan poznaje, ale jestem Rudolf Hess. W 1936 roku w czasie Olimpiady w Berlinie był pan u mnie w domu na obiedzie.

Co odpowiedział księżę? Tego nie zanotowano. W każdym razie, pisząc wyjaśnienia dla premiera Churchilla, trzykrotnie zmienił zdanie. Najpierw napisał:

"zostałem przedstawiony Hessowi". Następnie zdanie zostało przekreślone i nad nim napisano inne - "O ile wiem, nie było go (tj. Hessa) wśród obecnych".

Te słowa także przekreślono, aby zastąpić je stwierdzeniem:

"Jest możliwe, że był jednym z wielu na przyjęciu, w jakim uczestniczyłem, ale nie przypominam sobie jego nazwiska ani też nie uważałem go za osobę, z którą chciałbym się zobaczyć".

Księżę starał się więc ukryć okoliczności spotkania z Hessem w Berlinie. Rozwój wydarzeń wyjaśnia, dlaczego mu na tym zależało.

W tym czasie w Niemczech przed willą Adolfa Hitlera, w Alpach Bawarskich, w Obersalzbergu, zatrzymał się czarny mercedes. Wysiedli z niego dwaj oficerowie i ruszyli śpiesznie w stronę tarasu, gdzie stał esesman. Najwidoczniej uprzedzony o wizycie, poprowadził ich do dużego hallu i wskazując na fotele poprosił, aby poczekać na wezwanie Führera.

W holu był już człowiek oczekujący na przyjęcie przez Hitlera. Rozpoznali go natychmiast. Był to Albert Speer, architekt Hitlera.

Jeden z oficerów podszedł do niego...

Pintsch: Przepraszam, panie Speer. Jestem Karl-Heinz Pintsch, adiutant Rudolfa Hessa. Przyjechałem ze sprawą wagi państwowej. Czy zgodziłby się pan przepuścić mnie w kolejce do Führera? Mam do przekazania osobisty list Rudolfa Hessa. Speer, słysząc nazwisko zastępcy Führera, skinął głową i powrócił do przeglądania szkiców, które trzymał w otwartej teczce na kolanach.

Po kilkunastu minutach na schodach pojawił się Hitler, który przemknął szybko przez hol nie zwracając uwagi na oficerów i wszedł do gabinetu. Po chwili w drzwiach stanął adiutant, dając znać, że goście mogą wejść.

Pintsch podszedł do biurka, przy którym siedział Hitler, i podał mu kopertę.

Pintsch: Mein Führer, to jest osobisty list od ministra Hessa. Hitler złamał niebieską pieczęć lakową, rozdarł kopertę i podszedł do okna, gdzie jasne światło pozwalało mu odczytać treść bez zakładania okularów, czego unikał w obecności podwładnych. Czytał słowa swojego zastępcy.

Hess: Mein Führer, kiedy otrzymasz ten list, będę w Anglii. Możesz sobie wyobrazić, że decyzja podjęcia takiego kroku nie była łatwa, gdyż czterdziestolatek ma inne związki z życiem niż mężczyzna dwudziestolatek. Lecę, aby skontaktować się z ważnymi osobistościami, co zapoczątkuje negocjacje i zawarcie pokoju między naszymi państwami. Hitler przerwał nagle lekturę listu i zwrócił się do adiutanta Hessa...

Hitler: Czy zna pan treść tego listu?

Pintsch: Tak jest, Mein Führer!

Hitler: Aresztować ich! Aresztować i do obozu koncentracyjnego! Złamali mój rozkaz! Kazałem go pilnować! Pilnować!
Esesmani wyprowadzili przerażonych i zdumionych adiutantów Hessa. Tak przebieg wypadków relacjonował Albert Speer, wciąż oczekujący w holu na wezwanie.

W drzwiach stanął Hitler, wciąż bardzo wzburzony.

Hitler: Dać mi tu Bormanna! Gdzie jest Bormann?!
Wezwać Ribbentropa, Göringa, Goebbelsa i Himmlera. Muszą przybyć natychmiast!

Gdy do gabinetu przybiegł Martin Bormann, sekretarz Hitlera, ten uspokoił się już, choć widać było, że wiadomość o wyprawie jego zastępcy do Anglii wstrząsnęła nim. Krążył po gabinecie mówiąc do siebie.

Hitler: Któż mi uwierzy, że Hess nie poleciał do Anglii w moim imieniu, że to wszystko nie jest ukartowaną grą za plecami moich sojuszników.
Czy rzeczywiście Adolf Hitler nic nie wiedział o tym, że jego zastępca Rudolf Hess poleciał do Wielkiej Brytanii? Jego reakcja na wieść o tym wskazywałaby, że był całkowicie zaskoczony. Niczego to jednak nie dowodzi.

Hitler ubóstwiał aktorskie popisy i wykonywał je w obecności najpoważniejszych przedstawicieli światowych mocarstw. Dla niego polityka nie była nudnym spisem dyplomatycznych konwenansów, lecz pasjonującą grą. Uznał, że w niej najwięcej wygrywał ten, który potrafił zaskoczyć i zaszokować przeciwnika. I Hitler tak grał.

Jeżeli znał zamiary swojego zastępcy dotarcia do Wielkiej Brytanii, to nic dziwnego, że nie chciał się do tego przyznać - do czasu, gdy stamtąd nie nadeszłyby wiadomość, że misja nie zakończyła się powodzeniem.

Dlaczego Rudolf Hess podjął się tak niezwyklej wyprawy, jak lot samolotem z Niemiec do Wielkiej Brytanii?

Ten człowiek był najbliższym i najbardziej zaufanym towarzyszem Hitlera. Poznali się w 1919 roku, gdy Hess, dzielny żołnierz I wojny światowej, dwukrotnie ciężko ranny poszukiwał dla siebie miejsca w powojennym świecie. Spodobały mu się poglądy niskiego mężczyzny z wąsikami, który wygłaszając płomienne przemówienia w monachijskich piwiarniach żądał odrzucenia upokarzającego Niemców traktatu wersalskiego, usunięcia z kraju cudzoziemców i Żydów. Hess wstąpił do nazistowskiej partii Hitlera uzyskując legitymację z numerem 16.

Po nieudanej próbie przechwycenia przez nazistów władzy w Monachium 8 listopada 1923 roku, zdołał zbiec za granicę, lecz dobrowolnie wrócił, aby razem z Hitlerem odbyć karę w więzieniu w Landsbergu. Tam pomagał mu pisać programowy manifest "Mein Kampf" Był przy jego boku przez wszystkie lata walki o władzę. Był bez wątpienia człowiekiem, do którego Hitler miał całkowite zaufanie. Nic więc dziwnego, że gdy w 1933 roku objął urząd kanclerza, kierowanie partią nazistowską pozostawił zaufanemu towarzyszowi. Rudolf Hess pozostał w Monachium, gdzie mieściła się centrala NSDAP, zaś Hitler pojechał do Berlina. I tam zdawał się zapominać o wiernym druhu, co było powodem zgryzot Hessa. Widział, jak jego miejsce przy boku Führera zajmują inni: sprytny i bezwzględny Martin Bormann, przebiegły minister propagandy Joseph Goebbels i łasy na zaszczyty i władzę dowódca

Lotnictwa Hermann Göring. Gotów był więc do niezwykłego wyczynu, aby odzyskać łaskę i zaufanie Wodza. Nawet do nadzwyczajnej wyprawy do Wielkiej Brytanii.

Niemcy i Wielka Brytania od 3 marca 1940 roku były w stanie wojny, której Hitler nie chciał kontynuować. Zawsze wysyłał do Londynu sygnały gotowości do zawarcia pokoju.

Tuż po zakończeniu wojny we Francji, gdy pobite oddziały Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego cudem zdołały ewakuować swoich żołnierzy spod Dunkierki, Hitler manifestował chęć zakończenia wrogości. Przemawiając w parlamencie niemieckim 19 lipca 1940 roku mówił:

Hitler: Mister Churchill powinien mi uwierzyć, gdy prorokuję, że wielkie imperium będzie zniszczone! Imperium, którego nigdy nie zamierzałem niszczyć, a nawet szkodzić mu. Teraz czuję, że moim obowiązkiem, wobec własnego sumienia, jest zaapelować jeszcze raz do odpowiedzialności i zdrowego rozsądku w Wielkiej Brytanii i gdziekolwiek indziej. Uznałem, że mogę zgłosić ten apel - ja, który nie jest pokonanym, proszącym o łaskę, lecz jest zwycięzcą przemawiającym w imieniu rozsądku. Nie widzę powodu, dla którego wojna ta musiałaby trwać.

Hitler oczekiwał, że Wielka Brytania ugnie się pod niemiecką presją i wystąpi z propozycją zawarcia pokoju. Mylił się.

Winston Churchill, który 10 maja 1940 roku objął urząd premiera, nie miał zamiaru podejmowania jakichkolwiek negocjacji z Hitlerem. I popierali go Brytyjczycy, którym mówił: "mogę wam tylko obiecać krew, pot, łzy i trud".

Naród chciał walczyć, a nie kapitulować czy zawierać upokarzający rozejm. Ale czy wszyscy politycy otaczający Churchilla też byli tego zdania? Bez wątplenia nie.

Również wielu członków rodziny panującej, a może nawet sam król Jerzy V, uważało, że prowadzenie wojny z Niemcami jest samobójstwem.

Do negocjacji z Brytyjczykami włączył się Rudolf Hess. Wykorzystał pośrednictwo swojego doradcy do spraw politycznych, profesora Albrechta Haushofera, który z racji swojego stanowiska na Uniwersytecie w Berlinie i działalności w międzynarodowym Towarzystwie Geograficznym miał rozległe kontakty w Wielkiej Brytanii. To on 23 września 1940 roku wysłał list do księcia Douglasa Hamiltona, w którym wyrażał żal z powodu śmierci jego ojca. Była tam ogromnie ważna wiadomość:

Głos: Mój drogi Douglo, jeżeli pamiętasz mój ostatni list z lipca 1939 roku, ty i twoi przyjaciele na wysokich stanowiskach, mogą uznać za istotne pytanie: czy znalazłbyś czas, aby odbyć rozmowę ze mną gdzieś na obrzeżach Europy, prawdopodobnie w Portugalii? Mogę dotrzeć do Lizbony w każdej chwili (i bez trudności), w ciągu paru dni po otrzymaniu wiadomości od ciebie.

Książę musiał natychmiast zdać sobie sprawę, że nie o spotkanie z profesorem Haushoferem chodzi, lecz jest on tylko pośrednikiem. Skąd mógł wyciągnąć taki wniosek? Wynikało to ze słów "mogę dotrzeć do Lizbony w każdej chwili i bez trudności". Książę wiedział, że profesor był Żydem, który choć korzystał z ochrony Rudolfa Hessa, to nie na tyle, aby swobodnie poruszać się po Europie i prowadzić rokowania w imieniu rządu niemieckiego! Książę łatwo mógł się domyślić, że chodzi o Hessa.

Ostatnio ujawnione dokumenty z prywatnego archiwum księcia Hamiltona zdają się wskazywać jednoznacznie, że tamtej nocy z 10 na 11 maja 1941 roku oczekiwał na Hessa w swoim zamku Dungavel w Szkocji. Razem z nim był Jerzy, książę Kentu, wraz z żoną Mariną. Nie wiadomo, kto jeszcze był w zamku.

Co kierowało księciem Hamiltonem, dzielnym oficerem i lotnikiem, który jako pierwszy przeleciał nad Mount Everest w 1936 roku? Inne dokumenty zdają się wskazywać jednoznacznie, że związał się z brytyjskimi politykami, którzy byli przeciwni wojnie z Niemcami.

W archiwum księcia jest dokument zatytułowany "Plan rozsądzenia gości przy stole podczas spotkania 9 czerwca 1939 roku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych". Przewodniczył mu minister Lord Halifax, zaś wśród członków brytyjskiej delegacji był późniejszy książę Hamilton. Sir Louis Greig, przyjaciel rodziny królewskiej, nie pełnił żadnego urzędu państwowego, ale jego obecność na spotkaniu zdawała się wskazywać, że reprezentuje króla Jerzego V.

Niemieckiej delegacji przewodził generał Walther von Reichenau, zagorzały nazista, którego Hitler darzył wielkim zaufaniem.

Przedmiotem dyskusji prowadzonej na trzy miesiące przed wybuchem wojny była możliwość uniknięcia konfliktu zbrojnego między Niemcami i Wielką Brytanią.

Miesiąc po wybuchu wojny książę Hamilton zamieścił w brytyjskim dzienniku "The Times" list, w którym wspominał o konieczności "wynegocjowania porozumienia przez ludzi honoru". Dzisiaj już wiadomo, że list ten był konsultowany z Lordem Halifaxem i miał być podpisany przez grupę posłów. Tak, to lord Halifax, minister spraw zagranicznych był największym przeciwnikiem polityki Winstona Churchilla. Uważał bowiem, że kontynuowanie wojny z Niemcami doprowadzi Wielką Brytanię do klęski, a jedyną korzyść z tej walki wyciągnie Stalin.

Wiele śladów zdaje się wskazywać, że pogląd ten podzielała rodzina królewska.

Czy przeciwnicy Churchilla mogli posunąć się do zawiązania spisku i próby odsunięcia premiera od władzy, powołania nowego rządu, który podjąłby zastępcę Hitlera i podpisał pokój kończący wojnę z Niemcami? To bardzo prawdopodobne, choć nie ma ostatecznych dowodów.

Takie przekonanie podzielał Józef Stalin, który dzięki swoim szpiegom, bardzo aktywnym na najwyższych szczeblach brytyjskiej władzy, miał świetny wgląd w politykę tego państwa.

We wrześniu 1941 roku, a więc 5 miesięcy po dramatycznym locie Hessa, do Stalina przybył przedstawiciel rządu brytyjskiego Lord Beaverbrook. Stalin przyjął go chłodno. I nagle powiedział:

Stalin: Brytania zamierza zawrzeć pokój z Niemcami, pozostawiając Rosję samotną?

Beaverbrook: Dlaczego pan tak sądzi?

Stalin: Hess jest waszą linią komunikacyjną z Hitlerem - odpowiedział dyktator.

Beaverbrook: Ależ nie!

Stalin: To dlaczego go nie rozstrzelacie?

Beaverbrook: Musi stanąć przed sądem.

Stalin: Wobec tego po co przybył do Wielkiej Brytanii?

I w tym momencie stała się rzecz dziwna. Brytyjski wysłannik, który przybył do Moskwy, aby dyskutować warunki dostawy broni zachował się tak, jakby spodziewał się pytania o Hessa.

Wydobył z teczki stenogram swojej rozmowy z Hessem oraz memorandum autorstwa Hessa, w którym proponował rządowi brytyjskiemu zawarcie pokoju pod warunkiem, że wojska brytyjskie dołączą do niemieckich w czasie wojny ze Związkiem Radzieckim. W końcu powiedział:

Beaverbrook: Premier Churchill z całkowitym przekonaniem odrzucił ten plan. Stalin nie dał się przekonać. Nawet w 1944 roku w czasie spotkania z premierem Churchillem wznosił toast:

Stalin: Za brytyjskie tajne służby, które zwabiły Hessa do Anglii. On nie mógłby wylądować bez otrzymania odpowiednich sygnałów. Za tym musi stać służba wywiadowcza. Dzisiaj, 60 lat po tajemniczym locie Rudolfa Hessa, wiemy już, że księżę Hamilton oczekiwał na przylot Hessa. Jednak dopiero w 2016 roku brytyjskie archiwa mają ujawnić wszystkie dokumenty związane z niezwykłą wyprawą zastępcy Hitlera. Może wtedy poznamy całą prawdę.

Rozdział 20 – Kondor I

O wynikach długiej i krwawej kampanii w Afryce Północnej zdecydowała jedna bitwa stoczona w pobliżu egipskiej osady el Alamejn. Wygrali ją żołnierze alianccy, ale tylko dlatego, że szpiegzy to zwycięstwo przygotowali. El Alamejn to historia pojedynku wywiadu brytyjskiego i niemieckiego, który został rozstrzygnięty zanim zagrzmiały działa.

Sytuacja w Afryce Północnej, gdzie ze zmiennym szczęściem ścierały się wojska włoskie i alianckie uległa gwałtownej zmianie, gdy w lutym 1941 roku w Libii wylądował niemiecki korpus ekspedycyjny Afrika Korps. Przybywali żołnierze wypoczęci, świetnie wyszkoleni i wyposażeni. Od 24 marca 1941 r. jednostki Afrika Korps rozpoczęły ofensywę, która doprowadziła je do granicy Egiptu. Dowódca, generał Erwin Rommel był mistrzem w operowaniu oddziałami pancernymi i artylerią przeciwpancerną. Potrafił też znakomicie wykorzystywać wywiad i to była jego tajna broń. Za liniami wroga miał szpiega o kryptonimie "Kondor".

Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Johan Eppler. Urodził się w 1914 r. w Aleksandrii. Rodzice byli Niemcami i on czuł się Niemcem, chociaż ojciec zmarł, a matka wyszła ponownie za mąż za bogatego prawnika egipskiego i przeszła na mahometanizm. Gdy wybuchła wojna, Eppler zgłosił się do niemieckiej ambasady. Wyjechał do Berlina, gdzie przeszedł staranne przeszkolenie w ośrodku Abwehry. W kwietniu 1942 r. przyplłynął do Trypolisu, mając w bagażach dwie amerykańskie radiostacje Hallicrafter, 50 tys. fałszywych funtów szterlingów w banknotach oraz książkę "Rebecca".

Pierwszy szyfrogram nadał 4 czerwca 1942 roku, potwierdzając, że dotarł do Kairu, gdzie zamieszkał na przedmieściu. Natychmiast zaczął poszukiwać starych znajomych. Według zasad wyuczonych w czasie szkolenia w Niemczech rozglądał się za ludźmi zajmującymi ważne stanowiska w armii lub władzach administracyjnych oraz tymi, którzy z racji zawodu stykali się z dużą liczbą oficerów brytyjskich. Do tego schematu pasowała tancerka Hekmeth Fahmy, którą Eppler poznał przed wojną w kabarecie "Kit Kat". Był przekonany, że Hekmeth pamięta go doskonale i nie pomylił się. Gdy po zakończonym tańcu zbierała pieniądze za swój występ, zbliżyła się do niego i szepnęła:

Fahmy: Miło cię znowu widzieć. Dzisiaj nie mogę się z tobą spotkać, przyjdź jutro tam, gdzie dawniej.

Zastanowiło go, dlaczego nie miała czasu tego wieczoru. Po wyjściu z kabaretu wsiadł do taksówki i kazał się dowieźć do Zamalek, gdzie na Nilu cumowała mieszkalna łódź Hekmeth.

Nie czekał długo. Wkrótce na nabrzeżu zatrzymał się samochód z brytyjską rejestracją wojskową. Mężczyzna, który z niego wysiadł, bez wątpienia oficer po cywilnemu, wszedł na łódź i otworzył drzwi do kabiny kluczem, który wyjął z kieszeni płaszcza. Po kilkunastu minutach przyjechała Hekmeth. Eppler nie czekał już dłużej.

Powrócił następnego wieczoru.

Hekmeth zaczęła wspominać dawne lata, zapewniając Epplera, że pozostał jej najbardziej płomienną miłością. Przerwał jej:

Eppler: Kim był oficer, który przyjechał do ciebie wczoraj wieczorem?

Fahmy: Jesteś zazdrosny?

Eppler: Nie, po prostu ostrożny.

Podniósł się z łóżka i podszedł do marynarki rzuconej na krzesło. Wydobyl z niej rewolwer.

Eppler: Poza tym bardzo interesują mnie brytyjscy oficerowie...

Nagle odwiódł kurek i zbliżył lufę pistoletu do głowy Hekmeth.

Eppler: Wiesz, co zrobią ze mną Anglicy, gdy powiesz im, że jestem niemieckim agentem? Oni są dżentelmenami tylko w powieściach Agaty Christie i to tylko dlatego, że starszka zapomniała opisać, jak ci emerytowani pułkownicy patroszyli Hindusów w czasie służby w kolonii...

Fahmy: Przestań! Nie musisz mnie straszyć. Nienawidzę Anglików tak samo jak ty!

Eppler: Kim więc jest oficer, który tu był wczoraj?

Fahmy: Powiedziałaś ci, nie znam jego nazwiska. To major. Służy w sztabie generalnym. Wiem, że podczas ofensywy angielskiej w listopadzie był razem z gen. Auchinleckiem (wym. ouczinlekiem). Mogę ci powiedzieć więcej! Często ma w teczce bardzo ważne dokumenty.

Eppler: Skąd wiesz?

Fahmy: Walkę z Anglikami zaczęłam wcześniej niż ty. To, co wyczytałam z dokumentów mojego majora, przekazywałam ludziom z organizacji Wolnych Oficerów.

Eppler: Teczka nie była zamknięta?

Fahmy: Była, na małą kłódkę, ale kluczyk był dopięty do kluczyków samochodowych, które trzymał w kieszeni marynarki. Teraz mam już go na własność. Dorobiłam...

Eppler: Zależy mi na kontakcie z ludźmi, którym przekazywałaś informacje.

Eppler odłożył rewolwer go na podłogę, uznając, że dalsza rozmowa nie ma już sensu. W czasie tego spotkania zdobył więcej niż się spodziewał.

Nad ranem Hekmeth wskazała mu łódź zacumowaną kilkadziesiąt metrów dalej, którą mógł wynająć i urządzić tam sobie wygodną siedzibę.

Od tego czasu stała się najcenniejszym informatorem. Wykradała dokumenty z teczki kochliwego majora, a "Kondor" każdego dnia o północy siadał do radiostacji. Informował o rozmieszczeniu wojsk brytyjskich, transportach z amunicją i nowymi czołgami, zamiarach dowództwa itd.

Jego szyfrogramy odbierały stacje nasłuchowe, z których jedna, obsługiwana przez oddział kpt Seeböhma, znajdowała się w Libii na wzniesieniu nazwanym wzgórzem Jezusa. Tam rozpoczął się pierwszy akt dramatu.

Stacja nasłuchowa, która odbierała meldunki "Kondora", zainstalowana była w kilku samochodach pancernych w pobliżu wzniesienia Tel-el-Eisa, nazwanego Wzgórzem Jezusa. Do obowiązków obsługi należało również rejestrowanie brytyjskiej łączności radiowej. Oczywiście najważniejsze informacje były zaszyfrowane, ale uważny słuchacz z pewnym doświadczeniem nie miał większych kłopotów ze zrozumieniem całej tej radiowej wrzawy. Mógł zorientować się, czy wróg przygotowuje się do natarcia, czy przegrupowuje siły, gdzie są największe oddziały. Kpt. Seeböhm był mistrzem nad mistrzami. Po sposobie nadawania rozróżniał jednostki, potrafił lokalizować je i orientować się w ich ruchach.

Na początku lipca wywiad brytyjski zlokalizował posterunek nasłuchowy kpt. Seeböhma. Rozkaz zlikwidowania otrzymał 48. batalion australijski, dowodzony przez ppłk Hammera - hodowcę owiec z Australii, na którego żołnierze z racji nazwiska mówili "twardy jak młotek".

O godz. 3.40 w nocy z 9 na 10 lipca 1942 r. batalion ruszył do ataku. Szybko pokonali włoskie straże u podnóża wzniesienia, ale odgłosy walki zaalarmowały Niemców, którzy naprędce zorganizowali obronę, chroniąc się za opancerzonymi samochodami. Bitwa na szczycie była zacięta i krwawa, lecz ze względu na dwukrotną przewagę liczebną

Australijczyków jej wynik był przesądzony. Zaledwie kilku żołnierzy niemieckich ze 100-osobowej kompanii oddało się do niewoli. Pozostali zginęli lub odnieśli poważne rany. Seeböhm, pchnięty bagnetem w brzuch i klatkę piersiową, żył jeszcze, ale po kilkunastu godzinach zmarł nie ujawniwszy żadnego ze swoich sekretów.

Major Anthony Sanson, szef brytyjskiego oddziału kontrwywiadu badający zdobyte dokumenty zwrócił uwagę na pojawiający się w kilku miejscach kryptonim "Kondor". Zastanowiła go również książka Daphne du Maurier "Rebecca" znaleziona w jednym z samochodów. Musiała być używana do odszyfrowywania meldunków "Kondora". Nic więcej major Sanson nie mógł powiedzieć..

W tym samym czasie Johann Eppler postanowił zajrzeć do klubu "Turf", gdzie często przesiadywali brytyjscy oficerowie. Chętnie przysłuchiwał się ich rozmowom. Z urywanych zdań, zwierzeń, plotek można było czasem zbudować ważną informację o nastrojach w brytyjskiej armii, zmianach personalnych, atmosferze w dowództwie.

Zamówił szklanekę whisky i siedział przez kilkanaście minut przy barze. Tego wieczoru było w klubie pusto i doszedł do wniosku, że dalsze przebywanie w tym miejscu jest stratą czasu. Wyciągnął pięćfuntowy banknot i wręczył barmanowi.

Barman: Przepraszam, sir, czy nie ma pan egipskich funtów?

Eppler: Nie podobają ci się brytyjskie pieniądze? Są złe?

Barman: Nie o to chodzi sir, wszystko w porządku.

Barman oddał się szybko i po chwili przyniósł na tacy resztę. Zapamiętał jednak, że pięćfuntowy banknot otrzymał od oficera w stopniu kapitana. Tymczasem Eppler skierował się klubu w hotelu "Metropolitan", gdzie można było spotkać korespondentów wojennych. Rozmowy z nimi Eppler uważał za równie interesujące jak z brytyjskimi oficerami. Tym razem szedł tam w innym celu. Podczas poprzedniego pobytu zauważył nową kelnerkę Yvette. Przyglądał się jej uważnie i doszedł do wniosku, że pójście z nią do łóżka jest tylko sprawą ceny. Nie mylił się. Nad ranem wyciągnął portfel z kieszeni koszuli leżącej na krześle i zapłacił jej 20 funtów. Nie zwrócił uwagi, że dziewczyna bacznie przygląda się plikowi banknotów w jego portfelu. Popęnił drugi błąd tej nocy.

Nad ranem Yvette zameldowała się u swojego przełożonego - szefa żydowskiej agencji wywiadowczej, noszącego pseudonim "Toik", współpracującego z brytyjskim kontrwywiadem MI-6.

Yvette: Jestem przekonana, że ten kapitan jest niemieckim szpiegiem.

Toik: Dlaczego tak sądzisz?

Yvette: Odnoszę wrażenie, że mówi z obcym akcentem. Jest bardzo bogaty. Widziałam w jego kieszeni portfel wypchany banknotami.

Toik: Pilnuj go, a jak będziesz miała coś nowego, zadzwoń.

Gdy wyszła, rozważał jeszcze przez chwilę jej słowa i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Toik: Chciałbym rozmawiać z majorem...

Nie podał nazwiska, ale sekretarka Anthony'ego Sansona wiedziała, że nie należy zadawać zbędnych pytań ludziom, których głos słyszała w słuchawce.

Toik: Dzwonię do pana, majorze, w sprawie, która może być ważna. Proponuję spotkanie w miejscu, o którym mówiliśmy wcześniej, za pół godziny.

"Toik" odłożył szybko słuchawkę. Nie lubił rozmawiać długo, gdyż to rodziło niebezpieczeństwo ustalenia, z jakiego numeru dzwonił.

Spotkali się w niewielkiej smażalni ryb nad brzegiem Nilu. "Toik" przedstawił majorowi

podejrzenia Yvette. Sansom słuchał uważnie przekonany coraz bardziej, że mężczyzna z portfelem wypchanym banknotami może być szpiegiem, który używa kryptonimu "Kondor".

Od kilku dni badał starannie książkę "Rebecca", znaną w samochodzie pancernym. Dokładne oględziny wykazały, że na okładce wymazano gumką cenę - 50 eskudos. Kupiono ją więc w Portugalii, a tam nie było dużo księgarni sprzedających angielskie wydawnictwa. Wkrótce ludzie z wywiadu w Lizbonie powiadomili Kair, że znaleźli księgarnię, w której 3 kwietnia 1942 roku asystent attaché wojskowego ambasady niemieckiej zakupił 6 książek. Podejrzenia, że książka była kluczem do szyfru, potwierdziły się.

Major Sansom już następnego dnia po rozmowie z "Toikiem" otrzymał nowe materiały. Zgłosił się do niego intendent i wyjął z teczki kilkadziesiąt fałszywych banknotów pięciofuntowych.

Intendent: Są fałszywe. Zostały podrobione bardzo dobrze i dlatego należy podejrzewać, że pochodzą z państwowej wytwórni w Niemczech...

Major: Skąd je pan ma?

Intendent: Ten, który pan trzyma...

Intendent zawiesił głos, przyjrzał się numerowi banknotu i sprawdził coś w swoich notatkach.

Intendent: Został wypłacony barmanowi w "Turf Club" dwa dni temu przez brytyjskiego kapitana. Barman nie zna go bliżej.

Major: Wie pan, skąd pochodzą inne banknoty?

Intendent: Tak, około 300 funtów przyniósł do mojego biura grecki kupiec. Otrzymał je od człowieka mieszkającego na łodzi. Dwaj mężczyźni kupili dużą ilość jedzenia i picia.

Wygląda na to, że przygotowywali przyjęcie...

Major: Dziękuję panu. To wszystko jest bardzo ważne.

Po wyjściu intendenta major nakazał, aby cały rejon, w którym mieszkał Eppler, został otoczony przez żandarmerię.

Tego samego ranka Yvette wróciła do łodzi Epplera. Zapukała do drzwi kabiny, ale nikt nie odpowiedział. Weszła do środka. Na korytarzu walały się puste butelki po alkoholu, wszędzie widać było lady nocnej libacji. Eppler spał w swojej kabinie i żadne próby obudzenia go nie powiodły się. Yvette usiadła przy niewielkim biurku rozważając, czy zaczekać, aż Eppler się obudzi, czy wrócić później. Ostatecznie doszła do wniosku, że wróci po kilku godzinach, ale postanowiła zostawić wiadomość dla Epplera. Rozejrzała się na biurku w poszukiwaniu papieru i ołówka. Jej wzrok padł na książkę "Rebecca" i wystającą spomiędzy stron kartkę. Na niej widniały długie kolumny cyfr. Yvette nie miała wątpliwości, że jest to szyfr. Zaczęła kartkować książkę, zwracając uwagę na to, że niektóre strony są mocniej zabrudzone. Zanotowała ich numery i spisała cyfry z kartki, schowała ją z powrotem między stronice książki, którą odłożyła na miejsce i upewniwszy się, że Eppler śpi, wymknęła się z łodzi. Przebiegła kilkanaście kroków i skręciła w uliczkę, gdzie powinny stać ryksze. Tam omalże nie zderzyła się z policjantem.

Policjant: Nie tak szybko panienko!

Schwycił ją mocno za rękę.

Policjant: Policja. Pójdziesz ze mną. Jesteś aresztowana pod zarzutem kradzieży. Widziałem cię, jak wymykałaś się z łodzi.

Yvette: Proszę pana, proszę mnie puścić. Ja mam bardzo ważną wiadomość. Muszę ją dostarczyć natychmiast.

Policjant: Komu?

Yvette: Tego nie mogę powiedzieć, ale to bardzo ważne.

Policjant: Dobrze, dobrze, będziesz tłumaczyć się na komisariacie.

Major Sanson nie wiedział nic o aresztowaniu Yvette. 10 sierpnia zaplanował wielką obławę, w wyniku której w jego sieci mieli wpaść niemieccy agenci. Dzielnica Zamalek została otoczona wojskiem i obława powoli zbliżała się do łodzi Epplera. Ten obudził się w chwili, gdy usłyszał tupot butów na pokładzie łodzi. Miał jeszcze na tyle przytomności, że dopadł do drzwi i podparł je dużą ciężką sztabą przygotowaną wcześniej na taką okazję.

Drzwi zaczęły pękać pod ciosami kolb. Eppler schwycił dużą mosiężną popielniczkę, uchylił bulaj i wyrzucił ją na pokład. Łomot gwałtownie ustał, gdyż żołnierze brytyjscy, przekonani, że na pokładzie jest granat, czmychnęli na nabrzeże i do wody. To dało szpiegowi kilka bezcennych sekund. Wyrzucił radiostację i podpalił książkę. Kartki zaczęły czernieć i zwijać się w płomieniach, gdy żołnierze ponowili szturm. Eppler - obawiając się, że płomienie nie zniszczą książki - wyrzucił ją w ślad za radiostacją. Patrzył jak tonie powoli, zbyt powoli, a żołnierze już forsują drzwi i wdzierają się do korytarza. Ruszył na nich, ale cios kolbą pozbawił go przytomności.

Mijały jednak dni i z Epplera nie udawało się wydobyć ani słowa na temat jego pracy. Trzeciego dnia zaaplikowano mu skopolaminę, środek nazywanym serum prawdy. Bez rezultatu. Pomoc nadeszła z najmniej spodziewanej strony. Z dna Nilu podniesiono łódź Epplera i przy tej okazji wygrzebano z mułu radiostację. Nie nadawała się do użytku, ale można było odczytać częstotliwość, na jakiej nadawano szyfrogramy. Dokładniejsze poszukiwania umożliwiły odnalezienie książki "Rebecca". Ogień zniszczył wiele stron, ale nie było to ważne, gdyż Brytyjczycy mieli nienaruszoną kopię znalezionej w samochodzie kpt. Seeböhma. Późnym wieczorem zadzwonił "Toik".

Toik: Panie majorze, to sprawa nie cierpiąca zwłoki!

Major: Czy koniecznie teraz?

Sanson był już zmęczony po całym dniu pracy i nie miał ochoty na spotkanie z "Toikiem".

Toik: Niedokładnie się wyraziłem. Powinienem powiedzieć: na pana miejscu nie zwlekałbym ani sekundy...

Gdy się spotkali, "Toik" wyjaśnił, że jego agentka Yvette zaginęła kilka dni temu. Był przekonany, że popełniła błąd i ludzie, których śledziła, zlikwidowali ją. Skoro jednak zwłoki nie znalazły się przez dwa dni, zaczął rutynowo dowiadywać się w komisariatach, czy nie wiedzą nic na jej temat. W ten sposób dowiedział się, że aresztowano ją pod zarzutem kradzieży na łodzi Epplera.

Sanson natychmiast nakazał zwolnić dziewczynę z więzienia.

W jej torebce zachował się zwitek papieru, na którym zanotowała numery stron książki i kolumny cyfr gotowego szyfrogramu. Zeznania Epplera nie były już potrzebne. Kryptolodzy w ciągu kilku dni odtworzyli zasady szyfrowania depesz.

25 sierpnia "Kondor" wznowił nadawanie. Kto siedział przy radiostacji? Musiał to być Eppler, gdyż w przeciwnym wypadku Niemcy szybko połapaliby się, że depesze wychodzą nie spod jego ręki.

Jak Anglicy zmusili do współpracy Niemca, skoro tak dzielnie milczał w czasie śledztwa?

Postawiono go przed sądem, który wydał wyrok śmierci. Był to sfingowany sąd i wyrok. Brytyjczycy mieli nadzieję, że w celi śmierci niemiecki szpieg "załamie się" i zgodzi się wyjawić wszystkie tajemnice. Mijały dni, a Eppler nie zdradzał ochoty do mówienia. Nie wiadomo, jak o jego sprawie dowiedział się przebywający w Kairze premier Winston

Churchill. Podobno w czasie rozmowy zapewnił Epplera, że nie zostanie stracony, jeżeli zgodzi się podjąć współpracę z wywiadem brytyjskim. Człowiek męczony przez wiele dni, skazany na śmierć załamał się słysząc obietnice składane osobiście przez szefa brytyjskiego rządu. Zgodził się podjąć współpracę.

Tymczasem Niemcy kontynuowali ofensywę w stronę granicy Egiptu. Jak wykorzystać "Kondora", aby wciągnął ich w pułapkę? Brytyjscy dowódcy analizując zdobyte niemieckie mapy zauważyli, że brakuje na nich wielu ważnych miejsc.

Przede wszystkim nie były naniesione ruchome piaski, zdradliwe obszary, w których grzęzły czołgi i samochody. Gdyby udało się skierować niemieckie uderzenie w tamtą stronę, zwycięstwo byłoby łatwiejsze.

26 sierpnia niemiecka stacja nasłuchowa odebrała meldunek "Kondora":

Eppler: "«Kondor» wzywa. Potwierdzam wiadomość opartą na najbardziej wiarygodnych źródłach, że VIII armia przygotowuje się do ostatecznej obrony w rejonie Alam Halfa.

Oczekuje na posiłki, ale obecnie nie jest zdolna stawić poważniejszego oporu".

Rommel wierzył w informacje "Kondora". Nie przeczuwając podstępów postanowił uderzyć pod Alam Halfa, gdzie brytyjskie linie obronne miały być najsłabsze.

Tak wywiad brytyjski osiągnął pierwszy cel. Należało osiągnąć cel drugi: skierować niemieckie czołgi wojska na grząski nieprzejezdny dla nich teren.

Do akcji wkroczył dowodzony przez pułkownika Dudleya Clarka najdziwniejszy oddział wojskowy świata. W jego składzie znaleźli się kupiec, artysta malarz, chemik, iluzjonista, naukowiec, scenarzysta i scenograf filmowy oraz parę innych równie niezwykłych jak na służbę wojskową postaci. Urządzili sobie kwaterę główną w nieczynnym domu publicznym, ale rzadko tam bywali uznając, że najlepsze pomysły przychodzą do głowy w czasie wypraw na pustynię.

Oni mieli wprowadzić w błąd Erwina Rommla, mianowanego przez Hitlera feldmarszałkiem. Rozpoczęła się najważniejsza część wojny na pustyni.

Rozdział 21 – Kondor II

Po kilkunastu miesiącach krwawych i zaciętych walk wojna na pustyni wchodziła w decydującą fazę. Wydawałoby się jednak, że szczęście przestało sprzyjać feldmarszałkowi Erwinowi Rommlowi, dowódcy niemieckiego korpusu ekspedycyjnego Afrika Korps. Jeden człowiek wiedział, dlaczego tak się stało. Był to major Anthony Sanson z brytyjskiego kontrwywiadu. O wynikach walk w Afryce Północnej decydowały bowiem w równej mierze zrządzenia Opatrzności i wywiad.

W końcu sierpnia 1942 roku major Anthony Sanson, szef brytyjskiej placówki kontrwywiadowczej w Egipcie wpadł na trop Johanna Epplera niemieckiego szpiega działającego pod kryptonimem "Kondor". Eppler aresztowany, przez wiele dni nie chciał ujawnić swoich sekretów. Został skazany na śmierć, lecz Brytyjczycy opóźniali wykonanie wyroku licząc, że Niemiec załamie się i zdecyduje się podjąć z nimi współpracę. Stało się tak, ale dopiero po interwencji Winstona Churchilla. Premier wizytując oddziały w Egipcie dowiedział się o ważnym szpiegu. Podobno zapewnił go, że podpisze ułaskawienie, jeżeli Eppler pomoże brytyjskiemu wywiadowi wprowadzać Niemców w błąd. Eppler zgodził się.

Ujawnił swoje tajemnice. Wyjawiał również, że w zdobywaniu informacji wywiadowczych pomagała mu tancerka Hekmeth Fahmy. Tego samego wieczoru dziewczyna została aresztowana. Do jej celi przyszedł major Sanson.

Fahmy: Co ze mną zrobicie?

Sanson: To, co w czasie wojny robi się ze szpiegami. Stanie pani przed sądem, który wyda wyrok śmierci. Zapewne przez rozstrzelanie. Stanie się to za dwa, trzy dni.

Fahmy: Nie chcę umierać. Ja mam 23 lata! Proszę, niech mi pan pomoże! Proszę!

Sanson: Prawo jest prawem. Przykro mi.

Major Sanson wstał i podszedł do drzwi celi. Zastukał w nie przywołując strażnika.

Fahmy: Panie majorze! Pan może mi pomóc! Proszę!

Sanson zatrzymał się.

Sanson: Sąd może uwzględnić nadzwyczajne okoliczności. Musi pani współpracować z nami.

Fahmy: Co mam zrobić?

Sanson: Od kogo otrzymywała pani informacje o naszych wojskach?

Fahmy: Od oficera, który często przychodził do mnie.

Sanson: Nazwisko?

Fahmy: Nie znam. Przysięgam! Nie znam. Wiem, że ma na imię Ian. Pracuje w sztabie. Gdy zasypiał, otwierałam jego teczkę i fotografowałam dokumenty. Nie wiem, jak się nazywa. Przysięgam.

Sanson: Rozpoznałaby go pani na zdjęciu?

Fahmy: Tak, z całą pewnością.

Sanson: Niech go pani opisz. Jak wyglądał?

Major Sanson nie miał kłopotów z odnalezieniem oficera, o którym mówiła Fahmy. Już następnego dnia pokazał jej kilka fotografii, na których rozpoznała majora. Nie był szpiegiem, ale winien był zdrady tajemnic wojskowych. Cekał go sąd wojenny. Dano mu jednak możliwość honorowej śmierci. Jego życie miało być ceną wprowadzenia Niemców w błąd.

W tym czasie brytyjscy dowódcy zastanawiali się, jak rozegrać decydującą batalię z wojskami feldmarszałka Rommla. W czasie narady, jaka odbyła się 21 sierpnia 1942 roku pod Kairem z udziałem premiera Winstona Churchilla, wizytującego brytyjskie wojska, szef sztabu 8. armii gen. de Guingand rozłożył na stole kilka niemieckich map.

Guingand: Zdobyliśmy je w ciągu ostatnich trzech tygodni. Nie przedstawiają większej wartości wojskowej, gdyż niewiele możemy się z nich dowiedzieć o rozlokowaniu sił nieprzyjaciela. Zawierają jednak niezwykle cenną wskazówkę. Dowodzą, że Rommel niewiele wie o terenie, na którym chce atakować.

Churchill: Czy może uzupełnić tę wiedzę?

Guingand: W ciągu najbliższych dni nie będzie to możliwe. Rommel może polegać jedynie na rozpoznaniu lotniczym, a z samolotu nie można dostrzec, gdzie są ruchome piaski.

Churchill: Co z tego wynika?

Premier Churchill, gorący zwolennik tajnej gry, czuł, że rodzi się wspaniały plan.

Guingand: Musimy skłonić Rommla, aby uderzył w rejonie dla nas dogodnym i skierował swoje czołgi na ruchome piaski, gdzie się zagrzebią i staną się łatwym celem dla naszych samolotów.

Rozkaz opracowania planu wciągnięcia Rommla w zasadzkę otrzymał płk Dudley Clark. Postanowił wykorzystać "Kondora". Niemcy nic nie wiedzieli o jego aresztowaniu. Mógł więc nadawać odpowiednio spreparowane informacje.

26 sierpnia niemiecka stacja nasłuchowa odebrała depeszę Kondora:

Kondor: "Kondor wzywa. Potwierdzam wiadomość opartą na najbardziej wiarygodnych źródłach, że 8. armia przygotowuje się do ostatecznej obrony w rejonie Alam Halfa. Oczekuje na posiłki, ale obecnie nie jest zdolna stawić poważniejszego oporu.

Rommel wierzył meldunkom "Kondora", który wielokrotnie dowiódł, że ma dostęp do najtajniejszych brytyjskich wiadomości. Uznał więc, że powinien posłać swoje wojska tam, gdzie wróg jest najsłabszy, pod Alam Halfa.

W ten sposób płk Clark osiągnął pierwszy cel. Należało osiągnąć cel drugi: skierować niemieckie czołgi na grząski, nieprzejezdny dla nich teren, o którym nic nie wiedzieli. Jak to zrobić? Dudley Clark postanowił wykorzystać majora skazanego na śmierć za ujawnienie tajemnic tancerce Hekmeth Fahmy.

Pozostanie tajemnicą płk Dudleya Clarka, w jaki sposób skłonił oficera zdradzającego wojskowe tajemnice tancerce Hekmeth Fahmy, aby ten założył mundur, wziął raportówkę, w której znajdowały się odpowiednio spreparowane mapy i wsiadł do samochodu z bombą zegarową, która miała go zabić. Być może pułkownik Clark dał nieszczęsnemu majorowi wybór między śmiercią przed plutonem egzekucyjnym, po której jego rodzina w Anglii dowiedziałaby się, że został rozstrzelany jako szpieg, a honorową śmiercią "za króla i Ojczyznę". Jeżeli tak było, to płk Clark dotrzymał słowa. Do dzisiaj znamy tylko pseudonim oficera: "major Smith".

Nie ujechał daleko. Na ziemi niczyjej, między liniami brytyjskimi i niemieckimi samochód wyleciał w powietrze jakby uniesiony wybuchem miny. Niemcy wysłali patrol, który odnalazł poszarpane zwłoki mężczyzny w mundurze brytyjskiego majora i osmaloną wybuchem, ale całą raportówkę. Wyjęte z niej mapy natychmiast dostarczono do sztabu Rommla. On uznał, że szczęście mu sprzyja. W przeddzień planowanej ofensywy otrzymał mapy terenu, przez który miały przetoczyć się jego czołgi.

31 sierpnia 1942 roku o godzinie 2.00 w nocy niemieckie czołgi ruszyły w stronę brytyjskich linii. Za nimi posuwał się włoski XX korpus. Już o 3.00 nad ranem Rommel zorientował się, że sytuacja nie rozwija się zgodnie z jego planami. Przewidywał, że do świtu jego wojska posuną się o 50 km na wschód, a tymczasem z trudem przeszły 15 km. Rommel nie wiedział, że tam, gdzie spodziewał się oporu jednej brytyjskiej dywizji, walczyły trzy. Nie zrezygnował

jednak z kontynuowania natarcia. Zdecydował się zmienić kierunek. Czołgi niemieckie i włoskie ruszyły trasą wytyczoną na podstawie map znalezionych przy zwłokach majora Smitha. Nie ujechały daleko. Ich gąsienice zaczęły grzęznąć w piasku. Na odwrót było już za późno, tym bardziej, że próba skrętu pogarszała sytuację i czołgi pogrążyły się w pyle. Wtedy na niebie rozświetlonym flarami pojawiły się brytyjskie myśliwce. Pociski z działek podwieszanych pod skrzydłami samolotów Hurricane przechodziły przez pancerze czołgów z równą łatwością jak gwóźdź przez blachę puszkę konserw. Uderzenie niemieckie traciło impet.

Następnego dnia Rommel musiał podjąć decyzję odwrotu. Pozostawił pod Alam Halfa ponad pół tysiąca zabitych żołnierzy niemieckich i włoskich, drugie tyle zaginionych, kilkadziesiąt czołgów i setki ciężarówek. Rommel liczył jeszcze na skuteczność manewru, jaki często stosował: wycofał czołgi, a pozostawił zamaskowane działa przeciwpancerne. Ich pociski miały roznieść ruszające w pościg czołgi brytyjskie. Nie na darmo nazywano go "Lisem Pustyni". Tym razem dowodzący wojskami brytyjskimi gen. Montgomery nie dał się jednak zwabić w zasadzkę i nie posłał czołgów w pogoń za uchodzącym nieprzyjacielem. Dowódca 8 armii brytyjskiej miał inne plany wykorzystania broni pancernej. Chciał zwyciężyć w walnej bitwie.

W październiku 1942 roku generał Montgomery miał pod swoimi rozkazami dwukrotnie więcej żołnierzy niż Rommel, dwukrotnie więcej dział, czołgów i samochodów pancernych. Był jednak daleki od lekceważenia wroga. Znał wartość niemieckich czołgów i dział kaliber 88 mm tak dobrze jak umiejętności i bitność niemieckich żołnierzy. Wiedział, że duża przewaga ilościowa daje mu tylko szansę odniesienia zwycięstwa, ale go nie gwarantuje. Montgomery postanowił przechytrzyć "Lisę Pustyni". Przede wszystkim uspić jego czujność. "Kondor" zaczął nadawać meldunki, z których wynikało, że wojska alianckie w wyniku dużych strat w bitwie pod Alam Halfa odbudują swoje siły najwcześniej w końcu listopada i do tego czasu nie będą w stanie podjąć poważniejszych działań zaczepnych.

O wiele trudniejszym zadaniem dla Brytyjczyków było przekonanie Rommla, że uderzenie nastąpi w innym miejscu niż planowano. Najdogodniejszym rejonem do rozwinięcia natarcia był teren nadmorski. Ale Rommel zdawał sobie z tego sprawę i dlatego rozmieścił na północy duże siły.

Gdyby udało się ukryć przygotowania do ofensywy na północy i przekonać Rommla, że Brytyjczycy szykują się do natarcia na południu, sukces byłby zapewniony.

Szef sztabu VIII armii gen. de Guingand wezwał do siebie płk Dudleya Clarka i postawił mu takie zadanie:

Guingand: Tutaj na północy musisz ukryć 150 tysięcy ludzi z tysiącem dział i tysiącem czołgów na pustyni płaskiej i twardej jak stół bilardowy, a Niemcy nie mogą nic o tym wiedzieć, chociaż obserwują każdy ruch, nasłuchują każdego odgłosu, tropią każdy ślad. Każdy cholerny arabski przybłęda będzie cię podglądał i za paczkę herbaty doniesie Niemcom. To jest niewykonalne zadanie, ale musisz je, do jasnej cholery, wykonać!

Clark: Tak jest, panie generale!

Guingand: To nie wszystko. Musisz przekonać Niemców, że te wojska jadą na południe, aby tam zaatakować. Powtarzam, to jest niewykonalne zadanie, ale musisz je, do jasnej cholery, wykonać!

Clark: Tak jest, panie generale!

Guingand: Dudley, chłopie, chcesz powiedzieć, że wiesz, jak to zrobić?

Clark: Tak jest, panie generale!

Płk Clark przywykł do wykonywania zadań niewykonalnych.

Płk Dudley Clark dowodził organizacją nazwaną "A-force". Był to najdziwniejszy zespół, jaki można było spotkać w armiach świata. W jego skład wchodziło: kupiec, artysta-malarz, chemik, iluzjonista, naukowiec, scenarzysta i scenograf filmowy i parę innych równie niezwykłych, jak na służbę wojskową postaci. Urządzili sobie kwaterę główną w nieczynnym domu publicznym, ale rzadko tam bywali uznając, że najlepsze pomysły przychodzą do głowy w czasie wypraw na pustynię.

Podczas pierwszej narady uznali, że podstawowym i szczególnie trudnym zadaniem jest ukrycie przed niemieckimi obserwatorami magazynów. Do rozpoczęcia ofensywy oddziały 8. armii potrzebowały 6000 ton paliwa, amunicji i żywności. Gdzie złożyć kanistry i beczki z benzyną i olejem, skrzynie z amunicją, zasobniki z wodą? Przecież nie można było pod nosem Niemców budować magazynów!

Płk Clark wraz z ppłk Geoffreyem Barkasem, w cywilu scenografem filmowym, i majorem Jasperem Maskelynem, w cywilu iluzjonistą, wybrali się w rejon oddalony o około 15 km od linii frontu, gdzie powinny być złożone zapasy dla planowanej ofensywy. Generał de Guingand miał rację: teren był płaski i pusty jak stół bilardowy. Jak ukryć 6 tysięcy ton zapasów? Zatoczyli szeroki łuk i wracali do swojej kwatery, gdy ppłk Barkas wypatrzył opuszczone transeje. Rowy głębokie na 150-200 cm wydawały się doskonałym miejscem do zmagazynowania skrzyń i kanistrów. Jeszcze tej samej nocy dowieźli kilkaset kanistrów, które starannie ułożyli przy ścianach rowów. Zdjęcia zrobione przez brytyjskie samoloty następnego dnia wykazały, że kanistry nie były widoczne. Przez trzy następne noce w transejach ułożono 100 tys. kanistrów z paliwem dla czołgów. Resztę zapasów rozlokowano na pustyni w namiotach, przed którymi posadzono manekiny w mundurach. Między jeździło kilka samochodów udając, że jest to normalny obóz wojskowy. W innych miejscach skrzynie i beczki układano w kształcie ciężarówek i zakrywano siatkami maskującymi. W ten sposób w ciągu trzech nocy zgromadzono w odległości kilkunastu kilometrów od frontu 6 tysięcy ton zapasów.

Zespół Clarka wykonał w ten sposób część zadania. Najtrudniejsze było wciąż przed nimi. Uderzenie na północy wymagało skoncentrowania tam wszystkich wojsk. Jednocześnie trzeba było pokazać Niemcom, że wszystkie czołgi i ciężarówki jadą na południe.

Płk Barkas znalazł rozwiązanie tego, wydawałoby się, nierozwiązalnego problemu.

W ciągu dnia czołgi wyruszały na południe, ale po zapadnięciu zmroku skręcały i zjeżdżały na drogę prowadzącą na północ. Za nimi pędziły wielbłądy ciągnące pęki palmowych liści, aby w ten sposób zacierać ślady gąsienic. Przed świtem czołgi dojeżdżały do rejonu zgrupowania nazwanego Martelle, gdzie każdy miał swoje ukrycie. Była to wykonana z dykty makieta ciężarówki. Jednocześnie żołnierze zacierali ślady gąsienic, a na miejscach opuszczonych przez czołgi stawiano tekturowe makiety. Gdy nad ranem pojawiały się niemieckie samoloty ich piloci nie mogli zauważyć jakiegokolwiek zmiany.

Koronnym dowodem, który miał utwierdzić Niemców w przekonaniu, że Anglicy przerzucają swoje wojska na południe, była budowa wodociągu w tamtym kierunku. Wróg analizując zdjęcia lotnicze widział wyraźnie setki żołnierzy układających rury w wykopie i mógł śledzić postępy prac: widać było wyraźnie, że każdego dnia Brytyjczycy układają 7-8 km rur.

Tak, to był następny genialny pomysł ppłk Barkasa, który nakazał układanie w wykopach pustych beczek, co na zdjęciach z powietrza wyglądało dokładnie jak budowa rurociągu. Wieczorami wyjmowano ułożone beczki i zasypywano rowy, a następnego dnia ponownie te same beczki układano w nowo wykopanych rowach.

Rommel, przekonany, że przygotowania do ataku na południu zajmą Brytyjczykom jeszcze wiele miesięcy, postanowił wybrać się na urlop do Austrii i odbyć osobistą rozmowę z Hitlerem. Martwiło go bowiem niedostateczne zaopatrzenie jego wojsk. Bez nowych czołgów i paliwa dla nich nie mógł wygrać batalii w Afryce. 23 września wyjechał do Rzymu, a następnie do Winnicy na Ukrainie, aby tam w polowej kwaterze Hitlera przedstawić mu sytuację w Afryce Północnej i uzyskać niezbędną pomoc materiałową.

Feldmarszałek Erwin Rommel stawiał się przed Adolfem Hitlerem w jego kwaterze w Winnicy, aby uzyskać dodatkowe dostawy materiałów wojennych dla swoich oddziałów w Afryce Północnej.

Hitler: Cieszę się, że pana widzę, feldmarszałku. Czy przywozi pan dobre wieści?

Rommel: Mamy szansę odeprzeć uderzenie wroga i przejść do kontrofensywy.

Hitler: Proszę, niech pan przedstawi sytuację.

Przez kilka minut Rommel relacjonował przebieg walk w Afryce wskazując, że weszły w decydującą fazę. Na koniec powiedział:

Rommel: Mein Führer, stan zapasów jest katastrofalny. W pierwszym tygodniu września Brytyjczycy zatopili 7 statków transportowych, w tym 3 tankowce. Zaopatrzenie, które dociera do Afryki, jest niewystarczające i zmniejsza się coraz bardziej.

Hitler: Jaka przyczyna?

Rommel: Sądzę, że w dowództwie włoskiej marynarki jest zdrajca, który informuje Anglików o transportach lub nie potrafią tam pilnować tajemnicy.

Hitler: Tak, to bardzo prawdopodobne, ale proszę się nie obawiać. Zdecydowałem wysłać do Afryki wszelką niezbędną pomoc. W najbliższym czasie wyślę 10. dywizję pancerną oraz dywizję "SS Leibstandarte Adolf Hitler", która w tej chwili jest we Francji. Na Krete przetrucana jest z Krymu 22. dywizja powietrznodesantowa i ona wkrótce znajdzie się pod pana rozkazami. Wprowadzę na Morze Śródziemne nowe statki. Tak szybkie, że angielskie okręty podwodne ich nie dopędzą. Dostarczę panu nowe czołgi Tiger. Nie widział pan ich zapewne, ale proszę to zrobić przy najbliższej okazji. Będzie pan oczarowany. Uzbrojone są w działa kaliber 88 mm i mają pancerz o grubości 10 centymetrów. Nie dorównują im czołgi rosyjskie, amerykańskie ani brytyjskie razem wzięte. W najbliższym czasie otrzyma pan 40 tych czołgów.

Rommel uspokojony udał się na polowe lotnisko, gdzie czekał już He 111, aby zawieźć go do Wiener Neustadt w Austrii i stamtąd do Semmering na zasłużony urlop.

W nocy 23 dzień października zbudził go dzwonek telefonu. W słuchawce usłyszał głos feldmarszałka Keitla, który informował, że pod El Alamejn wojska brytyjskie przystąpiły do ofensywy. To było jak grom z jasnego nieba.

Rommel ubrał się szybko i po kilkunastu minutach był gotowy do drogi. Telefon zadzwonił ponownie. Tym razem przy słuchawce był Hitler.

Hitler: Zna pan ostatnie doniesienia?

Rommel: Wiem tylko, że Anglicy przystąpili do ofensywy...

Hitler: Czy jest pan gotów udać się do Afryki i objąć dowodzenie?

Rommel: Oczywiście, Mein Fuhrer!

Hitler: To dobrze. Po prostu czułem się zobowiązany zadać panu takie pytanie. Niech pan tam jedzie jak najszybciej.

Około południa samolot Rommła wylądował na lotnisku Ciampino. Powitał go attaché wojskowy ambasady niemieckiej generał Enno von Rintelen. Rommel powiedział do niego: **Rommel:** Musi pan natychmiast skontaktować się z feldmarszałkiem Kesselringiem. On musi dotrzeć do samego Mussoliniego. Do samego Mussoliniego, aby natychmiast wysłał konwój z paliwem i amunicją. Proszę powiedzieć mu, że w czasie rozmowy ze mną Hitler obiecał niezbędną pomoc. Jeżeli Mussolini będzie się opierał, Kesselring powinien interweniować u Hitlera. Te statki muszą dotrzeć do Afryki jak najszybciej! Od tego zależy los dalszej wojny! Feldmarszałek Albert Kesselring zadzwonił natychmiast do Mussoliniego. Po kilkunastu minutach Duce przesłał wiadomość, że w ciągu najbliższych trzech dni z Neapolu wyruszy pięć statków z amunicją i paliwem. Kesselring natychmiast wysłał szyfrogram do Rommła informując o tym, że pomoc wkrótce nadejdzie.

Depesza Kesselringa trafiła nie tylko do Rommła. Została odczytana w Bletchley Park, gdzie brytyjscy kryptolodzy łamali szyfry "Enigmy".

O świcie 27 października z lotnisk Luga i Halfar na Malcie wzbiło się w powietrze 20 samolotów, które szybko odnalazły i zatopiły włoskie transportowce.

Wojska niemiecko-włoskie pozbawione dostaw traciły siły. Rommel uznał, że jedyną szansą jest wycofanie się. I wtedy otrzymał depeszę od Hitlera:

Hitler: "Do feldmarszałka Rommła. W sytuacji, jakiej się pan znalazł, nie może być innej myśli jak tylko bronić się twardo i rzucić do walki każde działo i każdego żołnierza. Czynimy największe wysiłki, żeby panu pomóc. Pański wróg, mimo jego wyższości, musi także być u kresu sił. Musi pan pokazać swoim żołnierzom, że nie ma innej drogi jak tylko zwycięstwo lub śmierć".

Rommel zdawał sobie sprawę, że rozkaz ten oznacza zgubę dla jego żołnierzy. Na szczęście 4 listopada Hitler zgodził się na odwrót. Niemieccy żołnierze wycofali się do Tunezji, zaś włoscy, pozbawieni środków transportu, dostali się do niewoli, z czego byli powszechnie zadowoleni.

Sytuacja pogarszała się. 7 listopada 1942 r. alianci dokonali inwazji na Afrykę Północno-Zachodnią. Rommel uważał, że należy jak najszybciej wycofać się stamtąd.

W bitwie pod El Alamejn Niemcy stracili trzon swoich sił. Wkrótce spadł na nich następny cios: 7 listopada alianci dokonali inwazji na Afrykę Północno-Zachodnią.

Feldmarszałek Erwin Rommel uważał, że pozostawiania wojsk niemieckich na tym kontynencie oznacza zgubę dla tysięcy świetnych żołnierzy. Hitler nie chciał słyszeć o ewakuacji.

Rommel zdecydował się na krok rozpaczliwy. Wyruszył do kwatery głównej wodza w Gierłozy. Dotarł tam wczesnym popołudniem 28 listopada 1942 roku, o godz. 17.00 wszedł do niskiej sali sztabowej w bunkrze Wodza. Hitler przez kilka minut zdawał się, zajęty przeglądaniem dokumentów, nie zauważać obecności Rommła. Wreszcie odłożył papiery.

Hitler: Z czym pan przyjeżdża, feldmarszałku?

Rommel: Mein Führer, dalsze pozostawianie naszych sił w Afryce Północnej grozi całkowitym ich zniszczeniem.

Hitler: To jest defetyzm! Niech pan zapamięta sobie, że w Rosji generałowie, którzy ośmielają się proponować wycofanie, stawiani są pod mur i rozstrzeliwani!

Rommel: Mein Führer, trudno jest oceniać sytuację na afrykańskim froncie z kwatery w Prusach Wschodnich. Proszę, żeby pan zechciał wysłać feldmarszałka Jodla lub feldmarszałka Keitla, aby dokonali inspekcji na miejscu...

Hitler: Herr Generalfeldmarschall! Kapituluje, jeżeli uważasz, że po to jesteś feldmarszałkiem. Jeżeli pan sądzi, że nie potrafi sobie poradzić z sytuacją, oznacza to, że pomyliłem się dając panu stopień feldmarszałka. A teraz niech pan się wynosi! Precz! Rommel bez słowa zasalutował i wyszedł z sali. W sekretariacie zatrzymał się na chwilę, aby uspokoić się po gwałtownej scenie. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Hitler. Podszedł do Rommla i położył mu rękę na ramieniu.

Hitler: Musi mi pan wybaczyć, to bardzo trudny okres dla mnie. Wszystko powinno być dobrze. Proszę przyjść do mnie jutro i wtedy porozmawiamy spokojnie. To niemożliwe, nie można pogodzić się z myślą, że Afrika Korps może być zniszczony.

Następnego dnia Hitler uznał argumenty Rommla, że sprawą najwyższej wagi jest dostarczenie oddziałom niemieckim w Afryce paliwa, broni i amunicji. Interweniował w tej sprawie u Mussoliniego, a ponadto postanowił, że do Rzymu udadzą się Rommel i marszałek Rzeszy Hermann Göring, aby na miejscu dopilnować wysłania do Afryki niezbędnego zaopatrzenia. Wyruszyli bezzwłocznie specjalnym pociągiem Göringa, ale już pierwsze dni w Rzymie bardzo Rommla rozczarowały. Marszałek Rzeszy nie znajdował czasu, aby zająć się organizowaniem konwojów z zaopatrzeniem dla Afrika Korps. Bardziej zajmowało go zdobywanie obrazów i rzeźb do jego prywatnej kolekcji. Rommel uznał, że dalszy pobyt w Rzymie jest stratą czasu i powrócił do Afryki.

Nie pozostał tam długo. Przewaga aliantów była zbyt duża, aby mógł się jej przeciwstawić. Ta wojna była już przegrana pod El Alamejn, a Rommel nigdy się nie dowiedział, że on, nazywany "Lisem Pustyni" został wciągnięty w zasadzkę przez dziwny zespół pułkownika Dudleya Clarka.

Koniec części I

C.D.N

Infandil@amnezja.org